

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zwrotnik Raka

L Γ
L i

IfaTtt^

W

(

zwrotnik Raka

Przełożył i posłowiem opatrzył Lesław Ludwig

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Podstawa przekładu: Henry Miller: Tropie of Cancer

© Copyright Obelisk Press, Paris 1934

© Copyright for the Polish edition by wydawnictwo
Literackie, Kraków 1990

ISBN 83-08-02119-0

Powieści te ustąpią kiedyś miejsca pamiętnikom lub
autobiografiom – książkom bez wątpienia fascynującym,
jeżeli tylko człowiek będzie wiedział, jak dokonać
wyboru spośród tego, co nazywa swymi przeżyciami, i jak
prawdziwie zarejestrować prawdę.

Ralph Waldo Emerson

Mieszkam w Villa Borghese. Nie ma tu ani jednego pyłku,
ani jednego krzesła, które by stało nie na swoim
miejscu. Jesteśmy zupełnie sami i jakby martwi.
Zeszłej nocy Borys odkrył, że jest zawszony. Musiałem
wygolić mu włosy pod pachami, ale nawet i wtedy
swędzenie nie ustało. Skąd wzięły się wszy w tak pięknym
domu? Nieważne. Być może Borys i ja nigdy nie
zbliżylibyśmy się tak bardzo, gdyby nie te wszy.
Borys przedstawił mi właśnie w skrócie swoje poglądy.
Zajmuje się przepowiadaniem pogody. Twierdzi, że pogoda
będzie w dalszym ciągu zła. Nadejdą kolejne klęski,
przyjdzie rozpacz i śmierć. Nie ma najmniejszych oznak
zmiany. Rak czasu zżera nas po kawałku. Nasi herosi
pozabijali się albo właśnie to czynią. Głównym bohaterem
nie jest więc Czas, ale Bezczasowość. Musimy zatem
maszerować noga w nogę, trzymać krok podążając ku
kazamatom śmierci. Nie ma ucieczki. Pogoda nie ulegnie
zmianie.

Nastała jesień mojego drugiego roku w Paryżu. Zostałem
tu wysłany z powodu, którego do dziś nie udało mi się
odgadnąć.

Nie mam gotówki, majątku, nadziei. Jestem
najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Jeszcze rok, pół
roku temu sądziłem, że jestem artystą. Teraz nie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zastanawiam się już nad tym. Po prostu jestem. Wszystko, co było literaturą, opadło ze mnie. Bogu dzięki, nie trzeba już pisać żadnych książek.

No a to? To nie tyle książka, co paszkwil, oszczerstwo, niegodna potwarz. Nie jest to książka w zwykłym znaczeniu tego słowa. Nie, to rozciągnięta w czasie zniwa-

[7]

-4	3 p	^	>.
3		3	
Xi	r-t-		. r^
&	p g>	7\	

•B % 8 ? o

II

C 3 a P r* ? P

ga, plwanie w twarz Sztuce, kopniaki wymierzane Bogu, Człowiekowi, Przeznaczeniu, Czasowi, Miłości, Pięknu... czemu tam jeszcze chcecie. Zamierzam wam śpiewać. Może trochę fałszywie, ale jednak zaśpiewam. Będę śpiewał, gdy wy będziecie rzeźnić, zatańczę nad waszym plugawym zewłokiem...

By śpiewać, należy jednak najpierw otworzyć usta. Trzeba mieć dwa płuca i pewną wiedzę muzyczną. Akordeon czy gitara nie są już konieczne. Rzeczą najistotniejszą jest chęć śpiewania. To tutaj jest zatem pieśnią. Ja śpiewam. To dla ciebie, Taniu, śpiewam. Chciałbym śpiewać lepiej, bardziej melodyjnie, ale może wówczas nie zgodziłabyś się mnie wysłuchać. Słyszałaś pieśni innych i nie zrobiły na tobie najmniejszego wrażenia. Śpiewali nie dość pięknie, a może zbyt pięknie?

Jest dwudziesty któryś października. Nie zwracam już uwagi na daty. A może to mój sen z 14 listopada ubiegłego roku? Są wprawdzie przerwy, ale to przerwy między jednym snem a drugim, i nie pozostaje po nich w świadomości ani śladu. Świat wokół mnie ulega rozkładowi, pozostawiając tu i ówdzie plamy czasu. Świat jest rakiem zżerającym sam siebie po kawałku... Sądzę, że kiedy wielka cisza spadnie na wszystkich i wszystko, muzyka zatriumfuje ostatecznie. Kiedy wszystko powróci znów na łono czasu, ponownie zapanuje chaos, a chaos to partytura będąca zapisem rzeczywistości. Ty, Taniu, jesteś moim chaosem. Właśnie dlatego śpiewam. Choć w gruncie rzeczy to nie ja, tylko umierający świat, zrzucający skórę czasu. Ja wciąż żyję, kopię w twoim łonie; ja – rzeczywistość domagająca się zapisu. Zapadam w drzemkę. Fizjologia miłości. Wieloryb

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ze swoim blisko dwumetrowym penitem (w stanie spoczynku). Nietoperz - penis librę. Zwierzęta posiadające kość w

[8]

penisie. Stąd - staje jak gnat... „Na szczęście - powiada Gourmont - struktura kostna u człowieka uległa zanikowi”. Na szczęście? Tak, na szczęście. Wyobraźcie sobie tylko, że osobnicy naszego gatunku paradowaliby z narządami sterczącymi jak gnat. Kangur ma podwójny penis - jeden na dni powszednie, drugi od święta. Zapadam w drzemkę... List od jakiejś kobiety z zapytaniem, czy znalazłem już tytuł dla swojej książki. Tytuł? Ależ proszę: Lubieżne lesbijki.

„Twoje anegdotyczne życie!” Zwrot M. Borowskiego. To właśnie w środy jadam lunch z Borowskim. Jego żona, zasuszona krowa, pełni honory pani domu. Uczy się właśnie angielskiego - jej ulubiony wyraz to „obrzydliwy”. Od razu widzicie, co za mendy z tych Borowskich. Poczekajcie jednak...

Borowski nosi sztruksowe garnitury i gra na akordeonie. Trudno oprzeć się tej kombinacji, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że nie jest złym artystą. Udaje Polaka, ale oczywiście nim nie jest. Jest Żydem, a jego ojciec był filatelistą. W gruncie rzeczy prawie cały Montparnasse opanowany jest przez Żydów lub, co gorsza, pół-Żydów. Mieszkają tu Carl i Paula, Cronstadt i Borys, Tania i Sylwester, i Mol-dorf z Lucille. Wyjątkiem jest Fillmore. Nawet Henry Jordan Oswald okazał się Żydem. Louis Nichols jest Żydem. Także Van Norden i Chćrie są Żydami. Frances Blake jest Żydem, a raczej Żydówką. Tytus jest Żydem. Tak więc Żydzi mnie przytłaczają. Piśzę to dla mojego przyjaciela Carla, którego ojciec jest Żydem. To wszystko jest tu nader istotne.

Spośród wszystkich Żydów najpiękniejsza jest Tania - dla niej i ja zostałbym Żydem. Dlaczego nie? Już i tak mówię jak Żyd. I jestem paskudny jak Żyd. Poza tym któż nienawidzi Żydów bardziej niż oni sami?

Godzina zmierzchu. Błękit, woda jak szklana tafla, lśniąca, roztopiająca się w powietrzu drzewa. Szyny wpada-

m

ją do kanału w Jaures. Długa gaśienica o lakierowanych bokach wznosi się i opada jak diabelska kolejka w Lunaparku. To nie Paryż. Ani Coney Island. To wieczorna mozaika wszystkich miast Europy i Ameryki Środkowej. Poda mną rozciągają się torowiska. Czarna pajęczyna splecionych torów sprawia wrażenie, jakby nie była dziełem inżyniera, lecz gigantycznego kataklizmu;

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przypomina to ponure szczeliny w lodzie polarnym rejestrowane przez kamerę w różnych odcieniach czerni. Jedzenie to jedna z tych rzeczy, które sprawiają mi ogromną przyjemność. Ale w tej pięknej Villa Borghese rzadko natrafiam na bodaj ślad jedzenia. Chwilami to wręcz przerażające. Nieraz prosiłem Borysa, by zamówił na śniadanie chleb, ale zawsze zapomina. Wygląda na to, że śniadanie jada poza domem. Kiedy wraca, wydłubuje z zębów resztki, a z jego koziej bródki zwisa kawałek jajka. Jada w restauracji przez wzgląd na mnie. Twierdzi, że przykro mu jeść obfite śniadanie w mojej obecności.

Lubię Van Nordena, ale nie podzielam opinii, jakie o sobie żywi. Nie uważam, na przykład, że jest filozofem albo myślicielem. Ma bzika na punkcie cipy, ot i wszystko. I nigdy nie będzie pisarzem. Sylwester także nigdy nie zostanie pisarzem, choćby jego nazwisko zajaśniało czerwonymi żarówkami o mocy pięćdziesięciu tysięcy świec każda. Jak dotąd jedynymi pisarzami w okolicy, których uznaje, są Carl i Borys. Są opętani. W ich wnętrzu płonie biały płomień. To szaleńcy głusi na półtony. Cierpiętnicy.

Z drugiej strony taki Moldorf, który również na swój sposób cierpi, nie jest szalony. Moldorf upija się słowami. Nie posiada żył ani naczyń krwionośnych, nie ma serca ani nerek. Jest podręcznym kufrem z niezliczoną ilością przegródek, gdzie znajdują się różne fiszki wypisane białym atramentem, brązowym i czerwonym, niebieskim, cy-

[10]

nobrowym i szafranowym, fiołkoworóżowym, koloru sje-ny, morelowym, turkusowym, połyskującym jak łuska śledzia, miedzianozielonym, atramentem w kolorze onyksu i sera Gorgonzola, wina Anjou i cygar Corona...

Przeniosłem się z maszyną do drugiego pokoju, gdzie pisać mogę się widzieć w lustrze.

Tania podobna jest do Irene. Spodziewa się grubych listów. Ale jest też i inna Tania. Tania – wielkie na-siono rozsiewające wszędzie swój pyłek, epizod z Tołstoja, scena w stajni, podczas której wykopują płód. Tania to także gorączka – les voies urinaires, Cafe de la Liberte, Place des Vosges, jaskrawe krawaty na Boulevard Montparnasse, zaciemnione łazienki, wytrawne porto, papierosy Abdullah, adagio z sonaty Patetycznej, wzmacniacze słuchu, seanse anegdotyczne, piersi o barwie palonej sjeny, grube podwiązki, która to godzina, złociste bażanty nadziewane kasztanami, taftowe paluszki, parujące zmierzchy, zmieniające się w wiecznie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zielony dąb, akromegalia, rak i delirium, gorące woalki, żetony do pokera, dywany z krwi i miękkich ud. Tania potrafi powiedzieć tak, że słyszą ją wszyscy: „Kocham go!” A kiedy Borys parzy sobie gardło whisky, mówi do niego: „Siadaj tu! Och, Borysie... Rosja!... Cóż mam robić? Jestem nią przepełniona aż do bólu!”
W nocy wpadam w histerię, widząc kozią bródkę Borysa na poduszce. Och, Taniu, gdzie jest teraz ta twoja gorąca cipa, te grube, ciężkie podwiązki, te miękkie, pełne uda? W moim kutasie jest sześciorożca kość. Rozepcham swoim nasieniem wszystkie zmarszczki w twojej cipie, Taniu. Odeślę cię do domu, do tego twojego Sylwestra, z bólem podbrzusza, z przenicowanym łonem. Ach, ten Sylwester! Wie, co prawda, jak rozniecić ognisko, ale ja wiem, jak rozpalić cipę. Taniu, ciskam błyskawice w twoje wnętrzności, rozżarzam twe jajniki. Sylwester robi się trochę zazdrosny, co? Coś tam czuje, nie? Czuje ślad mojego wielkiego kutasa. Poszerzyłem nieco brzegi, wyprasowałem zmarszczki.

[U]

Po mnie możesz oddawać się ogierom, bykom, baranom, łabędziom, bernardynom. – Możesz sobie wsadzać w odbytnicę żaby, jaszczurki, nietoperze. Możesz wysrywać ar-peggia, jeśli zechcesz, albo stroić cytrę na swoim podbrzuszu. Rznę cię, Taniu, tak, abyś czuła się zerżnięta. A jeśli obawiasz się publicznego rżnięcia, zerżnę cię prywatnie. wyrwę kilka włosów z twojej cipy i przykleję je na brodzie Borysa. Wgryzę się w twoją łechtaczkę, wypływając dwie jednofrankówki...
Niebo w kolorze indygo oczyszczone z wełnistych chmur, ponure drzewa rozciągnięte w nieskończoność, ich czarne gałęzie gestykują niczym lunatycy. Drzewa upiorne, o pniach białych jak popiół z cygara. Wszechpotężna i tak bardzo europejska cisza. Żaluzje spuszczone, zaryglowane sklepy. Tu i ówdzie czerwony płomyk oznaczający schadzkę. Fasady chropowate, niemal odpychające – nieskazitelne, gdyby nie plamy cienia rzucanego przez drzewa. Mijając Orangerie przypominam sobie inny Paryż, Paryż Maughama, Gauguina, Paryż George'a Moore'a. Wspominam tego okropnego Hiszpana zdumiewającego wówczas świat swoimi akrobatycznymi przeskokami z jednego stylu w drugi. Wspominam Spenglera i jego przerażające manifesty i zastanawiam się, czy styl, styl w wielkim stylu, jeszcze istnieje. Mówię, że te myśli zaprzatają mnie teraz, ale to nieprawda; dopiero później, po przejściu przez Sekwanę, zostawiając za sobą karnawał świąteł, pozwalałam, by mój umysł bawił się tymi myślami. W tej chwili nie potrafię myśleć o niczym poza tym, że

Miller Henry - Zwrotnik Raka

jestem człowiekiem wrażliwym, którego do głębi przenika cud tych wód odbijających zapomniany świat. wszędzie wzdłuż brzegów drzewa pochylają się ciężko nad zmatowiałym lustrem; kiedy zrywa się wiatr wypełniając je szelestem, ronią kilka łez i drżą, a woda pły-

[12]

ЛХШ

<

nie dalej. Dławi mnie to wrażenie. ... I nikogo, komu mógłbym przekazać choćby ułamek moich odczuć... Kłopot z Irenę polega na tym, że ma walizę zamiast cipy. Chce, by jej tam wsadzać grube listy. W tę ogromną walizę, avec des choses inouies. Weźmy Llone – ta dopiero miała cipę. Wiem to, ponieważ przysłała nam kilka włosków, tych z dołu. Llona – szalona dupcia, która nawet z wiatru potrafiła wycisnąć odrobinę rozkoszy. Na każdym wzniesieniu bawiła się w nierządnicę, a czasami nawet w budkach telefonicznych i toaletach. Kingowi Carolowi kupiła łóżko i kubek do golenia z jego inicjałami. Leżała na Tottenham Court Road z zadartą spódnicą i zabawiała się sama ze sobą. Używała świec, petard, klamek do drzwi. W całym kraju nie było dla niej dostatecznie dużego kutasa... ani jednego. Mężczyźni wchodzili w nią i kurczyli się. Pragnęła kutasów z przedłużaczem, samozapalnych rakiet, gorącego, gotującego się oleju zrobionego z wosku i krezotolu. Chętnie odcięłaby ci chuja i zatrzymała w sobie na zawsze, gdyby jej tylko pozwolić. Jedna cipa na milion ta Llona! Cipa laboratoryjna, która nie barwiła żadnego papierka lakmusowego. Llona była też blagierką. Nigdy nie kupiła łóżka dla swego Kinga Carola. Ukoronowała go butelką whisky, a jej język pełen był wszy i obietnic. Biedny Carol, nie pozostało mu nic innego, jak skurczyć się w niej i u-mrzeć. Nabrała powietrza, a on wypadł z niej jak martwy małż. Olbrzymie, grube listy, avec des choses inouies. waliza bez pasków. Dziura bez klucza. Miała niemieckie usta, francuskie uszy, rosyjską dupę. Cipę międzynarodową. Kiedy załopotowała chorągiewka, rozpałała się do czerwoności, aż po samo gardło. Wchodziłeś na Boulevard Ju-les-Ferry, a wychodziłeś na Porte de la Villette. Wrzucałeś swoją nerkówkę na jaszczyk, rzecz jasna czerwony, dwukołowy. Przy ujściu Ourcą do Marny, gdzie woda prześlizguje

[13]

się przez groble i stoi niczym lustro pod mostami. Tam właśnie leży teraz Llona, a w kanale pełno szkła i innych odłamków; mimozy płaczą, a do okna przylepiło się

Miller Henry - Zwrotnik Raka

mokre, mgliste pierdnięcie. Jedna cipa na milion – ta Llon! Cipa na wskroś, szklana dupa, z której można wyczytać historię Średniowiecza.

Moldorf jawi się najpierw jako karykatura człowieka. Tarczycowe oczy. Usta Michelina. Głos jak zupa grochowa. Pod kamizelką nosi małą gruszkę. Jakkolwiek byś na niego patrzył, zawsze widać tę samą panoramę: japońską tabakierkę, rączkę z kości słoniowej, figurę szachową, wachlarz, motyw ze świątyni. Tak długo fermentował, aż stał się bezkształtny. Jak drożdże obrabowane z witamin, wazon pozbawiony plastikowego kwiatu.

Kobiety spłodzone dwukrotnie: w IX wieku, potem znów w epoce Renesansu. Moldorfa przeniesiono podczas wielkich wędrówek pod żółtymi brzuchami i białymi. Na długo przed Exodusem Tatar napluł mu w krew.

Jego dylemat jest dylematem karła. Szyszkowatymi oczami widzi swoją sylwetkę rzuconą na niebywałych rozmiarów ekran. Jego głos, spiłowany do cienia główki od szpilki, odurza go. Słyszy ryk, choć inni – ledwie pisk.

Jest jeszcze jego umysł. To amfiteatr, w którym aktor daje proteuszowe przedstawienie. Moldorf, wielokształtny i nieomylny, wciela się w swoje role – kłowna, kuglarza, kontorsjonisty, kapłana, rozpustnika, szarlatana.

Amfiteatr jest zbyt mały. Podkłada podeń dynamit.

Publiczność jest oszołomiona. On ją obezwładnia.

Bezskutecznie usiłuję zbliżyć się do Moldorfa. To tak, jakby próbować zdefiniować Boga. Zresztą Moldorf jest Bogiem – nigdy nie był niczym innym. Tymczasem ja załedwie rzucam słowa na papier...

Miałem o nim opinie, które byłem zmuszony odrzucić; miałem inne, które teraz próbuję zmienić. Przyszpili-
[14]

łem go, by odkryć, że nie mam do czynienia z żukiem gnoja-kiem, lecz z ważką. Obrażał mnie swoim grubiaństwem, by potem przytłoczyć delikatnością. Potrafił być rozmowny do granic wytrzymałości, potem znów cichy jak Jordan.

Kiedy widzę, jak zbliża się truchcikiem, by mnie powitać, z wyciągniętymi łapkami i zażawionymi oczyma, czuję, że mam przed sobą... Nie, tak nie można tego ująć!

„Comme un oeuf dansant sur un jet d'eau”.

Moldorf ma tylko jedną łaskę, w dodatku w lichym gatunku. W kieszeniach świstki papieru zawierające recepty na weltschmerz. Jest już wyleczony, a tej małej Niemce, która umyła mu stopy, serce pęka. Przypomina pana Nijakiego wlokącego wszędzie ze sobą słownik gudzarati. „Nieunikniony dla każdego”, co niewątpliwie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ma znaczyć „niezbędny”. Borowski nie mógłby pojąć tego wszystkiego. Borowski ma inną łaskę na każdy dzień tygodnia i specjalną na wielkanoc.

Mamy ze sobą tyle wspólnego, że patrząc na niego czuję się tak, jakbym widział siebie w pękniętym lustrze. Przeglądałem swoje rękopisy, całe strony zagryz-mołone poprawkami. Strony pełne literatury. Przeraza mnie to trochę, tak bardzo przypomina mi Moldorfa. Tyle, że ja jestem gojem, a goje cierpią w inny sposób. Cierpią nie popadając w nerwicę, a – jak mówi sylwester – człowiek nigdy nie dotknięty nerwicą nie wie, co to cierpienie. Wyraźnie pamiętam, jak rozkoszowałem się swoim cierpieniem. To tak, jakby wziąć do łóżka małego lwa. Co jakiś czas drapnie cię pazurami – i wtedy naprawdę się boisz. A przecież zwykle nie czujesz strachu – zawsze mogłeś go wypuścić albo odrąbać mu łeb.

Są ludzie nie potrafiący oprzeć się pokusie wejścia do klatki z dzikimi zwierzętami, pragnieniu, by dać się poharatać. Wchodzą do niej bez rewolweru czy pejcza. Strach czyni ich nieustraszonymi... Dla Żyda świat jest klatką pełną dzikich bestii. Drzwi są zamknięte, a on siedzi w środku

[15]

bez rewolweru czy pejcza. Jego odwaga jest tak wielka, że nie czuje nawet smrodu łajna leżącego w rogu. Widzowie klaszczą w dłonie, on nie słyszy. Wydaje mu się, że dramat rozgrywa się w klatce. Klatka – myśli – jest światem. Gdy tak stoi samotny i bezradny, a drzwi są zamknięte, odkrywa, że lwy nie rozumieją jego języka. Żaden lew nigdy nie słyszał o Spinozie. Spinoza? Tego się nawet nie da wziąć na kieł. „Chcemy mięsa!” – ryczą, a on stoi tam skamieniały, z myślami zamienionymi w sople lodu, ze swoim weltan-schauung jak niedosięgły trapez. Jedno uderzenie lwiej łapy i jego kosmogonia rozlatuje się na kawałki.

Lwy również są zawiedzione. Spodziewały się krwi, kości, chrząstek, ścięgien. Żują i żują, ale słowa są z chicle, czyli gumy-bazy, a ta jest niestrawna. Chicle jest podstawowym składnikiem, który posypuje się cukrem, pepsyną, tymiankiem, lukrecją. Chicle jest o.k., kiedy ją zbierają chicle-ros. Przeszli oni grzbietem zatopionego kontynentu, przynosząc ze sobą algebraiczny język. Na pustyniach Arizony napotkali Mongołów z północy, glazurowanych jak oberżyna. Siało się to wkrótce po tym, gdy Ziemia uzyskała swoje żyroskopowe nachylenie, kiedy Golfstrom rozstawał się z prądem japońskim. W sercu Ziemi znaleźli skały wapiennego tufu. Swój językiem upiększyli samo wnętrze Ziemi. Zjadali

Miller Henry - Zwrotnik Raka

swoje wnętrzości, a puszcza zamykała się nad nimi, nad ich kośćmi, i czaszkami, nad ich koronkowym wapiennym tufem. Ich język zaginał. Tu i ówdzie można jeszcze wciąż odnaleźć resztki menażerii, pokryty symbolami kawałek płyty czołowej.

Cóż to wszystko ma wspólnego z tobą, Moldorfie? Słowem błakającym się na twoich ustach jest anarchia. wypowiedz je, Moldorfie, czekam na nie. Nikt nie wie, gdy podajemy sobie ręce, jakie rzeki przepływają przez nasz pot. Kiedy ty z na wpeł rozchylonymi ustami, w których bulgo-
[16]

cze ślina, zestawiasz słowa, ja przeskakuję pół Azji. Gdybym wziął twoją łaskę, chociaż jest taka marna, i wybił ci w boku małą dziurkę, zebrałbym wystarczającą ilość materiałów, by wypełnić całe British Museum.

Trwamy zaledwie przez pięć minut, a pożeramy stulecia. Jesteś sitem, przez które precedza się moja anarchia, układając się w słowa. Poza słowem jest chaos. Każde słowo jest paskiem, prętem, lecz nigdy nie ma i nie będzie dość prętów, by zrobić z nich klatkę.

Pod moją nieobecność zawieszono zasłony w oknach. Wyglądają jak tyrolskie obrusy zanurzone w lizo-lu. Pokój łśni. Siedzę na łóżku jak w transie, myśląc o człowieku przed momentem narodzin. Nagle odzywają się dzwonki, dziwna, nieziemiska muzyka, jakbym został przeniesiony w stepy Azji Środkowej. Niektórym towarzyszy długi, ciągnący się pogłos, inne wybuchają nagle, pijane i rzewne. A teraz znów zapanował spokój, jedynie ostatni ton delikatnie muska ciszę nocy – ledwo słyszalny, wysoki gong zdławiony nagle jak płomień świecy.

Zawarłem cichą umowę z samym sobą, że nie zmienię ani jednej napisanej linijki. Nie jestem zainteresowany udoskonalaniem swoich myśli ani czynów. Obok doskonałości Turgieniewa stawiam doskonałość Dostojewskiego. (Czy jest coś doskonalszego od wiecznego męźdl) Oto tutaj, w jednym i tym samym środku przekazu, mamy do czynienia z dwoma rodzajami doskonałości. Ale w listach van Gogha odnajdujemy doskonałość przewyższającą każdą z tamtych dwóch. To triumf jednostki nad sztuką. W tej chwili tak naprawdę interesuje mnie tylko jedna rzecz, a jest nią rejestrowanie tego wszystkiego, co pominięto w książkach. O ile mi wiadomo, nikt nie wykorzystuje tych elementów atmosfery, które nadają kierunek i motywację naszemu życiu. Jedynie mordercy wydają się

[17]

czytać z życia jakąś zadowalającą część tego, co w

Miller Henry - Zwrotnik Raka

nie wkładają. Nasze stulecie domaga się przemocy, ale mamy jedynie same niewypały. Rewolucje tłumi się w zarodku albo też zbyt gwałtownie osiągają swój cel. Namietność szybko się wyczerpuje. Ludzie znajdują oparcie w ideach, com-me d'habitude. Nie ma propozycji interesujących nas dłużej niż 24 godziny. Przeżywamy milion wersji życia na przestrzeni jednego pokolenia. Studiując entomologię czy życie podwodne albo zachowanie komórek, czerpiemy więcej...

Telefon przerywa tę myśl, której i tak nie byłbym w stanie dokończyć. Ktoś chce obejrzeć mieszkanie... Wygląda na to, że nadchodzi koniec, koniec mojego życia w Villa Borghese. W porządku, wezmę te zapisane kartki i przeniosę się. Akcja będzie się toczyć gdzie indziej. Zawsze gdzieś toczy się jakaś akcja. Wydaje się, że gdziekolwiek pójdę, trafiam na dramat. Ludzie są jak wszy – włożą ci pod skórę i zagrzebią się tam. Drapiesz się i drapiesz aż do krwi, ale nie możesz się skutecznie odwszawić. Gdziekolwiek pójdę, wszędzie to samo: ludzie paskudzą sobie życie. Każdy przeżywa jakąś prywatną tragedię. Mamy to już we krwi – nieszczęście, nudę, smutek, samobójstwo. Powietrze jest przesiąknięte katastrofą, frustracją, daremnością. Drap się i drap – aż zedrzesz sobie skórę. Mnie jednak ten stan rzeczy dodaje ducha. Zamiast zniechęcać lub przygnębiać, raduje mnie. Krzykiem domagam się jeszcze więcej katastrof, jeszcze większych klęsk, wspanialszego fiaska. Chcę, by cały świat był do niczego, chcę, by każdy zacho- rał się na śmierć.

Zmuszony jestem teraz żyć tak wściekle i szybko, że prawie nie mam czasu na prowadzenie nawet tych jakże [18]

fragmentarycznych notatek. Po uprzednim telefonie przyszedł jakiś pan z żoną. Na czas transakcji poszedłem położyć się na górę. Leżałem zastanawiając się nad moim następnym posunięciem. Na pewno nie wrócę do łóżka tej cioty, by całą noc przewracać się z boku na bok, strącając o-kruszki chleba palcami nóg. Ten zarzygany mały bękart! Jeśli jest coś gorszego od egzystencji cioty, to egzystencja sknery. Nieśmiały, trzęsący się kutas – żyje w wiecznym strachu przed bankructwem, boi się, że może ono nastąpić 18 marca albo dokładnie 25 maja. Pija kawę bez mleka i bez cukru. Jada chleb bez masła. Mięso bez sosu albo w ogóle obywa się bez mięsa. Obywa się bez tego i owego! Mała niechlujna kutwa! Pewnego dnia ktoś otworzy szufladę jego biurka i znajdzie pieniądze w skarpecie. Ponad dwa tysiące franków – i czeki, których nie chciało mu się

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zrealizować. Nie przeszkadzałoby mi to tak bardzo, gdyby nie fakt, że ciągle znajduję fusy po kawie w swoim berecie i śmieci na podłodze, nie wspominając już o słoiczkach po kremie, za-tłuszczonych ręcznikach i stale zatkanym zlewie. Mówię wam, ten mały bękart, ależ on śmierdział, chyba że akurat oblał się wodą kolońską. Miał brudne uszy, brudne oczy, brudną dupę. Był zawszonym, przyziemnym, schorowanym astmatykiem o niesłychanie giętkich stawach. Wybaczyłbym mu jednak to wszystko, gdyby choć raz podał mi przyzwoite śniadanie! Ale człowiek, który chowa dwa tysiące franków w brudnej skarpecie i nie chce założyć czystej koszuli ani posmarować chleba odrobiną masła, to już nie tylko ciota i nie tylko sknera, to ponury imbecyl!

Oczywiście nazwanie go ciotą jest ni w pięć, ni w dziewięć. Nadstawiam ucha, by usłyszeć, co się dzieje na dole. To jakiś pan Wren z żoną, którzy przedtem wyrazili telefonicznie chęć obejrzenia mieszkania. Mówią, że je wezmą. Tylko mówią o tym, Bogu dzięki. Pani Wren śmieje się prowokująco, co zapowiada komplikacje. Teraz mówi pan

[19]

Wren. Jego głos jest ochrypły, zgrzytliwy, grzmiący, przypomina tępe ciężkie narzędzie mogące rozplatać ciało, kość i chrząstkę.

Borys prosi mnie na dół, chce mnie przedstawić. Zaciera ręce jak właściciel lombardu. Rozmawiają o opowiadaniu napisanym przez pana Wrena, opowiadaniu o łogawym koniu.

– wydawało mi się, że pan Wren jest malarzem.

– Oczywiście – mówi Borys z błyskiem w oku – ale w zimie pisze. I to pisze dobrze... wyjątkowo dobrze. Usiłuję nakłonić pana Wrena, by się odezwał, by coś powiedział, cokolwiek, choćby o łogawym koniu, ale pan Wren mówi prawie zupełnie od rzeczy. Kiedy próbuje opowiedzieć o tych koszmarnych miesiącach spędzanych z piórem, staje się niekomunikatywny. Miesiąc mija za miesiącem, zanim postawi na papierze choć jedno słowo. (A przecież zima to tylko trzy miesiące!) Nad czym zastanawia się w te długie zimowe wieczory? Dalibóg, nie mogę sobie wyobrazić, że ten facet jest pisarzem. Ale pani Wren twierdzi, że kiedy się zabiera do pisania, słowa płyną mu wartkim potokiem.

Rozmowa trochę kuleje. Trudno odgadnąć tok myśli pana Wrena, ponieważ nie mówi nic istotnego. Pomysły cisną mu się do głowy, kiedy się już rozpisze – jak to ujmuje

Miller Henry - Zwrotnik Raka

pani Wren. Pani Wren przedstawia wszystko, co dotyczy pana Wrena, w jak najlepszym świetle. „Pomysły cisną mu się do głowy, kiedy się rozpisze” – urocze, doprawdy urocze, jak powiedziałby Borowski, ale w gruncie rzeczy jest to bolesne, zwłaszcza gdy sam pomysłowy myśliciel nie jest niczym innym jak łogawym koniem.

Borys daje mi pieniądze na jakiś alkohol. Idąc do sklepu, już jestem odurzony. Wiem, jak się zachowam po powrocie. Gdy tak idę sobie ulicą, rozpoczyna się we mnie ta wielka przemowa, która bulgocze w środku jak prowokujący śmiech pani Wren. Wydaje mi się, że była już lekko

[20]

wstawiona. Ślicznie słucho, kiedy jest naprana. Gdy wychodzę ze sklepu z winami, słyszę, jak bulgocze klozet. Wszystko jest prowokujące i pluskające.

Chciałbym, aby pani Wren to słyszała...

Borys znów zaciera ręce. Pan Wren nadal jąka się i ślini. Ja trzymam między kolanami butelkę i wsadzam w nią korkociąg. Pani Wren z nadzieją rozchyła usta. Wino spływa mi między nogi, słońce wpływa przez okno wykuszowe, a w moich żyłach płynie banieczka tysiąca zvariowanych rzeczy, które zaczynają tryskać ze mnie bez ładu i składu. Mówię im wszystko, co mi przychodzi do głowy, wszystko, co było dotąd zakorkowane we mnie, a co uwolnił teraz prowokujący śmiech pani Wren. Butelka ściskana nogami i słońce wpływające przez okno pozwalają mi jeszcze raz przeżyć świetność tych marnych dni, kiedy przybyłem do Paryża jako oszołomiony, ubogi osobnik, nawiedzający ulice niczym upiór na bankiecie. Wszystko powraca do mnie fala za falą – nie działające spłuczki w toaletach, Cinema Splendide, gdzie spałem na płaszczu jakiegoś widza, kraty w oknach, uczucie duszenia się, spasione karaluchy, od czasu do czasu pijatyki i szaleństwa, Rosę Canaąue i Neapol zamierające w blasku słońca. Taniec o pustym żołądku na ulicach i co jakiś czas wizyty u dziwnych ludzi – madame De-lorme na przykład. Jak udało mi się dostać do madame De-lorme, nie mam najmniejszego pojęcia. Ale dostałem się tam, wszedłem jakoś do środka, minawszy kamerdynera i pokojówkę w białym fartuszkach, dostałem się do wnętrza tego pałacu ubrany w sztruksowe spodnie i kurtkę myśliwską, nie mając ani jednego guzika przy rozporoku. Nawet teraz czuję złocistą atmosferę tego pokoju, w którym madame Delorme siedziała na tronie w swym męskim stroju, otoczona złotymi rybkami w szklanych słojach, mapami starożytnego świata, pięknie oprawionymi książkami; znów czuję jej ciężką dłoń na ramieniu i

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ponownie jestem trochę przestraszony tą bardzo lesbijską atmosferą, którą roztaczała

[21]

wokół siebie. Swobodniej poczułem się dopiero na dole, w tej gęstej zupie wlewającej się na dworzec St. Lazare, wśród kurw w bramach, butelek seltzera na każdym stole, rynsztoków zalewanych przez gęstą falę spermy. Między piątą a siódmą nie ma nic lepszego, niż być poszturchiwanym w tym tłumie, podążać za jakąś zgrabną nogą lub pięknym biustem, płynąć na fali, z zamętem w głowie. Czerpałem z tego wówczas osobliwą satysfakcję. Nie byłem z nikim umówiony ani zaproszony na obiad, nie miałem żadnego planu i byłem bez grosza. To był złoty wiek, kiedy nie miałem ani jednego przyjaciela. Każdego ranka odbywałem koszmary spacer do biura American Express, każdego ranka otrzymując od urzędnika tę samą nieuniknioną odpowiedź. Biegałem tu i tam jak pluskwa, zbierając od czasu do czasu pety, niekiedy ukradkiem, innym znów razem całkiem beczelnie; siadywałem na ławce ściskając brzuch, by przestał mi dokuczać, lub spacerowałem po Jardin des Tuileries dostając wzrodu od patrzenia na głupie rzeźby. Albo krok za krokiem włóczyłem się nocą wzdłuż Sekwany, oszalały od jej piękna, piękna pochyłonych nad wodą drzew, popękanych obrazów odbijających się w wodzie, naporu prądu w świetle cholernych świateł mostów, kobiet śpiących w bramach z gazetami pod głową, śpiących na deszczu; i wszędzie były stare, zmurszałe portyki katedr i żebracy, i wszy, i stare czarownice opętane tańcem św. Wita; wózki ustawione w bocznych uliczkach jeden na drugim jak beczki z winem, zapach truskawek na targowisku i stary kościółek otoczony warzywami i światłami niebieskich łuków, rynsztoki śliskie od śmieci i kobiety w satynowych bucikach, zataczające się wśród brudu i robactwa po całonocnej libacji. Place St. Sulpice, jakże cichy i opustoszały, gdzie koło północy pojawiała się zawsze ta sama kobieta ze złamanym parasolem i dziwaczną woalką; co noc spała tam na ławce rozpinając nad sobą podarty parasol, z którego sterczały druty. Miała kościste palce, jej sukienka zieleniała co-

[22]

raz bardziej, a ciało wydawało odór rozkładu; rano sam siadywałem na tej ławce, oddając się krótkiej drzemce na powietrzu, przeklinając cholerne gołębie wszędzie zbierające okruchy. St. Sulpice! Przysadziste dzwonnice, makabryczne plakaty nad drzwiami, blask świec wewnątrz. Plac tak uwielbiany przez Anatoła France'a, pełen

Miller Henry - Zwrotnik Raka

monotonnego szmeru i buczenia od ołtarza, pluskania fontanny, gruchania gołębi, okruszyn znikających jak zaczarowane. I tylko to mdlące burczenie w pustym żołądku. Przesiadywałem tam dzień w dzień, myśląc o Germaine i owej brudnej uliczce koło Bastylli, gdzie mieszkała, i o tym buczeniu za ołtarzem, autobusach przewalających się obok, słońcu padającym na asfalt, asfalcie wtapiającym się we mnie i Germaine, wtapiającym się w asfalt i cały Paryż mieszczący się w tych ogromnych przysadzistych dzwonnicach.

I to właśnie na Rue Bonaparte, zaledwie rok temu, Mona i ja spacerowaliśmy co wieczór po wyjściu od Borowskiego. St. Sulpice nie znaczył wtedy dla mnie zbyt wiele, podobnie jak i inne miejsca w Paryżu. Byłem wyczerpany rozmowami, zmęczony twarzami. Miałem dość katedr, placów, menażerii i wszystkiego innego. Byłem zmęczony braniem do ręki jakiejś książki w czerwonej sypialni i niewygodnym trzciniowym krzesłem i zmęczony siedzeniem na dupie jak dzień długi, zmęczony czerwoną tapetą i widokiem tyłu ludzi gadających o niczym. W czerwonej sypialni kufer był wiecznie otwarty, a jej suknie walały się wszędzie, tworząc deliryczny bałagan. W czerwonej sypialni leżały moje kalosze i laski, nietknięte notatniki, rękopisy zimne i martwe. Paryż! Paryż to dla mnie Cafe Select, Dóme, pchli targ, biuro American Express. Paryż to laski Borowskiego, kapelusze Borowskiego, prehistoryczne ryby Borowskiego... i prehistoryczne kawały. W tym Paryżu z roku 1928 jedna tylko noc utrwaliła się w mojej pamięci – noc przed odpłynięciem do Ameryki. Niezwykła to była noc – Borowski był lekko wstawiony i trochę oburzony na mnie, że

[23]

tańczę z każdą dziwką w lokalu. Przecież rano wyjeżdżamy! To właśnie mówię każdej cipie, do której się dorwę – rano wyjeżdżamy! To właśnie mówię blondynie o oczach koloru agatu. I gdy to mówię, ona bierze moją rękę i wpycha ją sobie między uda. W toalecie stoję przed pisuarem z okropnym wzwozem; kutas wydaje się jednocześnie lekki i ciężki, jak kawałek ołowiu ze skrzydłami. Tak oto sobie stoję, gdy wpadają dwie pizdy – Amerykanki. Witam je serdecznie z kutasem w rękę. Mrugają do mnie i idą dalej. W przedsiionku, zapinając rozporek, zauważam, że jedna z nich czeka, aż jej przyjaciółka wyjdzie z kibla. Nadal gra muzyka i zaraz może przyjść po mnie Mona albo Borowski ze swoją laską o złoczonej gałce, ale ja już jestem w jej ramionach, a ona trzyma mnie za ptaka i nie obchodzi mnie, ani kto

Miller Henry - Zwrotnik Raka

nadejdzie, ani co się stanie. Wślizgujemy się do kabiny, gdzie opieram ją o ścianę i usiłuję wejść w nią, ale nie udaje mi się, więc siadamy na desce i próbujemy w ten sposób, ale też nic z tego. Jakkolwiek próbujemy, nie wychodzi nam. I przez cały czas ona trzyma w ręku mego chuja, trzyma się go kurczowo jak koła ratunkowego, ale to na nic; jesteśmy zbyt napaleni, zbyt chętni. Muzyka wciąż gra, więc w takt walczyka wypływamy z powrotem z kabiny do przedsionka i gdy tak tańczymy w tym sraczu, spuszcza się na jej piękną suknię i ona wścieka się jak diabli z tego powodu. Potykając się docieram do stolika i znów mam przed sobą Borowskiego z różową gębą i Monę z dezaprobatą w oczach. A Borowski mówi: „Jedźmy jutro wszyscy do Brukseli”, i zgadzamy się, a kiedy wracamy do hotelu, wymiotuję gdzie popadnie – na łóżko, do umywalki, wymiotuję na garnitury i suknie, i kalosze, i laski, i nietknięte notatniki, i rękopisy, te zimne i martwe.

Kilka miesięcy później. Ten sam hotel, ten sam pokój. Wyglądamy na podwórze, gdzie stoją zaparkowane rowery, a nad nami jest pokój na poddaszu, gdzie jakiś przemądrzały gówniarz całymi dniami puszcza gramofon,

po-

[24]

wtarzając na cały głos jakieś mądre sentencyjki. Mówię „my”, ale w ten sposób uprzedzam bieg wydarzeń, bo Mony nie było przez długi czas i właśnie dzisiaj wychodzę po nią na dworzec St. Lazare. Pod wieczór stoję tam z twarzą wciśniętą między pręty ogrodzenia, ale Mony nie ma; czytam w kółko jej telegram, ale to nic nie daje. Wracam do Dzielnicy Łacińskiej i mimo wszystko wcinam solidną kolację. Nieco później, przechodząc koło Dôme, dostrzegam nagle bladą, dużą twarz, płonące oczy i aksamitny kostium, który zawsze uwielbiałem, ponieważ pod miękkim aksamitem znajdowałem zawsze jej gorące piersi, marmurowe nogi, chłodne, jędrne, muskularne. Ona podnosi się spośród morza twarzy i obejmuje mnie, obejmuje mnie namiętnie – tysiące oczu, nosów, palców, nóg, butelek, okien, torebek, spodeczków gapi się na nas, a my trzymamy się w ramionach, zapominając o wszystkim. Siadam obok niej i ona zaczyna mówić – istny potok słów. Dzikie, su-chotnicze nuty hysterii, perwersji, trądu. Nie słyszę z tego ani słowa, ponieważ ona jest piękna i kocham ją, i nagle jestem szczęśliwy, i chcę umrzeć.

Idziemy w dół Rue de Chateau, szukając Eugene. Przechodzimy przez most kolejowy, gdzie kiedyś spędzałem długie godziny, obserwując odjeżdżające pociągi i gdzie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

robiło mi się niedobrze, gdy zastanawiałem się, gdzie u diabła ona się podziewa. Wszystko wydaje się takie miękkie i urzekające, kiedy przechodzimy przez most. Dym przepływa nam między nogami, tory skrzypią, w naszej krwi opuszczają się i podnoszą semafony. Czuję jej ciało blisko swego – ciało należące teraz do mnie – i przystaję, by rozgrzać ręce o ciepły aksamit. Wszystko wokół mnie rozsypuje się, rozsypuje się w proch, a ciepłe ciało pod ciepłym aksamitem lęskni do mnie aż do bólu...

Z powrotem w tym samym pokoju i pięćdziesiąt franków na plus dzięki Eugene. Wyglądam na podwórko, gramofon milczy. Kufer jest otwarty, a jej rzeczy ponieważ-

[25]
rają się wszędzie, zupełnie jak przedtem. Ona kładzie się w ubraniu na łóżku. Robimy to raz, dwa, trzy razy, cztery.... boję się, że zwariuje... w łóżku, pod kocami, jak dobrze znów czuć jej ciało! Ale czy na długo? Czy tym razem potrwa to jakiś czas? Już przeczuwam, że nie. Ona tak gorączkowo mówi do mnie – jakby już miało nie być jutra. „Cicho, Mona! Tylko patrz na mnie... nic nie mów!” wreszcie zasypia, a ja wyciągam rękę przygniecioną jej ciałem. Oczy mi się zamykają. Jej ciało jest tuż obok mojego... na pewno pozostanie tu do rana... To w lutym wypłynąłem z portu w zalepiającej oczy burzy śnieżnej. Ostatni raz widziałem ją, jak stała w oknie machając mi na pożegnanie. Po drugiej stronie ulicy, na rogu, stał mężczyzna – kapelusz nasunięty na oczy, szczeka wsparta o klapy płaszcza. Obserwujący mnie embrion. Embrion z cygarem w zębach. Mona w oknie macha mi na pożegnanie. Biała, duża twarz, chaos rozsypanych włosów. A teraz jest duża sypialnia, regularne oddechy przez skrzela, spomiędzy jej ud wciąż sączy się sok, ciepły koci zapach i jej włosy w moich ustach. Oczy mam zamknięte. Nasze ciepłe oddechy mieszają się ze sobą. Tak blisko siebie, a Ameryka o trzy tysiące mil stąd. Nigdy już nie chcę jej oglądać. To, że Monę mam obok siebie w łóżku, że czuję jej oddech na twarzy i jej włosy w ustach, uważam niemal za cud. Do rana nic się nie może zdarzyć...

Budzę się z głębokiego snu, by na nią popatrzeć. Przez okno sączy się blade światło. Patrzą na jej piękne zwichrzone włosy. Czuję, że coś mi łązi po szyi. Patrzą na nią jeszcze raz, uważnie. Jej włosy się poruszają. Odsuwam prześcieradło – pełno ich. Na poduszce jest ich całe mrowie.

Właśnie nastał świt. Pospiesznie pakujemy się i wymykamy

Miller Henry - Zwrotnik Raka

z hotelu. Kafajki są jeszcze zamknięte. Idziemy przed siebie, drapiąc się zapamiętałe. Dzień zaczyna się mleczną bielą, smugami łososioworóżowego nieba, ślima-

[26]
kami wychodzącymi z muszelek. Paryż. Paryż. Tu zdarza się wszystko. Stare, rozsypujące się mury i miły szmer wody płynącej w pisuarach. Mężczyźni oblizujący wąsy przy barze. Podnoszone z łoskotem sklepowe żaluzje i strumyczki szmerzące w rynsztokach. Olbrzymie purpurowe litery obwieszczające Amer Picon. Zigzag. Którędy pójdziemy i dlaczego, gdzie i po co?

Mona jest głodna, ma na sobie cienką sukienkę. Nie wzięła ze sobą nic prócz wieczorowych kreacji, buteleczek perfum, barbarzyńskich kolczyków, bransoletek, depilatorów. Siadamy w salonie bilardowym na Avenue du Maine, zamawiając gorącą kawę. Toaleta jest nieczynna. Trzeba tu będzie posiedzieć, nim pójdziemy do innego hotelu. Tymczasem wybieramy sobie nawzajem pluskwy z włosów. Jesteśmy zdenerwowani. Mona przestaje panować nad sobą. Musi się wykapać. Musi mieć to, musi mieć tamto. Musi, musi, jeszcze raz musi...

- Ile ci zostało pieniędzy?

Pieniądze! Całkiem o tym zapomniałem.

Hotel des Etats-Unis. Ascenseur. Idziemy do łóżka-w pełnym blasku dnia. Kiedy wstajemy, zmierzcha się i pierwsza rzecz, która nas czeka, to uzbieranie dość szmalu na telegram do Ameryki, telegram do embriona z długim, soczystym cygarem w ustach. A na razie mamy tę Hiszpankę na Boulevard Raspail - zawsze można ją naciągnąć na gorący posiłek. Do rana coś się wydarzy. Teraz przynajmniej idziemy razem do łóżka. Pluskiew tu nie ma. Zaczęła się pora deszczowa. Pościel jest nieskazitelnie biała...

Otwiera się przede mną nowe życie w Villa Borghe-se. Dopiero dziesiąta, a my jesteśmy już po śniadaniu i po spaceize. Mamy tu teraz niejaką Elżę. „Przez kilka dni stąpaj na paluszkach”, ostrzega Borys.

Dzień zaczyna się cudownie: jasne niebo, orzeźwiający wiatr, domy świeżo otynkowane. Po drodze na pocztę dyskutowaliśmy z Borysem o książce. Ostatnia księga będzie dziełem anonimowym.

Zaczyna się nowy dzień. Poczułem to, gdy staliśmy rano pod jednym z błyszczących płócien Defresne'ego, przedstawiającym coś jakby d'jeuneur intime w XIII wieku, sans vin. Ładny, mięsisty akt - kobieta pełna, wibrująca, różowa jak paznokieć, z lśniącymi falami ciała, posiadająca wszystkie drugorzędne cechy płciowe i

Miller Henry - Zwrotnik Raka

niektóre z pierwszoplanowych. Ciało zdolne ukąsić, kroplące się wilgocią świlii. Martwa natura, tyle że nic nie jest tu martwe. Stół ugina się pod ciężarem jedzenia; jest tak ciężki, że wysuwa mi/ z ram. Trzynastowieczny posiłek, pobrzmiwający wszystkimi odgłosami dżungli, tak doskonale zapamiętanymi przez malarza. Rodziny gazeli i zebr szczypiące pędy palm.

A teraz mamy Elzę. Grała nam dziś rano, gdy leżeliśmy w łóżkach. Przez kilka dni stąpać na palcach... W porządku! Elza jest pokojówką, a ja gościem. A Borys to ważna persona. Rozpoczyna się nowy dramat. Śmieję się sam do siebie, gdy to piszę. Wie, co się stanie, ten sprytny ryś - Borys. On też ma niezłego nosa. Stąpać na palcach...

Borys zachowuje się, jakby siedział na szpilkach. W każdej chwili na scenie może się pojawić jego żona. Waży sporo ponad 180 funtów. A Borys to piórko. Ot i cała sytuacja Usiłuje mi ją wyjaśnić, gdy wieczorem wracamy do

[28]

domu. Jest tak tragiczna, a zarazem komiczna, że muszę za-ir/ymywać się co chwilę i śmiać mu się w twarz. „Z czego tak się śmiejesz?“, pyta łagodnie i sam zaczyna rechotać - jest w jego głosie ta skomlać, historyczna nutka, jak u nieszczęśnika zdającego sobie nagle sprawę, że bez względu na to, ile fraków na siebie włoży, nigdy nie będzie wyglądał jak człowiek. „Niechże ta krowa weźmie sobie wszystko, byleby tylko zostawiła mnie w spokoju“, skamle. Ale wpierv irzeba wynając mieszkanie, podpisać akty notarialne, załatwić tysiąc innych spraw, do których frak jest mu niezbędny. Te jej wymiary! - to martwi go najbardziej. Gdybyśmy wracając do domu mieli ją zobaczyć na schodach, zemdlałby - taki czuje przed nią respekt!

Tak więc musimy przez jakiś czas delikatnie obchodzić się z Elzą. Elza jest tutaj wyłącznie po to, by przygotowywać śniadania - i pokazywać chętnym mieszkanie.

Ale Elza od początku mnie rozmiękcza. Ta niemiecka krew. Te jej melancholijne oczęta. Schodząc dziś rano ze schodów, mając wciąż w nozdrzach aromat świeżej kawy, nuciłem cicho... „Es War' so schon gewesen“. To serwuje na śniadanie. A za chwilę ten młody Anglik nad nami zagra Bacha. Jak twierdzi Eiza - „jemu potrzeba kobiety“. Elzie też czegoś potrzeba, czuję to. Nic o tym nie mówiłem Borysowi, ale gdy on mył zeby dziś rano, Elza zasypywała mnie plotkami o Berlinie, o kobietach od

Miller Henry - Zwrotnik Raka

tyłu wyglądających atrakcyjnie, ale kiedy się odwróca -
ojej, syfilis!

wydaje mi się, że Elza patrzy na mnie dość tęsknym
wzrokiem. Takie wrażenie odniosłem przy śniadaniu. Po
południu siedzieliśmy oboje w pracowni zajęci pisaniem,
odwróceniu do siebie plecami. Ona rozpoczęła list do
swego ukochanego we włoszech. Mnie zacięła się maszyna.
Borys wyszedł obejrzeć tani pokój, który chce wynająć,
jak tylko ktoś weźmie to mieszkanie. Nie pozostawało mi
nic innego, jak pokochać się z Elzą. Miała ochotę. A
jednak było mi jej trochę żal. Napisała do swego
ukochanego zaledwie pierw-

[29]

szą linijkę - przeczytałem ją, pochylając się nad nią.
Ale nic już nie mogłem poradzić. Ta cholerna niemiecka
muzyka, taka melancholijna, taka sentymentalna.
Rozmiękczyła mnie. A do tego te jej oczka jak paciorki,
takie gorące, a zarazem pełne smutku.
Gdy skończyliśmy, poprosiłem ją, by mi coś zagrała. Tak,
Elza jest pianistką, chociaż brzmiało to tak, jakby ktoś
pobrzękiwał dziurawymi garnkami i czaszkami. Do tego
jeszcze grając płakała. Wcale jej się nie dziwię.
Wszędzie jest to samo - powiedziała. Wszędzie jest jakiś
mężczyzna, a potem ona musi odejść, jeszcze później ma
skrobankę i znajduje nową pracę, a potem nowego
mężczyznę i nikogo, do kurwy nędzy, nie obchodzi jej
osoba, każdy chce ją tylko wykorzystać. Mówi mi to
wszystko po zagranii Schumanna - Schumanna, tego
roztkliwiającego się, sentymentalnego niemieckiego
skurczybyka! Robi mi się jakoś tak cholernie jej żal, a
przecież guzik mnie to obchodzi. Cipa potrafiąca łak
grać powinna mieć odrobinę zdrowego rozsądku, by nie
wpadać z każdym facetem mającym dużego putza, który się
nawinie. Ale ten Schumann burzy mi krew. Ona woiał
pociąga nosem, ale ja myślami jestem daleko stąd. Myślę
o Tani, o tym, jak znęca się nad swoim adagio. Myślę o
wielu rzeczach dawno-minionych i pogrzebanych. O pewnym
letnim popołudniu w Greenpoint, kiedy Niemcy dokazywali
już w Belgii, a my nie straciliśmy jeszcze wystarczająco
dużo pieniędzy, by zaniepokoić się gwałtem dokonany na
neutralnym kraju. O czasach, kiedy byliśmy jeszcze na
tyle niewinni, że słuchaliśmy poetów i siadywaliśmy o
zmięczeniu wokół stołu, usiłując wywołać duchy ludzi,
którzy odeszli. Przez tamto całe popołudnie i wieczór
atmosfera była przesiąknięta niemiecką muzyką; cała
dzielnica była niemiecka, nawet bardziej niemiecka niż
same Niemcy. Wychowano nas na Schumannie i Hugonie
Wolfie, sauerkrau-cie, ktimmelu i knedlach

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ziemniaczanych. Pod wieczór siadywaliśmy wokół dużego stołu, okna były zasłonięte, jakaś

[30]

głupawa dziewczucha z całym oddaniem usiłowała połączyć się mistycznie z Jezusem Chrystusem. Trzymamy ręce pod siołem, a damulka obok mnie wsadza mi dwa palce w rozporek. Przechodzimy w końcu do parteru, za fortepianem, podczas gdy ktoś śpiewa jakąś ponurą pieśń. Nie ma czym oddychać, z jej ust zalatuje alkoholem. Pedał fortepianu porusza się w górę i w dół, sztywno, automatycznie – zwariowany, daremny ruch, równie daremny jak budowanie przez dwadzieścia siedem lat wieży z gnoju wskazującej dokładny czas. Pociągam ją na siebie, w uszach mam płytę rezonansową; w pokoju jest ciemno, a dywan lepi się od rozlanego kiimmelu. Nagle wydaje się, jakby nadchodził świt; jakby polewano wodą lód, a ten stawał się błękitny od powstającej mgiełki, jak lodowce zatopione w szmaragdowej zieleni, giemza i antylopa, graniki złociste, wałkoniące się lwy morskie i seriola skośnosmuga przeskakująca przez skraj Arktyki... Elza siedzi mi na kolanach. Jej oczy są jak pępuszki. Patrzę na jej duże usta, takie wilgotne i lśniące, i przykrywam je. Teraz nuci... „Es war'so schon gewesen...” Och, Elzo, jeszcze nie wiesz, co znaczy dla mnie ten twój Trompe-ter von Sackingen. Niemieckie Towarzystwa Śpiewacze, Schwaben Hall, Turnverein... links um, rechts um... a potem chlast w dupę końcem sznura.

Ach, ci Niemcy! Chcą cię wszędzie zabrać jak omnibus. Przyprawiają człowieka o niestrawność. W jedną noc nie można odwiedzić kostnicy, izby chorych, zoo, lamusa filozofii, pieczar epistemologii, zgłębić znaków zodiaku i arkanów Freuda i Stekla... Diabelskie koło nigdzie nas nie zawiezie, podczas gdy z Niemcami można przejść od Ve-gi do Lope de Vegi, i to w jedną noc, i wrócić równie głupim jak Parsifal.

Jak mówiłem, dzień zaczął się cudownie. To dopiero dziś rano uświadomiłem sobie, że znowu – po raz pierwszy od tygodni – jestem w stanie odczuwać Paryż tak, jak

⌘

na to zasługuje, wszystkimi zmysłami. Może to dlatego, że moja książka zaczęła we mnie rosnąć. Wszędzie ją z sobą noszę. Chodzę po ulicach brzemienny, a gliniarze przeprowadzają mnie przez jezdnię. Kobiety ustępują mi miejsca. Nikt już nie popycha mnie po chamsku. Jestem ciężarny. Chodzę niezgrabnie jak kaczką, moje wielkie brzemię uciska powłokę świata.

To właśnie dziś rano, w drodze na pocztę, ostatecznie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zaaprobowaliśmy naszą książkę. Wypracowaliśmy nową kosmogonię literatury – Borys i ja. Ostatnia księga będzie nową Biblią. Wszyscy, którzy mają coś do powiedzenia, powiedzą to tu – anonimowo. Wyczerpiemy wszystkie możliwości stulecia. Żadnej książki po nas – przez jedno pokolenie przynajmniej. Do tej pory szliśmy na oślep, wiedzeni jedynie instynktem. Teraz będziemy mieli naczynie, w które wlejemy eliksir życia, umieścimy w nim bombę i rzucając ją wysadzimy świat. Wypełnimy to naczynie na tyle, by pisarzom jutra dostarczyć ich wątków, ich dramatów, ich wierszy, ich mitów, ich naukowych teorii. Świat będzie się mógł żywić naszą książką przez następne tysiąclecie. Jest kolosalna w swej pretensjonalności. Myśl o niej nieomal mnie przygniata.

Przez z górą sto lat świat, nasz świat, dogorywał. I nikt, ani jeden człowiek, w ciągu tych przeszło stu lat, nie był na tyle szalony, by wsadzić bombę w odbył stworzenia i podpalić lont. Świat gnije, umiera kawałek po kawałku. Ale potrzeba mu coup de grace, potrzeba mu eksplozji, która go rozwali w drobny mak. Każdy z nas jakoś ucierpiał, a jednak nosimy w sobie kontynenty i morza je oddzielające, i powietrzne stwory. Zamierzamy to wszystko opisać – ewolucję tego świata, który umarł, lecz nie został pogrzebany. Pływamy po powierzchni czasu, a wszystko inne zatoneło, właśnie tonie lub wkrótce zatonie. Będzie olbrzymia ta nasza księga. Znajdą się w niej całe oceany przestrzeni, w której można będzie się poruszać, spacerować, śpiewać, tańczyć, wspinać się, kąpać, fikać koziołki, skomleć, gwałcić, mordować. Stanie się katedrą, prawdziwą katedrą, w budowie której uczestniczyć będą wszyscy pozbawieni tożsamości. Będziemy tam odprawiać msze za zmarłych, odmawiać pacierze, przystępować do spowiedzi, śpiewać hymny, wydawać jęki i szczebiotać; panować w niej będzie coś w rodzaju morderczej niefrasobliwości; będą okna rozetowe i gargulce, ministranci i karawaniarze. Możesz przyprowadzić swoje konie i galopować w nawach. Możesz walić głową w mury – nie ustąpią. Możesz się modlić w jakim chcesz języku albo zwinąć się w kłębek u jej drzwi i spać. Ta il.s/a katedra przetrwa co najmniej tysiąc lat, i nie będzie repliki, albowiem jej budowniczości powymierają, a wraz z nimi zaginą i plany. Będziemy produkować pocztówki i organizować wycieczki. Wokół niej zbudujemy miasto i założymy wolną komunę. Nie potrzebujemy geniuszu – geniusz się skończył. Potrzebujemy silnych rąk, istot gotowych zrezygnować z ducha i oblec się w ciało...

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Dzień mija w dobrym tempie. Stoję na balkonie w mieszkaniu Tani. Dramat rozgrywa się na dole w salonie. Dramaturg jest chory, a z góry jego czerep wygląda jeszcze bardziej chropowato. Jego włosy są ze słomy. Jego idee to słoma. Jego żona też jest ze słomy, tyle że nieco wilgotnej. Cały dom zrobiony jest ze słomy. Oto stoję tu na balkonie, czekając na przybycie Borysa. Mój ostatni problem – śniadanie – został rozwiązany. Uprościłem wszystko. Jeśli pojawią się nowe problemy, wsadzę je do plecaka razem z brudną bielizną. Wyrzucam wszystkie moje sou. Na cóż mi pieniądze? Jestem piszącą maszyną. Właśnie wkręcono mi ostatnią śrubkę. Słowa płyną wartko. Pomiedzy mną a maszyną nie ma żadnej przepaści. Jestem maszyną... Nie powiedzieli mi jeszcze, czego dotyczy ten nowy 2 – Zwrotnik...

[33]

dramat, ale wyczuwam to. Chcą się mnie pozbyć. A mimo to jestem tu, czekam na obiad, nawet trochę wcześniej, niż się mnie spodziewano. Poinformowałem ich, gdzie mają usiąść, co robić. Pytam ich uprzejmie, czy nie będę im przeszkadzał, ale w gruncie rzeczy chodzi mi o to, i oni dobrze o tym wiedzą – czy wy nie będziecie przeszkadzali mnie? Nie, wy błogie karaluchy, nie przeszkadzacie mi. Dostarczacie mi pożywienia. Widzę, jak siedzicie tam blisko siebie, i wiem, że między wami istnieje przepaść. Wasza bliskość jest bliskością planet. Ja jestem próżnią między wami. Gdybym się wycofał, nie byłoby próżni, w której moglibyście pływać. Tania jest nie w humorze – czuję to. Ma mi za złe, gdy jestem wypełniony czymś innym niż nią. Wyczuwając intensywność mego podniecenia poznaje, że jej wartość spadła do zera. Wie, że tego wieczoru nie przyszedłem, by ją zapłodnić. Wie, że wewnątrz mnie kiełkuje coś, co ją zniszczy. Wolno jej to idzie, ale przecież zdaje sobie z tego sprawę.

Sylwester wygląda na bardziej zadowolonego. Wieczorem, przy stole, weźmie ją w objęcia. Już teraz czyta mój rękopis, przygotowując się do rozpalenia mojego „ja” i przeciwstawienia go „ja” Tani.

Dziwne to będzie zgromadzenie. Właśnie przygotowuje się scenę. Słyszę brzęk kieliszków. Wynosi się wino. Wychylimy puchary i chory Sylwester zostanie uzdrowiony. To dopiero wczoraj wieczorem, u Cronstadta, zaplanowaliśmy tę scenerię. Ustaliliśmy, że kobiety muszą cierpieć, że poza sceną ma być jeszcze więcej terroru i przemocy, więcej klęsk, więcej cierpienia, więcej niedoli i nędzy. To nie przypadek gna ludzi

Miller Henry - Zwrotnik Raka

takich jak my do Paryża. Paryż jest po prostu sztuczną, obrotową sceną pozwalającą widowni ujrzeć wszystkie fazy konfliktu. Sam w sobie Paryż nie inicjuje żadnych dramatów. Powstają gdzie indziej. Paryż jest tylko instrumentem położniczym wyrywającym z łona żywy płód, by umieścić go w inkubatorze. Pa-

W

iv/ jest kołyską sztucznych narodzin. Bujając się w lej kołysce każdy odnajduje swoją ziemię rodzinną: wraca w snach do Berlina, Nowego Jorku, Chicago, Wiednia, Mińska. Wiedeń nigdzie nie jest bardziej wiedeń niż w Paryżu. Wszystko podnoszone jest do rangi apoteozy. Kołyskę opuszczają niemowlaki, ich miejsce zajmują następne. Na Miniach można tu przeczytać, gdzie mieszkali Zola i Balzac, Ibsen i Strindberg, i wszyscy, którzy coś znaczyli. Każdy tu kiedyś mieszkał. Nikt tu nie umiera...

Na dole toczy się rozmowa. Jej język jest symboliczny. Pojawia się słowo „walka”. Sylwester, chory dramaturg, mówi:

– Właśnie czytam Manifest. A Tania pyta:

– Czyj?

Tak, Taniu, słyszałem cię. Dobrze odgadujesz, siedzę, tu na górze, notując każde słowo. Mów dalej, bym zdolni zapisać wszystko. Gdy siądziemy do stołu, nie będę już mógł robić notatek... Nagle Tania oznajmia:

– Nie ma tu porządnego hallu.

Co to ma znaczyć, jeśli w ogóle coś znaczy?

Teraz wieszają obrazy. To też ma zrobić na mnie wrażenie. Widzicie – oni chcą pokazać: jesteśmy u siebie w domu, wiemy małżeńskie życie. Starają się, by dom był atrakcyjny. Nawet trochę posprzecząmy się o te obrazy, wszystko ze względu na ciebie. Tymczasem Tania znowu zabiera głos:

– Jakże oko jest zawodne!

Ach, Taniu, co też ty wygadujesz! Mów dalej – niech ta farsa jeszcze trochę potrwa. Jestem tu po to, by dostać obiecany obiad; tą komedią bawię się wyśmienicie. A teraz Sylwester obejmuje główną rolę. Usiłuje wyjaśnić jeden z gwaszy Borowskiego:

– Chodź tutaj, widzisz? Jeden z nich gra na gitarze, drugi trzyma na kolanach dziewczynę.

[35]

— : • - - - — ■

Miller Henry - Zwrotnik Raka

: " - r ~

-- *

1 i i =l&r:=-^-\t^r 1*1-1. a

CD T3 CD S-

Я -я» fcs

To prawda, Sylwestrze. Masz rację. Borowski i jego gitary! Dziewczyny na jego kolanach! Tyle że nikt nie może mieć pewności, co on właściwie trzyma na kolanach, ani czy na gitarze naprawdę gra mężczyzna...

Wkrótce przyczłapie na czworakach Moldorf i Borys z tym swoim bezradnym śmiechem... Na obiad będzie złocisty bażant i anjou, i krótkie, grube cygara. A Cron-stadt, kiedy otrzyma najświeższe wiadomości, przez pięć minut będzie żył intensywniej, trochę promienniejszy, a potem znów zapadnie się w szlam swojej ideologii i może narodzi się z tego wiersz - duży złoty dzwon pozbawiony serca.

Musiałem przerwać na jakąś godzinkę. Kolejny klient chciał obejrzyć mieszkanie. Na górze ten cholerny Anglik ćwiczy Bacha. Kiedy ktoś przychodzi obejrzyć mieszkanie, trzeba biec tam i prosić pianistę, by dał sobie na chwilę spokój.

Elza rozmawia przez telefon ze sprzedawcą warzyw. Hydraulik zakłada nową deskę na sedesie. Kiedy tylko rozlega się dzwonek, Borys traci równowagę. Z zaaferowania upuścił okulary, jest teraz na czworakach, jego frak włóczy się po podłodze. To trochę jak z Grand Guignolem

- głodujący poeta przychodzi udzielać lekcji córce rzeźni-ka. Za każdym razem, kiedy odzywa się dzwonek telefonu, ślina napływa do ust poety. Mallarme brzmi jak stek z polędwicy, Victor Hugo jak foie de veau. Elza zamawia delikatny lunch dla Borysa - „ładny soczysty mały schabowy”

- mówi. Widzę całe stado różowych zimnych szynek ułożonych na marmurowej ladzie, cudownych szynek spowitych w biały tłuszcz. Czuję straszny głód, chociaż zaledwie parę minut temu. skończyliśmy śniadanie - będę się jednak musiał obyć bez lunchu. Tylko w środy jadam lunch

- dzięki Borowskiemu. Elza wciąż rozmawia przez telefon

- zapomniała zamówić kawałek boczku. „Tak, ładny ka-

\u03c7

wałek boczku, niezbyt tłusty” - mówi... Zut alors! Proszę dorzucić trochę nerkówki, trochę dużych ostryg i trochę... psst... omułków. Proszę dorzucić odrobinę smażonej wątrobianki, skoro już to robisz; mógłbym

Miller Henry - Zwrotnik Raka

pożreć 1500 sztuk Lope de Vega za jednym posiedzeniem. Tym razem przyszła obejrzeć mieszkanie bardzo piękna kobieta. Oczywiście Amerykanka. Stoję w oknie plecami do niej, obserwując wróbla dziobiącego świeże końskie łajno. Zdziwiająca, jak łatwo wróblowi zaspokoić swoje potrzeby. Trochę pada, krople są bardzo duże. Kiedyś myślałem, że ptak nie może latać, gdy ma mokre skrzydła. Zdumiewająca, jak te bogate damulki przyjeżdżają do Paryża i od razu znajdują wspaniałe pracownie. Wystarczy odrobina talentu i gruby portfel. Kiedy pada, mają okazję zaprezentować swoje nowe płaszcze przeciwdeszczowe. Jedzenie jest dla nich niczym i czasami tak są zajęte szwendaniem się z miejsca na miejsce, że nie mają czasu na lunch. Wcinają jakąś kanapeczkę albo wafelek w Cafe de la I'aix albo w barze Ritz. „Wyłącznie dla córek dobrze urodzonych” – głosi napis w starej pracowni Puvisa de Cha-vannes. Nie dalej jak wczoraj przechodziłem tamtędy. Bo-gate amerykańskie pizdy z pudełkami farby przerzuconymi przez ramię. Odrobina talentu i gruby portfel.

Wróbel skacze gorączkowo z jednej kostki bruku na drugą. Jego wysiłki są na miarę Herkulesa, jeśli przyjrzeć się temu uważnie. Wszędzie poniewiera się jedzenie – to znaczy w rynsztoku. Piękna Amerykanka dopytuje się o toaletę. Toaleta! Proszę bardzo, mogę pokazać, ty gazelo o akamitnym nosku! Toaleta, pytasz? Par ici. Madame. N'oubliez pas que les places numerotees sont resewees aux mutilés de la guerre.

Borys zaciera ręce – właśnie dobija transakcji. Na podwórku czekają psy, wyją jak wilki. Na górze pani Melverness przesuwają meble. Przez cały dzień nic nie robiła, jest znudzona; jeśli znajdzie gdzieś jakiś pyłek, sprząta całe

[37]

mieszkanie. Na stole leżą zielone winogrona i stoi butelka wina – vin de choix, w najlepszym gatunku. – Tak – mówi Borys. – mógłbym zrobić dla pani umywalkę, proszę tutaj. Tak, to ubikacja. Oczywiście jest też jedna na górze. Tak, tysiąc franków miesięcznie. Nie przepada pani za Utrillem, prawda? Nie, to już wszystko. Trzeba tylko założyć nową uszczelkę, nic więcej...

Ona za chwilę sobie pójdzie. Tym razem Borys nawet mnie nie przedstawił. To skurwysyn! Zawsze, kiedy przychodzi jakaś bogata pizda, zapomina mnie przedstawić. Za parę minut będę mógł wrócić do siebie i pisać. Jakoś nie mam już dziś na to ochoty. Wycieka ze mnie duch twórczy. Ona może wrócić tu za godzinę i wyrwać mi krzesło spod tyłka. Jak, do diabła, można pisać, kiedy się nie wie,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

gdzie będzie się siedzieć w ciągu następnej półgodziny? Jeśli ta bogata suka weźmie to mieszkanie, nie będę nawet miał gdzie spać. Kiedy się jest w takiej sytuacji, trudno powiedzieć, co gorsze – brak miejsca do spania czy do pracy. Spać można niemal wszędzie, ale trudno się obyć bez miejsca do pracy. Nawet jeśli nie pracuje się nad arcydziełem. Nawet pisząc złą powieść trzeba mieć krzesło, na którym można usiąść. I odrobinę prywatności. Te bogate pizdy nigdy nie myślą o takich rzeczach. Kiedy tylko chcą usadzić swoje miękkie pośladki, zawsze czeka na nie jakieś krzesło..."

Zeszłego wieczoru pozostawiliśmy Sylwestra wraz z jego Bogiem siedzących przed kominkiem. Sylwester w piżamie, Moldorf z cygarem w zębach. Sylwester obiera pomarańczę. Kładzie skórki na narzucie kanapy. Moldorf przysuwa się do niego. Prosi o pozwolenie ponownego odczytania tej błyskotliwej parodii, Bram niebios. Borys i ja szykujemy się do wyjścia. Jesteśmy zbyt weseli jak na tę szpitalną atmosferę. Tania idzie z nami. Też jest wesoła, po-

[38]

(Ileważ ma zamiar uciec. Borys jest wesoły, ponieważ Bóg ledzący w Moldorfie umarł. Ja jestem wesoły, ponieważ ■ 11.111 iy robić kolejne przedstawienie.

Głos Moldorfa jest pełen szacunku:

– Mogę posiedzieć z tobą, Sylwestrze, zanim pój-cl/n-s/ spać?

Siedział z nim przez ostatnich sześć dni, kupował liktrstwa, załatwiał różne sprawy Tani, pocieszał, dodawał otuchy, strzegł portali przed wrogo nastawionymi intruzami jak Borys i jego nicponie. Przypomina dzikusa odkrywali ego, że jego idol został w nocy okaleczony. Oto siedzi u .lop swego bóstwa z drzewem chlebowym, z tłuszczem i modlitewną paplaniną. Jego głos obłudnie zamiera. Jego kończyny są już sparaliżowane.

Do Tani przemawia tak, jakby była kapłanką, któ-ia /łamała śluby.

– Musisz stać się go godna. Sylwester jest twoim Bogiem.

A gdy Sylwester oddaje się na górze cierpieniu (tro-I hę mu gra w klatce piersiowej), kapłan i kapłanka napy-chają sobie kałduny.

– Plugawisz swoje „ja” – mówi Moldorf, a sos kapie mu z ust. Posiada tę zdolność, że może jeść i cierpieć icdnocześnie. Kiedy tak opędza się od zła, wysuwa tę swoją

II usta łapkę i gładzi Tanie po włosach.

– Chyba zaczynam się w tobie kochać. Jesteś podobna do mojej Fanny.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Miniony dzień był dla Moldorfa przyjemny także z innych względów. Otrzymał list z Ameryki. Moe ma same piątki. Murray uczy się jeździć na rowerze. Gramofon jest już naprawiony. Z wyrazu jego twarzy można odgadnąć, że w liście była mowa jeszcze o innych rzeczach, a nie tylko o świadectwach i welocypedach. Na pewno tak, ponieważ dziś po południu kupił swojej Fanny biżuterię za 325 franków. Oprócz tego napisał dwudziestostronicowy list.

Gar-

[39]

con przynosił mu kartkę za kartką, napełniał wieczne pióro, podawał kawę i cygara, wachlował go, gdy się spocił, strzepywał okruchy ze stołu, zapalał cygaro, kiedy zgasło, kupował znaczki, tańczył koło niego, robił piruety, kłaniał się w pas... mało nie złamał sobie przy tym kręgosłupa. Otrzymał spory napiwek. Większy niż najlepsze cygaro. Moldorf zapewne opisał to w swoim dzienniku. Wszystko dla Fanny. Bransoletka i kolczyki warte były każdego wydanego sou. Lepiej wydawać je na Fanny niż na takie mizerne dziwki, jak Germame i Odette. Tak, to też powiedział Tani. Pokazał jej swój kufer. Pełno w nim prezentów – i dla Fanny, i dla Moe, i dla Murraya.

– Moja Fanny jest najinteligentniejszą kobietą na świecie. Nieraz usiłowałem znaleźć w niej jakieś wady, ale nie ma ani jednej. Jest doskonała. Powiem ci, co ona potrafi. Gra w brydża jak szuler, interesuje się syjonizmem, dasz jej, na przykład, stary kapelusz, a zobaczysz, co z niego robi. Tu podwinie, tam doda wstążkę i voila *quelque chose de beau!* Wiesz, co jest pełnią szczęścia? Siedzieć koło Fanny, gdy Moe i Murray są już w łóżkach, i słuchać radia. Ona tak spokojnie wówczas siedzi. Obserwowanie jej jest dla mnie nagrodą za wszystkie zmagania i cierpienia. Tak inteligentnie słucha. Kiedy pomyślę o twoim śmierdzącym Montparnassie, a potem o moich wieczorach z Fanny w Bay Ridge po sutej kolacji, mówię ci – nie ma porównania. Taka prosta rzecz, jak wspólne posiłki, dzieci, łagodne światło lamp i Fanny na krześle obok, trochę zmęczona, lecz pogodna, zadowolona, ociążała od chleba... siedzimy tak godzinami, nie mówiąc ani słowa. To się nazywa szczęście!

– Dziś napisała do mnie – nie jest to jeden z tych listów nudnych jak sprawozdania giełdowe. Nie, pisze do mnie od serca, pisze językiem, który nawet mój mały Murray mógłby zrozumieć. Ona tak niezwykle taktownie mówi o wszystkim, moja Fanny. Pisze, że dzieci powinny się dalej

[40]

klztałcić, ale że martwią ją koszty. wysłanie małego Mur-Płya do szkoły będzie kosztować z tysiąc dolców. Moe, rzecz jasna, otrzyma stypendium. Ale mały Murray, ten mały geniusz Murray, co z nim zrobimy? Odpisałem Fanny, toby się nie martwiła. Wyślij Murraya do szkoły – napisałem. (łóż znaczy dodatkowe 1000 dolców? w tym roku za-robuję więcej niż do tej pory. Zrobię to dla małego Murraya, ponieważ ten dzieciak jest geniuszem. Chciałbym być przy tym, kiedy Fanny otworzy ku-
I.T.

– Popatrz, Fanny, to kupiłem w Budapeszcie od pewnego starego Żyda... Nosi się to w Bułgarii – czysta wcina... To należało do księcia takiego czy innego... – nie, lego się nie nakręca, ale ustawia na słońcu... Bardzo chciałbym, żebyś to założyła, Fanny, kiedy się wybierzemy do opery... z tą spinką do włosów, którą ci pokazywałem... A lo, Fanny, pomogła mi wybrać Tania... ona jest trochę do ciebie podobna...

A Fanny siedzi tam na sofie, jak na tym oleodruku - z jednej strony Moe, a mały Murray, geniusz Murray - / drugiej. Jej grube nogi są za krótkie, by dosięgnąć podłogi. Oczy mają matowy połysk nadmanganianu. Ma piersi jak głowy dojrzałej czerwonej kapusty; podrygują trochę, kiedy się pochyła. Zwłaszcza zaś napawa w niej smutkiem lo, że wyciekły z niej soki. Siedzi tam jak wyładowany akumulator; jej twarz jest jakby zamazana – potrzeba trochę ożywienia, nagłego zastrzyku soków, by nabrała wyrazu. Moldorf podskakuje wokół niej jak tłusta ropucha. Jego ciało podryguje. Pada na podłogę i nie może przewrócić się /, powrotem na brzuch. Ona szturcha go grubymi paluchami stóp. Oczy jeszcze bardziej wyłają mu z orbit. „Kopnij mnie jeszcze raz, Fanny, tak mi dobrze”. Tym razem ona daje mu tęgiego kopniaka – w jego kałdunie na stałe pozostaje wgłębienie. Jego twarz jest tuż nad powierzchnią dywanu, oddechem wprawia w drżenie dywanowy puch. Tro-

[41]

chę się ożywia, przewraca na bok, skacze z mebla na mebel. „Fanny, jesteś cudowna!” Teraz siedzi jej na ramieniu! Odgryza jej kawałeczek ucha, koniuszek małżowiny, tam gdzie nie boli. Ale ona pozostaje martwa – cała jak wyczerpany akumulator, istota pozbawiona soków. Osuwa się jej na kolana i leży tam pulsując jak bolesny ząb. Jest cały rozgrzany i bezradny. Brzuch błyszczący mu jak lakierki. W oczodołach ma parę kosztownych guzików od kamizelki. „Odepnij mi oczy, Fanny, chciałbym cię lepiej widzieć!” Fanny niesie go do

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Łóżka i wlewa mu do oczu odrobinę rozgrzanego wosku. Kładzie obrączki wokół jego pępka i wsadza mu w tyłek termometr. Nadziewa się na niego, i on znowu drży. Nagle kurczy się, znika z pola widzenia. Ona szuka go wszędzie, w swoich wnętrznościach, gdzie popadnie. Coś ją łaskocze, ale nie wie dokładnie gdzie. Łóżko jest pełne żab i kosztownych guzików od kamizelki. „Fanny, gdzie jesteś?” Coś ją łaskocze, ale nie wie gdzie. Guziki spadają z łóżka, żaby wspinają się na ściany. Łaskotki tu i tam. „Fanny, wybierz ten wosk z moich oczu! Chcę na ciebie popatrzeć!” Ale Fanny śmieje się, trzęsie ze śmiechu. Coś ją w środku łaskocze i łaskocze. Umrze ze śmiechu, jeśli tego nie znajdzie. „Fanny, w kufrze pełno różnych śliczności. Fanny, słyszysz?” Ale Fanny śmieje się tylko, śmieje jak tłusty robak. Jej brzuch pęcznieje od śmiechu, nogi sinieją. „Boże, Morris, coś mnie łaskocze... nie mogę się powstrzymać!” Niedziela! wyszedłem z villa Borghese tuż przed południem, Borys zasiadał właśnie do lunchu. wyszedłem kierowany poczuciem delikatności, ponieważ Borysa naprawdę boli, gdy widzi, jak siedzę w pracowni o pustym żołądku. Dlaczego nie poprosi mnie, bym zjadł razem z nim, doprawdy nie wiem. Twierdzi, że nie może sobie na to pozwolić, ale to żadna wymówka. Tak czy owak, sprawa jest delikatna. Jeśli boli go, że je sam w mojej obecności, zapewne jeszcze bardziej bolałoby go, gdyby podzielił się jedzeniem ze mną. Nie uważam jednak za stosowne wsadzać nosa w jego tajemnice. Wpadłem do Cronstadtów – oni też właśnie jedli. Kurczę z ryżem. Udałem, że dopiero co jadłem, ale byłem łotów wyrwać dziecku z rąk tego kurczaka. To nie jest z mojej strony po prostu jakaś fałszywa skromność – to już, łak sądzę, perwersja. Dwa razy pytali mnie, czy nie zjadłbym z nimi. Nie! Dziękuję! Nie przyjąłem nawet filiżanki kawy. Jestem delikat, taki już jestem! wychodząc rzuciłem długie, tęskne spojrzenie na talerz dziecka – na kościach pozostały jeszcze resztki mięsa. Włóczyłem się bez celu. Piękny dzień – przynajmniej na razie. Rue de Bucy tętni życiem, roi się od ludzi. Bary są otwarte na oścież, przy chodniku jeden za drugim stoją rowery. Wszystkie targowiska z mięsem i warzywami pracują pełną parą. Ludzie obładowani są sprawunkami zabandażowanymi w gazety. Prawdziwie katolicka niedziela przynajmniej z rana. Samo południe, i oto stoję z pustym żołądkiem u /biegu tych wszystkich krętych uliczek, gdzie powietrze jest gęste od zapachu żarcia. Naprzeciwko mnie Hotel de Loui-siane. Ponury stary zajazd, w dawnych dobrych

Miller Henry - Zwrotnik Raka

czasach

[43]

znany wszystkim opryszkom z Rue de Bud. Hotele i jedzenie a ja łażę jak trędowaty, któremu kraby głodu szarpia wnętrności. W niedzielę rano na ulicach panuje gorączka Czegoś podobnego nigdzie się me spotyka chyba ze na East Side albo wokół Chatham Square. Rue de l'Echaude kipi. Ulice wiją się i zakręcają, na każdym rogu ruch jak w ulu. Długie kolejki ludzi o apetytach niczym orzeźwiające, musujące wino skręcają tu i tam z warzywami pod pachą. Nic tylko jedzenie, jedzenie i jeszcze raz jedzenie. Zwarłować można.

„

Mi iam Pl'ace de F'urstenberg. Inaczej wygląda teraz w samo południe. Kiedy przechodziłem tędy wieczorem był opustoszały, ponury, upiorny. Na środku placu cztery czarne drzewa, które nie zaczęły jeszcze kwitnąć. Drzewa-intelektualiści, czerpiący pokarm z brukowych kamieni. Jak wiersze T. S. Eliota. Na Boga, to tutaj, gdyby Marie Laurencin zdecydowała się kiedyś wyprowadzić swo-ic lesbijki na światło dzienne, powinny się zbierać. Tres les-bh-mwm. Bezpłodne hybrydy, oschłe jak serce Borysa.

W małym ogródku przylegającym do kościoła St. Oermain leży kilka zdemontowanych gargulców. Potwory wychylają się do przodu, jakby chciały wyskoczyć. Na ławkach inne potwory: starcy, idioci, kaleki, epileptycy. Drzem.ą sobie spokojnie, czekają na obiadowy dzwonek w Galerie Zak po drugiej stronie jakiś imbecyl wykonał obraz kosmosu - dwuwymiarowy. Kosmos malarza! Pełen rupieci, bibelotów. A w lewym dolnym rogu kotwica... i obiadowy dzwonek. Pozdrawiam cię, o Kosmosie!

Włóczę się dalej. Późne popołudnie. w brzuchu m» burczy. Teraz zaczyna padać. Notre-Dame wznosi się ponad wodą niczym grobowiec. Gargulce wychylają się daleko poza koronkową fasadę. wiszą tam jak idee fixe w umyśle maniaka. Podchodzi do mnie stary człowiek o żółtych bokobrodach. w ręku ma jakieś wycpociny Jaworskiego Podchodzi z odrzuconą w tył głową, a deszcz spryskują-

[44]

cy mu twarz zmienia złocisty zarost w błoto. Księgarnia z kilkoma rysunkami Raoula Dufy'ego na wystawie. Rysunki posługaczek z różanym gąszczem między udami. Traktat na temat filozofii Joana Miro. Filozofii - czy uwierzycie? W tym samym oknie wystawowym: „Mężczyzna pocięty w plasterki!" Rozdział 1: mężczyzna w oczach rodziny. Rozdział 2: to samo w oczach kochanki. Rozdział 3: nie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ma trzeciego. Muszę tu jutro wrócić po rozdział 3 i 4. Dekorator codziennie przewraca kolejną kartkę. Mężczyzna pocięty w plasterki... Nie wyobrażacie sobie, jak się wściekam, że nie pomyślałem o takim tytule! Gdzie jest facet potrafiący napisać: „to samo w oczach kochanki... to samo w oczach... to samo”? Gdzież on jest? I kim jest? (chciałem go uściskać. Na rany Chrystusa, chciałem mieć laki łeb, by wymyślić podobny tytuł – zamiast Krewkiego kutasa i innych głupot wydumanych przeze mnie. Zresztą, pies to jebał! Mimo wszystko składam mu gratulacje.

Mam nadzieję, że powiedzie mu się z tym świetnym tytułem. Masz następny kawałek do swojej kolejnej książki! Zadzwoń do mnie kiedyś. Mieszkam w Villa Borghese. Je-sleśmy wszyscy martwi, umieramy albo wkrótce umrzemy. Potrzeba nam dobrych tytułów.

Potrzebujemy mięsa – kawałków i plasterków mięsa: soczystych połędwic, wybornych befsztyków, cynaderek, dużych ostryg, nerkówki. Będę kiedyś stał na rogu 42. Ulicy i Broadwayu, przypomnę sobie ten tytuł i zapiszę wszystko, co kłębi mi się pod czachą: kawior, krople deszczu, smar do osi, wermiszel, wątrobiankę – plasterek po plasterku. I nie będę w stanie powiedzieć, dlaczego po zapisaniu tego wszystkiego nagle poszedłem do domu i porąbałem na kawałki dziecko. Un acte gra-tnit pour vous, cher monsieur si bien coupé en tranches!

Jak można łazić cały dzień o pustym żołądku, i nawet od czasu do czasu dostać zwrodu, to jedna z tych tajemnic, które są zbyt łatwo wyjaśniane przez rozmaitych „anatomów duszy”. w niedzielne popołudnie, kiedy skle-

[45]
powe żaluzje są opuszczone, a proletariat ogarnięty jakąś otępiałą apatią opanowuje ulice, niektóre trasy przypominają ni mniej, ni więcej tylko wielkiego, rozciętego wzdłuż, szankrowego chuja. I to właśnie one, jak Choćby Rue St. Denis albo Faubourg du Temple nieodparcie mnie przyciągają, podobnie jak dawniej, wokół Union Square czy w górnych partiach Bowery, pociągały mnie dziesięciocentowe muzea, gdzie w gablotach wystawiano na pokaz woskowe atrapy różnych organów ludzkich zjedzonych przez syfilis i inne choroby weneryczne. Miasto rozrasta się jak ogromny organizm w każdej swej części dotknięty chorobą. Piękne trasy przelotowe są tylko trochę mniej odrażające dzięki temu, że oczyszczono je z ropy.

Przy Cite Nortier, gdzieś koło Place du Combat, zatrzymuję się na kilka minut, by chłonać całą nędzę roztaczającego się widoku. Składa się nań prostokątny

Miller Henry - Zwrotnik Raka

dziejnieniec, taki jak wiele innych, które można dojrzeć z niskich pasażów przylegających do starych arterii Paryża. Na środku dziedzińca sterczy bryła walących się budynków tak zmurszałych, że pozawałałyby się na siebie, tworząc coś w rodzaju poskręcanych kiszek. Teraz ziemia jest nierówna, płyty chodnikowe śliskie od szlamu. To swoisty ludzki śmietnik wypełniony popiołem i innymi śmieciami. Słońce szybko zachodzi. Kolory dogorywają. Przechodzą od purpury do zakrzepłej krwi, od masy perłowej do ciemnego brązu, od chłodnych martwych szarości do barwy gołębiego gówna. Tu i ówdzie tkwi w oknie koślawy potwór, mrużąc oczy jak sowa. Słychać przenikliwy skrzek dzieci o białych twarzach i kościstych kończynach, rachitycznych urwisów z głowami zdeformowanymi przez kleszcze porodowe. Ze ścian sączy się wstrętny odór, smród spleśniałego materaca. Europa średniowieczna, groteskowa, monstrualna jak symfonia b-moll. Po drugiej stronie ulicy Cine Combat oferuje swojej dostojnej klienteli Metropolis. Gdy odchodzę stamtąd, powracam myślami do [46\

I i. | / ki czytanej nie dalej niż wczoraj: „Miasto przeżyło jatki, ciała okaleczone przez morderców i ograbione przez rabusiów zalegały grubą warstwą ulice; wilki przemykały się z pi Eedmieść, by się nimi karmić; mór i inne choroby skradały się, by im dotrzymać towarzystwa, a Anglicy wciąż ma-Mserowali naprzód, podczas gdy danse macabre wirował wokół grobowców na wszystkich cmentarzach...” Paryż w cza-Itch Karola Szalonego! Piękna książka! Pokrzepiająca i ipetyczna. Wciąż jestem pod jej wrażeniem. O mecenasach i piekursorach Renesansu wiem niewiele, ale Madame Pim-pemel, la belle boulangere, i Maitre Jehan Crapotte, l'orfev-n\ nadal zajmują miejsce w moich myślach. Nie wolno zapominać o Rodinie, geniuszu zła z The Wandering Jew, dokonującym swoich niegodziwych czynów „do chwili, kiedy i o/.wścieczyła go i przechytrzyła Cecylia, ten bękart z odrobiną murzyńskiej krwi”. Siedząc na Square du Temple i dumając nad wyczynami końskich rzeźników pod przywódz-Iwcm Jeana Caboché'a, zastanawiam się długo i ze smutkiem nad żalostnym losem Karola Szalonego. Półgłówek grasujący po salach swojego Hotel St. Paul, odziany w najgorsze łachy, zjadany przez wrzody i robactwo, jak parszywy pies ogryzający rzuconą mu kość. Na Rue des Lions szukałem kamieni pozostałych po starej menażerii, gdzie kiedyś karmił swoje zwierzęta. Była to jedyna rozrywka te-|0 biednego durnia poza grą w karty z

Miller Henry - Zwrotnik Raka

jego „nisko urodzoną towarzyszką życia” – Odette de Champdivers.

To właśnie w niedzielne popołudnie, bardzo podobne do dzisiejszego, poznałem Germaine. Spacerowałem wzdłuż Boulevard Beaumarchais, bogatszy o jakieś sto franków, pospiesznie przekazanych mi telegraficznie z Ameryki przez moją żonę. W powietrzu czuć już było wiosnę, toksyczną, zgubną wiosnę, która wydawała się tryskać z ulicznych włazów. Noc w noc powracałem do tej dzielnicy, przyciągany przez pewne opanowane trądem uliczki, które dopiero wtedy ukazywały swą złowrogą świetność, gdy wy-

[47]
sączyło się już światło dzienne, a kurwy zaczynały zajmować swoje stanowiska. Uliczką, która szczególnie utkwiła mi w pamięci, jest Rue du Pasteur-Wagner, na rogu Rue Amelot ukrywającej się za bulwarem jak drzemiąca jaszczurka. Tu, w zwężeniu przypominającym szyjkę butelki, gnieździła się zawsze gromada sępów, skrzeczących i wymachujących wstrętnymi skrzydłami, usiłując wbić w każdego swe ostre szpony, by wciągnąć go do pobliskiej bramy. Wesołe, zachłanne diablice, nie pozwalające ci nawet zapiąć spodni, kiedy już było po wszystkim. Wiodły cię z ulicy wprost do pokoiku, zwykle pozbawionego nawet okna, i siadając na skraju łóżka z podwiniętymi spódnicami, dokonywały pospiesznej inspekcji twego przyrodzenia, pluły ci na kutasa i wsadzały sobie. Kiedy się myłeś, następna stała już w drzwiach, trzymając za rękę kolejną ofiarę, i nonszalancko przyglądała się, jak kończyłeś swe abłucje. Germaine była inna. Nic w jej wyglądzie tego nie zapowiadało. Nic nie odróżniało jej od pozostałych dziwek, spotykających się co wieczór w Cafe de l'Elephant. Jak mówię, był wiosenny dzień i tych kilka franków wyskrobanych i przekazanych telegraficznie przez moją żonę brzęczało mi w kieszeniach. Miałem niejasne przeczucie, że nie zdołam dotrzeć do Bastylii i po drodze zostanę zahołowany przez jedną z tych kobiet-sępów. Szedłem nie spiesząc się bulwarem, gdy ją zauważyłem – zbliżała się do mnie roztaczając tę dziwną wyzywającą aurę kurwy: zdarte obcasy, tania biżuteria i tak charakterystyczna dla jej profesji ziemista cera, którą róż jedynie podkreśla. Nietrudno było uzgodnić z nią warunki. Usiedliśmy z tyłu niewielkiego tabac o nazwie l'Elephant i szybko omówiliśmy sprawę. Po kilku minutach byliśmy już w pokoju za pięć franków na Rue Amelot, zasłony zostały zasunięte, narzuta odrzucona z łóżka. Germaine nie nadawała zbyt szybkiego tempa. Siedziała na bidecie namydlając się i mile ze mną

Miller Henry - Zwrotnik Raka

gawędziła o tym i o owym; podobały się jej moje bryczesy. Tres chic! – osądzi-

[48]

i i Kiedyś rzeczywiście takie były, ale teraz siedzenie się przetarło – na szczęście marynarka zasłaniała mi dupę. I', lody wstała, by się wytrzeć, cały czas zabawiając mnie rozmową, nagle upuściła ręcznik i – zbliżając się do mnie wolim zaczęła czule głaskać swoją piczkę, pieszcząc ją obie-iii.i rękami, gładząc, poklepując. Coś z jej rozmowności w i \ mi momencie i sposobu, w jaki podsunęła mi pod nos swój różany gąszcz, uczyniło tę chwilę niezapomnianą; mówiła o Uj swojej piczce jak o czymś istniejącym poza nią samą, /dobyty z wielkim trudem przedmiocie, który z czasem nabrał jeszcze wartości, stając się dla niej teraz cenniejszy niż/ wszystko inne. To co mówiła, nadawało jej cipce szcze-|ólny aromat; była już czymś więcej niż po prostu jej intymną częścią, stawała się skarbem, magicznym, wszech-\\ ładnym skarbem, darem Boga, i nie traciła nic przez to, że < lermaine dzień w dzień sprzedawała ją za kilka sztuk sre-bra. Kiedy rzuciła się na łóżko, szeroko rozkładając nogi, objęła ją dłońmi i nadal pieściła, mrużąc przez cały czas swoim chropowatym głosem, że jest dobra, piękna – i karb, prawdziwy skarb. I rzeczywiście była dobra, ta jej mała piczka! W tamto niedzielne popołudnie, gdy w powie-11 zu czuło się już trujący oddech wiosny, wszystko znowu lagrało. Kiedy wyszliśmy z hoteliku, przyjrzałem się jej dobrze raz jeszcze w ostrym świetle dziennym i zobaczyłem wyraźnie, jaka z niej kurwa – złote zęby, kapelusz ozdobiony geranium, zniszczone obcasy itd., itd. Nawet fakt, że naciągnęła mnie na obiad, papierosy i taksówkę, wcale innie nie drażnił. W gruncie rzeczy sam ją do tego zachęciłem. Tak mi przypadła do gustu, że po obiedzie poszliśmy leszcze raz do hoteliku i powtórzyliśmy numer – tym razem „z miłości”. I ponownie ta jej duża, kudłata zabawka dokonywała cudów. Zaczęła żyć własnym życiem – również dla mnie. Była więc sobie Germaine, a prócz niej ten jej różany gąszcz. Lubiłem każdą z nich osobno i lubiłem je razem.

[49]

Jak powiadam, Germaine była inna. Później, gdy odkryła moją prawdziwą sytuację, traktowała mnie wielkodusznie – stawiała mi drinki, udzielała kredytu, dawała pod zastaw swoje rzeczy, przedstawiała znajomym itp. Przepraszała mnie nawet, że nie może mi pożyczyć pieniędzy, co rozumiałem doskonale, gdy poznałem jej mague-reau. Co

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wieczór szedłem w dół Boulevard Beaumarchais do małego tabac, gdzie wszystkie zwykły się zbierać, i czekałem, aż ona wejdzie i ofiaruje mi kilka minut swego cennego czasu.

Kiedy później zacząłem pisać o Claude, właściwie nie ją miałem na myśli, a Germaine... „Wszyscy faceci, z którymi była, a teraz ty, tylko ty, przepływające barki, maszty i kadłuby, ten cały cholerny prąd życia płynący przez ciebie, przez nią, przez tych gości przed tobą i po tobie, kwiaty i ptaki, padające słońce i aromat tego wszystkiego, który cię dusi, unicestwia". To było dla Germaine! Claude była inna, choć lubiłem ją niezmiernie – przez chwilę wydawało mi się nawet, że ją kocham. Claude miała duszę i sumienie, w dodatku zachowywała się dystyngowanie, co jest wadą, przynajmniej u kurwy. Claude zawsze pozostawiała uczucie smutku, dawała ci odczuć, bezwiednie rzecz jasna, że jesteś po prostu jeszcze jednym facetem dodanym do strumienia, który mają zniszczyć jakimś zrzędzeniem losu. Bezwiednie – mówię, ponieważ uważam ją za ostatnią osobę na świecie, która świadomie wywołałaby w czyimś umyśle takie wrażenie. Była na to zbyt delikatna, zbyt subtelna. W gruncie rzeczy Claude była porządną francuską dziewczyną o pospolitym pochodzeniu i inteligencji, jakby oszukana przez życie; brakowało jej odporności pozwalającej znieść szok codziennej egzystencji. To do niej odnoszą się te straszliwe słowa Louisa Pympe'a: „nadchodzi noc, kiedy wszystko się kończy, gdy tak wiele szczęk zacisnęło się na nas, że nie mamy już sił utrzymać się na nogach, a strzępy mięsa zwisają z naszych ciał, jakby pokąsa-

[50]

PC przez niezliczone paszcze". W przeciwieństwie do niej Germaine była kurwą od kolebki, kurwą całkowicie zadowoloną ze swojej roli. Lubiła ją w gruncie rzeczy, chyba że właśnie dokuczał jej brzuch albo rozleciały się buty, drobne, powierzchowne sprawy bez znaczenia, niczego, co drażyłoby jej duszę, niczego, co przynosiłoby udękę. Ennu! – to najgorsze, co mogło jej się przytrafić. Oczywiście bez wątplenia dni, kiedy miała, jak to się mówi, dosyć, ale nic ponadto! Na ogół była z tego zadowolona – albo przynajmniej sprawiała wrażenie, że jest. Oczywiście przywiązywała pewną wagę do tego, z kim szła – z kim dochodziła do szczytu. Ale najistotniejszą rzeczą był mężczyzna. Męż-Czyzna! Oto czego pożądała. Mężczyzna posiadający między udami coś, co mogło ją połechtąć; mogło sprawić, że wiła się w ekstazie, że chwyciła tę swoją włochatą piczkę obiema

Miller Henry - Zwrotnik Raka

rękoma i pieściła ją radośnie, dumnie, z uczuciem radosnej więzi, z poczuciem, że żyje. To było jedyne miejsce, gdzie czuła jakieś życie – tam w dole, gdzie chwytiała się łapczywie oburącz.

Germaine była kurwą na wskroś, aż do głębi swego dobrego serca, swego serca kurwy – wcale nie jest ono szczerozłote, to po prostu leniwe, obojętne, sflaczałe serce, które można na chwilę poruszyć. Jej serce nie miało odniesienia do żadnego stałego punktu wewnątrz – wielkie, sflaczałe serce kurwy, mogące na chwilę oderwać się od zwykłego sobie bezwładu. Jakkolwiek odrażający i ograniczony był świat, który sobie stworzyła, funkcjonowała w nim doskonale. I to samo w sobie jest pokrzepiające. Gdy nasza zażyłość stała się już doskonale widoczna, a jej towarzysze wytykali mi, że jestem zakochany w Germaine (co wydawało im się prawie niepojęte), zwykłem mawiać: „Jasne! Pewnie, że jestem w niej zakochany! I co więcej, mam zamiar pozostać jej wierny!” Było to, rzecz jasna, kłamstwo, ponieważ nie wyobrażałem sobie miłości do Germaine, podobnie jak nie mogłem sobie wyobrazić miłości do pająka, i jeśli

[51]

byłem wierny, to nie Germaine, a tej włochatej rzeczy między jej udami. Gdy tylko spoglądałem na jakąś kobietę, natychmiast myślałem o Germaine, o tym gorejącym krzaku, którego obraz pozostawiła w moim mózgu, i który zdawał się niezniszczalny. Sprawiało mi przyjemność siedzenie na tarasie tego małego tabaci przypatrywanie się, jak wykonuje swój zawód, jak wobec innych ucieka się do tych samych min, tych samych sztuczek, które miała i dla mnie. „To jej zawód!” – tak zbywałem to w myślach i nie miałem nic prócz aprobaty dla zawieranych przez nią transakcji. Później, kiedy zadawałem się z Claude i widywałem ją co wieczór siedzącą na swoim zwykłym miejscu, jej krągłe małe pośladki miękko rozłokowane w pluszu sofy, < odczuwałem coś w rodzaju niewyraźnego buntu; kurwa – myślałem – nie ma prawa siedzieć tam niby jakaś dama, oczekująca nieśmiało, aż ktoś do niej podejdzie, przez cały czas skromnie popijająca swoją chokolatę. Germaine ostro zabierała się do rzeczy. Nie czekała, aż się do niej zbliżysz – robiła to pierwsza i chwytiała cię za rękę. Tak dobrze pamiętam jej dziurawe pończochy i zdarte buty, pamiętam też, jak stała przy barze i ze ślepym, brawurowym wyzwaniem połykała mocnego drinka i energicznym krokiem wychodziła z powrotem na ulicę. Zaborcza z niej dziwka! Może niezbyt przyjemny był ten oddech nabuzowanej dziwki, oddech przesycony wonią

Miller Henry - Zwrotnik Raka

słabej kawy, koniaku, aperitifów, perno-du i tego wszystkiego, co zdążyła wlać w siebie dotąd, po to, by się rozgrzać, i po to, by dodać sobie siły i odwagi, ale ów ogień przenikał ją, zapalał się tam, między jej udami, gdzie kobiety powinny płonąć, i w ten sposób powstawał obwód, dzięki któremu znów czuło się ziemię pod stopami. Kiedy leżała pojękując z szeroko rozrzuconymi nogami, to nawet jeśli jęczała tak z każdym, było to wspaniałe, była to odpowiednia demonstracja uczuć. Nie gapiła się martwo w sufit i nie liczyła pluskiew na tapecie; przykładała się do swojej pracy, mówiła takie rzeczy, jakie chce słyszeć mężczyzna [52]

icy z kobietą do łóżka. Podczas gdy Claude... Cóż, Clau-de otaczał jakiś nimb subtelności, nawet gdy właziła z tobą I«hI kołdrę. I ta subtelność była obraźliwa. Kto pragnie subtelnej kurwy? Fatalnie! Mężczyzna płonący pożądaniem, (lue widzieć, chce widzieć wszystko, nawet to, jak one robią insiii. I choć niezwykle miło jest pamiętać, że kobieta po-liftda także umysł, to literatura dobywająca się z zimnego I lała kurwy jest ostatnią rzeczą, jaką należy serwować w ló/ku. Germaine traktowała tę sprawę właściwie: była pełnił entuzjazmu ignorantką, w swą pracę wkładała serce i du-IXC. Była kurwą na wskroś – to było jej cnotą.

wielkanoc nadeszła jak skostniały z zimna zajaczek – w łóżku było jednak dość ciepło. Dziś znowu jest ładnie i aleje wzdłuż Champs-Elysees wyglądają jak ogrody seraju rojące się od ciemnoookich hurysiek. Drzewa pokryły się już listowiem; zieleń listków jest tak czysta, tak bogata, że wydają się stale wilgotne i błyszczące od rosy. Spacer od Palais du Louvre do Etoile przypomina kompozycję na fortepian. Od pięciu dni nie tknąłem maszyny do pisania, nie wziąłem do ręki żadnej książki; moich myśli nie zaprzętało nic poza tym, by pójść do biura American Express. Byłem tam dziś o dziewiątej, właśnie je otwierano, i ponownie o pierwszej. Żadnych wiadomości.

O wpół do piątej wypadam z hotelu, zamierzając w ostatniej chwili zrobić jeszcze jedno podejście. Skręcam za róg i nieomal ocieram się o Waltera Pacha. Ponieważ mnie nie poznaje, a ja nie mam mu nic do powiedzenia, nie próbuję nawet go zatrzymać. Później, gdy siedzę wygodnie z wyciągniętymi nogami w Tuileries, przypominam sobie jego sylwetkę. Kroczył lekko zgarbiony, pogrążony w zadumie, a na jego twarzy błąkał się uśmiech, pogodny, a zarazem pełen rezerwy. Zastanawiam się, patrząc w to

Miller Henry - Zwrotnik Raka

pastelowo po-lakierowane niebo o jakże delikatnym zabarwieniu, nie na-pęczniałe dziś od ciężkich deszczowych chmur, lecz u-śmiechnięte jak filiżanka ze starej porcelany, otóż zastanawiam się, co dzieje się w umyśle tego człowieka, który przetłumaczył cztery grube tomy Historii sztuki, gdy tak chłonie ten błogi obraz kosmosu swoim gasnącym wzrokiem.

Na Champs-Elysees pomysły leją się ze mnie jak strugi potu. Powinienem być na tyle bogaty, by zatrudnić sekretarkę, której mógłbym dyktować podczas spaceru, po-
[54]

ni' w.iz zawsze najlepsze pomysły przychodzą mi do głowy, ■■•K jestem z dala od maszyny.

Idąc wzdłuż Champs-Elysees rozmyślałem o swoim u.1 prawdę doskonałym zdrowiu. Gdy mówię „zdrowie”, i ii naprawdę mam na myśli optymizm. Jestem nieuleczalnym optymistą! Jedną nogą tkwię wciąż w wieku dziewięć-n.i.lym. Jestem nieco opóźniony w rozwoju, jak większość Amerykanów. Carl uważa ten mój optymizm za obrzydli-

„Wystarczy, że wspomnę o posiłku – mówi – a ty promieniejesz!” To prawda. Już sama myśl o posiłku – kolejnym posiłku – odmładza mnie. Jedzenie! Oznacza to paliwo, za sprawą którego można będzie coś zrobić – solidnie popracować przez parę godzin, być może dostać wzrodu... Nu- zaprzeczam: mam zdrowie, dobre, solidne, zwierzęce zdrowie. Jedyne, co stoi między mną a przyszłością, to jakiś posiłek, kolejny posiłek.

Jeśli chodzi o Carla, to nie jest w tych dniach sobą. < lioodzi przygnębiony, nerwy ma rozstrojone. Mówi, że jest ■ hory, i wierzę mu, ale nie stać mnie na współczucie. Nie potrafię się na nie zdobyć. W gruncie rzeczy | hce mi się śmiać. A on oczywiście czuje się urażony.

Wszystko go rani – mój śmiech, mój głód, mój upór, moja nonszalancja, dosłownie wszystko. Jednego dnia chce rozwalić sobie łeb, bo nie może już dłużej znieść tej cholernej dziury, jaką jest Europa, nazajutrz planuje wyjazd do Arizony, „gdzie ludzie patrzą ci prosto w oczy”.

– Zrób to! – mówię mu. – Zrób jedno lub dru-!'H\ cholerny skurwysynu, ale nie próbuj zamglić moich diowych oczu swoim melancholijnym oddechem!

Ale o to właśnie chodzi! w Europie człowiek przyzwyczaja się do bezczynności. Siedzi na dupie i skamle przez cały dzień. Ulega skażeniu. Gnije.

W gruncie rzeczy Carl jest snobem, arystokratycznym małym kutasem żyjącym w swoim własnym schizofrenicznym królestwie.

\55]

Miller Henry - Zwrotnik Raka

- Nie znoszę Paryża! - żali się. - Tych wszystkich głupków grających całymi dniami w karty... spójrz tylko na nich! A ich literatura! Po cóż łączyć ze sobą słowa? Mogę być pisarzem nie pisząc, prawda? Czego dowodzi to, że napiszę książkę? Po co nam właściwie książki? I tak jest już ich za dużo...

Do licha, przecież przez to wszystko przeszedłem - całe lata temu. Przeżyłem swoją melancholijną młodość. I chuj mnie teraz obchodzi, co jest za mną, a co przede mną. Jestem zdrowy. Nieuleczalnie zdrowy. Nic mnie nie dręczy, niczego nie żałuję. Bez przeszłości, bez jutra. Wystarcza mi teraźniejszość. Dzień po dniu. Dzień dzisiejszy! Le bel au-jourd'hui!

Nasz Carl ma jeden wolny dzień w tygodniu i jest wówczas bardziej nieszczęśliwy, jeśli możecie to sobie wyobrazić, niż w każdym innym dniu. Chociaż utrzymuje, że gardzi jedzeniem, wygląda na to, iż jedyne, co mu sprawia przyjemność w dniu wolnym, to suto zastawiony stół. Może robi to ze względu na mnie - nie wiem i nie pytam. Jeśli do listy swoich przywar chce dodać męczeństwo, proszę bardzo, mnie to nie przeszkadza. W każdym razie w zeszły wtorek, roztrwoniwszy to, co wystarczyłoby na obfity obiad, prowadzi mnie do Dóme, ostatniego miejsca na świecie, które chciałbym odwiedzić, gdybym to ja miał wolny dzień. Nie dość, że człowiek staje się tu bezwolny - to jeszcze robi się leniwy.

Przy barze w Dóme stoi Marlowe, załany w pestkę. Ruszył w kurs, jak to nazywa - tym razem była to pięć-dniówka. Oznacza to ustawiczne picie, peregrynację od baru do baru, w dzień i w nocy, bez przerwy, zakończone okresem bezczynności w American Hospital. Koścista, wymi-zerowana twarz Marlowe'a jest już tylko czaszką przedziurawioną dwoma głębokimi oczodołami, w których tkwi zagrzebana para martwych małży. Plecy ma całe w trocinach

[56]

właśnie odbył krótką drzemkę w toalecie. w kieszeni płaszcza trzyma arkusze korektorskie następnego wydania IWCgo periodyku, wygląda na to, że szedł właśnie z nimi do drukarni, gdy ktoś zwabił go na drinka. Opowiada o tym, |.i k by /darzyło się to wiele miesięcy temu. wyjmuje te arku-C i rozpościera je na barze; są na nich plamy po kawie i za-II hnicta ślina. Usiłuje odczytać wiersz napisany przez siebie po grecku, tekst jest jednak nie do odszyfrowania. Potem postanawia wygłosić

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przemówienie po francusku, ale go-rant kładzie temu kres. Marlowe jest urażony: jego jedyną ambicją jest mówić takim francuskim, który byłby zrozumiały nawet dla kogoś. Starofrancuski opanował po mi-rowsku, doskonale potrafi tłumaczyć surrealistów, ale powiedzieć coś tak prostego, jak „spieprzaj stąd, stary chuj!”, przerasta jego możliwości. Nikt nie rozumie francuskiego, jakim włada Marlowe, nawet kurwy. Ale jeśli już o tym mowa, trudno zrozumieć i jego angielszczyznę, kiedy jest wstawiony. Plecie i ślini się niczym notoryczny jakąś... ■IE / tego, co mówi, nie powstaje żadna sensowna wypowiedź. „Ty płacisz!” – to jedno wychodzi mu wyraźnie.

Nawet kiedy jest spity jak białe, jakiś dobrze wykształcony instynkt samozachowawczy ostrzega go zawsze, i ledy należy przejść do czynu. Jeśli w jego umyśle pojawi się jakaś (drobniejsza wątpliwość co do tego, kto zapłaci za drinka i jest pewne, że odstawi jakiś numer. Zwykle udaje, że Utpnie. Carl zna już teraz wszystkie jego sztuczki, toteż – i ledy Marlowe chwytają się nagle za skronie i zaczyna to odrywając – daje mu kopa w tyłek i mówi: „Daj spokój, kretynie! Daruj sobie ze mną ten numer!”

Nie wiem, czy to wyrafinowana zemsta, czy coś innego, w każdym razie Marlowe odpłaca Carlowi tym samym.

Pochylając się ku nam konfidencjonalnie, opowiada swym szorstkim, chrapliwym głosem pewną plotkę zasłyszaną podczas peregrynacji od baru do baru. Carl z osłupieniem [57]

podnosi wzrok. Blednie. Marlowe powtarza swoje we wciąż nowej wersji. Za każdym razem Carl więdnie coraz bardziej.

– Niemożliwe! – wybuchają wreszcie.

– Ależ tak – skrzeczy Marlowe. – Stracisz pracę... to pewne.

Carl patrzy na mnie zdesperowany.

– Czy ten skurczybyk robi mnie w konia? – szepcze mi do ucha, dodając na głos:

– Co ja teraz pocznę? Nie znajdę innej pracy.

Straciłem rok, by ją dostać.

Wydaje się, że to właśnie chciał usłyszeć Marlowe.

Wreszcie znalazł kogoś, komu wiedzie się gorzej niż jemu.

– Ciężkie czasy – skrzeczy, a jego koścista czaszka rozbłyskuje zimnym, elektrycznym ogniem.

Opuszczając Dóme Marlowe oznajmia w napadzie czkawki, że musi wrócić do San Francisco. Wydaje się teraz szczerze przejęty bezradnością Carla. Proponuje mu, by wraz ze

Miller Henry - Zwrotnik Raka

mną przejął prowadzenie pisma podczas jego nieobecności.
- Tobie mogę zaufać, Carl - mówi. I nagle dostaje ataku, tym razem prawdziwego. O mały włos nie ląduje w rysztołu. Holujemy go do bistro na Boulevard Ed-gar-Quinet i tam go sadzamy. Tym razem chyba naprawdę go wzięto - ból głowy, tak dotkliwy, że dosłownie ślepnie, sprawia, iż Marlowe skowyczy i wyje, kołyszając się przy tym w przód i w tył, jak jakieś głupie bydlę uderzone młotem kowalskim. Wlewamy mu do gardła kilka szklaneczek Fer-net-Brancas, kładziemy na ławie i zakrywamy mu oczy jego własnym szalikiem. Leży pojękując cicho. Po krótkiej chwili rozlega się chrapanie.
- Cc powiesz na jego ofertę? - pyta Carl. - Mamy ją przyjąć? Obiecuje po powrocie dać mi tysiąc franków. Wiem, że nie da, ale co ty na to?

Przygląda się Marlowe'owi rozciągniętemu na ła-
[58]

•, unosi szalik i kładzie go z powrotem. Nagle przebiegły "miech rozjaśnia mu twarz. Słuchaj, Joe - mówi, kiwając, bym się zbliżył weźmiemy go za słowo. Przejmiemy ten cholerny maga- i wyruchamy go na dobre.

- Co przez to rozumiesz?

- Jak to co? wywalimy pozostałych współpra-| owtlików i wypełnimy pismo własnymi duperelami - ot
po|

- No dobrze, ale jakimi duperelami?

- Wszystko jedno... nic na to nie będzie mógł
po-i.i.I/ic. wyruchamy go na dobre. Jeden dobry numer i jego m.i)';i/yn będzie skończony. Pójdiesz na to, Joe? Śmiejąc się i chichocząc stawiamy Marlowe'a na Rogi i holujemy do pokoju Carla. Po zapaleniu światła Itwierdzamy, że w łóżku czeka na Carla jakaś kobieta.

- Całkiem o niej zapomniałem - mówi Carl. Mówimy tej dupie, by się zmyła, i pakujemy do ln/k;i Marlowe'a. Po chwili ktoś puka do drzwi. To Van Norden. Jest cały w nerwach. Zgubił sztuczną szczękę - I κ idejrzewa, że w Bał Negre. Tak czy owak, włazimy do łóż-l i cała czwórka. Marlowe śmierdzi jak wędzona ryba.

Rano Marlowe i Van Norden idą szukać sztucznej w /cki. Marlowe bełkocze coś przez łyzy. Wyobraża sobie, I to on stracił zęby.

To mój ostatni obiad w domu naszego dramaturga. Właśnie wypożyczyli nowy fortepian koncertowy. Spotykam Sylwestra - wychodzi z kwiaciarni trzymając duży plastikowy kwiat w rękach. Pyta mnie, czy nie zechciałbym go potrzymać, a on tymczasem skoczy po

Miller Henry - Zwrotnik Raka

cygara. I oto jedna po drugiej przepierdoliłem tak starannie zaplanowane szanse na darmowe żarcie. Jeden po drugim zwracają się przeciwko mnie mężowie albo robią to ich żony. Maszerując ulicą z plastikowym kwiatem w rękach, myślę o tym wieczorze sprzed kilku miesięcy, kiedy wpadłem na pomysł darmowych obiadów. Siedziałem na ławce koło Coupole, bawiąc się ślubną obrączką, którą niedawno usiłowałem dać pod zastaw kelnerowi w Dóme. Proponował mi za nią sześć franków, co mnie rozwścieczyło. Ale żołądek domagał się swoich praw. Od czasu rozstania z Moną nosiłem obrączkę na małym palcu. Do tego stopnia stała się częścią mnie, że nigdy nie przyszło mi do głowy, aby ją sprzedać. Była to jedna z tych obrączek z białego złota, zdobionych kwiatami pomarańczy. Kiedyś warta była jakieś półtora dolara, może więcej. Przez trzy lata obywaliśmy się bez obrączek, aż kiedyś idąc na przystań po Monę przechodziłem przypadkiem koło jubilera na Maiden Lane i zobaczyłem ich pełno na wystawie. Kiedy dotarłem na przystań, Mony nie było. Czekałem, aż ostatni pasażer zejdzie z trapu, ale jej wciąż nie było. Poprosiłem w końcu o pokazanie mi listy pasażerów. Nie znalazłem tam jej nazwiska. Włożyłem obrączkę na mały palec, gdzie już pozostała. Kiedyś zostawiłem ją w łaźni publicznej, ale się znalazła. Odłamał się tylko jeden z kwiatów pomarańczy. Siedziałem więc ze spuszczoną głową na ławce bawiąc się obrączką, kiedy nagle ktoś klepnął mnie w plecy. Powiem krótko, że udało mi się

[60]

k i i i obiad i jeszcze na dodatek kilka franków. I wów-
i luk błyskawica przeszła mnie myśl, że chyba nikt nie i
u lim >williy człowiekowi jednego posiłku, gdyby ten
miał i Igę go zażądać. Natychmiast poszedłem do
kawiarni i n i p l H i i l c m około tuzina listów. „Czy pozwoli
pan, bym raz v tygodniu zjadł z panem obiad? Proszę
powiedzieć, jaki i leń najbardziej panu odpowiada”.
Podziałało to jak za-1 l', ' ic Nie dość, że mnie
karmiono... pozwalano mi się ob-■ i. H Co wieczór
wracałem do domu pijany. Starali się jak R l o g l y, I c
poczcive duszyczki, które stać było na miłosier-1 i' i
a/ w tygodniu. To co działo się ze mną między tymi
ttbludami, nie interesowało ich w najmniejszym stopniu.
I l c k i c d y co troskliwsi obdarowywali mnie papierosami
a l - ! " • dawali jakieś kieszonkowe. w sposób widoczny
oddy-| l u l i / ulgą, kiedy nabrali już pewności, że będą
mnie o- c i . i ' i a c l y l k o raz w tygodniu. Jeszcze większą
ulgę odczuwali gdy im oznajmiałem: „To już dłużej nie
będzie koniecz- i i i Nigdy nie pytali dlaczego.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Gratulowali mi, ot i wszystko ('zęsto powodem mojej rezygnacji było po prostu to, że i i idy wałem innych, lepszych gospodarzy; mogłem wtedy pozwolić sobie na wykreślenie tych, którzy zbyt truli mi 11 npe. Ale im nigdy by to nie przyszło do głowy. Miałem w reszcie stały, solidny program – ustalony harmonogram dla siebie i swojego żołądka. Wiedziałem, że we wtorki będę I.kII to, a w piątki tamto, że Cronstadt poczęstuje mnie unpanem i domowego wypieku plackiem z jabłkami, a < .111 zaprosi do restauracji, za każdym razem innej, zama-n lając rzadkie wina, po czym zabierze mnie do teatru albo ilu (iraque Medrano. Moi dobroczyńcy interesowali się soki nawzajem. Pytali, czyj dom lubię najbardziej, czyja I ni linia jest najlepsza itp. Najbardziej chyba lubiłem melinę (ronstadta – może dlatego, że za każdym razem cenę obiadu nanosił kredą na ścianie. Nie chodzi o to, że mojemu sumieniu było lżej ze świadomością, ile mu jestem wi-iu-ii, ponieważ i tak nie miałem zamiaru zwracać mu długu.

[61]

a i on nie żywił żadnych złudzeń, iż mu się kiedyś odwdzięczę. Nie, fascynowały mnie po prostu te niewiarygodne liczby, jakie mu wychodziły przy podliczaniu. Robił to z dokładnością co do centyma. Gdybym miał mu za wszystko zapłacić, musiałbym przełamać na pół jedno sou. Jego żona gotowała wspaniale i gówno ją obchodziły te centymy sumowane przez Cronstadta. Pobierała ode mnie opłatę w kopiach maszynopisów. To fakt! Jeśli nie miałem dla niej żadnych nowych tekstów, była zawiedziona. I za karę musiałem następnego dnia zabierać ich dziewczynkę do Ogrodów Luksemburskich i bawić się z nią przez dwie, trzy godziny, a zadanie to doprowadzało mnie do szału, bo mała nie znała żadnego języka poza węgierskim i francuskim. W sumie była to niezła zgraja dziwaków, ci moi gospodarze... U Tani patrzę z balkonu na suto zastawiony stół. Jest tam Moldorf, siedzi obok swego idola. Ogrzewa sobie stopy przy domowym ognisku. W wodnistych oczach obmierzły wyraz wdzięczności. Tania ćwiczy adagio, mówiąc bardzo wyraźnie: dość miłosnych zaklęć! Jestem znów przy fontannie, przyglądam się żółwiom sikającym zielonym mlekiem. Sylwester wrócił właśnie z Broadwayu z sercem przepełnionym miłością. Całą noc przeleżałem na ławce przy skwerze, gdy tymczasem kulę ziemską spryskiwał ciepły żółwi mocz, a konie wyprężone w fallicznej furii galopowały jak oszalałe, kopytami nie dotykając ziemi. Przez całą noc czuję zapach bzu w małym, ciemnym pokoju, w którym ona rozpuszcza włosy,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

bzu kupionego jej przeze mnie, gdy wychodziła po Sylwestra. Wrócił z sercem przepełnionym miłością, powiedziała, a bez jest w jej włosach i ustach, bez oplata jej pachy. Pokój zalewa miłość i żółwi mocz, i duszący bez, a konie galopują jak oszalałe. Rano brudne zęby i tłusty osad na okiennej szybie; furтка prowadząca na skwerek jest zamknięta. Ludzie spieszą do pracy, żaluzje grze-choczą jak zbroje. W księgarni naprzeciw fontanny leży historia jeziora Czad, milczących jaszczurek, cudownych od-
[62]

■ и, iiumiguty. Wszystkie te moje listy do niej, pijane - pипи tępym ogryzkiem ołówka, szalone - kawałkiem węg-11 ilrobne ulwory powstałe to na tej, to na innej ławce, fa-|fł i i ki, serwetki, lody z kandyzowanymi owocami... Będą I Itru/ przeglądali we dwoje, a on pewnego dnia pogratułu-1111 slr/epując popiół z cygara: „Rzeczywiście, całkiem l' piszesz. Zdaje się, że jesteś surrealistą, tak? Suchy, ła-N1I i' \ się głos, łupież na zębach, solo jak solar plexus, r jakii Słoję na balkonie z plastikowym kwiatem w rę-i ich, U z dołu nadal dobiega adagio. Klawisze czarne i bia-1' potem czarne, znowu białe, i jeszcze raz białe i czarne. A I l lyUisz, czy możesz mi coś zagrać. Tak, zagraj mi coś tymi Iwoimi wielkimi paluchami. Zagraj adagio, jako że znasz I li •> len jeden cholerny kawałek. Zagraj je więc, a potem ibi пИi sobie te paluchy. To adagio! Nie wiem dlaczego upiera się, by je bez i' ■ iwy grać. Nie wystarczało jej stare pianino, o nie -»i"ła wypożyczyć koncertowy fortepian, specjalnie do

i) adagia! Kiedy widzę, jak tłucze paluchami w klawisze, i obok mnie tkwi ten głupi plastikowy kwiat, czuję się jak izaleniec z północy, który wyrzucił ubranie, i siedząc na-I n.i ośnieżonych gałęziach, rzucał orzechy do morza peł-Ш B<' zamarzniętych śledzi. Jest coś irytującego w tym utwo-' ' inkas chybiona melancholia, jak gdyby napisano go w I iwie, jak gdyby był koloru mieszaniny ołowiu i mleka. A Sylwester z głową przechyloną na bok jak licytator, ten Syl-•' Iter mówi: „Zagraj jeszcze ten dragi kawałek, który dziś I w Iczyłaś". Jak pięknie jest mieć smoking, dobre cygaro i • mę, która ci gra na fortepianie. Jakież wytchnienie. Cóż za k<>|ący balsam. W przerwach między aktami wychodzisz zapalić i zaczerpnąć świeżego powietrza. Tak, jej palce są bar-'l/o giętkie, nadzwyczaj giętkie. Robi też batik. Chcesz spróbować bułgarskiego papierosa? Słuchaj, gołąbko, jaki li-sl len drugi kawałek, który

Miller Henry - Zwrotnik Raka

tak bardzo lubię? Scherzo!

[63]

Rzeczywiście, scherzo! Śliczne to scherzo. Przemawia tonem hrabiego Waldemara von Schwisseneinzug. Chłodne, pełne łupieżu oczy. Cuchnący oddech. Jaskrawe skarpety. 1 grzanki w zupie grochowej. W piątki zawsze mamy grochówkę. Napijesz się odrobinę czerwonego wina? Jak wiesz, czerwone wino podaje się do mięs. Suchy, dobitny głos. Może cygaro? Tak, lubię swoją pracę, ale nie przywiązuję do niej żadnego znaczenia. Moja następna sztuka opierać się będzie na pluralistycznej koncepcji wszechświata. Obrotowe bębny z wapiennymi światłami. O'Neill jest martwy. Sądzę, kochanie, że powinnaś częściej podnosić stopę z pedału. Tak, ta część jest bardzo ładna... bardzo ładna, nie uważasz? Tak, postacie chodzą po scenie z mikrofonami w spodniach. Akcja rozgrywa się w Azji, ponieważ warunki atmosferyczne są tam bardziej sprzyjające. Spróbujesz o-drobinę anjou? Kupiliśmy je specjalnie dla Ciebie... Przez cały obiad trwa ta gadanina. To tak, jakby wyciągnął tego swojego obrzezanego chuja i sikał na nas. Tania nie wytrzymuje napięcia. Ten monolog trwa od chwili, gdy wrócił z sercem przepełnionym miłością. Nawet kiedy się rozbiera, gada przez cały czas, mówi mi Tania – nieprzerwany strumień ciepłego moczu, jakby przedziurawiono mu pęcherz. Kiedy sobie wyobrażam, jak Tania wchodzi do łóżka z tym pękniętym pęcherzem, ogarnia mnie wściekłość. Pomyśleć tylko, że ten nędzny, zwiędły kutas, noszący w zanadrzu swoje kiepskie sztuki dla Broadwayu, leje na kobietę, którą kocham. I jeszcze domaga się czerwonego wina, obrotowych bębnow i grzanek w zupie grochowej. Ma facet tupet! Pomyśleć tylko, że może leżeć obok tego pieca, który dla niego rozpałiłem, i jedynie oddawać mocz! Mój Boże, człowieku, powinieneś paść na kolana i dziękować mi. Czy nie widzisz, że masz teraz w domu kobietę? Nie widzisz, że ona gotowa eksplodować? A ty mi gędzisz tym głosem zdławionym przez trzeci migdał: „Ależ, słuchaj, widzisz... można na to patrzeć w dwojaki sposób...” Pierdołę

[64]

i ilwojiiki sposób widzenia! Pierdołę twój pluralistyczny ■ • li iwiiiI i akustykę Azji! Nie chcę twojego czerwonegou anjou... chcę jej... należy do mnie! Ty idź posie-
ll. |n. v fortepianie, a mnie daj wachać bez!
Powybieraj
1 li łupież /. oczu... weź to cholerne adagio i zawiń je

Miller Henry - Zwrotnik Raka

w pa-
ii uh Inwych spodni! I ten drugi kawałek też... i
wszystkie
iw b'il\ |ki, klóre wygrywasz żałośnie swoim schorzałym
pę-
in I Iśmiechasz się do mnie z taką pewnością siebie i z
' 11 him\ y rachowaniem. Strasznie ci kadzę, nie
widzisz? Gdy
'i 11 и 11 мм i łych twoich pierdoł, ona pieści mnie
dłonią, ale
. ii un nic zauważasz. Sądzisz, że lubię cierpieć - to
moja
•l i mówisz. O.k. Ją o to zapytaj! Opowie ci, jak
cierpię.
li !• . rakiem i delirium" - powiedziała mi przez
telefon
[oś dnia. Teraz ona ma raka i delirium, a wkrótce i ty
i li •■/ musiał zdrapywać strupy. Mało jej żyły nie
pękną,
łowlc ci, a twoja gadanina to trociny. Bez względu na
to,
wynikasz, nigdy nie zatkasz dziur. Co powiedział pan
VrBli7 Słowa są samotnością. Zostawiłem ci wczoraj kilka
mi obrusie - przykryłaś je łokciami.
wzniósł wokół niej ogrodzenie, jak gdyby była bfullnH,
śmierdzącą kością jakiegoś świętego. Gdyby tylko
.....l odwagę powiedzieć: „weź ją!" może stałby się cud.
i vłko tyle. weź ją! a przysięgam, że wszystko dobrze by
się i un /ylo. Poza tym, może ja wcale bym jej nie
chciał - |l i iwe, czy kiedykolwiek przyszło mu to do
głowy. Albo
.....Iliym ją wziąć na jakiś czas i oddać mu w dużo
lepszym
iIWIIC. Choć otoczenie jej płotem nie zda się na nic.
wokół
łowicka nie wolno wznosić ogrodzenia. Tego się już nie
ГОбы Sądzisz, biedaku, ty uschnięty kutasie, że nie
jestem
iIIn niej dostatecznie dobry, że mogę ją zbrukać,
sprofano-
" Nie wiesz, jak smaczna jest zbrukana kobieta, jak
i" I. wita dzięki zmianie spermy! Myślisz, że wystarczy
serce
in /.cpełnione miłością... Może tak i jest, w przypadku
odpo-
Mi.lniej kobiety, ale ty już nie masz serca... jesteś
tylko
nikim, pustym pęcherzem. Ostrzysz sobie kły i doskona-

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Ewrotnik.

[65]

Ysz skowyt. Pętasz się u jej stóp jak pies łańcuchowy, posi kujący gdzie popadnie. Ona nie uważała cię za psa... brała cię za poetę. Powiedziała, że kiedyś byłeś poetą. A czymże jesteś teraz? Odwagi, Sylwestrze, odwagi! Wyjmij ten mik rofon ze spodni. Postaw tylną łapę na ziemi i przestań sikać, gdzie popadnie. Odwagi, powtarzam, ponieważ ona i tak cię już porzuciła. Jest splugawiona, mówię ci, toteż równie dobrze możesz rozebrać ogrodzenie. Twoje uprzejme pyta nie czy nie uważam, że kawa smakuje jak kwas karbolowy jest bez sensu - nie odstraszy mnie. Włóż do kawy trutkę na szczury, dodaj odrobin? tłuczonego szkła. Przyrządź trochę wrzącego moczu i wrzuć do niego gałkę muszkatołową...

v

Przez kilka minionych tygodni żyłem we wspólnocie z cie. Musiałem dzielić się sobą z innymi, przede wszystkim z kilkoma zwariowanymi Rosjanami, pijanym Holendrem, ogromną Bułgarką o imieniu Olga. Jeśli chodzi o Rosjan, to byli to głównie Eugene i Anatole.

Dopiero kilka dni temu Olga opuściła szpital, gdzie wypalono jej jajowody (straciła trochę nadwagi. Niemnie wcale nie wygląda, że tak wiele wycierpiała. Wazy prawie tyle co dwugarbna lokomotywa; leje się z niej pot, ma ciężki oddech i nadal nosi tę swoją czerniejszą perukę wyglądającą jak wełna drzewna. Na brodzie ma dwie wielkie krostki, z których wyrastają kępki krótkich włosów; ma teraz wąsy.

Nazajutrz po wyjściu ze szpitala Olga zaczęła znów robić buty. Już o szóstej rano siedzi przy swojej ławie; rządzą dwie pary butów dziennie. Eugene narzeka, że Olga jest dla niego ciężarem, ale prawda wygląda tak, że to Olga utrzymuje Eugene'a i jego żonę swoimi dwoma parami butów dziennie. Gdy Olganie pracuje, nie mają co jeść. Tędy

[66]

i i .1\ 1.na się, by ją w porę położyć do łóżka, zapewnić jej i led/enia, by mogła nadal funkcjonować, itd.

(Miad zaczyna się zawsze od zupy. Każda z nich, 11 lnilowa, pomidorowa, jarzynowa czy jakakolwiek inna, C smakuje tak samo. Zwykle tak, jakby ugotowano ją ni, ki cc do mycia naczyń - trochę kwasu, pleśni, piany. W "i c, jak po obiedzie Eugene chowa resztki zupy do

Miller Henry - Zwrotnik Raka

kre-

i и и Stoją tam i psują się aż do następnego dnia. Masło
|l wstawia się do kredensu; po trzech dniach smakuje
jak

In \ palec u nogi umarłaka.

Odór podsmażanego zjełczałego masła nie wpływa

|i\lino na apetyt, zwłaszcza jeśli gotuje się w pokoju
po-

!• iwionym dopływu świeżego powietrza. Otwieram drzwi i
и им hmiast zbiera mi się na wymioty. Ale Eugene,
słyszac,

I nadchodzę, podnosi żaluzje i ściąga prześcieradło
rozpo-

i irtc na oknie jak sieć rybacka, aby nie wpuszczać
słońca, lin 'lny Eugene! Rozgląda się po pokoju, patrzy
na tych kil-I a mebli, na brudne prześcieradła i
umywalkę wciąż wypeł-|.....1 brudną wodą, i mówi:
„Jestem niewolnikiem!” Poit iai /a to dzień po dniu, i
to nie raz, ale tuzin razy. A potem
tlcjmuje ze ściany gitarę i śpiewa.

Wracając jednak do zapachu zjełczałego masła... Mam leż
i pozytywne skojarzenia. Gdy pomyślę o tym zjeł-• .ilym
maśle, widzę siebie na małym podwórku z dawnej ■ poki,
bardzo śmierzącym i bardzo ponurym. Przez szpary w
/aluzjach przypatrują mi się dziwne postacie...

staruszki otulone szalami, karły, alfonsi o szczurzych
twarzach, zgar-liirni Żydzi, midinettes, zarośnięci
idioci. wychodzą chwiejnym krokiem na podwórko, by

nabrać wody albo wypłukać ui.nlra po pomyjach. Kiedyś
Eugene poprosił mnie o o-i'i"/nienie wiadra. Poszedłem z
nim w róg podwórka. W

inni była dziura, wokół której leżały jakieś brudne
papie-i v Studzienka była śliska od ekskrementów lub,
nazywając i iv/ po imieniu, po prostu od gówna.

Przechyliłem wiadro

[67]

ksz skowyt. Pętasz się u jej stóp jak pies łańcuchowy,
posi-kujący gdzie popadnie. Ona nie uważała cię za
psa... brała cię za poetę. Powiedziała, że kiedyś byłeś
poetą. A czymże jesteś teraz? Odwagi, Sylwestrze,
odwagi! Wyjmij ten mikrofon ze spodni. Postaw tylną łapę
na ziemi i przestań sikać, gdzie popadnie. Odwagi,
powtarzam, ponieważ ona i tak cię już porzuciła. Jest
spługawiona, mówię ci, toteż równie dobrze możesz
rozebrać ogrodzenie. Twoje uprzejme pytanie, czy nie
uważam, że kawa smakuje jak kwas karbolowy, jest bez
sensu – nie odstraszy mnie. włóż do kawy trutkę na
szczury, dodaj odrobinę tłuczonego szkła. Przyrządź

Miller Henry - Zwrotnik Raka

trochę wrzącego moczu i wrzucić do niego gałkę muszkatołową...

Przez kilka minionych tygodni żyłem we wspólnocie. Musiałem dzielić się sobą z innymi, przede wszystkim z kilkoma zwariowanymi Rosjanami, pijanym Holendrem i ogromną Bułgarką o imieniu Olga. Jeśli chodzi o Rosjan, to byli to głównie Eugene i Anatole.

Dopiero kilka dni temu Olga opuściła szpital, gdzie wypalono jej jajowody i straciła trochę nadwagi.

Niemniej wcale nie wygląda, że tak wiele wycierpiała.

Waży prawie tyle co dwugarbna lokomotywa; leje się z niej pot, ma cuchnący oddech i nadal nosi tę swoją czerkieską perukę wyglądającą jak wełna drzewna. Na brodzie ma dwie wielkie ku-rzajki, z których wyrastają kępki krótkich włosów; zapuszcza teraz wąsy.

Nazajutrz po wyjściu ze szpitala Olga zaczęła znów robić buty. Już o szóstej rano siedzi przy swojej ławie; sporządza dwie pary butów dziennie. Eugene narzeka, że Olga jest dla niego ciężarem, ale prawda wygląda tak, że to ona utrzymuje Eugene'a i jego żonę swoimi dwoma parami butów dziennie. Gdy Olga nie pracuje, nie mają co jeść. Toteż

[66]

i i .l\ siara się, by ją w porę położyć do łóżka, zapewnić jej iiiici jedzenia, by mogła nadal funkcjonować, itd.

Obiad zaczyna się zawsze od zupy. Każda z nich, II hlllowa, pomidorowa, jarzynowa czy jakakolwiek inna, € smakuje tak samo. Zwykle tak, jakby ugotowano ją u I li lorce do mycia naczyń – trochę kwasu, pleśni, piany. s\ "l ', jak po obiedzie Eugene chowa resztki zupy do kre->li u .u Stoją tam i psują się aż do następnego dnia. Masło i' wstawia się do kredensu; po trzech dniach smakuje jak illl y palec u nogi umarłaka.

Odór podsmażanego zjełczałego masła nie wpływa I >s 1111* > na apetyt, zwłaszcza jeśli gotuje się w pokoju poim» innym dopływu świeżego powietrza. Otwieram drzwi i ним hmiast zbiera mi się na wymioty. Ale Eugene, słysząc, u idchodzę, podnosi żaluzje i ściąga prześcieradło rozpo-i irtc na oknie jak sieć rybacka, aby nie wpuszczać słońca. Ми liny Eugene! Rozgląda się po pokoju, patrzy na tych kil-i i mebli, na brudne prześcieradła i umywalkę wciąż wypeł-ИЮПИ) brudną wodą, i mówi: „Jestem niewolnikiem!” Po-i u .i to dzień po dniu, i to nie raz, ale tuzin razy. A potem ■ I' 11 u uje ze ściany gitarę i śpiewa.

Wracając jednak do zapachu zjełczałego masła... M.nii też i pozytywne skojarzenia. Gdy pomyślę o tym zjeł-

Miller Henry - Zwrotnik Raka

■ ilyni maśle, widzę siebie na małym podwórku z dawnej
■ póki, bardzo śmierdzącymi bardzo ponurym. Przez szpary /aluzjach przypatrują mi się dziwne postacie... staruszki utulone szalami, karły, alfonsi o szczurzych twarzach, zgar-hli ni żydzi, midinettes, zarośnięci idioci. wychodzą chwiejnym k rokiem na podwórko, by nabrać wody albo wypłukać wiadra po pomyjach. Kiedyś Eugene poprosił mnie o o-pfożnienie wiadra. Poszedłem z nim w róg podwórka. W мин była dziura, wokół której leżały jakieś brudne papie-i y si udzienka była śliska od ekskrementów lub, nazywając i < < r po imieniu, po prostu od gówna. Przechyliłem wiadro

[67\
i rozległ się ohydny, bulgoczący plusk, po nim drugi, a potem niespodziewany rozbryzg. Kiedy wróciłem, zupa była już rozlana. Przez cały obiad myślałem o swojej szczoteczce do zębów – jest już stara i jej włoski włożą mi między zęby. Przy stole zawsze zajmuję miejsce koło okna. Boję się usiąść po drugiej stronie stołu – stoi zbyt blisko łóżka, rojącego się od robactwa. Gdy spojrzę w tamtą stronę, widzę plamy krwi na szarych prześcieradłach, ale staram się tam nie patrzeć.

wyglądam na podwórko, gdzie płuczą wiadra na pomyje.

Obiad nigdy nie byłby kompletny bez muzyki. Gdy tylko podadzą sery, Eugene zrywa się i sięga po gitarę wiszącą nad łóżkiem. Śpiewa zawsze tę samą piosenkę. Twierdzi, że ma ich w swoim repertuarze piętnaście czy szesnaście, nigdy jednak nie słyszałem więcej niż trzy. Jego ulubiona to Charmant poete й'атоиг. Przepojona jest angoisse i tristesse.

Po południu idziemy do kina, gdzie panuje chłód i mrok. Eugene siada do fortepianu w kanale orkiestrowym, a ja lokuję się w pierwszym rzędzie. Sala jest pusta, ale Eugene śpiewa, jakby na widowni zasiadały wszystkie koronowane głowy Europy. Drzwi do ogrodu są otwarte i do środka sączy się zapach mokrych liści, a szmer deszczu zlewa się w jedno z angoisse i tristesse Eugene'a. O północy, kiedy sala przesiąkła już potem i wyziewami widzów, wracam, by się tu przespać. Światełko z napisem „wyjście”, unosząc się w aureoli tytoniowego dymu, rzuca nikły blask na dolny róg azbestowej kurtyny; co noc zamykam oczy, mając przed sobą sztuczne oko...

Stoję ze szklanym okiem na podwórku; jedynie połowa świata jest zrozumiała. Kamienie są wilgotne i omszałe, w szczelinach między nimi żyją czarne ropuchy. wielkie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

drzwi bronią dostępu do piwnicy, schody są śliskie i zapaskudzone odchodami nietoperzy. Drzwi są wypaczone i krzywo osadzone, zawiasy odpadają, ale przytwierdzona do [68]

mi ihowana tabliczka w doskonałym stanie głosi: „Za-
l 11 drzwi”. Po co zamykać drzwi? Nie mogę tego pojąć.
i 11 • 1. 1111 jeszcze raz ku tabliczce, ale okazuje
się, że ją
- „,„. i,, na jej miejscu znajduje się okienko z
kolorowego
i i ' wyjmuję moje sztuczne oko, pluję na nie i
poleruję
i i i cc/.ką do nosa. Na podium wznoszącym się nad ogro-
iii rzeźbionym biurkiem siedzi jakaś kobieta; jej szyję
i lulu wąż. Wzdłuż ścian całego pokoju stoją książki, a
w
kolorowych szklanych słojach pływają dziwne ryby, na
i much wiszą mapy i plany, mapy Paryża sprzed zarazy,
■ laiożytnego świata, Knossos i Kartaginy, Kartaginy
i' ■ ■! i po zasoleniu ziemi. W rogu pokoju zauważam
żelaz-
и li i/к o, na którym leżą zwłoki; kobieta wstaje
ciężko,
podnosi zwłoki z łóżka i niedbale, jakby nieobecna,
wyrzu-
| r przez okno. Powraca do ogromnego rzeźbionego biur-
i i \ v jmuje ze słoja złotą rybkę i połyka ją.
Powoli pokój
" yiui wirować i kontynenty, jeden po drugim, osuwają
|| 'l" morza. Pozostaje jedynie kobieta, lecz jej ciało
jest
Mtkil| geografii. wychyliam się przez okno, a z wieży
Eiffla
|| l л musujący szampan; zbudowana jest z samych cyfr
i
powita w czarną koronkę. Ścieki groźnie bulgoczą. Gdzie
pojrzcć, wszędzie-tylko dachy ułożone z ohydny, geome-
и vi /nyin wyrafinowaniem.
Zostałem wyrzucony ze świata jak pocisk. Opadła ii mgła,
ziemia powalana jest zamrożonym smarem. 1 111'-
pulsowanie miasta, jak gdyby było sercem zaledwie |ync
minut temu usuniętym z ciepłego ciała. Okna mego ho-i'
In ropieją i czuć gęsty, drażniący smród, jak gdyby
palono i 11 и ■. chemikalia. Wpatrując się w Sekwanę,
widzę błoto i ptlltke, tonące lampy uliczne, mężczyzn i
kobiety dławią-Oych się śmiertelnie, mosty zarzucone
domami – jatkami miłości. Jakiś facet z akordeonem

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przypiętym do brzucha i w opierając się o ścianę; ręce
ma odcięte w nadgarstkach, ile akordeon wije się między
jego kikutami jak worek pełen w i, v v. wszechświat
skurczył się, osiągając rozmiary czworo-
[69]

>

boku kamienic i nie ma w nim gwiazd, drzew, rzek. Ludzie
tu mieszkający są martwi; zajmują się wykonywaniem
krzesół, na których siadają inni ludzie w swoich snach.
Na środku ulicy znajduje się koło, w jego piaście
zainstalowano szubienicę. Martwi już ludzie desperacko
usiłują się na nią wspiąć, lecz daremnie: koło obraca
się zbyt prędko...

Trzeba mi było czegoś, by się pogodzić ze sobą. Wczoraj
wieczorem odkryłem to coś: Papini. Nie interesuje mnie,
czy jest szowinistą, drobnym religijnym fanatykiem, czy
też krótkowzrocznym pedantem. Wspaniały jest jako
człowiek przegrany...

Książki, które czytał... już w wieku osiemnastu lat! Nie
dość, że Homer, Dante, Goethe, nie tylko Arystoteles,
Platon, Epiktet, nie tylko Rabelais, Cervantes, Swift,
nie tylko Walt Whitman, Edgar Allan Poe, Baudelaire,
Villon, Carducci, Manzoni, Lope de Vega, wreszcie
Nietzsche, Schopenhauer, Kant, Hegel, Darwin, Spencer,
Huxley – nie tylko oni, ale i wszystkie pozostałe małe
płotki. To na stronie 18. Alors, na stronie 232 załamuje
się, przyznając jak na spowiedzi: „Nie wiem nic. Znam
tytuły, sporządzałem bibliografie, pisałem eseje
krytyczne, oczerniałem i szkalowałem... Mogę głądzić
przez pięć minut albo przez pięć dni, ale potem daję
spokój, czuję się wyjąłowany”.

Po czym ciągnie: „Każdy chce się ze mną spotkać, każdy
chce ze mną rozmawiać. Ludzie niepokoją mnie i niepokoją
innych pytaniami o mnie. Jak się mam? Czy już czuję się
lepiej? Czy wciąż jeżdżę na wieś, by spacerować? Czy
pracuję? Czy skończyłem książkę? Czy wkrótce rozpocznę
następną?

Zasuszona małpka, jakiś Niemiec, chce, bym przetłumaczył
jego dzieła. Młoda Rosjanka z szaleństwem w oczach
pragnie, bym napisał dla niej swoją autobiografię. Jakaś
amerykańska dama domaga się ode mnie informacji z
[70]

chwili. Z kolei pewien amerykański dżentelmen
i powóz, by mnie zabrać na obiad – na taką, wiecie,
ni), poufną pogawędkę. Stary kolega szkolny i mój
1i • I sprzed dziesięciu lat pragnie, bym mu
odczytywał,

I rt po dniu, wszystko, co napiszę. Znajomy malarz

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ocze-

i będę mu pozował na godziny. Jakiś dziennikarz
и.и mój obecny adres. Przygodny znajomy, mistyk,
i luje się o stan mojej duszy, inny, bardziej
praktyczny

P Lin mego portfela. Prezesa mojego klubu interesuje,
| wygłoszę mowę do chłopaków! Jakaś dama o metafizy-
'i • li inklinacjach wyraża nadzieję, że będę jak
najczęściej-

i i r l j d a l do niej na herbatkę. Chce poznać moje
zdanie

li ii.it- ('hrystusie i dowiedzieć się, co sądzę o tym
nowym

HU • Innu?...

wielki Boże! kimże ja się stałem? Jakże macie pra-
• и v lam, zaśmiecać moje życie, kraść mój czas,
szperać

ll i markach mojej duszy, wysysać moje myśli, trakto-
II pine jak kompana, powiernika i informatora? Za kogo
I\ mnc macie? Czy jestem komediantem na etacie, od któ-
'i • ' wymaga się, by codziennie odgrywał intelektualną
far-

■ ni waszych durnych oczach? Czy może niewolnikiem
zakupionym na targowisku, bym na brzuchu czołgał się
przed mmi i nierobami, i składał u waszych stóp
wszystko, co

Hihic, i wszystko, co wiem? Czyż jestem panienką z
lupa-• i nu klórej każe się unosić spódnicę albo
zdejmować bie-

..... lak na licytacji, na skinienie pierwszego
lepszego face-

i i którego stać na garnitur od krawca?

Jestem człowiekiem, który chciałby wieść życie

he-iini/he i uczynić świat znośniejszym – przynajmniej
we

i i mych oczach. Jeżeli w chwilach słabości,
rozleniwienia, l и 'i i «by daję upust gniewowi –
rozpalony do czerwoności

\ bucham wściekłością ostudzoną, bo ujętą w słowa, w
ja-I miś namiętym śnie opakowanym w poetyckie obrazy –
mkceptujcie to albo nie... ale dajcie mi spokój!

Jestem człowiekiem wolnym i ta wolność jest mi

[71]

W

potrzebna. Muszę być sam. Czuję potrzebę analizowania
swego wstydu i rozpaczę w osamotnieniu; potrzeba mi słoń
ca i brukowych ulicznych kamieni – bez towarzyszy, be/
rozmów; muszę stać twarzą w twarz ze sobą, mając za to

Miller Henry - Zwrotnik Raka

warzystwo jedynie muzykę własnego serca. Czego ode mnie chcecie? Kiedy mam coś do powiedzenia, publikuję to. Kiedy mam coś do ofiarowania, ofiarowuję to. Mdlę mnie od waszej wścibskiej ciekawości! Wasze komplementy są upokarzające! Wasze herbatki – trujące! Nikomu nic nie jestem winien. Odpowiadać będę jedynie przed samym Bogiem – jeśli On istnieje!"

Wydaje mi się, iż Papini o włos chyba sedna sprawa wy, mówiąc o tym, że należy żyć w pojedynkę. To wcale nie trudne, kiedy się jest biedakiem i człowiekiem przegrany. Artysta zawsze jest sam – jeśli jest artystą. Nie, tym czego artysta potrzebuje, jest samotność.

Proszę, proszę, mówię o sobie – artysta. Niech będzie. Zdrzemnąłem się dziś smacznie po południu. Drzemka wymościła mi kręgi aksamitem i przyniosła tyle pomysłów, że starczy mi ich na trzy dni. Jestem po brzegi wypełniony energią, z którą nie mam co zrobić. Decyduję się na spacer. Już na ulicy zmieniam plany. Postanawiam iść do kina. Nie mogę iść do kina – brakuje mi kilku sou. Zatem spacer. Przy każdym kinie zatrzymuję się i oglądam plakaty, potem zerkam na cennik. Te opiumowe spelunki są dość tanie, ale mam o kilka sou za mało. Gdyby nie było tak późno, mógłbym wrócić i sprzedać pustą butelkę.

Kiedy dochodzę do Rue Amelie, zupełnie zapominam o kinie. Rue Amelie to jedna z moich ulubionych uliczek. Należy do tych, które władze miejskie zapomniały na szczęście wybrukować. Wypukłości ogromnych połączonych kamieni biegną z jednej strony na drugą. Uliczka ma długość jednego bloku kamienic i jest bardzo wąska. Znajduje się przy niej Hotel Pretty. Jest też na Rue Amelie mały kościółek. Wygląda, jakby zbudowano go specjalnie dla prezy-

[72]

■ i i Republiki i jego najbliższej rodziny. Dobrze jest od i i .lo czasu zobaczyć taki skromny kościółek. w Paryżu • !• ihi pompatycznych katedr.

Pont Alexandre III. wokół mostu rozległa, otwarta i i strzeń, po której hula wiatr. Posępne, nagie drzewa iHilli ' /one z matematyczną dokładnością w żelaznych i ■ ilownicach; smutek Inwalidów wypływa z kościoła zaleli w przylegające do placu mroczne ulice. Kostnica poezji. .ic spoczywa tam, gdzie chcieli, ów wspaniały wojów-llll iislalni wielki człowiek Europy. Śpi twardym snem na n mi granitowym łożu. Nie ma obawy, że się przewróci w bil* Drzwi zaryglowane, wieko dobrze dociśnięte. Spij, 4" Ironie! To nie twoje idee były im

Miller Henry - Zwrotnik Raka

potrzebne, a twoje loki!

Rzeka jest wciąż wezbrana, błotnista, poprzecinali i imugami światła. Nie wiem, co budzi się we mnie na widok jej ciemnego, wartkiego nurtu, ale ogarnia mnie wielki iiii/jazm, potwierdzając głębokie pragnienie pozostania im /awsze w tym zakątku ziemi. Pamiętam, jak przechodziłem lędy wczoraj w drodze do biura American Express, z i \ wiedząc, że nie będzie dla mnie żadnej poczty, czeku, li i i riamu, niczego, zupełnie niczego. Furgon z Galeries La-

■ I te toczył się z turkotem przez most. Przestało padać i lońec przedzierające się przez mydlane chmury padało na

Putnowisko dachów, wybuchając zimnym ogniem. Przypominam sobie, jak woźnica wychylił się spoglądając w górę i i k i w stronę Passy. Było to takie zdrowe, naturalne, pełne iprobaty spojrzenie, jakby mówił do siebie: „Ach, zbliża się wiosna!” Bóg dobrze wie, że kiedy wiosna ogarnia Paryż, n.i|inizerniejszy żywy śmiertelnik musi tu czuć, że żyje w ra-' I u Ale to nie tylko o to chodziło, lecz o zażyłość, z jaką jego oko spoczęło na tym obrazie. To byi jego Paryż. Nie trzeba być hogatym, nie trzeba nawet być mieszkańcem tego mia-sła, by żywić takie uczucia wobec Paryża. Wydaje mi się, że lo miasto pełne jest biedaków – najdumniejszych i naj-

[73]

^^-

nędzniejszych żebraków pod słońcem. Sprawiają oni zarazem wrażenie, jakby byli u siebie w domu. To właśnie odróżnia paryżan od wszystkich innych mieszkańców metropolii.

Kiedy myślę o Nowym Jorku, snuję zupełnie inne refleksje. Nowy Jork sprawia, że nawet bogacz czuje tam swą marność. Nowy Jork jest zimny, błyszczący, jadowity. Dominują tam gmachy, nie ludzie. We wszystkim, co się dzieje, panuje jakiś szalony pośpiech, niczym we wnętrzu atomu; im bardziej szalone tempo, tym uboższy duch. Bezustanny ferment, ale tak jakby odbywał się w probówce. Nikt nie wie, o co tu chodzi. Nikt nie nadaje kierunku energii. Potworne. Dziwaczne. Niepojęte. Niepohamowany pęd gigantycznej reakcji, pozbawiony przy tym jakiegokolwiek kontroli.

Kiedy myślę o tym mieście, gdzie się urodziłem i wychowałem, o Manhattanie opiewanym przez Whitmana, ślepy, rozpalony do białości szął liże moje trzewia. Nowy Jork! Białe więzienia, chodniki rojące się od robaków, kolejki po pieczywo, opiumowe spelunki kin

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zbudowanych jak pałace, żydki, których tam pełno, trędowaci, gangsterzy, ale przede wszystkim ta nuda, ta monotonia twarzy, ulic, nóg, domów, drapaczy chmur, jedzenia, plakatów, zawodów, przestępstw, miłości... Całe miasto wzniesione nad przeraźliwą pustką, nad otchłanią nicości. Bez sensu. Całkowicie bez sensu. A Czterdziesta Druga Ulica! Wierzchołek świata – tak ją nazywają. Gdzież więc jest dno? Możesz bez końca wędrować z wyciągniętymi rękoma, a do kapelusza wrzucą ci żużlu. Bogaci i biedni spacerują z odrzuconą w tył głową i o mało nie złamią sobie karku, patrząc w górę na swoje piękne białe więzienia. Maszerują jak ślepe gęsi, a reflektory rzucają plamy ekstazy na ich puste twarze. „Życie” – stwierdził Emerson – „jest dla nas wszystkim i /nini przez cały dzień poświęcamy każdą naszą III i li-sli lo prawda, to moje życie jest wyłącznie długim

||l ■ woilem pokarmowym. Nie dość, że całymi dniami myślę - " |od/.cniu, to jeszcze śni mi się ono po nocach.

Nie dopraszam się jednak, by wrócić do Ameryki, UDU i znaleźć się w małżeńskim jarzmie, pracować w kiera-

| Nie, wolę być biednym człowiekiem w Europie. Bóg wi- i ' c jestem dostatecznie biedny – pozostaje to drugie –

ttyi i /łowickiem. W zeszłym tygodniu zdawało mi się, że

| i n krok dzieli mnie od rozwiązania problemu egzysten-

)| uważałem, że jestem na najlepszej drodze do osiągnięcia

.....wystarczalności. Przypadkiem natknąłem się na je- i /c jednego Rosjanina – na imię ma Serge. Mieszka w UH mes, gdzie można znaleźć małą kolonię emigracji i pod- ucyiicyi artystów. Przed rewolucją Serge był kapitanem li ||'i'uardii; mierzy sześć stóp i trzy cale bez butów, a wóde

i lgnie jak gąbka. Jego ojciec był admirałem albo kimś ta-

i.....u pancerniku „Potiomkin”.

Spotkałem Serge'a w dość niezwykłych okolicznoś- ' ii li wędząc któregoś dnia w poszukiwaniu jedzenia znału/Inn się przed południem w okolicach Folies-Bergere, ■ Iñlc mówiąc w pobliżu tylnego wejścia, w wąskiej uliczce I .nu zając się żelazną bramą. Kręciłem się koło wejścia na •' lic, mając nadzieję niby niechcący otrzeć się o jedną z i nu uek-motyłków, kiedy odkryta ciężarówka zatrzymała u, przy krawężniku. Widząc, jak stoję z

Miller Henry - Zwrotnik Raka

rękami w kiesze-
li, kierowca, którym był Serge,
pyta mnie, czy nie po-
iłłngłbym mu rozładować żelaznych
beczek. Kiedy dowia-
• lii|i- się, że jestem Amerykaninem
i do tego bez grosza, nie-

[75]

mai płacze z radości. Okazuje się, że na prawo i lewo
poszukiwał nauczyciela angielskiego. Pomagam wtoczyć mu
do środka beczki z jakąś owadobójczą substancją i do
woli mogę napatrzeć się na motylki fruujące za
kulisami. Całe zdarzenie przybiera dla mnie
nieprawdopodobne wymiary – pusty gmach, wypchane
trocinami manekiny podskakujące za kulisami, beczki ze
środkiem przeciwko insektom, pancernik „Potiomkin”, a
przede wszystkim – łagodność Serge'a. Jest wielki i
delikatny; to mężczyzna w każdym calu, ale o sercu
kobiety.

W pobliskiej kawiarni – Cafe des Artistes – od razu
proponuje mi nocleg; ułokuje mnie na materacu w
korytarzu. W zamian za lekcje obiecuje dawać mi
codziennie jeść, obfity rosyjski obiad, a jeśli z
jakiegoś powodu go zabraknie, to pięć franków. Brzmi to
wspaniale – wspa--nia-le. Jedyne, co mnie trapi, to jak
się będę codziennie dostawał z Suresnes do biura
American Express.

Serge nalega, byśmy zaczęli od dziś – daje mi pieniądze
na bilet, bym jeszcze wieczorem przyjechał do Suresnes.
Docieram tam ze swoim plecakiem na krótko przed obiadem,
by udzielić Serge'owi pierwszej lekcji. Na miejscu jest
już kilkoro gości – wygląda na to, że zawsze jedzą
gromadnie i każdy wnosi jakiś udział.

Siedzi nas przy stole ośmioro... i trzy psy. Psy jedzą
najpierw. Jedzą owsiankę. Potem my. Też jemy owsiankę...
jako przystawkę.

– Chez nous – mówi Serge z błyskiem w oku – c'est pour
les chiens, les Quaker Oats. Ici pour le gentleman.

Ca y a.

Po owsiance – zupa grzybowa i jarzyny, potem
omlet na bekonie, owoce, czerwone wino, wódka, kawa i
papierosy. Niezgarsze te rosyjskie obiady. Wszyscy
gadają z pełnymi ustami. Pod koniec obiadu żona Serge'a
– leniwa armeńska krowa – wali się na kanapę i zaczyna
od niechcienia zajadać cukierki. Grubymi paluchami
grzebie w pu-

[76]

|l Ii i ku, odgryza kawałeczek, by zobaczyć, czy w
środku i"il llkwr, po czym rzuca go psom na podłogę.
(idy tylko obiad się kończy, goście prędko wycho-i i l

Miller Henry - Zwrotnik Raka

leickają w popłochu, jakby się obawiali zarazy. Serge ■
i i DHlajemy z psami, jego żona zasnęła na kanapie.

Serge 1 trosko krząta się po pokoju, wyskrobuje
resztki dla

Psy bardzo lubią - mówi. - Bardzo dobre dla

i' "\ Mały piesek, on ma robaki... jest jeszcze za
młody.

Pochylony przygląda się kilku białym robakom le-

i' \ ni na dywanie między psimi łapami. Usiłuje opowie-

i i' i mi o robakach po angielsku, ale jego słownictwo
jest

i' i ubogie. Sięga w końcu po słownik.

- Ach - mówi, spoglądając na mnie i nie posia-i 11 |i
się /, radości - tasiemce!

Moja reakcja nie jest widocznie zbyt inteligentna. ■<•
peszy się. Pada na czworaki, by lepiej im się przyjrzeć.

I"i I nosi jednego i kładzie na stole obok owoców.

- Oho, on nieduży - mruży. - Podczas na-li i ■

111-j lekcji nauczysz mnie robaków, dobrze? Jesteś dobry
..... yciel. Robię postępy z tobą...

Gdy leżę na materacu w korytarzu, odór środka

llwedobójczego jest tak silny, że się duszę. Jego

gryzący, iliu/iiaący odór atakuje każdy por ciała.

Zaczyna mi się od-płatki owsiane Quakera, grzyby, bekon,

pieczone i ilillli. Widzę małego tasiemca obok owoców i

wszelkie od-"ii mv robaków, które Serge rysował, by mi

wyjaśnić, co |b jego psu. Widzę pusty parter

Folies-Bergere: każda i /rlina roi się od karaluchów i

wszy, i pluskiew - widzę, luk ludzie drapią się jak

opętani, drapią i drapią aż do krwi. w liizę robaki

łażące wśród rekwizytów jak armia czerwo-" i li mrówek;

pożerają wszystko w zasięgu wzroku. widzę, liik

ihórzystki zrzucają tiulowe tuniki i biegają nago między

I ■. .I.uiii foteli; widzowie na parterze też zrzucają

ubrania i ilinpią się nawzajem jak stado małp.

[77]

Usiłuję się uspokoić. Ostatecznie znalazłem tu

dom, gdzie codziennie będę się mógł posilić. A Serge to

swój człowiek, nie ulega wątpliwości. Ale nie mogę

zasnąć. Czuję się, jakbym spał w kostnicy. Materac jest

prześlaknięty płynem do balsamowania zwłok. To kostnica

dla wszy, pluskiew, karaluchów, tasiemców. Nie mogę tego

znieść. Nie zniosę tego! Ostatecznie jestem człowiekiem,

nie wszą. Rano czekam, aż Serge załaduje ciężarówkę.

Proszę go, by mnie podwiózł do Paryża. Nie mam serca mu

powiedzieć, że się wynoszę. Zostawiam plecak, w którym

jest tych kilka przedmiotów, jakie mi pozostały. Kiedy

dojeżdżamy do Place Pereire, wyskakuję. Nie ma jakiegoś

Miller Henry - Zwrotnik Raka

szczególnego powodu, bym akurat tu wysiadał. Nie ma żadnego szczególnego powodu do czegokolwiek. Jestem wolny – to najważniejsze...

Lekki jak ptaszek fruwać z jednej dzielnicy do drugiej. Czuję się jak wypuszczony z więzienia. Patrzę na świat innymi oczyma. Wszystko żywo mnie interesuje. Nawet błahostki. Na Rue du Faubourg Poissonniere zatrzymuję się przed oknem salonu kultury fizycznej. Są tu fotografie przedstawiające okazy męskości „przed i po”. Same żabojady. Niektórzy z nich są nadzy, jeśli nie liczyć pin-ce-nez albo brody. Nie rozumiem, jak te ptaszki ulegają urokowi drążków i hantli. Żabojad powinien mieć odrobiny wystający kałdun, jak baron de Charlus. Powinien mieć brodę i pince-nez, ale nigdy nie powinien się fotografować nago. Powinien nosić błyszczące wysokie buty z prawdziwej skóry, a z kieszonki jego sakpalta winna wystawać biała chusteczka na jakieś trzy czwarte cala. Jeśli to możliwe, powinien mieć czerwoną wstążeczkę w butonierce. Idąc spać powinien zakładać piżamę.

Zbliżając się pod wieczór do Place Clichy, mijani małą kurewkę z drewnianym kikutem stojącą dzień w dzień naprzeciwko pałacu Gaumont. Nie wygląda na choćby o jeden dzień więcej niż osiemnaście lat. Podejrzewam, że

m;i

[78]

IIЙIyi li klientów. Po północy stoi tam w swojej czarnej su-

i i..... niby wrosnięta w ziemię. Za nią jest wąska uliczka,

i'l"ii,|.,i jak piekło. Gdy tak mijam ją teraz z lekkim sercem, 'I i« nic przypomina mi geś uwiązaną do kołka, geś z chorą МИГОЇЦ, tak by świat mógł się rozkoszować pate de foie <<i,n I)/iwnie musi być iść do łóżka z drewnianym kikutem, i lowiek wyobraża sobie najróżniejsze rzeczy – drzazgi i i l' Ale w końcu są gusta i guściki...

Zdążając w dół Rue des Dames wpadam na Pecko-ii irszc jednego wariata z gazety. Narzeka, że śpi tylko li /v. cztery godziny na dobę – musi wstawać o ósmej rano i pracować w gabinecie dentystycznym. Nie robi tego dla im niedzy – wyjaśnia – tylko po to, by móc sobie kupić

[liczną szczękę.

Trudno jest robić korektę, kiedy się zasypia na i"i.|t-o

- stwierdza. - Moja żona powiada: „Ty to masz

• li'IM/c. Co zrobimy, jeśli stracisz pracę?" – pyta

Miller Henry - Zwrotnik Raka

mnie

I l. | Z.

Ale Peckover ma gdzieś tę pracę; nie ma z niej na-'i kieszonkowego. Musi zbierać własne niedopałki - и) wii ich potem jako tytoniu fajkowego. Płaszcz zapina na u'ii I ki, ma cuchnący oddech i pocą mu się dłonie, a do tein • tylko trzy godziny snu na dobę.

- Tak nie wolno traktować człowieka - skarży A ten mój szef drze na mnie mordę, gdy przeoczę h ilnik.

Mówiąc o żonie, dodaje: - Ta moja stara za grosz nu ma, kurwa, wdzięczności, mówię ci!

Rozstając się z nim udaje mi się wyciągnąć od nie-i'n półtora franka. Usiłuję wycisnąć jeszcze pięćdziesiąt cen-i mów, ale nic z tego. Tak czy owak wystarczy mi na kawę i

• folssants. Koło dworca St. Lazare znam bar, gdzie ceny są ni ". / r niż gdzie indziej.

Trzeba trafu, że w lavabo znajduję bilet na koncert, i . k ki jak piórko idę teraz do Salle Gaveau. Bileter sprawia

[79]

wrażenie wstrząśniętego, ponieważ zapominam o napiwku.

Za każdym razem, gdy mnie mijają, patrzy pytająco, jakby miał jeszcze nadzieję, że sobie nagle przypomnę.

Tak długo już nie przebywałem w towarzystwie ludzi dobrze ubranych, że ogarnia mnie lekka panika. Wciąż czuję smród formaldehydu. Może Serge i tutaj go dostarcza. Ale, dzięki Bogu, nikt się nie drapie.

Subtelny zapach perfum... bardzo subtelny. Jeszcze zanim zabrzmie muzyka, na twarzach pojawia się ten znudzony wyraz. Taki koncert to łagodna forma tortury zadawanej samemu sobie. Przez chwilę, kiedy dyrygent postukuje batutą, przez publiczność przebiega dreszcz napięcia, spazm skupienia, po którym prawie natychmiast następuje gremialne osunięcie się w fotele, spoczynek

przypominający wegetację roślin, wywołany ciągłą, nieprzerwaną mżawką orkiestry. Mój umysł jest dziwnie pobudzony, jakbym miał w czaszce tysiąc luster. Nerwy mam napięte, rozedrgane. Dźwięki przypominają szklane kulki tańczące na niezliczonych strumieniach wody. Nigdy przedtem nie byłem na koncercie z tak pustym żołądkiem.

Nic nie umyka mojej uwadze, nawet odgłos spadającej szpilki. To tak, jakbym siedział bez ubrania, a każdy por mego ciała był oknem; wszystkie okna są otwarte i światło zalewa moje wnętrzości. Czuję, jak wiję się pod sklepieniem żeber, które wiszą tam nad pustą nawą i drżą od odbitych dźwięków. Nie mam pojęcia, jak długo to trwa; straciłem poczucie miejsca i czasu. Po tym, co

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wyduje się trwać wieczność, następuje stan półświadomości, dla którego przeciwwagę stanowi taki spokój, że czuję w środku wielkie jezioro, jezioro opalizującego blasku, jego chłodną jak galaretka tafłę, a ponad nim, wznoszące się majestatycznie po spirali, stada wędrownych ptaków o szczudłowatych nogach i mieniącym się upierzeniu. Stado za stadem wznosi się znad chłodnej, nieruchomej powierzchni jeziora i przefru-wając pod moimi obojczykami, przepada w białym morzu przestrzeni. A potem powoli, bardzo powoli, tak jakby sta

W

Iwlnkłi w białym czepcu dokonywała obchodu korytarzy i |U ciała, okna zamykają się jedno po drugim, a mojev Powracają na swoje miejsce. Nagle rozbłyskują ■ ■ "l.ii mężczyzna w białej łoży, którego brałem za turec-• |0 oficera, okazuje się kobietą z doniczką na głowie.

Rozlega się dzwonek i wszyscy, którzy chcą kasz- i UHżlą sobie do woli. Słychać odgłos szurania nogami i l łkania foteli, ciągły, roznoszący się hałas ludzi porusza-

11,1,11 sic bez celu; szeleszczą programami udając, że je czy-

"ii upuszczają je potem i grzebią pod fotelami, wdzięczni

.....ibłahszy incydent, byleby nie musieli odpowiadać nar^ ° czym myśleli, bo gdyby sobie uświadomili, że nie

HI lელი o niczym, mogliby oszaleć. w jaskrawym blasku ' Patrza- na siebie bezmyślnie i w ich spojrzeniach do-

I i un się jakieś dziwne napięcie. A kiedy dyrygent znowu

..... Popadają z powrotem w stan kataleptyczny - dra- i0 IC bezwiednie albo nagle przypominają sobie witrynę, której widzieli szalik czy kapelusz...

Pamiętają każdy obiazg na tej wystawie ze zdumiewającą jasnością, ale i li to dokładnie było - tego nie mogą sobie przypomnieć. I to im nie daje spokoju, spędza sen z powiek, dener-N "l<- i drażni. Słuchają teraz koncertu ze zdwojoną uwagą, i pi /ecież całkiem rozbudzeni, ale bez względu na to, jak i Miniule brzmi muzyka, z ich świadomości nie znika ta na-IP IPH witryna ani ten szalik, ani ten kapelusz.

I ta atmosfera napiętej uwagi się udziela; nawet or-1 li Ига wydaje się pobudzona do niezwykłego skupienia.

.....K' "Lwor rozkręca się jak dziecięcy bąk - tak

Miller Henry - Zwrotnik Raka

szybko,
kiedy muzyka cichnie nagle i zapalają się światła, część
kl./ów nadal tkwi w fotelach jak marchewki na grządkach.
i' li ./czeki pracują spazmatycznie, a gdyby krzyknąć im
do
i li. 1 Brahms, Beethoven, Mendekjew, Hercegowina, odpo-
li .l/.ieliby bez zastanowienia - 4; 967, 289.
Gdy dochodzimy do Debussy'e'go, atmosfera wy-tfaje się
całkowicie zatruta. Łapię się na rozmyślaniach, co
[81]

czuje kobieta podczas stosunku, czy jej rozkosz jest
pełniejsza itd. Usiłuję sobie wyobrazić, jak coś wbija
mi się w krocze, ale odczuwam tylko niewyraźny ból.
Próbuję się na tym skupić, ale muzyka jest zbyt śliska.
Na myśl przychodzi mi jedynie wolno obracająca się waza,
figurki odrywające się od niej, by ulecieć w przestrzeń.
W końcu pozostają tylko obracające się światło, choć jak
może obracać się światło, pytam sam siebie. Mężczyzna
obok mnie śpi w najlepsze. Wygląda na maklera z tym
dużym brzuszyskiem i wywoskowanymi wąsami. Wzbudza moją
sympatię, zwłaszcza ten jego duży kałdun i wszystko, co
go tak ukształtowało. Dlaczego nie ma sobie smacznie
pospać? Jeśli zechce posłuchać muzyki, zawsze może
wytrzasnąć pieniądze na bilet. Zauważam, że im lepiej są
ubrani, tym mocniej śpią. Mają czyste sumienia – te
bogate typy. Jeśli biedak zdrzemnie się na koncercie,
choćby na kilka sekund, płonie ze wstydu; wydaje mu się
to zbrodnią wobec kompozytora.
Podczas hiszpańskiego kawałka sala była zelektryzowana.
Wszyscy siedzieli na brzeżkach foteli – obudziły ich
bębny. Kiedy zagrzmiały, myślałem, że będą tak grać bez
końca. Spodziewałem się ujrzeć, jak ludzie wypadają z
łóż albo wyrzucają pod sufit kapelusze. Było w tym
utworze coś heroicznego i Ravel mógł nas doprowadzić do
szaleństwa, gdyby zechciał. Ale to do niego niepodobne.
Nagle wszystko ucichło. Jakby nagle wśród szaleństw
przypomniał sobie, że ma na sobie frak. Pohamował się.
To duży błąd, moim skromnym zdaniem. Sztuka to
niepohamowany pęd, nie można się zatrzymać w pół drogi.
Jeśli się zacznie od bębnow, trzeba skończyć na
dynamicie lub trotylu. Ravel poświęcił coś dla formy,
dla jarzyny, którą ludzie muszą strawić przed udaniem
się do łóżka.
Myśli mi się rozbiegły. Muzyka wymyka mi się teraz,
kiedy już zamilkły bębny. Wszędzie wokół ludzie stwo-
[82]

ΠI -i na jakąś miarę. Koło światelka „wyjście” siedzi

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ja-

»i Werter pogrążony w rozpacz; wspiera się na łokciach, BI i i/k lisie oczy. Przy drzwiach, opatulony w wielką pelery-

lloi 1 liszpan z sombrero w ręku. Wygląda, jakby pozostawia do „Balzaca” Rodina. Z twarzy przypomina Buffalo Liill.i Na galerii naprzeciwko mnie, w pierwszym rzędzie,

Ipim kobieta z szeroko rozstawionymi nogami; wygląda, jakby miała szczękocisk, jej wygięta do tyłu szyja sprawia

i i .nie zwichniętej. Kobieta w czerwonym kapeluszu i' i miąca przy barierce – jakże wspaniałe byłoby, gdyby lutu krwotoku, gdyby nagle wylała z siebie całe wiadro i na tych nadętych głupków w dole. Wyobraźcie sobie I II o l ych cholernych nijakich ludzi, jak wracają do domu z

nk i wawionymi palantami.

Nutą przewodnią jest sen. Nikt już nie słucha. Nie można jednocześnie słuchać i myśleć. Nie można nawet od-klawić się sennym marzeniom, gdy sama muzyka jest wy-11>nu.- snem. Kobieta w białych rękawiczkach trzyma na i plenach łabędzia. Legenda mówi, że kiedy Leda została iplodniona, powiła bliźniaki. Każdy coś płodzi – każdy z u \|.ilkiem tej tam lesbijki na galerii. Głowę unosi do góry,

j le ma odsłoniętą; cała jest napięta, aż drży od kaskady lklei sypiących się z tej radowej symfonii.

Jowisz przeszy-Rff lej uszy. Drobnie powiedzonka zasłyszane w Kalifornii, 11| lniyby o wielkich pławach, Zanzibar, alkazar. Wzdłuż Owadalkiwiru jaśniały tysiące meczetów. Tonieemy w głębi lodu iwych gór, a dnie są całe w bzach. Money Street z dwoiiii.i ln;ilnymi słupkami do przywiązywania koni. Gargulce... i u ri z wypocinami Jaworskiego... światła na rzece... i je-

■ i- ..

W Ameryce miałem kilku znajomych Hindusów -dobrych, złych, obojętnych. Zbiegiem okoliczności znajdowałem się w takiej sytuacji, że to na szczęście ja mogłem im służyć pomocą; załatwiałem im pracę, udzielałem schronienia i żywiłem, gdy zaszła potrzeba. Muszę przyznać, że byli bardzo wdzięczni; w gruncie rzeczy do tego stopnia, że swoimi wyrazami wdzięczności dosłownie mnie zamęczali. O ile się w tym wyznaję, dwóch z nich było świętymi, a już z pewnością Gupte, znaleziony kiedyś z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. W małym pensjonacie w Greenwich Village pewnego ranka znaleziono go martwego. Leżał wyciągnięty zupełnie nago na łóżku,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ze swoim nieodłącznym fletem obok, a gardło miał rozplątane, jak mówiłem, od ucha do ucha. Nie wyjaśniono nigdy, czy został zamordowany, czy też było to samobójstwo.

Przypominam sobie ciąg okoliczności, które mnie w końcu przywiodły do mieszkania Niyogiego. Jakie to dziwne, że całkiem zapomniałem o nim aż do chwili, gdy znalazłem się w obskurnym pokoju hotelowym na Rue Cels. Leżę sobie na żelaznym łóżku rozmyślając o tym, jakim się stałem zerem, jakim kompletnym zerem, kiedy nagle – buch! wyskakuje skądś słowo NIJAKI! Tak właśnie nazywaliśmy go wtedy w Nowym Jorku – Nijaki. Pan Nijaki.

Teraz leżę na podłodze w tym wspaniałym apartamencie, którym tak się przechwalał w Nowym Jorku. Niyo-gi bawi się w miłosiernego Samarytanina, dał mi dwie szorstkie końskie derki, w które zawijam się na zakurzonej podłodze. O każdej porze znajdą tu dla człowieka jakieś zajęcie, to znaczy, jeśli byłbym na tyle głupi, żeby siedzieć w pokoju. Rano budzi mnie ordynarnie i poleca przygotować

[84]

I «.i na lunch: cebulę, czosnek, fasolę itp. Jego przyja-

'i i • |>i ostrzega mnie, bym tego nie jadł – uważa, że to

i mllliwe. szkodliwe czy nie, co za różnica? Tó jest jedze-

I o to przecież chodzi. Za odrobinę żarcia gotów jestem ми. u.k dywany złamaną szczotką, prać mu bieliznę i zbie-

■ "I ruchy z podłogi, gdy tylko skończy jeść. Od czasu и i и >|;i wienia się stał się przesadnie wrażliwy na punkcie

łości wszystko trzeba teraz odkurzać, krzesła ustawiać i 11 słony sposób, zegar musi wybijać godziny, a woda w i.....r dobrze spływać... Wariat z tego Hindusa, jakich

■ и ilol /darzą mu się zieleniec ze skąpstwa jak fasola szpa-iiwii. Uśmieję się z niego do łez, gdy już wydam się z ||0 s/ponów, ale na razie jestem więźniem, człowiekiem przynależności kastowej, „niedotykalnym”...

Jeśli nie wracam na noc, by zawinąć się w te jego li i ki, wita mnie o poranku słowami:

- Ach, więc ty żyjesz? Myślałem już, że umarłeś. I chociaż doskonale zdaje sobie sprawę, że jestem r insza, codziennie opowiada mi o jakimś tanim pokoju, i lory akurat odkrył w pobliżu.

- Wiesz przecież, że jeszcze nie mogę pozwolić so-I hi

Miller Henry - Zwrotnik Raka

u. i pokój – mówię.

Wtedy on, mrużąc oczy niczym jakiś żółtek, odpo-• Indu bez chwili wahania:

– Ach, prawda, zapomniałem, że nie masz pieniędzy-
(iagle o tym zapominał, Endree... Ale kiedy nadej-
I le przekaz... kiedy panna Mona przyśle ci pieniądze,
wte-• l\ pójdziesz ze mną poszukać pokoju, dobrze?
A już po chwili namawia mnie, bym pozostał, jak dltgo
zechcę – „sześć, siedem miesięcy, Endree... Jesteś tu
ill. i innie dobry”.

Niyogi jest akurat jednym z tych Hindusów, dla l tórych
nic nie zrobiłem w Ameryce. Przedstawił mi się jako
bogaty kupiec, handlarz pereł, posiadający luksusowy
11mi lament na Rue Lafayette w Paryżu, willę w Bombaju,
[85]

bungalow w Darjeeling. Na pierwszy rzut oka
zorientowałem się, że to półgłówek, ale przecież
półgłówki mają niekiedy dość geniuszu, by zgromadzić
fortuna. Nie wiedziałem wówczas, że rachunek za hotel w
Nowym Jorku zapłacił kilkoma tłustymi perłami. Śmiać mi
się chce, gdy przypomnę sobie, jak ten mały kaczor
udawał ważniaka w hallu tego hotelu w Nowym Jorku!
Paradował z hebanową laską, rozstawiał boyów po kątach,
zamawiał lunch dla swoich gości, wysyłał portiera po
bilety do teatru, na całe dni wynajmował taksówki itp.,
itd. I wszystko to bez jednego sou w kieszeni. Miał
tylko na szyi sznur tłustych pereł, które w miarę upływu
czasu spieniężał po jednej. A to jego idiotyczne
poklepywanie mnie po plecach, kiedy dziękował za
życzliwość okazywaną przeze mnie młodym Hindusom: „To
bardzo inteligentni chłopcy, Endree... Bardzo
inteligentni!” Dodawał przy tym, że dobry bóg
taki-a-taki wynagrodzi kiedyś moją życzliwość dla nich.
Teraz dopiero rozumiem, dlaczego ci inteligentni hiduscy
chłopcy tak chichotali, kiedy ich namawiałem, by
naciągnęli Niyogiego na pięć dolców.

W jakże dziwny sposób dobry bóg-taki-a-taki wynagradza
teraz moje dobre uczynki. Jestem oto niewolnikiem tego
tłustego nędznego kaczora. Przydaje mu się tu – mówi mi
to prosto w oczy. Ma mnie na każde zawołanie. Idąc do
sracza, woła: „Endree, przynieś mi dzbanek wody, proszę.
Muszę się podmyć”. Nie przyjdzie mu do głowy, by użyć
papieru toaletowego. Pewnie to sprzeczne z jego religią.
Nie, woła o dzbanek wody i szmatkę. Jest delikatny ten
tłusty kaczor. Niekiedy, gdy piję filiżankę bladej
herbaty, do której wrzucił liść róży, przechodzi obok
mnie i pierdzi mi głośno prosto w twarz. Nigdy nie powie
„przepraszam”. Pewnie brakuje tego słowa w jego

Miller Henry - Zwrotnik Raka

słowniczku gudzarati.

W dniu, w którym zjawiłem się w apartamencie Niyogiego, dokonywał właśnie swych abłucji, to znaczy stał nad brudną miską usiłując dosięgnąć karku wykrzywioną ręką. Obok miski stał mosiężny puchar, którym zmieniał

№

i 1'oprosił mnie, bym podczas całej ceremonii zachowa-
■ i i i/ę. Siedziałem więc cicho, jak sobie życzył, i obserwo-

■ lii ni n> - śpiewał, modlił się i od czasu do czasu spluwał

u umywalki. więc to jest ten wspaniały apartament, o któ-

i\im i\ Ił- opowiadał w Nowym Jorku! Na Rue Lafayette!

i li. i Iii wydawała mi się wtedy, w Nowym Jorku, ważną
||li i Sądziłem, że mieszkają na niej sami milionerzy

i ii hiiII.ii/c pereł. Rue Lafayette! Ta nazwa brzmi wspaniale,

lvii) się jest po drugiej stronie wielkiej wody. To samo jest

ii |li| Aleją, kiedy się jest tutaj. Trudno sobie wyobrazić,

i 'i mi śmietnikiem bywają te bajeczne ulice. Tak czy owak

leni lu w końcu, siedzę sobie w tym przepysznym aparta-
"i.....i- na Rue Lafayette. A ten pomyłony kaczor z ułomną

I l i relebruje rytuał obmywania się. Krzesło, na którym u .lv. jest złamane, łóżko się rozlatuje, tapeta w strzępach,

mul lo/kiem leży otwarta waliza wypchana brudną bielizną, sład dojrzeć nędzne podwórko w dole, gdzie zasiada

II ilnkracja Rue Lafayette pałac gliniane fajki. Słuchając,

III Intonuje doksologię, zastanawiam się, jak też wygląda '. ii |i|', o bungalow w Darjeeling. Trwa to bez końca, te jego i.....;i i modlitwy.

Tłumaczy mi, że jest zobowiązany myć się w okreś-i..iis sposób - to nakaz jego religii. Za to w niedziele bierze

i (pici w blaszanej wannie - Najwyższe JA JESTEM pi/ymknie na to oko, powiada. Kiedy się ubierze,

podcho-i | do kredensu, klęka przed małym posążkiem na trzeciej i "•!. r i powtarza te swoje klepanki. Jeśli

tak się modlisz co i leń, nic ci się nie stanie, zapewnia mnie. Dobry bóg jakimi lam nie zapomina nigdy o swym wiernym słudze. A i u itcin pokazuje mi ramię

Miller Henry - Zwrotnik Raka

okałeczone w wypadku samocho-1. iwym; bez wątpienia przydarzył mu się w dniu, w którym illpuścił sobie fragment rytualnych zawodzeń i tańców. Je-• i unię wygląda jak złamany cyrkiel; to już nie ramię, to kipi wsk kości z doczepionym kikutem. Od czasu kiedy zło-Dflo mu rękę, pod pachą utworzyły mu się dwa spuchnięte [87]

gruczoły, małe, tłuste gruczoły, zupełnie jak psie jądra. Phi cząc nad swoim łosem nagle przypomina sobie, że lekarz za lecił mu bogatszą dietę. Natychmiast błaga, bym usiadł i sporządził menu zawierające dużo ryb i mięsa. „A co po wiesz na ostrygi, Endree – dla le petit frere!” A to wszysł ko jedynie po to, by zrobić na mnie wrażenie. Nie ma naj mniejszego zamiaru kupić sobie ostryg ani mięsa, ani ryb. Przynajmniej tak długo, jak ja tu jestem. Na razie będziemy się odżywiać soczewicą, ryżem i całym tym suchym prowiantem zgromadzonym na strychu. Masło kupione przez niego jeszcze w zeszłym tygodniu też się nie zmarnuje. Kiedy zaczyna je podsmażać, smród jest nie do zniesienia. Z początku szybko wybiegałem, gdy tylko się do tego zabierał, ale teraz i to znoszę dzielnie. Byłby wniebowzięty, gdyby udało mu się doprowadzić do tego, że zwróciłbym to, co zjadłem – można by to również schować do kredensu, gdzie leży już suchy chleb, spleśniały ser i małe tłuste ciasteczka, przyrządzane przez niego ze skwaśniałego mleka i zjełczałego masła.

Wygląda na to, że przez ostatnich pięć lat nie kiwnął nawet palcem i nie zarobił ani pensa. Tak więc interes się sypie. Opowiada mi o perłach z Oceanu Indyjskiego -dużych, tłustych perłach, które mogą ci zapewnić utrzymanie do końca życia. Mówi, że to Arabowie rujnują interes. A tymczasem modli się do boga takiego-a-takiego i to podtrzymuje go na duchu. Jest w świetnej komitywie ze swoim bóstwem: doskonale wie, jak mu się przypochlebić, jak się wdzięczyc, by wydębic od niego tych kilka sou. Ten układ między nim a jego bogiem ma charakter czysto handlowy. W zamian za .codzienne wygibasy i mruczanki odprawiam-przed kredensem otrzymuje swoją porcję fasoli i czosnku, nie wspominając już o napuchłych jądrach pod pachami. Jest przekonany, że w końcu wszystko się dobrze ułoży. Pewnego dnia, kiedy dobry bóg Boomaroom tak postanowi, znów pojawi się popyt na perły. Może nastąpi to za pięć, [88]

.....• /;1 dwadz*ęcia lat... „A kiedy interes się rozkręci,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

■ 11 cc, I y dostaniesz swoje dziesięć procent - za pisanie li-AIE najpierw, Endree, musisz napisać list z zapyta

„...;v «trzymamy kredyt z Indii. Minie sześć miesięcy nadejdzie odpowiedź, może nawet siedem statki w

In' II n l' nie poruszają się zbyt szybko". On zupełnie nie ma

iii m czasu, ten mały kaczor. Kiedy pytam go czy dob. ipał, odpowiada: „O, tak, Endree, ja bardzo dobrze czasami dziewięćdziesiąt dwie godziny przez trzy Rano jest zwykle zbyt słaby, by zrobić cokolwiek

• |0 ' .mnę! Ten żałosny złamany kikut! C*asami widząc I r. i wykręca, by sięgnąć karku, zastanawiam się czy uda Ml lic odgiąć go z powrotem. Gdyby nie ten jego bęben i' n i- .minąłby mi człowieka-gumę z Cirque Medrano Po-'" jeszcze złamać nogę. Kiedy przygląda się jak zamia.

.....Ivwan' 'wldzi t? chmurę wznoszonego przeze mnie ku-

....."'kajak Pigmej: „Dobrze! Bardzo dobrze Endree A 11 Jeruz pozbieram kłaki". Znaczy to, że przeoczyłem kilka Ifonn pyłu; w taki oto uprzejmy sposób okazuje sarkazm

i /

Po południu wpada zawsze z wizytą kilku jego I timpli - handlarzy pereł. Są to co do jednego niezwykle i hik.c w obejściu skurwysyny, z miodowymi słówkami na ""ni języka, o łagodnych oczach łani; siedzą wokół stołu"' 'w Perfumowaną herbatę wydając przy tym głośny sy-

h y dźwięk, a Niyogi skacze jak pajac na sprężynie albo i • ./uje jakiś okruch na podłodze i mówi tym swoim słodkim, oślizłym głosem: „Bądź tak dobry i podnieś to End-п k ieciY Przybywają goście, idzie do kredensu i z obłud-ną miną wyjmuje suche kromki chleba, które opiekł jakiś lyilzicń temu, a które teraz nabrały intensywnego smaku i' b .małego drewna. Nie wyrzuca się tu nawet okruska ' -dv chleb jest już zbyt kwaśny, zanosí go na dół do concie-

[89]

rge'a, który - jak twierdzi - okazał mu wiele serca. Jego zdaniem jest zachwycony, że dostaje stary chleb; robi z niego chlebowy budyń.

Pewnego dnia przyszedł mnie odwiedzić mój przyjaciel Anatole. Niyogi był wniebowzięty. Nalegał, by Ana-tole został na herbacie. Namawiał, by spróbował małych tłustych ciasteczek i... starego chleba.

- Musi pan przychodzić codziennie - mówi - i uczyć mnie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

rosyjskiego. Ładny język, rosyjski... chciałbym go znać. Jak to się mówi, powiedz jeszcze raz, Endree, borszcz? Zapisz mi to, Endree, proszę...

Muszę to w dodatku napisać na maszynie, tak by mógł obserwować moją technikę pisania. Kupił tę maszynę, gdy zainkasował ubezpieczenie za swoje ramię, ponieważ lekarz zalecił mu pisanie w ramach terapii. Wkrótce jednak zmęczył się nią – była to angielska maszyna. Kiedy dowiedział się, że Anatole gra na mandolinie, stwierdził:

– Świetnie! Musi pan przychodzić codziennie i uczyć mnie muzyki. Kupię mandolinę, jak tylko interesy zaczną iść lepiej. To dobrze robi na moje ramię.

Następnego dnia pożyczą od dozorczy gramofon.

– Proszę, naucz mnie tańczyć, Endree. Mam za duży brzuch.

Ciągle żywię nadzieję, że pewnego dnia kupi befsztyk z polędwicy, i wówczas będę mógł mu powiedzieć: „Proszę pogryźć go za mnie, panie Niyogi. Moje zęby są zbyt słabe!”

Jak już mówiłem, od czasu mego przybycia stał się niezwykle skrupulatny.

– Wczoraj – wypomina – popełniłeś trzy błędy, Endree. Po pierwsze, zapomniałeś zamknąć drzwi w ubikacji i całą noc robiły bach-bach; po drugie, zostawiłeś w kuchni otwarte okno i dziś rano ono pęknięte. I zapomniałeś wystawić butelkę na mleko! Zawsze będziesz wystawiać [90]

■ ii | ПИ mleko, proszę, przed pójściem do łóżka, a rano ' . cię o przynoszenie chleba.

< od/iennie wpada jego przyjaciel Kepi, by zoba-
1 /v nie przyjechali z Indii jacyś goście. Czekają, aż wyjdzie, a wtedy pędzi do kredensu i pożera palusz-
| mklylc w szklanym słoju. Nie smakuje mu, twierdzi, ale U 1 k jak szczur. Kepi jest żebrakiem, takim ludzkim

■ cm, który przyssie się do skóry choćby najbiedniej-....."dnkowi. W oczach Kepiego oni wszyscy są naba-

Itttl /i cygaro Manila i pieniądze na drinka wlezie w du-

1 I demu Hindusowi. Hindusowi, zwróćcie, proszę, uwa-
lli nie Anglikowi. Zna adres każdego burdehju Paryżu
ihow iu/ujące tam stawki. Otrzymuje prowizję nawet z ta-
lvllil/.iur, gdzie opłata wynosi dziesięć franków. W dodat-

1 U iw s/,e zna najkrótszą drogę do miejsca, którego akurat

Miller Henry - Zwrotnik Raka

i IN/.. Najpierw zapyta cię, czy chcesz tam dojechać ta-
i ij. Jeśli odpowiesz, że nie, proponuje autobus,
ajeś-

"|" okaże się za drogie, wtedy tramwaj lub metro. Albo
/iipropozuje ci, że zaprowadzi cię tam na piechotę, by
■ zędzić franka lub dwa, wiedząc doskonale, że trzeba |
drodze przejść koło tabac, i że będziesz na tyle dobry,
e, i kupisz mi cygaro.

Kepi jest postacią na swój sposób interesującą, po-llll
И liż nie ma żadnych ambicji poza tą, by codziennie
ciup-Ift nową panienkę. Każdego zarobionego pensa, a ma
ich holi rnie mało, przepuszcza na dansingach. W Bombaju
ИЛИ ",onę i ośmioro dzieci, ale to nie przeszkadza mu
proponować małżeństwo każdej mizernej femme de chambre,
na li rlnpiej i łatwowiernej, by się na to nabrać. Ma
małutki pokój na Rue Condorcet, za który płaci
sześćdziesiąt fran-IOY/ miesięcznie. Sam go wytapetował
i jest z niego bardzo lnшы. Używa fioletowego
atramentu, ponieważ uważa, że II Jdłużej go starcza. Sam
czyści sobie buty, prasuje spod-• И pierze ubrania. Za
małe cygarko, najchętniej cheroot, i li laska,
oprowadzi cię po całym Paryżu. Gdy zatrzymu-

[91]

jesz się, by popatrzeć na jakąś koszulę czy spinkę do
kołnii rzyka, jego oczy ożywiają się. „Nie kupuj tego
tutaj' po wie. - Za dużo żądają. Pokażę ci tańszy
sklep". I zanim zdążysz zastanowić się nad tym, porwie
cię i postawi pi /.«I inną wystawą, gdzie rzeczywiście
są takie same krawah koszule i spinki. Może nawet jest
to ten sam sklep! ale tobli trudno to stwierdzić. Kiedy
Kepi słyszy, że chcesz coś ku pić, jego dusza ożywia
się. Zada ci tyle pytań i zaciągnie w tyle miejsc, że
musisz poczuć pragnienie i zaprosić go и.i drinka, i
odkryjesz nagle, ku swemu zdumieniu, że znów stoisz w
tabac - może w tym samym tabac! - a Kepi tym swoim
cichym, obłudnym głosem powie: „Będiesz, pros/i, tak
dobry i kupisz mi małe cygaro cherootT' Bez względu na
to, co proponujesz, nawet gdybyś chciał tylko przejM
przez ulicę, Kepi znajdzie sposób, by na tym
zaoszczędził Pokażę ci najkrótszą drogę, najtańszą
restaurację, najwięk sze danie, ponieważ cokolwiek byś
zrobił, musisz minąć po drodze tabac, a bez względu na
to, czy trwa rewolucja, czy strajki, czy kwarantanna,
Kepi musi być w Moulin Rouge albo w Olympii, albo Ange
Rouge, gdy tylko zabrzmi mu
zyka.

Któregoś dnia przyniósł mi książkę. Dotyczyła słynnego
procesu między pewnym świętym mężem a redak torem

Miller Henry - Zwrotnik Raka

jakiejś indyjskiej gazety. Redaktor, zdaje się, otwarcie oskarżył świętego męża o prowadzenie rozwiązłego życia; posunął się dalej i oskarżył go, że coś podłapał. Kepi twierdzi, że to musiała być francuska choroba, ale Niyogi zaręcza, że chodziło o japońskiego trypra. Niyogi stale lubi wszystko wyolbrzymiać. W każdym razie zwraca się do

mnie wesoło:

– Bądź tak dobry, proszę, i powiedz mi, Endree, co tam piszą. Nie mogę czytać – boli mnie ramię. – Po czym, aby mnie zachęcić, dodaje:

– To ciekawa książka. O pierdoleniu, Endree. Kepi przyniósł ją specjalnie dla ciebie. Nie potrafi myśleć o [92]

f| r" n dziewczynami. Tyle ich zalicza... jak Kriszna. i" y wiążujemy już takiej wagi do tej czynności, nie-ii' liidice?...

W chwilę później wiedzie mnie na strych, wypełnionym o bi'/cgi puszkami i jakimiś indyjskimi duperelami, zaiiu w konopne płótno i papiery po sztucznych og-

To tutaj przyprowadzam dziewczyny – zwie-

l'o czym ciągnie tonem pełnym smutku i tęsknoty:

Nic jcslem w tym zbyt dobry, Endree. Właściwie to już lii .im dziewczynom. Trzymam je tylko w objęciach i nn różne rzeczy. Wystarcza mi to, że do nich mówię.

Nic muszę go dalej słuchać. Wiem, że teraz opowiei ramieniu. Widzę, jak leży tu z tym złamanym za-

in zwisającym z łóżka. Ale ku memu zaskoczeniu do- Nie nadaję się do rypania, Endree. Nigdy nie ii ni

dobry. Mój brat, o, ten to jest dobry! Trzy razylic, dzień w dzień! Kepi – on też jest dobry – zupeł-

i ik Kriszna.

Jego świadomość opanowała teraz niepodzielnie

■ ii.i pierdolenia. Na dole, w pokoiku, w którym klęka , iyi d otwartym kredensem, wyjaśnia mi, jak to wyglądało,

i l • v l bogaty, a jego żona z dziećmi była tu razem z nim.

łwięta zabierał ją do House of Ali Nations, gdzie wynaj-«. 11 pokój na jedną noc. Każdy urządzony był w

innym

i\lu .lego żonie bardzo się tam podobało.

– Ależ tam można było się cudownie pieprzyć, i iiilrcc.

Znam wszystkie pokoje...

Ściany pokoiku, w którym siedzimy, obwieszane są

KI |óry do dołu fotografiami. Przedstawiają każdą gałąź

Miller Henry - Zwrotnik Raka

je-

10 rodziny, to jakby przekrój Cesarstwa Indii. W

większość-

i pi/cdstawiciele jego drzewa genealogicznego wyglądają
i k uschnięte liście. Kobiety są wątłe, a ich spojrzenia

wyra-

•u|i| lęk i niepewność; mężczyźni mają bystry,
inteligentny

[93]

wyraz twarzy wykształconych szympanów. Są tam wszys cy,
około dziewięćdziesięciu osób, ze swoimi białymi wol;i
mi, plackami z krowiego łajna, kościstymi nogami, staro
świeckimi okularami; niekiedy w tle dostrzec można frag
ment wyschniętej ziemi, wałącego się frontonu, bóstwa /
powykręcany rękoma przypominającego człekokształtna
stonogę. Jest w owej galerii postaci coś tak
fantastycznego tak absurdalnego, że nieuchronnie
przywodzi to na myśl rozsiane po całym kraju świątynie,
ciągnące się od Himala jów aż po kraniec Cejlonu, tę
zdmiewającą swym ogromem mozaikę architektury, której
piękno przyprawia o za wrót głowy, ale która
jednocześnie jest monstrualna, mons trualnie odrażająca,
ponieważ nasuwa się refleksja, że płód ność kipiąca i
fermentująca w tych niezliczonych rozgałęzić niach formy
wyjałowiła jakby glebę samych Indii. Patrzą na mrowie
postaci tłoczących się na fasadach świątyń, ulega się
przemóżnemu wrażeniu potencji tych ciemnych, przy
stojnych ludzi, którzy połączyli swoje tajemnicze
życiodajni' strumienie w erotycznym uścisku trwającym
już trzydzieści wieków albo jeszcze dłużej. Ci wąli
mężczyźni i kobiety, spoglądający przesywającym
wzrokiem z fotografii, wyda ją się spłowiałymi cieniami
tych płodnych, masywnych figu i ucieleśnionych w kamieniu
i freskach od jednego krańca In dii po drugi, by
heroiczne mity ras, które się tu przemiesza ły,
pozostały na zawsze wplecione w serca ich rodaków Kiedy
patrzę choćby na fragment tych wspaniałych snów wykutych
w kamieniu, tych wałących się, ospałych budowli usianych
klejnotami, spojonych ludzką spermą jak zaprą wą,
przytłacza mnie oślepiający blask wlotów ich wyo
braźni, dzięki którym pół miliarda ludzi różnego
pochodzę nia zdołało utrwalić najbardziej nieuchwytnie
wyrazy swej
tęsknoty.

Jakże dziwna, niepojęta mieszanina uczuć osacza mnie
teraz, gdy Niyogi płecie o swojej siostrze zmarłej pod
czas porodu. Oto widać na ścianie wątłą, nieśmiałą
istotę w

Miller Henry - Zwrotnik Raka

[94]

• i u dwunastu czy trzynastu lat uczipioną rękoma zdzie-
.....iIrczo starca. Gdy miała dziesięć lat, wydano ją za
tego

In 11 p> rozpustnika, który zdążył już pochować pięć
żon.

IIIIII u-dmioro dzieci, z których jedno tylko ją
przeżyło.

ii ino ją temu podstarzałem goryłowi, aby „perły pozost-
IŃI w rodzinie”. Kiedy umierała (tak przynajmniej
przed-

II In to Niyogi), szepnęła do doktora: „Mam dość tego
II li ci) rozkładania się... Nie chcę się już więcej
pieprzyć,

1 i lorze”. Opowiadając mi to, drapie się poważnie w
głó-

woją uschniętą ręką.

Ten cały interes z pieprzeniem jest do niczego,

i IIililee mówi. – Ale dam ci słowo, które zawsze ci
przy-

li Nzezęście, musisz tylko wymawiać je codziennie, raz
ni ni/, milion razy musisz je wymówić. To najlepsze
słowo,

|kli istnieje, Endree... wypowiedz je teraz... OOMAHA-
1'MMOOMA!

- OOMARABOO...

- Nie, Endree... to tak... OOMAHARUMOO-i \\
-

OOMAMABOOMBA...

- Nie, Endree... to tak...

...Ale biorąc pod uwagę kiepskie oświetlenie, par-

i i druk, podartą okładkę, postrzępione strony, niezdar-

■ I >.i I uchy, pchły fikające fokstrota,

wszy-śpiochy, pianę

u i pysku, łzawe oczy, ściśnięte gardło, alkohol w
szklance,

i cnie dłoni, świszczące posapywania, smutek oddechu,

myślę umysłowego wyczerpania, drgnienie sumienia, szczyt

11 u. wytrysk z tyłka, ogień w gardle, łaskotanie

chwosta,

IMłałe szczury pod sufitem, zgiełk i kurz w jego uszach,

a

nik/e to, że upłynął miesiąc, zanim się tu podkradł,

zawział

by nauczyć się więcej niż jednego słowa na tydzień.

Zapewne nigdy nie wyostałbym się ze szponów 1

ii\<)|>iego, gdyby nie interwencja losu. Pewnego

wieczoru,

[95]

Miller Henry - Zwrotnik Raka

jak chciał traf, Kepi spytał mnie, czy nie zabrałbym jedni-)" z jego klientów do pobliskiego burdelu. Ten młody czło wiek przybył właśnie z Indii i nie mógł pozwolić sobie n.i zbyt duże wydatki. Był jednym z ludzi Gandhiego, należał do tej małej grupki, która odbyła historyczny marsz do mo rza podczas konfliktu o sól. Był to, muszę przyznać, bard/n wesoły uczeń Gandhiego, mimo iż złożył ślub wstrzemięzli wości. Najwyraźniej całe wieki nie widział kobiety. Jedyne co mogłem zrobić, to zaprowadzić go na Rue Laferriere; przypominał psa z wywieszonym ozorem. W dodatku był / niego nadęty, próżny palant. Odstawił się w sztruksowy garnitur, beret, laskę i szeroki krawat; kupił sobie dwa wieczne pióra, aparat Kodaka i luksusową bieliznę. Wyda wał pieniądze, które były darem kupców z Bombaju; wysyłali go do Anglii, by głosił ewangelię Gandhiego.

Kiedy znaleźliśmy się w przybytku panny Hamil ton, zaczął tracić swoją sang-froid. Znalazłszy się nagle w gronie nagich kobiet, spojrzał na mnie skonsternowany.

- wybierz sobie którąś - powiedziałem. - Wy bór należy do ciebie.

Był tak przejęty, że ledwie mógł na nie patrzeć.

- Zrób to za mnie - mruknął, rumieniąc się gwałtownie.

Otakowałem je zimno: wybrałem młodą tłuściut ką panienkę, która sprawiała wrażenie dziewczyny z ikrą. Usiedliśmy w saloniku, czekając na drinki. Madame zapytała, dlaczego ja nie wziąłem sobie dziewczyny.

- Tak, weź sobie też jakąś - powiedział młody Hindus.

Znów przyprowadzono dziewczynki i wybrałem dla siebie dość wysoką, szczupłą, o melancholijnych oczach.

Zostawiono nas samych, całą czwórkę, w saloniku. Po chwili mój młody Gandhi nachyla się ku mnie i szepcze mi coś do ucha.

- Jasne, jeśli wolisz tę, weź ją -- odpowiedziałem

[96\

B/rccznie, z niejakim zażenowaniem, wyjaśniłem /ynkom, że chcielibyśmy się nimi zamienić. Zobaczy-

■ "I u/u, że popełniliśmy faux pas, ale ponieważ mój l.....\ /.robił się wesoły i lubieżny, nie pozostawało nic in-

i ink iść szybko na pięterko i mieć to już z głowy.

wzięliśmy pokoje obok siebie, połączone drzwia-

i l.ę, że mój towarzysz myślał o jeszcze jednej zamia-

i i' 'lv już nasyci swój ostry, dręczący głód. W każdym

>•'lv (ylko panienki opuściły pokój, by się przygoto-

ll iłyszałem pukanie do drzwi i pytanie: „Słuchaj, gdzie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

i loaleta?" Nie przypuszczając, że chodzi o coś poważ-
h lięciłem go, by skorzystać z bidetu. Wracają dzie-
lik i / ręcznikami w dłoniach. W pokoju obok słysząc
i liuho!

Kiedy zakładam spodnie, słyszę nagle dobiegające "I
odgłosy awantury: dziewczyna wymyśla Hinduso-

■ jest świnia, wstrętną świnia. Nie mam pojęcia, co i
■ ■ I >v usprawiedliwiać taki wybuch. Stoję tak z jedną
nogawce i nasłuchuję uważnie. On usiłuje coś wy tłu- \ <
po angielsku, podnosi głos coraz bardziej, aż zaczy-
' eszczeć.

Słyszę trzaśnięcie drzwiami i za chwilę wpada do •i' ni
pokoju madame z purpurową twarzą, gestykulując ||
opętana.

- Powinien się pan wstydzić - wrzeszczy - kółki kiego
przyprowadzać do mojego lokalu. To barba-
'" u... świnia... to...!

Mój towarzysz stoi za nią z wyrazem całkowitego /anią na
twarzy.

- Coś ty narobił? - pytam go.

- Co zrobił? - drze się madame. - Pokażę parni

1'roszę za mną!

I chwytając mnie za ramię ciągnie do pokoju obok. i -
Tu! Tu! - wrzeszczy, wskazując na bidet.

/wiolnik...

[97]

- Chodź, zmywajmy się stąd - zwraca się do mnie
hinduski chłopak.

- Chwileczkę, nie ujdzie wam tak łatwo. Madame stoi
obok bidetu, wścieka się i awanliim
je. Dziewczynki też tam stoją z ręcznikami. Cała nasza
pi;|| ka stoi i wpatruje się w bidet. Pływają tam dwa
ogronun kawały gówna. Madame pochyla się i przykrywa
bidet rc(| nikiem.

- Przeróżające! Coś okropnego! - lamentuje. Czegoś
podobnego w życiu nie widziałam! Świnia! M;iln wstrętna
świnia!

Młody Hindus patrzy na mnie z wyrzutem.

- Powinieneś być mnie uprzedzić! - mówi. Nie
wiedziałem, że nie spłyną. Pytałem cię, gdzie pójść, a
i\ powiedziałaś, bym skorzystał z tego.
Jest bliski płaczu.

W końcu madame bierze mnie na stronę. Trochę się już
uspokoiła. Ostatecznie to tylko pomyłka. Może zechu< pan
pójść na dół i zamówić po jednym drinku dla dziewczynek.
To był dla nich wielki szok. Nie są przyzwyczajone do
podobnych rzeczy. I jeśli szanowny pan byłby tak
uprzejmi i nie zapomniał o femme de chambre... To

Miller Henry - Zwrotnik Raka

niezbyt przy je mne dla niej - to świństwo, paskudne świństwo. Wzrus/,i ramionami i mruga do mnie. Godny pożalowania incydent! Ale zdarzają się takie wypadki. Jeśli panowie chwilę zacw kają, służąca przyniesie drinki. Czy panowie zechcieliby w napić szampana? Tak? - wolałbym już się stąd zmyć - mówi cicho młody Hindus.

- Niech pan się tym tak bardzo nie przejmuję mówi madame. - Już po wszystkim. Czasami zdarzają su pomyłki. Następnym razem zapyta pan o ubikację. Zaczyna rozwodzić się na temat ubikacji, po jednej] na każdym piętrze, jak nas informuje. I pojednej łazience - wielu moich klientów to Anglicy - kontynuu [98]

чииитс. wszyscy są dżentelmenami. A pan jest Hindu-ИГ/ < '/и nijacy ludzie ci Hindusi. Tacy inteligentni, tacy llllllll...

Kiedy lądujemy na ulicy, czarujący młody dżentel- >- o и ,i bliski płaczu. Żałuje teraz, że kupił sobie sztrukso- | irnitur, laskę i wieczne pióro. Mówi o ośmiu ślubach, и lożył, o panowaniu nad podniebieniem itd. Podczasi do Dandi nie wolno było nawet zjeść porcji lodów. ROWiulii mi o kołowrotku, o tym, jak mała grupka zwo-ImhhImiw Satyagrahy naśladowała poświęcenie swego mi-łłun z dumą relacjonuje, jak kroczył obok rozmawiając z

..... < K I noszę wrażenie, że znajduję się w towarzystwie jed- щ0 / dwunastu apostołów.

W ciągu kilku następnych dni widujemy się dość v*ln; Irzeba zaaranżować wywiady dla prasy i wykłady щ i i'.nyskich Hindusów. Zdumiewające, jak te pozbawione i lupa łajdaki pomiatają sobą nawzajem; równie zdu- d wlljące jest to, jak nieudolni są we wszystkim, co doty-

praw praktycznych. I ta ich zazdrość i intrygi, nieuczci-

• piowadzona rywalizacja. Gdy tylko zejdzie się dziesię- im Hindusów, od razu masz całe Indie z ich sektami i schiz-

ni, antagonizmami rasowymi, religijnymi i polityczny- w osobie Gandhiego przez krótką chwilę przeżywają IKI jedności, ale kiedy jego zabraknie, nastąpi katastrofa

i .ilkowity nawrót do konfliktów i chaosu, tak charakte- lyc/nego dla tej nacji.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Mój młody Hindus jest, rzecz jasna, optymistą. Był Ameryce, gdzie zaraził się tanim optymizmem Ameryka-fłbw, zachwycił wszechobecną wanną, drobiazgami po pięć i il/iesięć centów, tempem, wydajnością, techniką, wysokimi placami, bibliotekami publicznymi itp., itd. Ideałem by-i ii '\ dla niego amerykanizacja Indii. Wcale nie jest zachwy-"M\ obsesją Gandhiego nawrotu do przeszłości. Naprzód, (Hłwturza, zupełnie jak facet z YMCA. Kiedy tak słucham JO bajan o Ameryce, widzę, jak absurdałne jest oczekiwa-

[99]

■< nie od Gandhiego cudu, który odwróciłby bieg przeznaczenia. Wrogiem Indii jest nie Anglia, lecz Ameryka.

Wrogiem Indii jest duch czasu, wskazówka, której nie da się cofnąć Na nic się zda próba zneutralizowania tego wirusa zatruwa jącego cały świat. Ameryka jest samym uosobieniem zła Pociągnie za sobą cały świat do tej bezdennej otchłani.

On uważa Amerykanów za ludzi bardzo łatwo wiernych. Opowiada mi o tych różnych prostodusznych kwakrach, unitarianach, teozofach, głosicielach nowej myśli, adwentystach dnia siódmego i innych, którzy mu tam przychodzili z pomocą. Ten bystry młody człowiek wie dział, gdzie skierować swoją łódź. Wiedział, jak i kiedy do prowadzić ich do łez, jak przeprowadzić zbiórkę pieniędzy, jak zjednać sobie żonę pastora i jak jednocześnie kochać się z matką i z córką. Patrząc na niego można odnieść wrażenie, że to święty. I to rzeczywiście jest święty, święty dnia 1 dzisiejszego, święty splugawiony, jednym tchem klepiący o miłości, braterstwie, wannach, higienie, wydajności...

Jego ostatni wieczór w Paryżu jest poświęcony „sprawie rypania”. Przez cały dzień miał niezwykle bogaty program - konferencje, telegramy, wywiady, fotografie do gazet, czułe pożegnania, wskazówki dla wiernych, itp., itd, W porze obiadowej postanowił odsunąć na bok kłopoty Zamawia szampana, strzela palcami na kelnera i w ogóle zachowuje się jak nieokrzesany chłopak, jakim w istocie jest. A ponieważ przejadł mu się już ekskluzywne łupana ry, proponuje teraz, bym mu pokazał coś bardziej prymitywnego. Chciałby pójść do taniego burdeliku i zamówić dwie lub trzy dziewczyny naraz. Prowadzę go więc wzdłuż Boulevard de la Chapelle, ostrzegając przez cały czas, by uważał na portfel. Koło Aubervilliers dajemy nura do taniego kurwidołka i od razu mamy ich całe stado. Już po paru minutach tańczy z jakąś nagą dziwą, wielką blondyną z fałdami tłuszczu na podbródku. widzę

Miller Henry - Zwrotnik Raka

jej dupę odbitą dziesięciokrotnie w lustrach, którymi
wyłożone są ściany poko-

[100]

i li |i>', (> ciemne, kościste palce obłapiające ją
gorączko-Nn siole pełno kufli, mechaniczny fortepian
rzęzi i sa-11 icwc/.ynki bez zajęcia siedzą spokojnie na
skórza-, . li I.i wach, drapiąc się flegmatycznie jak
rodzina szym-.....w, w powietrzu atmosfera wyciszonego
pandemonium mira stłumionej przemocy, jak gdyby do
nieuchron-. u przecież wybuchu brakowało jakiegoś
drobiazgu, cze-ii i|/, upcłniej miniaturowego, a
jednocześnie całkowicie | zaplanowanego i
nieoczekiwanego, jednej drobnej kin ki. W tym stanie
połowicznej refleksji pozwalającej mi i brunie udziału w
wydarzeniach, a jednocześnie na obser-inie ich z
dystansu, ten drobny brakujący szczegół za-il u sposób
nieokreślony, ale uporczywy krzepnąć, przy-IIPiic swą
zwyrodniałą, krystaliczną formę, jak mróz osia-4 !• v na
szybie. I podobnie jak rysunki mrozu, które wy-4 i .ie
lak dziwne, tak całkowicie swobodne i fantastyczni
przecież uwarunkowane niewzruszonymi prawami, I | to
kiełkujące we mnie uczucie zaczęło się oblekać w ' imię,
poddając się niezmiennym prawom. Całe moje jeste-■ i
reagowało na dyktaty atmosfery nigdy przedtem przez |
me doświadczonej; to, co mógłbym nazwać sobą, zda-' lin
się kurczyć, gęstnieć i opuszczać przyjęte granice
ciała, '■и ro obwody znały jedynie modulacje koniuszków
ner-

I im bardziej krzepł, im bardziej konkretny kształt i '
, lnerał rdzeń mego ja, tym delikatniejsza i bardziej
do-

li i ni.i wydawała się ta bliska, namacalna
rzeczywistość, z i i.ne| byłem wypychany. W tym samym
stopniu, w jakim |n ki ii wałem się coraz bardziej
metaliczny, pęczniała także

" n. i przed moimi oczami. Stan napięcia był już tak
subtel-

- nakreślony, że - jak wspomniałem - wprowadzenie i
lnej obcej cząsteczki, bodaj zupełnie miniaturowej,
rozsa-

i i loby całość. Może przez ułamek sekundy doświadczyłem
'i' alkwitej jasności widzenia, która - jak mówią -
darni |est epileptykom. W tej jednej chwili straciłem
złudne po-

[101]

щ

■

czucie czasu i przestrzeni: świat rozpostarł swój dramal

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ji i noc/eśnie w każdym punkcie wytraconego z równowagi pu łudnika. w tej jakby króciutkiej chwili wieczności pocu lem. że wszystko ma swoje uzasadnienie, głębokie uzas.nl nienie; poczułem wewnątrz te wojny, które pozostawiły M sobie miazgę i ruinę; poczułem, jak kipią tu zbrodnie, by pi tro pojawić się w krzykliwych sensacyjnych tytułach ga/jl poczułem wreszcie cierpienie i niedolę, ścierane na coi.i. drobniejsze cząsteczki w mózdzierzu, długotrwałą szarą nu dolę kapiącą kropla po kropli z brudnych chustek do noi(Na południku czasu nie ma niesprawiedliwości, jest jedyim poezja ruchu stwarzająca iluzję prawdy i dramatu. Jeśli w jakiejś chwili ktoś stanie gdzieś twarzą w twarz z absolutem zamarnie wielkie współczucie, dzięki któremu tacy ludzi jak Gautama i Jezus wydają się boscy. Monstrualne jest nu to, że ludzie wyhodowali róże na tej kupie gnoju, ale że tego czy innego powodu – chcieli je wyhodować. Z tęgi czy innego powodu człowiek z utęsknieniem wygląda cudu by go sprawić, gotów jest nurzać się we krwi. Będzie się opychał ideami, poniży do roli cienia, byleby choć przejl moment móc zamknąć oczy na ohydę rzeczywistości. Mo/ na znieść wszystko – hańbę i upokorzenie, nędzę i wojui, zbrodnię, nawet ennu i – jeśli się wierzy, że w nocy zdar/\ się cud, dzięki któremu życie stanie się znośne. A jednoczes nie przez cały czas w środku obraca się licznik, lecz żadiu ręka nie sięgnie, by go wyłączyć. Przez cały ten czas zjad;i ktoś chleb życia i żłopie wino – jakiś wstrętny, spasiony jak karaluch klecha przyczajony w piwnicy, a w górze, w świetle ulicy, jakaś zwodnicza hostia dotyka warg i krew jest blada jak woda. A nie kończąca się męka i cierpienie nia przynoszą cudu ni mikroskopijnej odrobiny ulgi, a jedynie idee –'blade, rozrzedzone idee, które trzeba podtuczyi urządzając rzeź, idee podchodzące do gardła jak żółć, wylewające się niczym trzewia świni, gdy się rozpląta jej cielsko I tak sobie myślę, jaki to byłby cud, gdyby ów u

[102]

wi

Dii niepamiętnych czasów oczekiwany przez "iii ud okazał się niczym innym jak tylko dwoma u miH gówna wrzuconymi do bidetu przez wiernego I ii <> by to było, gdyby w ostatniej chwili, kiedy na- i Inl przygotowano bankiet i słyhać już uderzenia w i pojawił się nagle, bez żadnego ostrzeżenia, srebrny In u ■ l na którym nawet ślepy dostrzegłby ni mniej, ni

Miller Henry - Zwrotnik Raka

| i iyiko dwa wielkie kawały gówna. Sądzę, że byłoby
iltli iwniejsze od tego, czego człowiek z utęsknieniem
wy-

|ftl Hyfoby cudowne jako rzecz zupełnie niespotyka-
ii 11 bardziej nawet zwariowanych snach, ponieważ
i byłby w stanie wyobrazić sobie coś takiego, ale nikt
nir'Iy nie uczynił i prawdopodobnie już nie uczyni.
Kiedy zdałem sobie sprawę, że nie można żywić za-
■ li nadziei, podziałało to na mnie wręcz zbawiennie.

Ty-
in. mi, miesiącami, całymi latami, tak naprawdę przez
\ i u- oczekiwałem, że coś się stanie, że nastąpi we
mnie

liiin, który odmieni moje życie. I nagle teraz, pobudzo-
iibsolutną beznadzieją wszystkiego, poczułem u-
l.ik by mi zdjęto z ramion ogromny ciężar. O świcie roz-
i ni się z młodym Hindusem, naciągnawszy go przedtem
i liku I ranków, kwotę wystarczającą na wynajęcie poko-
■ lil, |i w kierunku Montparnasse, postanowiłem poddać
i lii, nie stawiać najmniejszego oporu losowi, bez
wzglę-

и п.i postać, pod jaką się on objawi. Nic, co
przydarzyło

I i' do tej pory, nie zdołało mnie zniszczyć;
właściwie nic

Uli !'Jo zniszczeniu poza moimi złudzeniami. Ja zaś po-
i iłem nienaruszony. I świat pozostał nienaruszony. Mo-
I |u/ pitro wybuchnie rewolucja albo zaraza, nastąpi
trzę-

llli /iemi, może już jutro nie będzie nikogo, do kogo
• n.i by się zwrócić z prośbą o pomoc, współczucie, wia-
1 Uniosłem wrażenie, że wielki kataklizm już się
objawił.

■ nigdy nie mógłbym czuć się bardziej samotny niż w tej
ii nic chwili. Postanowiłem, że odtąd nie będę niczego
po-

KI ii. niczego oczekiwał, że będę żył jak zwierzę, jak
dra-

[103]

pieźnik, jak pirat i grabieżca. Nawet gdyby
wypowiedziani' wojnę i przyszłoby mi na nią iść,
złapałbym za bagnet i wbił go, wbił aż po samą rękojeść.
I gdyby nakazem dnia była gwałcić - gwałciłbym, gwałcił,
ile wlezie. Czy w tej chwili o łagodnym świecie nowego
dnia, ziemia nie słania się od nad miaru ludzkich
zbrodni i ludzkiej niedoli? Czy choć jedni element
człowieczej natury uległ zmianie, jakiejś zasadni czej,
istotnej zmianie pod wpływem nieprzerwanego mars/u

Miller Henry - Zwrotnik Raka

historii? Stało się jedynie to, że człowiek został zdradzonj przez to, co nazywa swą lepszą naturą. Na krańcach swego duchowego bytu człowiek odkrywa znów, że jest nagi jał dzikus. Można powiedzieć, że znalazłszy Boga, jest oc/л szczony do kości jak szkielet. Musi na powrót zanurzyć sit,* w życiu, by odzyskać ciało. I słowo musi stać się ciałem; dii szę dręczy pragnienie. Gdy moje oko zatrzyma się na okruszynie chleba, chwycę ją w szpony i pożrę. Jeśli rzeczą naj ważniejszą jest żyć, będę żył, choćbym miał stać się kaniba lem. Do tej pory usiłowałem ocalić swą cenną skórę, ucho nic tych kilka kawałków mięsa okrywających moje kości, Koniec z tym! Jestem u kresu wytrzymałości. Przyparty dn muru, nie mogę się cofnąć dalej. Z punktu widzenia historii jestem martwy. Jeśli istnieje coś na drugim świecie, bądź musiał znaleźć się na powrót tutaj. Odnalazłem Boga, ali On mi nie wystarcza. Martwy jest jedynie mój duch. Ciału wciąż żyje. Moralność nie ogranicza mojej wolności. Świat) który porzuciłem, to menażeria. Nastaje świt nowego świa ta – świata dżungli, przemierzanego wzdłuż i wszerz prze/ wychudzone istoty o ostrych szponach. Jeżeli jestem hien:| to hieną chudą i zgłodniałą: ruszam przed siebie, aby się podtuczyć. <) wpoł do drugiej wpadłem do Van Nordena, jak | umówione. Ostrzegł mnie, że jeśli nie otworzy, będzie II u /vlo, że śpi z kimś, prawdopodobnie z tą swoją pizdą ■ i ги.

Tak czy owak, był u siebie, w przytulnym zaciszu |l lowego numeru, ale jak zwykle sprawiał wrażenie zmę-IMH i'o. Gen człowiek budzi się z przekleństwem na ustach

i i (. 'klina siebie albo swoją pracę, albo życie w ogóle. Bu-

li do cna znudzony i przegrany, jakby zmartwiony II lulacją, że nie umarł tej nocy.

Siadam przy oknie i pocieszam go, jak mogę. To

.....Im- zajęcie. Trzeba go w gruncie rzeczy błagać, by ra-

I \\ siać. Rankiem – a to oznacza dla niego dowolną po- | między pierwszą a piątą po południu – rankiem więc, mówię, oddaje się swoim zwariowanym refleksjom.

■ ważnie marzy o przeszłości, o swoich dawnych „piz- i u li '. Usiłuje sobie przypomnieć, jakie były, co mówiły w

■ tycznym momencie, gdzie je rznął itp., itd. Leżąc z gry-

.....i przekleństwami na ustach, porusza palcami z cha- i 11 11 i ystycznym dla siebie znudzeniem, jakby chciał

Miller Henry - Zwrotnik Raka

sprali wrażenie, że jego odraza jest zbyt wielka, by można ją 11 ru/ić słowami. Na ramie łóżka wisi irygator – na wypa-lik niespodzianek, dla dziewic, które tropi jak policyjny i u . Nawet kiedy się już prześpi zjedna z tych mitycznych i i "i dalej będzie ją nazywał dziewczicą, prawie nigdy nie wy-

.....liając jej imienia. „Moja dziewczica” – powie i zabrzmi

In lak samo jak „moja pizda z Georgii”. Idąc do ubikacji

– Jeżeli zadzwoni moja pizda z Georgii, każ jej ,n /okać. wspomnij, że to ja tak powiedziałem. I wiesz co, możesz ją mieć, jeśli chcesz. Mam jej już dość.

'l [105]

w

Rzuca przelotne spojrzenie przez okno, by zob(czyć, jaka jest pogoda, i wzdycha głęboko. Jeżeli pada, ni'i wi: „Co za pierdolony klimat, ciągle ma się chandrę” л gdy świeci słońce, powie: „Co za pierdolone słońce, oślepnąć można”. Kiedy zaczyna się golić, nagle przypomina so bie, że nie ma czystego ręcznika. „Co za pierdolony hotel są zbyt skąpi, by codziennie dać ci czysty ręcznik”. He/ względu na to, co robi albo dokąd idzie, nic nie gra. I /;i wsze przyczyną jego niedyspozycji i niezadowolenia jest al bo ten pierdolony kraj, albo jego pierdolona praca, albo j;i kaś pierdolona pizda.

– Mam całkiem spróchniałe zęby – mówi phi cząc gardło. – To ten pierdolony chleb, który musimy tutaj jeść.

Otwiera szeroko usta odciągając w dół dolną w;i rgę-

– Widzisz? Wczoraj wyrwano mi sześć. Wkrótce będę sobie musiał sprawić nową protezę. Uczciwie pracu jesz na życie i oto, co cię spotyka. Kiedy żyłem z zasiłku, miałem wszystkie własne zęby, a oczy przejrzyste i błyszczące. Spójrz na mnie teraz! To cud, że jeszcze mogę poderwar jakąś pizdę. O Jezu, tak chciałbym znaleźć sobie jakąś bo gata cipę – jak ten przebiegły kutas Carl. Czy on ci kiedyś pokazywał jej listy? wiesz może, kim ona jest? Ten skurwy syn nie chciał mi nawet zdradzić jej imienia... boi się pewnie, że mógłbym mu ją odbić.

Jeszcze raz płucze gardło i przygląda się dziura wym zębom.

– Ty to masz szczęście – stwierdza ponuro. -Masz przynajmniej przyjaciół. Ja nie mam.nikogo poza tym chytrym kutasem, który mnie doprowadza do szału

Miller Henry - Zwrotnik Raka

opowieściami o tej swojej bogatej piździe.

- Słuchaj - mówi - nie znasz przypadkiem takiej cipy, która ma na imię Norma? Kręci się koło Dómc przez cały dzień. Myślę, że to lesbijka. Sprowadziłem ją tu [106]

i | liešeiełem jej dupcię. Na nic mi nie pozwoliła. Poło-
M hi lo/ku... ściągnąłem już majtki... a potem - da-
| i ■ ■ I ■ 4 0 Jezu, nie chce mi się tak z nimi zмагаć. Gra

ii In iwicczki. Dają dupy albo nie - to idiotyzm tracić
u i |iikieś zapasy z nimi. Kiedy mocujesz się z taką
i i u, i i a rasie jest może z tuzin cip, które aż się proszą,

• i nai. To fakt! wszystkie przychodzą tu po to, żeby
|i|i ulolić. Myślą, że to grzech... naiwniaczkil
Niektóre

m lelki z zachodnich stanów to naprawdę dziewice...
ilnje! Przez cały dzień siedzą na dupie myśląc tylko o
i I niwel nie musisz się z nimi zbytnio wysilać.

wprost

IIIIiiuI się doczekać. Miałem tu któregoś dnia mężatkę,
l i no nie pieprzyła od szczęścia miesiący. Możesz sobie
hi i/ić coś takiego? Jezu, ale była napalona. Myślałem,
mi in wic chuja. I cały czas jęczała: „A ty? A ty?”

Powta-

■ i i in w kółko, jak wariatka. I wiesz, co ta dziwka
sobie

liniała? Chciała się tu wprowadzić. Wyobraź to sobie!

wiedziałem nawet, jak jej na imię. Nigdy tego nie

Nie chcę wiedzieć. Te mężatki! Chryste, gdybyś wi-

i le wszystkie mężatki, które przewijają się przez moje

I ■' nie miałbyś już żadnych złudzeń. Są gorsze od

dzie-

i -lir czekają, aż ty się do nich zabierzesz - same

wyła-

ii i i i go ze spodni. A potem mówią o miłości. To

wstręt-

\\ iesz, ja naprawdę zaczynam nienawidzić cipy.

Znowu wygląda przez okno. Siąpi deszcz, tak samo [przez
ostatnich pięć dni.

- Idziemy do Dóme, Joe?

Nazywam go Joe, ponieważ on mnie nazywa Joe.

u <l\ jest z nami Carl, on też jest Joe. Każdy z nas to
Joe

' i'. Takiego ułatwia nam rozmowę, a także stanowi sym-
IMłlyezne przypomnienie, by nie traktować siebie zbyt
po-

Miller Henry - Zwrotnik Raka

i nie, w każdym razie Joe nie chce iść do Dóme – ma ni byt duże długi. Chce zajrzeć do Coupole! A przedtem się trochę przejść.

– Przecież pada, Joe.

[107]

– Wiem, ale do diabła z tym! Muszę pospacero wać dla zdrowia, wypłukać brudy z bebeczów. – Kiedy In mówi, odnoszę wrażenie, że cały świat mieści się w jego żo łądku, oplata mu kiszki i gnije.

Gdy się ubiera do wyjścia, znowu popada w stan niemal śpiączki. Stoi tak zjedną ręką w rękawie płaszcza i w kapeluszu nałożonym tyłem na przód i zaczyna marzyć n.i głoś – o Riwierze, o słońcu, o leniwym, wygodnym życiu – Jedyne czego chcę od życia – stwierdza – 10 kilka książek, kilka marzeń i kilka cip. – Mrucząc to w za dumie, patrzy na mnie i uśmiecha się najłagodniejszym i najbardziej fałszywym z uśmiechów.

– Podoba ci się ten uśmiech? – pyta, po czym I dodaje z odrazą: – Jezu, gdybym tylko znalazł jakąś bog;i tą cipę, do której mógłbym tak się wykrzywiać. Teraz ju/ I tylko jakaś bogata pizda może mnie uratować – mówi, i widać, że emanuje z niego krańcowe wyczerpanie.

– Można się w końcu znudzić tym ciągłym uga-1 nianiem się za nowymi dupami. To staje się mechaniczno j Problem, widzisz, polega na tym, że nie potrafię się żako chać. Jestem zbyt wielkim egoistą. Potrzebuję kobiet, bo pomagają mi marzyć, to wszystko. To nałóg, jak opium e/\ alkohol. Codziennie muszę mieć nową dupę; jeśli jej nic mam, popadam w depresję. Za dużo myślę. Czasami sam się dziwię, jak szybko mi to przychodzi – i jak niewiele u gruncie rzeczy znaczy. Robię to jakby automatycznie. By wa, że wcale nie myślę o kobiecie, aż tu nagle spostrzegam jak przygląda mi się jakaś i wtedy pstryk!, wszystko zaczyna się od nowa. Nie zastanawiam się nawet, co robię, a już za ciągnąłem ją do pokoju. Nie pamiętam zupełnie, co jej na opowiadałem.

Przyprowadzam je do hotelu, klepię po tyłku

i zanim się zorientuję, o co chodzi, już jest po wszystkim Jakbym śnił... wiesz, co mam na myśli?

Joe nie ma wielkiego pożytku z Francuzek. Wprosi ich nie znosi.

[108]

Chodzi im albo o pieniądze, albo żebyś się z nimi. W gruncie rzeczy to same kurwy. Już chyba wolę I |i mc / dziewczicą – mówi. – One przynajmniej dają ci łądzenie. Przynajmniej stawiają opór. Mimo to, gdy rzucamy okiem na taras, okazuje się,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

I im. i tam ani jednej kurwy, której by kiedyś nie zerznął.

II pr/y barze pokazuje mi jedną po drugiej, dokonując I n I n ich anatomii, opisując zalety i wady.

Wszystkie są oziębłe – mówi. I zaczyna zacie-iyi'C myśląc pewnie o ładnych soczystych dziewczicach, '-ii wprost nie mogą się tego doczekać.

W trakcie tych chaotycznych wywodów przerywa i chwyta mnie za rękę, pokazując kobietę ogromną wieloryb, która właśnie sadowi się na krześle.

- O, moja duńska cipa – mamrocze. – widzisz llupe'.'

Należy do Dunki. Jak ona to lubi! Dosłownie była-

.....e, bym jej wsadził. Chodź tutaj... spójrz na nią teraz,

l ni ul Popatrz tylko na tę dupę! Jest ogromna. Mówię ci,

liii) na mnie włązi, z trudem mogę ją objąć rękoma.

Prze-

i llllll cały świat. Kiedy z nią jestem, czuję się jak robaczek

i ililicy w jej wnętrzu. Nie wiem dlaczego mam do niej ta-

l i bóść, ale myślę, że to ta jej dupa. Jest nie z tej ziemi.

• i w fałdach tłuszczu. Takiego dupska nie można zapo-
HPIPC. To fakt... niezaprzeczalny fakt. Co do innych, mogą

<■ miil/ic albo dać ci tylko chwilowe złudzenie, ale ona – z

l i i lupą! – wielkie nieba! Takiej nie wymażesz z pamię-

l. ikhyś leżał w łóżku przywalony posągiem.

wygląda na to, że owa duńska cipa zelektryzowała

■ I'u/był się już całej swojej ospałości, oczy mało mu nie

I i iczą z orbit. I, jak zwykle, jedna rzecz przypomina mu

..... < lice wynieść się z tego pierdolonego hotelu, bo prze-

I "la mu hałas. Chce też napisać książkę, by zająć czymś

I Ale znowu na przeszkodzie staje ta cholerna praca.

- Ta pierdolona praca odbiera mi chęć pisania.

||l i lice pisać o Montparnassie... Chcę opisać swoje życie,

[109]

»

swoje myśli. Chcę usunąć brudy z bebechów... Słuchaj, da bierz się do tej tam! Miałem ją dawno temu. Urzędów.d.i

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wówczas koło Hal. Zabawna dziwka. Kładła się po pronM na skraju łóżka i zadzierała kieckę. Próbowaleś tak? To CHI kiem niezłe. Nie ponaglała mnie też specjalnie. Leżała tu plecach bawiąc się kapeluszem, gdy ją posuwałem. A kiedj się w niej spuszcza, ona pyta znudzonym głosem: „Skon czyłeś?” Jakby jej to było zupełnie obojętne. Oczywiście li miała rację: to jest obojętne, wiem o tym aż nazbyt dobr/i-ale dosyć mi się podobała jej zimna krew... fascynowało mnie, wiesz? Idąc się wytrzeć, zaczynała sobie podśpiewy wać. Gdy wychodziłiśmy z hotelu, dalej śpiewała. Nawd nie powiedziała Au revoir! Oddalała się, wymachując kape luszem i coś sobie nucąc. To jest kurwa dla ciebie! Świetnlj się pierdoli. Myślę, że wolałem ją od mojej dziewicy. Jei coś perwersyjnego w pieprzeniu kobiety, którą to gównu obchodzi. Coś takiego rozgrzewa ci krew...

Po chwili namysłu dodaje: - Możesz sobie wy.. brazier, jaka mogłaby być, gdyby i ona jakoś to przeżywała' - Słuchaj - odzywa się po chwili - chciałbym żebyś jutro po południu poszedł ze mną do klubu... ma by. dansing.

- Jutro nie mogę, Joe. Obiecałem pomóc Carl.. wi...

- Słuchaj, zapomnij o tym chuju! Chcę cię prosu o przysługę.

I znowu zaczyna zacierać ręce.

- Mam nagraną jedną taką cipe... obiecała się vi mną przespać w moją wolną nockę. Ale ja jeszcze się ni. zdecydowałem. Widzisz, ona ma matkę... taką zasraną malarzkę, zamęcza mnie gadaniem, ilekroć ją spotkam. Wydaj. mi się, że ta matka jest zazdrosna. Myślę, że nie miałyby mł zbytnio za złe, gdybym najpierw ją przeleciał. Wiesz, jak to jest... Tak czy owak, pomyślałem, że nie przeszkadzałyoby ci specjalnie zając się jej matką... nie jest taka zła... Gdybym

[H0]

..lun /vi najpierw córki, sam bym się mą zainteresował. I . i' .1 ładna i młoda, taka świeża, wiesz, o czym mó-'
Ma laki czysty zapach...

Słuchaj, Joe, lepiej znajdź sobie kogoś innego...

Ależ nie podchodź tak do tego! Wiem, co o tym

i I 1'ioszę cię tylko o małą przysługę. Nie wiem, jak

się lej starej kwoki. Pomyślałem najpierw, że upiję i i .pławię - nie sądzę jednak, by to z kolei spodobało młodszej. Obie są trochę sentymentalne. Pochodzą z toły czy coś w tym rodzaju. Tak czy owak, wpadnij . i obudź mnie, dobrze? Inaczej zaśpię. A poza tym

Miller Henry - Zwrotnik Raka

byś mi pomógł znaleźć pokój. Wiesz, że jestem mało
II idny. /najdź mi pokój przy jakiejś spokojnej uliczce,
> iu w pobliżu. Muszę trzymać się tej okolicy... mam
tu

• •!\i Słuchaj, obiecaj, że zrobisz to dla mnie. Mimo
i k o wpadnij - zwariuję rozmawiając tylko z tymi
iiijMiui pizdami. Chcę z tobą pogadać o Havelocku
Ellisie.

.. mam tę książkę od trzech tygodni i nawet na nią nie
■ i ućicni. Tu się po prostu gnije. Czy uwierzysz, że
nigdy

i hylcm w Luwrze ani w Comédie Française? Warto się
.... w y brać? W każdym razie to z pewnością pozwala ci
nie

l'. o innych rzeczach. Co ty robisz przez cały dzień?
Nie

III i■./, się? A jak sobie radzisz z kwestią pieprzenia?
Słu-

lui| chodź tu! Nie uciekaj jeszcze... czuję się
samotny.

co - jeśli to potrwa jeszcze rok, zwariuję. Muszę się
i li. .lać z tego pierdolonego kraju. Nic mnie tu nie
czeka.

I '• τ. że kiepsko tam teraz w Ameryce, ale mimo to...
Tu-

4 . i odbija szajba... wszyscy ci marni zasrańcy -
siedzą

.l\ .l/ień na dupie i przechwalają się swoją pracą, a
każdy

t lllch jest gównem wart. To wszystko faceci, którym się
nie

.ulało - dlatego tu przyjeżdżają. Słuchaj, Joe, ty nigdy
nie

IANKnisz za krajem? Śmieszny z ciebie facet... wygląda
na to,

| . i się tu podoba. Co ty tu widzisz?... Powiedz mi.
Chciał-

i>\ ni, na Boga, przestać myśleć o sobie. Jestem cały
poskrę-

iiuy w środku... jakbym miał tam jakiś węzeł...

Słuchaj,

[111]

wiem, że cię nudzę jak jasna cholera, ale muszę z kimś
po;"1 dać. Nie mogę rozmawiać z tymi facetami z
piętra... wieś/ co to za skurwysyny... zawsze sprzątną
ci sprzed nosa co lepsze artykuły. A ten mały kutas
Carl, cholerny z niego su mołub. Ja jestem egoistą, ale
nie samolubem. To różnica wydaje mi się, że jestem

Miller Henry - Zwrotnik Raka

neurotykiem. Nie mogę przestać myśleć o sobie. To nie o to chodzi, że uważam siebie za coś tak ważnego... Po prostu nie mogę myśleć o niczym innym i to wszystko. Gdybym mógł zakochać się w jakiejś kobiecie', trochę by mi to pomogło. Ale nie mogę znaleźć takiej, która by mnie zainteresowała. Jestem w fatalnym stanie, widzisz/ to chyba, nie? Go mi radzisz? Co byś zrobił na moim miejscu? Słuchaj, nie chcę cię już dłużej zatrzymywać, ale obudź mnie jutro o wpół do drugiej – dobrze? Dam ci jeszcze co: ekstra, jeśli wyczyścisz mi buty. I słuchaj, jeżeli masz jakąś zapasową koszulę, czystą, to przynieś ją, dobrze? Kurwa, odgniatam sobie jaja w tej pracy i nie mam nawet na czystą koszulę. Traktują nas jak bandę czarnuchów. Do licha! Pój dę się przejść... wypłukać brudy z bebeczków. Nie zapomnij. jutro\ Pół roku albo dłużej to trwało, nasza korespondencja z tą bogatą cipą, Irenę. Ostatnio meldowałem się u Carla codziennie, by sfinalizować sprawę, ponieważ jeśli chodzi o Irenę, mogłoby to trwać w nieskończoność. W ciągu ostatnich kilku dni wymieniliśmy istną lawinę listów; ostatni wyeksponowany przez nas miał prawie czterdzieści stron i był napisany w trzech językach. Było to prawdziwe pol pourri, ten ostatni list – fragmenty starych powieści, kałki z dodatku niedzielnego, zrekonstruowane wersje starych listów do Llony i Tani, zniekształcone transliteracje Rabelais'go i Petroniusza. Krótko mówiąc, wyczerpaliśmy swoje możliwości. Irenę postanawia wreszcie wyjść ze swojej muszli, przychodzi list ustalający rendez-vous w jej hote-
(|f| i. ilu ze strachu w spodnie. Co innego pisać listy do Mli mej kobiety, a zupełnie co innego złożyć jej wizytę i || le z nią. W ostatniej chwili tak się trzęsie, że zaczy- " . iluwać, iż będę go musiał zastąpić. Kiedy wysia- i, dv sówki przed jej hotelem, jest tak roztrzęsiony, że wpierw trochę z nim pospacerować. Strzelił sobie i" i nudy, ale nie dały spodziewanego efektu. Już sam 'u ii hołclu przytłacza; to pretensjonalny gmach, w któ- ii i| iluje się jeden z tych ogromnych pustych hallów, 1' i i i l/ i i i iami przesiadują Angielki z pustką w oczach. Upewnić się, że nie zwieje w ostatniej chwili, stałem | dy portier dzwonił, by go zaanonsować. Irenę była u ^^ i* i oczekiwała go. Kiedy wsiadł do windy, rzucił mi
.....i\ pełne trwogi spojrzenie, przypominające ciche
mli nie psa, któremu zakłada się pętlę na szyję. wychoi-
i' i /e/ obrotowe drzwi, pomyślałem o Van Nordenie...

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wracam do hotelu i czekam na telefon. Carl ma
I i c nizinę i obiecał powiadomić mnie, jak poszło,
przed
ii ni do pracy. Przeglądam kopie listów do niej. Usiłuję
i i yobrazić sytuację, taką jaka jest, ale to mnie
przera-
li I listy są o wiele lepsze od naszych – są szczerze, to
n. Teraz mieli już dość czasu, by wzajemnie ocenić
•ii wartość. Ciekawe, czy wciąż robi w spodnie.
Dzwoni telefon. Jego głos brzmi dziwnie, piskliwie, lyby
był przerażony i jednocześnie rozradowany. Pro-'i i i nr,
bym go zastąpił w redakcji.

- Powiedz temu skurwysynowi, co chcesz! Po-i że
jestem umierający...

- Słuchaj, Carl... możesz mi powiedzieć...?

- Halo! Pan Henry Miller?

Kobięcy głos. To Irenę. Przesyła mi pozdrowienia.
i cios brzmi pięknie przez telefon... prze-ślicz-nie.
Przez

mile ogarnia mnie prawdziwa panika. Nie wiem, co jej
..wiedzieć. Chciałbym rzec: „Słuchaj, Irenę, wydaje mi
się,
i j t n l c s piękna... myślę, że jesteś cudowna" Chciałbym
jej

[112]

U13]

0>

powiedzieć to jedno jedyne prawdziwe zdanie, bez względu
na to, jak głupio zabrzmiałoby, gdyż teraz, gdy usłyszą
li n. jej głos, wszystko wygląda zupełnie inaczej. Ale
zanim mon pozbierać myśli, Carl bierze słuchawkę i mówi
tym dziwnym, piskliwym głosem:

- Podobasz się jej, Joe. Opowiedziałem jej o tobie I
wszystko...

W biurze muszę asystować Van Nordenowi pi n korekcje.
Kiedy nadchodzi czas na przerwę, bierze mnie nu stronę.
Jest posępny, jakby przybity.

- A więc ten mały kutas jest umierający, tak? Siu
chaj, o co tu chodzi?

- Myślę, że poszedł zobaczyć się z tą swoją bogną tą
cipą – odpowiadam spokojnie.

- Co? Mówisz, że poszedł do niej? Van Norden wychodzi
z siebie.

- Słuchaj, gdzie ona mieszka? Jak się nazywa? Udaję,
że nie wiem.

- Słuchaj – mówi – porządny z ciebie face-i Dłaczego,
do diabła, nie dopuściłeś; mnie do udziału w t l
hecy?

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Aby go ugłaskać, obiecuję w końcu, że opowiem mu wszystko, gdy tylko dowiem się od Carla szczegółów. Sam nie mogę się doczekać spotkania z nim.

Nazajutrz koło południa pukam do jego drzwi. Jesi już na nogach i namydła sobie brodę. Wyraz jego twarzy nie zdradza niczego. Nie mam nawet pewności, czy powie mi prawdę. Słońce wlewa się przez otwarte okno, ptaki śpiewają, a mimo to, sam nie wiem czemu, pokój wydaje się jeszcze bardziej pusty i biedny niż przedtem; podłoga zachłi pana pianą, na wieszaku dwa brudne ręczniki, nigdy nie zmieniane. I jakoś Carl też się nie zmienił, i to zadziwi!; mnie bardziej niż wszystko inne. Tego ranka cały świat po

[U4\

W

ni n być e>dmieniony, odmieniony na dobre lub na złe, I luny, radykalnie inny. A przecież Carl stoi tam namyd-lllll i sobie twarz i żaden szczegół nie uległ najmniejszej ■ i k-

Siadaj... siadaj tam na łóżku - mówi. - Usły-I wszystko... ale wpierw poczekaj... poczekaj trochę. Ponownie namydła twarz, ostrzy brzytwę. Robi ■ • i jakaś uwagę o wodzie... znów nie ma ciepłej wody. Słuchaj, Carl, siedzę jak na rozżarzonych węgi. li Ićśli chcesz, możesz mnie dręczyć później, ale teraz mi ■ k 'I/, powiedz jedno... jak poszło: dobrze czy źle? Odwraca się od lustra z pędzlem w ręku i uśmiecha il/iwnie.

- Poczekaj tylko! Wszystko ci opowiem...

- Znaczy, że była klapa.

- Nie - mówi, przeciągając głoski. - To nie by-| I łapa, ale też nie można tego nazwać sukcesem... Aha, IIN liiiij, załatwiłeś za mnie wszystko w pracy? Co im powie-I ilirs?

Widzę, że nie ma sensu nic z niego wyciągać. Kiedy il| eje, sam mi opowie. Nie wcześniej. Kładę się na łóżku, llllll i v jak ryba. On dalej się goli.

■ Nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczyna opowiadać, z po-/i|lku chaotycznie, potem coraz bardziej składnie, śmiało. Iłti .iz sobą walkę, by wyrwać to z siebie, ale wydaje się l" ydowany zdać mi pełną relację, jakby chciał zrzucić || II, i ciężar z serca. Wspomina nawet to spojrzenie rzuc-
ii mi, gdy jechał windą na górę. Rozwodzi się nad tym dłu-), juk gdyby chciał zasugerować, że wszystko zawierało się

U lej jednej ostatniej chwili, jakby chciał powiedzieć, że

Miller Henry - Zwrotnik Raka

*• I s I >v w jego mocy leżało zmienić bieg wypadków, nigdy

■ n' wyszedłby z windy.

Miała na sobie szlafrok, kiedy do niej wszedł. Na Miik-lce stało wiaderko z szampanem. Było dość ciemno, a t\ nlos brzmiał cudownie. Opisuje mi wszystkie szczegóły [115]

dotyczące pokoju, szampana, sposobu, w jaki kelner otwierał butelkę, opowiada mi, jak wystrzelił korek, jak szelest.. jej szlafrok, kiedy podeszła się z nim przywitać – słoweffl wszystko z wyjątkiem tego, co najbardziej chciałbym usłyszeć.

Było gdzieś koło ósmej, kiedy się u niej zjawił. 11 wpół do dziewiątej denerwował się na myśl o pracy.

– Zadzwoiłem do ciebie koło dziewiątej, prawda?

– Tak, coś koło tego.

– Widzisz, byłem zdenerwowany...

– Wiem, co dalej?... Nie wiem, czy wierzyć mu, czy nie, zwłaszcza pi

preparowaniu listów do niej. Nie jestem nawet pewien, czy mnie nie myli słuch, bo to, co opowiada, brzmi absolutnie fantastycznie. A jednocześnie wydaje mi się, że to prawda szczególnie gdy zna się go tak dobrze jak ja. I wówczas przypominam sobie jego głos przez telefon, tę dziwną mic szankę radości i przerażenia. Ale dlaczego teraz nie jest je szcze bardziej rozradowany? Uśmiecha się przez cały czas, uśmiecha jak mała różowa pluskwa, która nażłopała się ddsyta.

– Zadzwoiłem do ciebie koło dziewiątej, zgad się? – pyta już po raz drugi.

Potakuję niechętnie. Tak, była dziewiąta. Jest ter; pewny, że to było o dziewiątej, gdyż pamięta, jak wyjął ze garek. W każdym razie, kiedy znowu nań spojrział, była dziesiąta. Ona leżała na otomanie, obejmując rękoma cycki w ten sposób mi to relacjonuje – kropla po kropli. O jedc nastęej wszystko było postanowione – mieli zamiar uciec razern, na Borneo. Chuj z mężem! I tak go nigdy nie kocha la. Nie napisałyby przecież tego pierwszego listu, gdyby jej mąż nie był tak stary i tak mało namiętny.

– A potem ona do mnie: „Ale słuchaj, kochanie, skąd wiesz, że się mną nie znudzisz?”

[116]

y.I

Miller Henry - Zwrotnik Raka

I.

W tym momencie wybucham śmiechem. wydaje | ftf, że to bzdura, nic na to nie poradzę. I CO ty na to? I cóż miałem powiedzieć? „Jak ktoś mógłby

I i olwiek znudzić się tobą - odpowiedziałem.

Potem opisuje, co było dalej, jak pochylił się i cało-| i i piersi i jak po tych namiętnych pocałunkach włożył powrotem w gorset, czy jak tam one to zwą. I potem je-■ I |cden coupe szampana.

Koło północy pojawia się kelner z piwem i kanapie anapkami z kawiozem. A przez cały ten czas, jak IWI, strasznie chciało mu się łąć. Raz miał wzwód, ale ja-I minął. Przez cały czas ma tak pełny pęcherz, że mało, pęknie, ale wyobraża sobie, ten chytry mały kutas,

II nacja wymaga delikatności.

O wpół do drugiej ona chce wynająć samochód i | i i bać się po Bois. A on myśli tylko o jednym - jak tu ■•I łąć? - Kocham cię... uwielbiam... - mówi jej. - Po-/ tobą, gdzie tylko zechcesz - do Istambułu, Singapu- i I lonolulu. Ale teraz muszę już iść... Robi się późno.

Wszystko to opowiada mi w tym swoim nędznym inledbanym pokoiku, do którego wpada słońce i odgłosy luków ćwierkających jak oszalałe. Nie wiem jeszcze, czy NN Ji st piękna, czy nie. On sam tego nie wie, imbecyl. Wy-

i iui się, że nie. w pokoju było ciemno, a poza tym ten ППpun i jego rozstrojone nerwy...

- Powinieneś jednak móc cokolwiek o niej powie-jeśli to wszystko nie jest wierutnym kłamstwem.

- Poczekaj chwilę - mówi. - Poczekaj... niech mmyślę!

Nie, nie jest piękna. Jestem teraz pewien. Pamię-pasmo siwych włosów nad czołem... Ale to jeszcze nie i najgorsze - jak widzisz, niemal o tym zapomniałem, gorsze były jej ramiona - takie cienkie... cienkie i kru-hi

[117]

Zaczyna chodzić tam i z powrotem. Nagle staje ju|| wryty.

- Gdyby była choć o dziesięć lat młodsza! wykrzykuje.

- Gdyby była o dziesięć lat młodsza, golów byłbym zapomnieć o tym paśmie siwych włosów... i nawe! o jej kruchych ramionach. Ale ona jest po prostu stara. Wi dzisz, kiedy ma się taką cipę, liczy się każdy rok. Za rok oni nie będzie starsza o rok - będzie starsza o dziesięć lat. I| szcze rok i przybędzie jej dwadzieścia lat. A ja ciągle jeszcze będę wyglądał młodo -

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przynajmniej przez najbliższych
pięć lat...

- Ale jak to się skończyło? - przerywam mu.

- W tym cała rzecz... wcale się nie skończyli i
Obiecałem spotkać się z nią we wtorek koło piątej. To
fatal

nie, wiesz! Miała na twarzy zmarszczki, które o wiele
gorzi

będą wyglądać w świetle dziennym. Myślę, że chce, bym
ji |

we wtorek wypierdolił. Różnąc za dnia - tego nie robi się
/

taką pizdą jak ona. Zwłaszcza w takim hotelu. Wolałbym
to zrobić, kiedy będę miał wolną noc... ale we wtorek
nic

mam. Nie dość na tym. Obiecałem jej do tego czasu list.
Jaj

ja mam teraz do niej pisać? Nie mam nic do powiedzenia.

Kurwa! Gdyby chociaż była o te dziesięć lat młodsza. Myś

lisz, że powinienem pojechać z nią... na Borneo, czy

gdzie
tam ona ma ochotę mnie zabrać? Przecież nie umiem strze

lać. Boję się broni i tym podobnych rzeczy. Poza tym
będzi |

chciała, bym ją pierdolił dzień i noc... przez cały czas
nit

tylko polowania i łomotanie jej w wyrze... nie ma mowy!

- Może nie będzie tak źle, jak myślisz. Ona będ/ir ci
kupować krawaty i tym podobne...

- Nie pojechałbyś z nami, co? Opowiedziałem jej
o tobie wszystko...

- Powiedziałaś jej, że jestem biedny? Powiedz mi leś,
że potrzebuję wielu rzeczy?

- Powiedziałem jej wszystko. Kurwa, wszystko byłoby
dobrze, gdyby tylko była choć o dziesięć lat młod

[118]

\, Powiedziała, że zbliża się do czterdziestki. To
znaczy, |" i pięćdziesiątkę albo i sześćdziesiątkę. To

tak, jakbym lilił whisną matkę... nie wolno tego
robić... to niemoż-

- Ale musiała mieć w sobie coś atrakcyjnego., ileś, że
całowałaś jej piersi?

- Całowałem - i co z tego? Poza tym, mówię ci,
ЦП i ieипно.

Gdy zakłada spodnie, urywa mu się guzik.

- Sam widzisz. Ten cholerny garnitur rozłazi się. ',■
go już siedem lat... Nawet za niego nie zapłaciłem.

• To był dobry garnitur, ale teraz jest do niczego. A ta

Miller Henry - Zwrotnik Raka

■ ilu k upowałaby mi też garnitury, zapewne wszystko, cze-I bym zapragnął. Ale tego właśnie nie lubię, być utrzy-inl iem jakiegoś babsztyla. Nigdy w życiu nie byłem w ta-lytuacji, To już bardziej w twoim stylu. Ja wolałbym •mm. Kurwa, to niezły pokój, nie? Co tu jest nie tak? O ■l'" lepszy od jej pokoju, może nie? Nie podoba mi się jej | hi. ki hotel. Nie znoszę takich hoteli. Powiedziałem jej 1 'l parła, że obojętne jej, gdzie mieszka... powiedziała, że szka ze mną, jeśli zechcę. Możesz sobie wyobrazić, jak i ' • iwadza się tutaj ze swoimi wielkimi walizami i pudłami ipelusze, i całą pieprzoną resztą, którą z sobą wlecze? 1 I u dużo rzeczy – za dużo kiecek i buteleczek i tym pobitych dupereli. Jej pokój przypomina klinikę. Jeśli za-c sic w palec, to już poważna sprawa. A do tego musi

W i wać się masażom, musi układać sobie włosy i nie wol-i' i jeść tego i owego. Słuchaj, Joe, ona byłaby o.k., gdy-byłtu odrobinę młodsza. Młodej cipie można wszystko l'.i< /yć. Młoda cipa nie musi mieć oleju w głowie. Nawet wpi'i'i. jak nie ma. Ale stara cipa, nawet gdy posiada bły-mlliw.j inteligencję, gdy jest najbardziej czarującą kobietą " iccic, to bez różnicy, to i tak na nic. W młodą cipę toli inwestować, stara cipa to czysta strata. Jedyne, co • ■ dla ciebie zrobić, to kupować ci prezenty. Ale od tego

[119]

jej ramiona nie stają się krągłejsze ani nie przybywa jej so ków między udami. Nie jest zła ta Irene. W gruncie rzeczy sędzę, że spodobałaby ci się. W twoim przypadku wszystko wygląda inaczej. Ty nie musisz jej pierdolić. Stać cię na l<> by ją polubić. Może nie przypadłyby ci do gustu te wszys! kie szmatki, flakoniki i co tam jeszcze, ale mógłbyś zdobyć się na wyrozumiałość. Nie zanudziłaby cię, możesz być pewny. Powiedziałbym nawet, że jest interesująca. Ali uschnięta. Jej piersi są jeszcze w porządku, ale te ramioiml Obiecałem przyprowadzić cię kiedyś ze sobą. Dużo jej o to bie mówiłem... Nie wiedziałem, o czym z nią rozmawiać. Może ci się spodoba, zwłaszcza ubrana. Nie wiem...

– Słuchaj, ona jest bogata, tak? A więc mi się spo doba! Nie obchodzi mnie, że jest stara, jeśli oczywiście nic jest jakąś wiedźmą...

– Nie jest żadną wiedźmą! Skąd ci to przyszło ii głowy? Jest czarująca, mówię ci. Ładnie mówi. Ładnie wy gląda... tylko te jej ramiona...

– W porządku, jeżeli tak się sprawy mają, ja jil

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wypierdołę, skoro ty nie chcesz. Powiedz jej to. Ale zrób In jakoś subtelnie. Z taką kobietą należy postępować delikuhl nie. Przyrowadzisz mnie i zobaczymy, jak się sytuacja roj winie. Chwal mnie jak jasna cholera. Udawaj trochę zł zdrosnego... Kurwa, może wypierdolimy ją obaj... i będzie my razem podróżować i dobrze jadać... jeździć samochodu mi, polować i modnie się ubierać. Jeśli chce jechać na Boi neo, niech nas zabierze ze sobą. Ja też nie umiem strzelili ale to bez znaczenia. Jej to wcale nie obchodzi. Ona ciur tylko, żeby ją pierdolić, to wszystko. Bez przerwy wybr/v dzasz na jej ramiona. Nie musisz przecież cały czas patr/n na tej jej ramiona, no nie? Lepiej przyjrzyj się tej kapie PI łóżku! Spójrz w lustro! To się nazywa życie? Chcesz po/u stać delikatnisiem i żyć do końca życia jak wesz? Nie sta cię nawet na zapłacenie rachunku za hotel... a przecież ma

[120]

Tak nie można żyć. A niechże ma i siedemdziesiąt INI l' ps/.c to niż życie tutaj...

Słuchaj, Joe, wypierdol ją za mnie... wtedy i ko będzie grało. Może od czasu do czasu i ja ją ze- i n,, jak będę miał wolną nockę. Od czterech dni dobrze

|f nic wysrałem. Coś mi się tam przylepia, jak skórki wino-

'i

- Masz hemoroidy, nic więcej.

- w dodatku wypadają mi włosy... powinienem / pójść do dentysty. Czuję, że się sypię. Opowiedziałem

||lki / ciebie świetny facet... Zrobisz to za mnie, co?

Nie vsz delikatnością, prawda? Jeżeli pojedziemy na Bor-i' •i wyleczę się z hemoroidów. Może nabawię się czegoś in-P|t<>... jeszcze gorszego... malarii... albo cholery. Kurwa, ||| I, piej umrzeć na jakąś porządną chorobę, niż przegrać n ii pracując w byle gazecie z winogronami w dupie i ury-wn|i|iymi się od spodni guzikami. Chciałbym być bogaty, lift l>v przez tydzień, a potem trafić do szpitala z jakąś po-i In.I chorobą - najlepiej śmiertelną - i mieć w pokoju 4,11 v i żeby tańczyły koło mnie pielęgniarki i przychodziły li i. i my. Jeśli jesteś bogaty, dobrze się tobą opiekują. Mycie watką i czeszą. Kurwa, wiem to. Może dopisze mi ■ ście i wcale nie umrę. Może zostanę do końca życia ka-i i może mnie sparaliżuje i dokonam żywota na wózku HYulidzkim. Ale wówczas i tak będą się mną zajmować... n iwcl gdybym był bez grosza. Jeśli jesteś inwalidą -

Miller Henry - Zwrotnik Raka

praw-| mi \ih inwalidą - nie umrzesz z głodu. I dadzą ci czyste wito... i codziennie będą zmieniać ręczniki. A tutaj... chuj i dero obchodzi, co się z tobą stanie, zwłaszcza jeżeli pracę. Wszystkim się wydaje, że człowiek winien być t /cśliwy, gdy ma pracę. Co byś wolał: być kaleką do konwiał czy mieć pracę... albo ożenić się z bogatą cipą? Wi-v л- wybrałbyś bogatą cipę. Ty myślisz wyłącznie o jedze-\ le założmy, że ożeniłbyś się z nią i przestałaby ci sta-

[121]

wiać - to się czasem zdarza - co byś wtedy zrobił? Byll>v4 zdany na jej łaskę i niełaskę. Musiałbyś jej jeść z ręki, mb\ jakiś pudelek. Byłoby ci dobrze, nie? A może nie myślis/ u takich sprawach? Ja myślę o wszystkim. Myślę o garnili i rach, które bym sobie sprawił, i o tym, gdzie chciałbym pa jechać, ale myślę też i o czymś jeszcze. Liczy się tylko to jeil no. Na cóż ci wspaniałe krawaty i piękne garnitury, jeśli \\: ci nie staje? Nie mógłbyś jej nawet zdradzić, bo przez cały czas deptałaby ci po piętach. Nie, najlepiej byłoby się z nu ożenić i od razu zachorować. Tylko nie na syfilis. Powiedl my na cholerę albo na żółtą febrę. Tak więc, gdyby zda iv vi się cud i uszedłbyś z życiem, zostałbyś kaleką na res/ł swoich dni. Nie musiałbyś się wówczas martwić tym, ı trzeba ją codziennie pierdolić, ani przejmować się kopki nym. Pewnie kupiłaby ci ładny wózek inwalidzki na gumu wych kołach, z różnymi dźwigniami i czym tam jeszcze. Może nawet będziesz miał sprawne ręce - przynajmniej n.i tyle, żeby móc pisać. Albo, skoro już o tym mowa, mógłby, mieć sekretarkę. Właśnie, to najlepsze wyjście dla pisar/.i Na co takiemu gościowi nogi i ramiona? Do pisania nie ■ mu potrzebne. Potrzebne jest mu poczucie bezpiecz.cn stwa... spokój... i opieka. Ci wszyscy bohaterowie defilujący na wózkach inwalidzkich - wielka szkoda, że nie są pisfl rzami. Gdybym idąc na wojnę mógł mieć pewność, że urwie mi tylko nogi... gdybym był tego pewien, powiedziałbym niech jutro wybuchnie wojna. Pierdoliłbym ich medale mogliby je sobie zatrzymać. Wszystko, czego bym pragnął to dobry wózek inwalidzki i trzy posiłki dziennie. Wtedy dopiero dałbym im coś poczytać, tym chujom. Następnego dnia, o wpół do drugiej, wpadam dd Van Nordena. To jego wolny dzień, a raczej wolna noc. Zostawił Carlowi wiadomość, że mam mu dziś pomoc w przeprowadzce.

[122]

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Zastaję go w stanie niezwykłego przygnębienia.

i } nie, że przez całą noc nie zmrużył oka. Coś zaprzęta

■ li, coś go gryzie. Nie upływa wiele czasu, a odkry-

I | a l o takiego; czekał niecierpliwie na moje

przybycie,

I In / siebie wyrzucić.

Ten facet - zaczyna, mając na myśli Carla - IIH4'I jest artystą. Opisał mi dokładnie każdy szczegół. CI | i działał

mi to z takimi detalami, że wiem: to wszystko

.....ic kłamstwo... ale nie przestaję o tym myśleć.

wiesz,

. || pin uje mój umysł!

Przerywa sobie, by zapytać, czy Carl opowiedział vyslko.

Nie pojawia się w jego umyśle nawet cień po-

.....a, że Carl mógł opowiedzieć co innego mnie, a co

kinu. Zdaje się sądzić, że cała opowieść została wy-

j/iłonn wyłącznie po to, by go dręczyć. Nawet mu zbyt nie

.Luiza, że to wymysł. Te „obrazy” - jak je nazywa

i i.'ic Carl pozostawił w jego mózgu, tak go

prześladują.

lihrazy są prawdziwe, nawet jeśli cała historia jest

zmyś-

" i \ poza tym nie da się zaprzeczyć, że istotnie jest

tutaj

inir.ila cipa i że Carl naprawdę złożył jej wizytę. To,

co w

MOIC zaszło, ma dla niego znaczenie drugorzędne; przyj-

|(|i /a pewnik, że Carl ją spławił. Do rozpaczy

do-

ulza go jednak myśl, że sceny, które opisał Carl, mog-

.larzyć naprawdę.

- To w stylu tego faceta - mówi - pochwalić /robił to z

nią sześć czy siedem razy. Wiem, że to iwno prawda, i

nawet mi to tak bardzo nie przeszkadza, i li dy opowiada

mi, że wynajęła samochód i zawiozła go llois, że

przykryli się futrem jej męża, to tego już za wie-*

Pewnie opowiadał ci, jak to szofer czekał pełen

szacun-i, słuchaj, czy mówił także, jak silnik przez

cały czas ciii hi. 11 ko mrucał? Jezu, ależ ślicznie to

wykoncypował! To ifMllic w jego stylu pomyśleć o takim

drobiazgu... to jeden Iyi'Ii szczegółów, dzięki którym

całość staje się prawdopo-lllhiui / psychologicznego

punktu widzenia... nie można

[123]

potem o tym zapomnieć. I opowiada mi to tak gładko, CI

naturalnie... Ciekaw jestem, czy wymyślił to przedtem,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

(I wyszło mu to ot, tak, mimochodem? Jest tak zdolnym kłamcą, że nie można się od niego oderwać, kiedy zaczął nawijać... to tak, jakby pisał do ciebie list, jeden z tych jeffl kwiatów doniczkowych, które fabrykuje przez noc. Nic m zumiem, jak można napisać taki list... nie potrafię zgłębi mentalności, która się za tym kryje... to forma mastuilu cji... co o tym sądzisz? Zanim jednak mogę pozwolić sobie na wyrażefll opinii albo roześmiać mu się w twarz, Van Norden ciągflł swój monolog.

- Słuchaj, pewnie wszystko ci opowiedział... c/y wspomniał, jak całował ją stojąc na balkonie w poświat I księżyca? Teraz brzmi to banalnie, ale sposób, w jaki x typ to opisuje... dosłownie widzę, jak ten kutas stoi tani / kobietą w ramionach i jednocześnie pisze do niej kolcjm list, kolejny kwiat doniczkowy o dachach i całej tej piepw nej reszcie kradzionej od autorów francuskich. Ten facet nigdy nie powie nic oryginalnego, wreszcie to odkryłem. Dosyć, że masz jakiś trop... wystarczy się dowiedzieć, kop ostatnio czytał... a trudno to ustalić, ponieważ jest tak chfl ternie skryty. Słuchaj, gdybym nie wiedział, że ty także | nim tam poszedłeś, nie uwierzyłbym, że ta kobieta istniej Facet tego pokroju mógłby pisać listy sam do siebie. A nu mo to dopisuje mu szczęście... jest tak cholernie małutki tak kruchy, tak romantycznie wygląda, że od czasu do ca su kobiety na niego lecą... jakby chcąc go zaadoptować sądzę, że im po prostu go żal. A niektóre pizdy lubią dosłu wać kwiaty doniczkowe... to zwiększa ich poczucie warta ci. Przecież to kobieta inteligentna, tak przynajmniej o| utrzymuje. Ty powinienes coś o tym wiedzieć... widziałeś | listy. Jak sądzisz, co taka kobieta mogła w nim zobaczyć! Rozumiem, że mogła dać się złapać na te listy... ale jak wj dług ciebie poczuła się, kiedy go zobaczyła!

[124]

- Ależ słuchaj, to wszystko nie ma tu nic do rzeczy. i

Miller Henry - Zwrotnik Raka

i o sposób, w jaki mi to opowiedział. Wiesz, jak on Hfks/u te swoje opowieści... Tak więc po tej scenie na bal-podaje mi to jako przystawkę, wiesz - wtedy, jak I weszli do środka i on rozpiął jej piżamę. Dlaczego się ■ hasz? Wcisnął mi to?

- Nie, skądże! Mnie opowiadał dokładnie to sa-I co dalej?

- Potem - tu Van Norden sam musi się u-llwhnąć - potem więc, uważaj, opowiada, jak usiadła na < l<\ zadzierając nogi do góry... a nie miała na sobie ni-

on siedzi na podłodze spoglądając na nią, mówi jej, i i licknie wygląda... czy powiedział ci, że wyglądała jak z

ИИИHKC'a? Poczekaj chwilę... chciałbym sobie dokładnie wypomnieć jego słowa. Miał w tym miejscu taki ładny ba-it odalisce... co to właściwie jest, do cholery, odaliska?

I >< dział to po francusku, dlatego tak trudno mi przypo-

Hlleć sobie to kurestwo... ale rzecz brzmiała dobrze. Była

i bu rdzo w jego stylu. A ona może myślała, że sam to wy-

III. pewnie uważa go za poetę albo coś w tym rodzaju.

•Inchaj... to jeszcze nic... Biorę poprawkę na jego wyo-I щ. Do szału doprowadza mnie to, co stało się potem. I Całą noc rzucałem się na łóżku, bawiąc się tymi obra-№1 które pozostawił w mojej głowie. Nie mogę przestać oyśleć. Brzmi to dla mnie tak realnie, że gdyby się nie

1 li \lo, mógłbym skurwysyna udusić. Nikt nie ma prawa lać takich rzeczy. Chyba że jest chory... To do czego zmierzam, to chwila, gdy, jak mówi,

II na kolana i swymi dwoma smukłymi palcami rozwarł i plC /kę. Pamiętasz to? Mówi, że siedziała tam, jej nogi pły z oparcia krzesła i nagle przyszło natchnienie. Na-1 4"l" I o, gdy zerznął ją już parę razy... po tej jego odzywce

Malissie. Klęka - uważaj teraz - i dwoma palcami... iwie tylko, zwróć uwagę, koniuszkami palców... li ni Lc małe płatki... cik-ciuk... tak właśnie. Taki lepki

[125]

7

cichuteńki dźwięk... prawie niesłyszalny. Cik-ciuk!

Jezu, ifl szalem to przez całą noc! A potem mówi - jakby mi li щ nie było dość - potem mówi, że zanurzył głowę w

Miller Henry - Zwrotnik Raka

jej muł ce. A kiedy to zrobił, Boże zlituj się, ona opłotła mu s/jl nogami, przytrzymując go tam. To mnie wykończyło! W\n braż to sobie! Wyobraź sobie tylko, że taka ładna, wra/huu kobieta obejmuje udami jego szyję! Jest w tym coś niezddl wego. To tak fantastyczne, że aż brzmi przekonująco. (Щ by opowiedział mi tylko o szampanie i przejażdżce po Boi czy nawet tej scenie na balkonie, mógłbym na to machM ręką. Ale to jest już tak nieprawdopodobne, że prześle brzmieć jak kłamstwo. Nie uwierzę, że coś podobnego mfl gdzieś przeczytać, i nie widzę, co mogłoby mu podsunąć I ki pomysł, jeśli nie byłoby w tym źdźbła prawdy. Wiesz, Щ się ma do czynienia z takim małym kutasem, wszystko..... że się zdarzyć. Może wcale jej nie pierdolił, może tylko m zwoiliła mu się popieścić... z tymi bogatymi cipami nigdy ul» wiadomo, czego od ciebie oczekują... Kiedy w końcu Van Norden wygrzebuje się z wyi i zaczyna się golić, jest już dobrze po południu. Udało mi się w końcu przestawić jego umysł na inne tory, głównie ■ przeprowadzkę. Pokojówka przychodzi sprawdzić, czy jo»! gotów – miał opuścić pokój do południa. Van Nonlcn właśnie nakłada spodnie. Trochę mnie dziwi, że jej nie pra prasza i nie raczy się nawet odwrócić. Widząc, jak nons/u> lancko zapina rozpokek i wydaje jej polecenia, zaczynani chichotać.

– Nie przejmuj się nią – mówi, rzucając jej spo| ' rzenie pełne najwyższej pogardy – to tylko duża maciori Jeśli chcesz, uszcypnij ją w tyłek. Słowa nie powie.

A potem, zwracając się do niej po angielsku, mówi

– Chodź tutaj, ty dziwko, i weź go do ręki! Słyszając to, nie mogę się już dłużej powstrzymać wybucham śmiechem, mój atak histerycznego śmiechu udziela się też pokojówce, chociaż ona nie wie, o co chód л

[126]

/vna zdejmować ze ścian obrazy i fotografie przedsta-Щi c przeważnie samego Van Nordena.

Ty – mówi on, przywołując ją gestem – chodź I Musz coś na pamiątkę – i zdiera ze ściany fotografię кичiy wyjdę, możesz się tym podetrzeć. Widzisz – i*|i'id/a, zwracając się do mnie – jaka głupia dziwka. Nie I iwiałaby zresztą wrażenia bardziej inteligentnej, gdyby и iidłyszała po francusku.

Pokojówka stoi z otwartą gębą; jest najwyraźniej i шита, że on zbzikował.

– Hej – drze się na nią, jak gdyby była głucha. Hej, ty! Tak, ty! O tak...! – i bierze tę fotografię, swoją • lii] fotografię, i podciera nią sobie tyłek.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

- Comme ca! Kapujesz? Jej trzeba by to naryso-mówi, wysuwając do przodu dolną wargę w gryma-II ijwyższej odraży.

Bezwołnie przygląda się, jak ona wrzuca jego rze-S d" walizek.

Masz, włóż i to -<- mówi - podając jej szczo-

■ l', i gumowy irygator. Połowa jego rzeczy leży na pod-

tl i walizy są wyładowane po brzegi i nie ma gdzie wło-

tihruzów i książek, i butelek opróżnionych do połowy.

■ Usiądź na chwilkę - zwraca się do mnie. -

mnóstwo czasu. Musimy to najpierw przemyśleć.

• nie przyszedł, nigdy bym się stąd nie wydostał. Wi-i, i.iki jestem bezradny. Przypomnij mi, żebym zabrał ifilwki... są moje. Ten kosz na śmieci też należy do mnie.

i niwysyny chcą, byś żył jak świnia.

Pokojówka zeszła na dół po sznurek.

- Poczekaj, a zobaczysz...- policzy mi za ten sznu-Bhocby kosztował tylko trzy sou. Nawet guzika do illil nie przyszyją ci tutaj, nie pobierając za to opłaty. b mi, obrzydliwi skąpcy!

Zdejmuje z półki nad kominkiem butelkę calvado-' ii ilili mi znak, bym wziął drugą.

[127\

- Nie ma sensu zabierać ich ze sobą. wypijmy i> tutaj. Me jej nie częstuj! Tej cholery nie zostawiłbym nawl kawałka papieru toaletowego. Chętnie przed odejściem zdemolowałbym pokój. Słuchaj... nasikaj na podłogę, jr.li masz ochotę. Bo ja chciałbym nasrać do szuflady biurk.i

Jest tak doszczętnie zdegustowany sobą i wszy.i kim innym, że nie wie, co zrobić, by dać upust tymuc/n ciom. Podchodzi do łóżka z butelką w ręku i, odkrywa |.f narzutę, chlapie calvadosem na materac. Niezupełnie z legii zadowolony, jeszcze wbija weń obcasy. Niestety, nie ma nu nich błota. Bierze w końcu prześcieradło i czyści nim sol nr buty.

- Będą przynajmniej mieli zajęcie - mruć) mściwie, po czym, biorąc spory łyk do ust, odrzuca głowi do tyłu, przepłukując sobie gardło, robi to bardzo dokl;ul nie, i wypływa wino na lustro.

- Macie, dusigrosze, macie, skurwysyny! Zetrzyi cie to sobie, gdy odejdę! - Chodzi tam i z powrotem, mani rocząc do siebie. widząc na podłodze swoje dziurawe sk;u pety, podnosi je i drze na kawałki. Obrazy także wywołm jego wściekłość. Podnosi jeden z nich - to jego portret

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wykonany przez pewną znajomą lesbijkę – i dziurawi go bit tem.

– To dziwka! Ty wiesz, o co ona ośmieliła a|| mnie poprosić? Otóż chciała, żebym podrzucił jej moje o py, gdy z nimi skończę. Nie dała mi ani grosza za napisami o niej pozytywnej recenzji. Myślała pewnie, że szczerze po dziwiam jej prace. Nie udałooby mi się wyciągnąć od niej na wet tego obrazu, gdybym nie obiecał umówić jej z tą pizda Minnesoty. Miała fioła na jej punkcie... łaziła za nią niczym ciekąca się suka... nie mogliśmy się od tej dziwki odczepić! Ciągłe zawracała mi głowę. Doszło do tego, że nieledwie b;i łem się sprowadzić tu jakąś cipę będąc w strachu, że tu na* gle wpadnie. Skradałem się jak złodziej i zamykałem drzwi na klucz, gdy tylko wszedłem... Ona i ta pizda z Geord
[128]

l'uwiają mnie o fioła. Jedna jest zawsze napalona, a \ iccnie głodna. Nie lubię pierdolić się z głodnymi i..... To tak jakby wpychać takiej żarcie, a potem je wy-

h u Hoże, coś mi to przypomniało... gdzie położyłem Hi burską maść? To ważne. Miałeś to już kiedyś? Gorsze u Nie wiem nawet, gdzie to złapałem. W zeszłym ty-h.....niałem tu tyle kobiet, że już straciłem rachubę. Co

niejsze, one wszystkie tak świeżo pachniały. Ale wiesz, (Md I" ||\SI...

l'okojówka ułożyła jego rzeczy na chodniku. Pa- i 'i 'ygląda się nam kwaśno. Kiedy wszystko zostało za- ine do taksówki, pozostało tylko miejsce dla jednego < (idy ruszamy, Van Norden wyciąga gazetę i zaczyna ■ i u nią garnki i patelnie; w nowym hotelu gotowanie jest

• mi> zabronione. Gdy dojeżdżamy na miejsce, jego wali- iliiglf się otwierają; nie byłoby to takie krępujące, gdyby i chwili naszego przyjazdu właścicielka nie uchyliła drzwi.

- Mój Boże – wykrzyknęła – czyje to wszystko, l' ibla? Co to ma znaczyć?

Van Norden jest tak przestraszony, że nic mu nie iyi hodzi do głowy poza: – Cest moi... c'est moi, mada-' I i ul wracając się do mnie, mamrocze z wściekłością: – In kwoka! Widziałeś jej dziób? Da mi tu w kość!

Hotel położony jest na tyłach obscurnego pasażu i m/j prostokąt do złudzenia przypominający nowoczes- il lad penitencjarny. Bureau jest wielkie i ponure pomi-

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Iwiutła odbijającego się od kafelków na ścianie. Wszę-
w oknach wiszą klatki z ptakami i emaliowane tablicz-
' upraszające gości językiem, który dawno już wyszedł z
' u, by nie robili tego i nie zapominali o tamtym. Jest
.....ni nieskazitelnie czysto, ale panuje tu absolutna
bie-
uiszczenie, smutek. Wyściełane skórą krzesła trzymają ki-
jakimś konstrukcjom z drutu, nasuwając nieprzy-
.....i' skojarzenie z krzesłem elektrycznym. Pokój Van
"i na znajduje się na piątym piętrze. Gdy wchodzimy po
.....ПК...

[129]

schodach, informuje mnie, że mieszkał tu kiedyś маирв
sant. I jednym tchem dodaje, że w hallu unosi się jakiś
dzll ny smród. Na piątym piętrze brakuje paru szyb w
oknai I przystajemy na chwilę, gapiąc się na lokatorów
po drugi stronie podwórza. Zbliża się pora obiadu i
ludzie rozchodzi) się do swoich numerów w tej atmosferze
zmęczenia i pi/\ gnębienia biorącej się z uczciwego
zarabiania na żył większość okien jest szeroko otwarta:
obskurne poke wyglądają jak ziewające usta. Ich
mieszkańcy także ziew.iii albo stale się drapią.
Poruszają się apatycznie i najwidu niej bezcelowo;
równie dobrze można by ich wziąć za lun tyków.
Kiedy skręcamy korytarzem do pokoju 57, naci' przed nami
otwierają się drzwi i ukazuje się stara wiedźma
wiechciem włosów na głowie i oczami maniaczki. Jesteśnu
tak zaskoczeni, że stajemy jak wryci. Przez pełną minię
stoimy tam wszyscy troje, niezdolni do jakiegoś ruchu
<.vy choćby inteligentnego gestu. Za starą wiedźmą widzę
sln| kuchenny i leżące na nim niemowlę, całkiem
rozebrani drobnego, małego berbecia nie większego niż
oskubał kurczak. W końcu stara podnosi wiadro z pomyjami
stoi ce obok niej i rusza naprzód. Ustępujemy jej z
drogi i gj tylko zamykają się za nią drzwi, niemowlę
wydaje przes/y wający wrzask. To pokój 56, a pomiędzy
numerami 56 i 51 znajduje się toaleta, gdzie ta wiedźma
opróżnia wiadra.

Od chwili kiedy weszliśmy na schody, Van Nordej
zachowuje milczenie. Wyraz jego twarzy mówi jednak san
za siebie. Kiedy otwiera drzwi do pokoju 57, przez momcn
mam uczucie, że popadam w obłąd. Ogromne lustro pok iv
te zielonkawą gazą i nachylone pod kątem 45 stopni wisi
n. wprost wejścia, a pod nim stoi dziecięcy wózek
wypełnion książkami. Van Norden nawet się nie uśmiecha;
zamiast k go podchodzi z nonszalancją do wózka i biorąc
do ręki ja kąś książkę, zaczyna ją przeglądać, zupełnie
jak ktoś, ki i wchodzi do biblioteki publicznej i

machinalnie przystępują

[130]

Wszedł z brzegu półki. I może samo to nie wydawało-
..... tak śmieszne, gdybym jednocześnie nie ujrzał pary
4HIII li*/i|cych w kącie. Emanuje z nich tak absolutny
spodli >wolenie, jakby drzemały tam latami, toteż nagle
'ilnr ni się, jakbyśmy stali w tym pokoju, dokładnie w
tej

.....i pozie, przez niezmiernie długi czas, że

przyjeliśmy ją

I *ni', /, którego do tej pory nie obudziliśmy się, a
który

i iii przy najmniejszym geście, choćby przy mrugnięciu

и lic jeszcze bardziej godne uwagi jest nachodzące

■ u il', le wspomnienie prawdziwego snu z minionej
nocy,

| И k lórym widziałem Van Nordena właśnie w takim ką-

111 i leraz zajmują hantle, tyle że zamiast nich tkwiła

i I ulona kobieta z nogami uniesionymi do góry. Widzę

lu)i|U!go nad nią z tym swoim czujnym, łakomym wyra-

i "i /u, pojawiającym się, ilekroć czegoś bardzo

pragnie.

i przy której to się dzieje, jest jakby zamazana – jedy-

i 11 utworzony przez dwie ściany widać wyraźnie, i tę

>!•'ii.I kobiecą postać. Widzę, jak Van Norden zabiera

się

lllcj na swój szybki, zwierzęcy sposób, nie bacząc na

to,

n, il/ieje wokół, zdecydowany jedynie dopiąć swego. Je-

l" ijrzenie zdaje się mówić: „potem możecie mnie zabić,

i li ruz pozwólcie, że jej wsadzę... muszę jej go

wsadzić!" I

I Itoi lam, pochylony nad nią, ich głowy uderzają o

ścia-

i "ii ma tak wielki wzwód, że jest po prostu niemożli-

ii|, by zdołał go wsadzić. Nagle, z tym wyrazem znie-

.....n, który jedynie on potrafi przywołać, podnosi się

i

ipruwia na sobie ubranie. Już ma odejść, kiedy nagle

za-WM/u, że jego penis leży na chodniku. Jest mniej

więcej ы k ości odciętego kija od miotły. Z nonszalancją

podnosi ■ i wsadza sobie pod pachę. Kiedy odchodzi,

widzę dwie

1.....ie jak cebule bulwy dyndające na końcu kija od

f/nlki i słyszę, jak mamrocze do siebie: „kwiaty

donicz-. kwiaty doniczkowe". Pojawia się zdyszany i

spocony garcon. Van Nor-I' и patrzy na niego, nic nie

rozumiejąc. Teraz wkracza ma-

[131]

jestatycznie właścicielka i, podchodząc prosto do Van Nordena, wyjmując mu z ręki książkę, wrzuca ją do wózka i ba słowa wyprowadza wózek na korytarz.

– Ależ to dom wariatów – mówi Van Norden uśmiechając się ze smutkiem. Jest to taki ledwo dostrzegł) ny, trudny do opisanego uśmiech, iż na chwilę powraca wi. i żenię, że to sen, że stoimy na końcu długiego korytarza, /, i kończącego pofalowanym lustrem. W dół tego właśnie ki rytarza, wymachując swym strapieniem jak brudną latarki podąża chwiejnym krokiem Van Norden, wtacza się tuh wylatuje z drzwi, które otwierają się tu i ówdzie, wciągając czyjąś ręką albo wykopywany czyjś kopytem. I im bu dziej się oddala, tym bardziej ponure staje się jego strapM nie; obnosi się z nim jak z latarką, którą cyklisci trzymM nocą w zębach, kiedy jezdnią jest mokra i śliska. Wchod/i i wychodzi z obskurnych numerów, a kiedy usiłuje usiąść, krzesło się rozpada. Gdy otwiera walizkę, okazuje się, I wewnątrz nie ma niczego poza szczoteczką do zębów. I każdym pokoju znajduje się lustro, przed którym z uwagą zatrzymuje się, przeżuwając swą wściekłość, i od tego ci;|u tego przeżuwania, od utyskiwania, od mamrotania, nini czenia i przeklinania jego szczęki wyskoczyły z zawiasów i zaczynają... opadać, i kiedy pociera brodę, kruszą się, a ał jest tak pełen wstępu do siebie, że nadeptuje na własną szczękę i rozgniatą ją na kawałki swymi potężnymi obcasami. Tymczasem wnoszą bagaże. I wszystko staje się j| szcze bardziej zwariowane niż przedtem – zwłaszcza gdy Van Norden przymocowuje ekspander do ramy łóżka i rol pocyna swoje ćwiczenia.

– Podoba mi się tutaj – stwierdza, uśmiechając się do garconka. Zdejmuje płaszcz i kamizelkę. Garcon przy» gląda mu się zdumiony, w jednej ręce trzyma walizkę, w drugiej irygator. Ja natomiast stoję sam w przedpokoju, trzy mając lustro z zieloną gazą. Żaden przedmiot nie wydaje sn,

[132]

i piaklycznego zastosowania. Sam przedpokój jest rów-| beżyteczny jak przedsionek stodoły. Wrażenie jest |tMilv< /no z tym, jakiego doznaję wchodząc do Comedie imicaisc albo teatru Palais-Royal: w świat bibelotów, za-lilni w podłodze, gipsowych ramion i popiersi, woskowaci podłóg, kandelabrow i mężczyzn w zbrojach, bezokich §tb i miłosnych listów w szklanych gablotach. Coś się |t»|i\ ale nie ma w tym sensu, tak samo jak wykończenie Ni calvadosu tylko dlatego, że nie było dla

Miller Henry - Zwrotnik Raka

niej dość \\p\h" a w walizce.

Jak już powiedziałem, kiedy wspinaliśmy się na
|| idy, Van Norden wspomniał, że mieszkał tu kiedyś
|| Hipassant. Zdaje się, że ten zbieg okoliczności zrobił
na

i ażenie. Chciałby pewnie wierzyć, że to właśnie w tym
ii Ih> | ii Maupassant stworzył sporo tych makabrycznych
lii wieści, na jakich opiera się jego reputacja. „Tym
bied-

luir wysynom przyszło tu żyć jak świniom" – mówi
IM Norden. Siedzimy przy okrągłym stole na dwóch wy-
iilnych starych fotelach, powiązanych paskami i kłamra-
i|, łóżko jest tuż obok, w gruncie rzeczy tak blisko, że
mo-

IłMi i y położyć na nim stopy. Armoire stoi w rogu za
nami,

t dogodnie, w zasięgu ręki. Van Norden wyrzucił brudną
ii nc na stół; siedzimy więc ze stopami zagrzebanymi w
• brudne skarpety i koszule, palimy z zadowoleniem.

.....bskurny pokój rzucił chyba na niego jakiś urok: po-
bii i nu się tu. Kiedy wstaję, by zapalić światło,
proponu-

byśmy zegrali w karty, zanim pójdziemy coś przekąsić.

• Utułamy zatem przy oknie, na podłodze wała się brudna
ifll/na, a na lampie wisi ekspander Sandowa, i gramy
kil-

1 | partyjek bezika. Van Norden odłożył fajkę i wsadził
so-

« prymkę tytoniu pod dolną wargę. Od czasu do czasu
i i" л a przez okno, duże zdrowe jagody brązowego soku z
uMnieeiet rozpryskują się na chodniku. Sprawia teraz
- nic zadowolonego.

- W Ameryce – mówi – nigdy nie przyszłoby ci

[133]

Шл

do głowy, żeby zamieszkać w takiej norze. Nawet wini»
gdy żyłem z zasiłku, sypiałem w lepszych pokojach ni/ h
и Ale tutaj to się wydaje naturalne, tak samo jak
książki, kin re tu czytujesz. Jeżeli kiedykolwiek tam
wrócę, postaram n zapomnieć o życiu tutaj, jakby było
wyłącznie koszma i ми snem. Pewnie nawet będę żył tak
jak niegdyś, jeśli kiedy k n| wiek tam wrócę. Czasami
leżę na łóżku oddając się rozmj łaniom o przeszłości i
wydaje mi się ona tak realna, że mu sę się uszczyptać,
by zdać sobie sprawę, gdzie jesieni Dzieje się tak
zwłaszcza wtedy, kiedy obok mnie jest kołm ta; kobieta
wyzwała to we mnie bardziej niż cokolwiek ind go.
Jedyne, czego od nich oczekuję, to zapomnienie. Czai mi

Miller Henry - Zwrotnik Raka

tak zatracam się w tych rozmyślaniach, że nie mogę ■ bie przypomnieć imienia cipy leżącej obok, ani nawet sk.n ją wytrzasnąłem. Zabawne, nie? Dobrze jest mieć obok się bie świeże, ciepłe ciało, kiedy się człowiek budzi rano. IX ci to takie poczucie świeżości. Stajesz się niemal uduclm wiony... dopóki one nie zaczną odstawiać tej gadki o miłości, ci itd. Dlaczego wszystkie cipy tyle mówią o miłości, moi ty wiesz? widocznie nie wystarcza im, że je dobrze wypici dolisz... pragną jeszcze twojej duszy...

Słowo „dusza”, tak często pojawiające się w moim logach Van Nordena, wywierało na mnie z początku wni/c nie nieodparcie komiczne. Kiedy tylko usłyszałem z jego rą to słowo, popadałem w histerię; na ogół wydawało się 01 fałszywą monetą, zwłaszcza że przeważnie towarzyszyło mi strzyknięcie brązowym sokiem, który spływał mu z kącik ust. A jako że nigdy nie omieszkałem roześmiać mu się \ twaft, niezmiennie wyglądało to tak, że kiedy padało D słówko, Van Norden milkł na chwilę pozwalając mi-zadu chotać, ale tylko raz, po czym ciągnął swój monolog, pti wtarzając je coraz częściej, za każdym razem coraz pic szczotliwiej je modulując. To jego duszę kobiety próbow;il osiąść – dał mi to jasno do zrozumienia. Tłumaczył mi l

[134]

i i nie dwa, ale za każdym razem powraca do tego jak i"ik do swojej obsesji. W pewnym sensie Van Norden llony, o tym jestem przekonany. Jedyną rzeczą, jakiej !• hm.i, jest to, że może zostać sam, i obawa ta jest w i 'l głęboko zakorzeniona i tak uporczywa, że nawet ivv na kobiecie, nawet gdy się do niej przyspawa na PIĘ może uciec z więzienia, które sam sobie zbudo- Próbuję różnych rzeczy – wyjaśnia mi. –

.....4 nawet próbuję liczyć albo roztrząsać jakiś problem

hv hlozoficznej, ale i to na nic. To tak, jakbym składał IWÓch osób, z których jedna przez cały czas obserwuje ii lak się cholernie na siebie wściekam, że mógłbym ibit

... i w pewnym sensie to właśnie czynię za każdym

■ gdy mam orgazm. To tak, jakbym na sekundę się

■ Uwił. Niema żadnej z tych dwóch osób... jest

nicość... i Inieje nawet ta pizda leżąca obok. To jak przyjęcie ko-

lllilil Naprawdę! Przez kilka sekund po tym czuję się udu-

i"iyy, jakbym jaśniał jakimś nieziemskim blaskiem... i

'•• I rwałoby to wiecznie – skąd można wiedzieć? – gdy-

Miller Henry - Zwrotnik Raka

li i o, że obok leży jakaś kobieta, a potem w ruch idzie
lor i z kranu leci woda... Te wszystkie drobiazgi, przez
l /ujesz się tak przeraźliwie świadom własnego ja, tak
i .i/liwie samotny. I dla tej jednej chwili wolności
musisz

Im luwać tych wszystkich bzdur o miłości... momentami
i>i, .wadzą mnie to do szału... chcę je natychmiast wyko-
/ wyra... i czasem to robię. Ale to ich nie zniechęca, a
.awet wydaje im się pociągające. Im mniej poświęcasz
.wagi, tym bardziej się za tobą uganiają. Kobiety
cechu-

i ii .iś szczególna perwersja... w głębi serca wszystkie
są iHHNOchistkami.

- Ale czego ty tak naprawdę oczekujesz od ko-chcę się
dowiedzieć. Zaczyna zacierać ręce, opada mu dolna warga.
[135]

wygląda na kompletnie sfrustrowanego. Kiedy w konni
udaje mu się wyjąkać kilka rwących się zdań, czyni to w
■ bokim przeświadczeniu, że jego słowa kryją
przytłaczał.и» poczucie daremności.

- Chcę móc całkowicie poddać się kobiecie wyrzuca z
siebie. - Chcę, by oderwała mnie od siebie sann' go. Ale
aby to osiągnąć, powinna być lepsza ode mnie; M winna
mieć rozum, a nie tylko pizdę. Musi mnie przekonić że
jej potrzebuję, że nie mogę bez niej żyć. Znajdź mi lał
dupę, dobrze? Gdyby ci się udało, oddałbym ci swoją
posił' dę. Nie obchodziłoby mnie, co stanie się ze mną
potem: nic potrzebowałbym pracy ani przyjaciół, ani
książek; nie pfl trzebowałbym niczego. Gdyby tylko
zdołała mnie przekl nać, że jest na świecie coś
ważniejszego niż ja sam. Jezu, \.л ja siebie nienawidzę!
Ale jeszcze bardziej nienawidzę lyoM kurewskich cip -
wszystkie są niewiele warte.

- Myślisz, że ja siebie lubię - ciągnie dalej. To
dowodzi, jak mało mnie znasz. Zdaję sobie sprawę, /i
jestem wspaniałym facetem... nie miałbym tych problemów,
gdybym nie miał żadnych atutów. Ale tym, co mnie zżeni,
jest fakt, że nie mogę znaleźć dla siebie środka wyrazu.
I n dzie uważają, że uganiam się za dupami. Oto jak
płytcy s;| | intelektualisci, przesiadujący jak dzień
długi na tarasmli kawiarni i przeżuwający tę
psychologiczną sieczkę... To cał kiem niezłe, nie
uważasz? - psychologiczna sieczka. Zapij to, proszę.
Wykorzystam to za tydzień w swojej rubryce... I propos,
czytałeś Stekela? Jak sądzisz, jest dobry? Mnie sił to
wydaje tylko i wyłącznie historią odosobnionych pr/y
padków choroby. Na rany Chrystusa, chciałbym mieć doi
odwagi, by pójść do psychoanalityka... oczywiście

Miller Henry - Zwrotnik Raka

dobrego nie chcę chodzić do tych naszych wyfraczonych kanciarzy kozimi bródkami, jak twój przyjaciel Borys. Jak możesz ta lerować takich bufonów? Nie nudzą cię śmiertelnie? widziałem że gadasz z każdym. Gównem cię to wszystko obchodzi. Możliwe że masz rację. Chciałbym nie być tak cholernie krytyczny

[136\

wpyziały żydki kręcące się koło Dóme, Jezus, na ich łonościę gęsiej skórki. Mówią, jakby czytali z pod-ł m « Mybym mógł z tobą rozmawiać codziennie, to-illiyin z siebie ciężar tych wszystkich myśli. Ty polne huć. Wiem, że guzik cię w sumie obchodzi, ale jeżeli ipliwy. I nie masz żadnych teorii, które chciałbyś na ^\|>iobować. Pewnie później zapisujesz wszystko w iwiiiiii notesie. Posłuchaj, nie obchodzi mnie, co o mnie

■ | idłisz, ale proszę cię, nie rób ze mnie faceta uganiania-

■ и, bez przerwy za dupami - to zbyt proste. Kiedyś | o sobie książkę, zbiorę w niej swoje refleksje. Nie i myśli zwykłej analizy introspektywnej... żarnie-i Obnażyć się jak na stole operacyjnym, wywlec swoje

.....'.'''..■ pokazać wszystko, kawałek po kawałku. Czy \i In ci/, kiedyś zrobił? Dlaczego się uśmiechasz, do diab-I Iwil/asz, że brzmi to naiwnie?

I l.śiniecham się, ponieważ ilekroć poruszamy temat ki, którą zamierza kiedyś napisać, pewne sprawy lii l ijil jakiegoś absurdalnego aspektu. Wystarczy, że poto ja książka", i świat od razu kurczy się do prywat-h io/miarów Van Nordena i Spółki. Ta książka musi

■ lik owicie oryginalna, absolutnie doskonała. To jeden Iwodów, dla których nie może się za nią zabrać. Gdy " v\ padnie na jakiś pomysł, zaczyna go kwestionować.

lypomina sobie, że wykorzystał go już Dostojewski albo 1111 mi, albo jeszcze ktoś inny. „Nie mówię, że chcę byćli lepszy, ale chcę być inny” - wyjaśnia. Tak więc,

l zabrać się do swojej książki, czyta jednego autora llrugim, aby całkowicie się upewnić, że nie wejdzie na i i. i en. I im więcej czyta, tym większe okazuje

lekcewa-

'ii. Żaden z nich go nie zadowala; żaden nie osiąga tego

ipilin perfekcji, jaki onsam sobie wyznacza. I zupełnie za-

iHlinając, że nie napisał nawet jednego rozdziału, mówi o

|| Ii inotekcjonalnie, jakby istniała cała półka książek no-

h jego nazwisko, dzieł na tyle znanych, że nie ma po-

[137]

\
trzeby wymieniać ich tytułów. I mimo że nigdy otwarcie m
skłamał na ten temat, jest oczywiste, że ludzie, którym
wil ci dziurę w brzuchu wyjawiając swoją prywatną
filozof uwagi krytyczne i pretensje, biorą za pewnik, że
za jego In/ nymi uwagami kryje się okazały dorobek
literacki. Odum się to zwłaszcza do tych młodych,
głupiutkich dziewic, ktđ re zwabia do swego pokoju pod
pretekstem, że przeczył;: li swoje wiersze, albo stosuje
jeszcze lepszy wybieg, udając, / zależy mu na ich
opinii. Bez najmniejszego poczucia zał nowania wciska im
do ręki kawałek poplamionej kartki, w której nabazgrał
kilka wersów – podwaliny nowego wiś sza, jak to nazywa –
i z największą powagą żąda od niij uczciwej opinii o tym
skrawku „twórczości”. A że przewa/ nie nie są one w
stanie wystąpić z żadnym komentar/i-m oszołomione
bez sensem tych wersów, Van Norden wyko rzystuje to, by
wyłożyć im swój pogląd na sztukę, pogląd nie trzeba
chyba dodawać – tworzony przezeń spontanii/ nie w
zależności od sytuacji. Tak doskonale opanował ju/1
rolę, że przebycie drogi od pieśni Ezry Pounda do łóżka
M równie proste i naturalne, jak przejście z jednej
tonacji drugą; w rzeczy samej, gdyby owo przejście nie
nastąpiło powstałby dysonans, co zresztą zdarza się od
czasu do c/n su, gdy pomyli się co do tych kretynek,
które zwykł na/y wać „popychadłami”. Naturalnie, biorąc
pod uwagę jeł konstytucję psychiczną, niechętnie
wspomina o tych fałnl nych pomyłkach w ocenie ich
charakteru. Ale kiedy zdol>\ dzie się już na to i
przyzna do tego rodzaju błędu, robi to absolutną wprost
szczerością: w gruncie rzeczy wydaje l| czerpać jakąś
perwersyjną satysfakcję z rozwodzenia y| nad własną
nieudolnością. Jest na przykład pewna kobiel.i którą
usiłuje zaliczyć już od blisko dziesięciu lat – najpici
w Ameryce, a w końcu tu, w Paryżu. Jest to jedyna osób
płci odmiennej, z którą łączą go serdeczne, wręcz zażyłe
sin sunki. Nie dość, że zdają się wzajemnie lubić, ale
chyba nu wet doskonale się rozumieją. Z początku
sądziłem, że gdyb

[138]

li.....ii się z nią przespać, jego problemy zostałyby
roz-
i iik*. Ityły tu wszystkie elementy udanego związku –
I lyni podstawowym. Na swój sposób Bessie była rów-
llli zwykła jak on. Do kwestii oddania się mężczyźnie
' i/ywała tak małą wagę jak do rodzaju deseru po
I/ic. Zwykle sama wybierała obiekt swego zaintereso-

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Ona i sama proponowała zbliżenie. Nie była brzydka, można powiedzieć, aby była ładna. Miała niezłe • by) to jej największy atut - i, jak się to mówi, lubiła

pluć. Oboje byli ze sobą spoufaleri tak dalece, że niekiedy • In i|c zaspokoić jej ciekawość, a nadto powodowany d-lliiiiii nadzieją, że zachęci ją swoją sprawnością, Van Nor-

m ukrywał ją w szafie podczas jednego ze swoich „sean- (idy było już po wszystkim, Bessie wychodziła z u- 'i.i i dyskutowali całą sprawę rzeczowo, to znaczy oka- 4 i' i .ilkowitą obojętność wobec wszystkiego poza „tech-

| i „Technika” to był jeden z jej ulubionych terminów,

n.iimniej podczas tych dyskusji, których miałem za- i być świadkiem. „Co jest nie tak z moją techniką?” - i ii Van Norden. A Bessie odpowiadała: „Jesteś zbyt pry- lywny. Jeśli kiedykolwiek zechcesz mnie zaliczyć, bę- i musiał być subtelniejszy”.

Jak mówię, rozumieli się oboje tak doskonale, że f»li) gdy wpadałem do Van Nordena o wpół do drugiej, mluwałem Bessie siedzącą na łóżku; kołdra była odrzuc- .1 Van Norden prosił ją, by zechciała popieścić mu i. • 11«-k - „tylko kilka jedwabistych dotknięć” - mówił

- U ibiorę odwagi, by wstać”. Albo zachęcał ją, by nań po- 1.....hała, a gdy odmawiała i tego, sam się łapał za niego i

lll isał nim jak dzwonkiem, przy czym oboje zaśmiewali |f ilo rozpuku. „Nigdy nie przelecę tej dziwki” - mawiał.

„Nie ma dla mnie za grosz szacunku. Oto zapłata za to, i ilic mam przed nią żadnych tajemnic”. A potem nagle |niiiiiiFI1 dodać: „Co sądzisz o tej blondynce, którą ci

wczo- [139]

raj pokazywałem?” Zwracał się z tym oczywiście do BCNUfc która kpiła z niego, odpowiadając, że ma fatalny)■" ' „Ależ, tego mi nie wmawiaj” - protestował. A potem, z zabawy, może po raz tysięczny, gdyż był to już ich powszlj ni żart, proponował: „Słuchaj, Bessie, co byś powiedz na jeden szybki numerek? Tylko raz..., co?” A kiedy to ż zwykle przechodziło bez echa, dodawał tym samym tonem „A co byś powiedziała na niego? Może jeden szybki nunu-i t nim bardziej by ci odpowiadał?”

Główną cechą Bessie było to, że nie potrafiła, lu1* po

Miller Henry - Zwrotnik Raka

prostu nie chciała, uważać się za panienkę, którą może by ot tak sobie zerznąć. Mówiła o namiętności tak, jakby to słowo wymyślono dopiero przed chwilą. Wszystko robiła i namiętnym uniesieniem, nawet coś tak błahego jak kopulii cja. Musiała wkładać w to całą duszę.

- Czasem ja też bywam namiętny - zapewnił Van Norden.

- Ty? - demonstrowała zdziwienie Bessie. - Ty jesteś po prostu wyniszczony przez rozpustę satyrem. Wiesz, co to namiętność. Kiedy ci staje, to już dla ciebie nu miętność.

- Dobrze, może to nie jest namiętność... ale sposób ją okazywać bez wzvodu, prawda?

Te historie z Bessie i innymi kobietami codziennie zaciągany przez niego do hotelowych numerów przy pi i minają mi się w drodze do restauracji. Tak już przywykłem do jego monologów, że bez przerywania własnych rozmyślań, automatycznie wypowiadam stosowny komentarz, gdy tylko słyszę, że jego głos zamiera.

Tworzymy swoisty dud i jak to w duecie rzecz polega na tym, że partnera słucha li uważnie tylko po to, by nie przegapić sygnału do zabranii głosu. Jako że ma wolną noc, a i tak obiecałem dotrzymać mu towarzystwa, z obojętnością wysłuchuję jego tyrad wiem, że nim skończy się wieczór, będę krańcowo wyczerpany; jeśli mi się poszczęści, to znaczy, jeśli uda mi się pod

[140]

' pretekstem wyciągnąć od niego kilka franków, zwięję i, gdy tylko wybierze się do toalety. Ale znając moją in-imi. i do ułatwienia się, nawet się nie obraża, po prostu ■ piecza się przed tą ewentualnością, pilnie strzegąc il(li sou. Jeśli go poproszę o pieniądze na papierosy, II • się, że pójdzie po nie ze mną. Nie chce zostać sam na-N pi ta/, chwilę. Nawet kiedy uda mu się zgarnąć jakąś ba-| "i myśl, że zostanie z nią sam na sam, ogarnia go przejmie. Gdyby to było możliwe, kazałby mi siedzieć w po-

\.....podczas swoich erotycznych produkcji. Znaczyłoby to

.....40 akurat tyle, co poprosić mnie, bym zaczekał, aż IV ogoli.

W wolną nockę Van Nordenowi przeważnie udaje '• mieć co najmniej pięćdziesiąt franków w kieszeni, choć lollezność ta nie przeszkadza mu wcale próbować naciąg- kuźdego, kto się nawinie. „Cześć - mówi - daj mi lil/.ieścia franków... potrzebuję ich." Potrafi przy tym inwiać wrażenie człowieka śmiertelnie przerażonego. W

Miller Henry - Zwrotnik Raka

spadku odmowy staje się bezczelny. „Może chociaż poim./ mi kolejkę.” A gdy to osiągnie, mówi już nieco ładniej: „Słuchaj, daj mi choć pięć franków... no niech będą dwa...” wędrujemy tak od baru do baru, szukając ja-1 drobnej rozrywki i zawsze przy okazji zyskując kilka - lii k ów.

W Coupole wpadamy na znajomego pijaka z' gaze- l < dnego z facetów rezydujących na piętrze. Informuje v fce właśnie zdarzył się w biurze wypadek. Jeden z korek-

■<"w wpadł do szybu windy. wszystko wskazuje na to, że 1 n /czyje.

Z początku Van Norden jest wstrząśnięty, do głębi n/.(śnięty. Ale kiedy dowiaduje się, że chodzi o tego lika Peckovera, doznaje ulgi.

- Biedaczysko! - mówi - lepiej będzie skurczy-yknwi na tamtym świecie niż na tym. W dodatku nie tak llwtło sprawił sobie sztuczną szczękę...

[W]

Wzmianka o protezie doprowadza tego z pietra da łez. Śliniąc się relacjonuje pewien incydent związany z wypadkiem. Jest mu z tego powodu bardzo przykro, o wiele bardziej niż z powodu samego nieszczęścia. Wygląda na 10, że gdy Peckover runął na dno szybu, odzyskał świadomości zanim ktokolwiek się przy nim znalazł. Mimo połamanych nóg i strzaskanych żeber, na czworakach szukał na oślep swojej protezy. W karetce wciąż wykrzykiwał o niej w dcll rium. Incydent ten był żałosny, a zarazem zabawny. Faccl / pietra nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać, kiedy o lym opowiadał. Był to drażliwy moment, ponieważ z kimś lak pijanym jak on wystarczyłby jeden fałszywy gest, a rozwa liłby ci butelkę na głowie. Nigdy zbytnio nie przyjaźnił się I Peckoverem, jeśli chodzi o ścisłość, rzadko zaglądał do ko rektorów: tak jakby między facetami z góry i z dołu siali niewidzialna ściana. Ale teraz, gdy poczuł dotyk śmien i chciał okazać swoje poczucie koleżeństwa. Gotów był łkai jeśli mu się to udało, by pokazać, że z niego równy gość A Joego i mnie, którzy znaleźmy Peckovera dobrze, i wic dzieliśmy, że nie był wiele wart, nawet paru łez, nas irytował ten jego pijacki sentymentalizm. Chcieliśmy mu to zres/lił powiedzieć, ale wobec takiego faceta nie można sobie po zwolić na szczerłość; trzeba kupić wieniec, iść na pogrzeb udawać, że strasznie ci żal. I trzeba jeszcze pogratulować mu, że napisał taki subtelnie brzmiący nekrolog. Miesiąca mi będzie go nosił przy sobie i cholernie przechwalał n okazaną w tej sytuacji subtelnością. Wszystko to uzmysło wiliśmy sobie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

z Joem nie zamieniając ze sobą ani słowa. Pi prostu staliśmy tam słuchając go z morderczą, milczącą po gardą. I gdy tylko nadarzyła się okazja, by się zmyć, zrobiliśmy to, zostawiając go w barze bełkoczącego do siebie nał szklaneczką pernodu. Znalazłszy się już poza zasięgiem jego wzroku, /1 częliśmy się histerycznie śmiać. Sztuczna szczeka! Cokolwiek mówiliśmy o tym biedaku, a powiedzieliśmy też kilki [142]

\ pozytywnych, ciągle powracaliśmy do tej sztucznej
____lit 1 S;| na tym świecie ludzie tak groteskowi, że nawet w

1 1.. u śmierci nie nabierają powagi. I im straszliwsza jest IIici, tym bardziej jej ofiary wydają się śmieszne. Na nic

iliul/i) próby obdarzenia ich końca odrobiną godności n .bu być bezczelnym kłamcą i hipokrytą, by w ich odej- jj iii dopatrywać się jakiegokolwiek tragizmu. A ponieważ

\ nic musieliśmy udawać, mogliśmy śmiać się serdecznie z

H||o wypadku. Przez cały wieczór dostarczał nam on w .iwo uciechy – w przerwach dawaliśmy upust naszej inlzie i obrzydzeniu dla facetów z piętra, tych nadętych llipł nw, usiłujących bez wątpienia przekonać samych sie-

, /o l'cckover był porządnym gościem, a jego śmierć – 1 o 1 I rolą. Wspominaliśmy najróżniejsze zabawne sytuac- f, ol, choćby średniki, które przegapił i za które dostawał

.....szy wycisk. Nieźle zależli mu za skórę tymi pieprzo-

.....średnikami i ułamkami, które zawsze przekręcał. Raz li ii Ii go nawet zwolnić, ponieważ zjawił się w pracy cuch-

i' alkoholem. Lekceważyli go, bo wyglądał jak półtora nie-

Hycńcia ze swoją egzemą i łupieżem. Był po prostu nikim, najmniej dla nich, ale teraz, kiedy już nie żył, wszyscy u. ipliwie uzbierają na ogromny wieniec i złożą jego nazwi-

1 D wersalikami w rubryce nekrologów. Uczynią wszystko, IJ/ rzucić na siebie trochę blasku; zrobiliby z niego nie lada fi-

| i'dyby tylko mogli. Niestety, w przypadku Peckovera •i M nic byli w stanie wymyślić. Był zerem, i nawet fakt, że

Miller Henry - Zwrotnik Raka

tyje, nie doda ani jednej cyferki do jego nazwiska.
- Jest tylko jedna dobra strona całej sprawy - h" w 1
Joe. - Może dostaniesz się na jego miejsce. A gdy ci I
poszczęści, może wpadniesz do szybu windy i skrećisz
nim- kark. Kupimy ci ładny wieniec, możesz na to liczyć.
Przed świtem siedzimy na tarasie Dóme. Już daw-(I
/upomnieliśmy o tym nieszczęsnym Peckoverze. Trochę
[143]

b

rozerwaliśmy się w Bał Negre i umysł Joego powrócił do
li matu, który absorbuje go nieustannie: do kwestii
cipy. I" właśnie o tej porze, kiedy jego wolna noc
dobięga końca, |i go niepokój osiąga apogeum. Wspomina
kobiety mijani wcześniej tego wieczoru i swoje stałe
panienki, które mógł by mieć na każde skinienie, gdyby
nie to, że ma ich już sei decznie dosyć. I jak zwykle
ten nastrój przywodzi mu iw myśl ową pizdę z Georgii,
która uganiała się za nim ostał nio, błagając, by ją
przygarnął do siebie, przynajmniej dl czasu, gdy
znajdzie pracę.

- Nie mam nic przeciw dokarmianiu jej od czart do
czasu - mówi - ale nie mógłbym jej wziąć na stałe'
byłaby to katastrofa dla moich pozostałych dup.
Co go najbardziej w niej pociąga, to fakt, że ni
przybiera na wadze.

- To tak, jakbyś szedł do łóżka z workiem kom -
stwierdza. - Któregoś wieczoru wziąłem ją ze sobą, by ło
mi jej zwyczajnie żal, i - jak myślisz - co zrobiła ta
s/.i łośna dziwka? wygoliła ją sobie do gołej skóry...
nie zostawi ła ani jednego włoska. Miałeś kiedyś kobietę
z wygoloną 11 pą? To odpychające, nie sądzisz? I
śmieszne. Takie jakieñ nienormalne. To już wtedy nie
wygląda jak cipa: raczej jd martwy małż czy coś w tym
rodzaju.

Po czym opisuje mi, jak powodowany ciekawośc< | wstał z
łóżka i zaczął szukać latarki.

- Kazałem jej rozewrzeć szparę i skierowałem tam
światło latarki. Żałuj, że mnie wówczas nie widziałeś to
było przekomiczne. Tak mnie zafascynowała jej cipa, ja
zapomniałem o niej samej. Nigdy w życiu nie wpatrywałem
się w pizdę z podobną uwagą. Można nawet powiedzieć, ę
tak naprawdę nigdy przedtem jej nie widziałem. A im
dłu/i i się przyglądałem, tym mniej ciekawa stawała się
z każilii chwilą. Dowodzi to, że w sumie nie ma w niej
nic interesuj,| cego, zwłaszcza gdy jest wygolona. To
właśnie włosy dod;i|i jej tajemniczości. Dlatego rzeźba
nie jest w stanie cię poru

[144]

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Raz tylko widziałem rzeźbę z prawdziwą cipą – au-
i"i iwa Rodina. Powinieneś ją kiedyś zobaczyć... te
szeroko

n/kiaczone nogi... Mam wrażenie, że nie miała nawet gło-
| Nic, tylko pizda, można by rzec. O Jezuu, wyglądała ok-
i'ine. Właściwie one wszystkie są do siebie podobne. Gdy
|Mh /ys/, na nie, kiedy są ubrane, wyobrażasz sobie Bóg
wie

I obdarzasz je czymś w rodzaju osobowości, której, rzecz
II n.i, nie posiadają. A to po prostu szpara u zbiegu
ud, na i ni, | napalasz się jak diabli; później zaś nawet
na nią dob- | nic spojrzysz. Wiesz, że jest, i myślisz
tylko o tym, żeby ledzić tam swój wycior; tak jakby twój
penis myślał za lne. To wszystko iluzja! Na próżno się
tak roznamiet-

I-ii chodzi przecież o szparę porośniętą włosami,
albo ie. Jest czymś tak nieistotnym, że oglądanie
jej pochło-ii' I" mnie bez reszty. Wpatrywałem się w nią
chyba z dzie-w i nut, jeśli nie dłużej. Kiedy tak jej
się przyglądasz, nie-^■0 obiektywnie, przychodzą ci do
głowy różne śmieszne li. Ta cała aura tajemnicy
otaczająca seks, by wreszcie

IihIIn ryć, że to nic takiego – po prostu pustka. Czy
nie było-iv /;ibawne znaleźć w środku harmonijkę
ustną... albo kali iicLuz? Ale tam nie ma nic...
absolutnie nic. To odpychają-Mało nie oszalałem...

Słuchaj, wiesz, co zrobiłem potem?

Ihybko ją zerznąłem i odwróciłem się do niej plecami.
Tak, wiałem książkę i zacząłem czytać. Zawsze można mieć
ja-klń pożytek z książki, nawet ze złej książki... ale
pizda to i'/ysła strata czasu...

Zbiegiem okoliczności, właśnie gdy kończył tę i u
«iiiowę, jakaś kurwa puściła do nas oko. I nagle, bez
naj-.....ejszego przejścia, Van Norden zwraca się do
mnie:

– Chciałbyś z nią trochę pobrykać? To nie wynieść /byt
dużo... weźmie nas obu.

I nie czekając na odpowiedź, wstaje chwiejnie i
|iiulchodzi do niej. Po paru minutach wraca.

[145]

►
– Załatwione – mówi. – Dokończ piwo. Omi jest głodna.
O tej porze nic się tu już nie dzieje... weźmie na| obu
za piętnaście franków. Pójdziemy do mojego pokoju taniej
wypadnie.

W drodze do hotelu dziewczyna dygoce z zimna więc
wstępujemy do kafejki, by jej postawić kawę. Jest dość
łagodnym stworzeniem, a co więcej, nie pozbawionym urn

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ku. Wygląda na to, że zna Van Nordena i wie, że niczego pi i nim nie można oczekiwać poza tymi piętnastoma frankami

- Pamiętaj, że nie masz żadnego szmalu - mam rocze do mnie Van Norden pod nosem.

Jako że nie mam w kieszeni ani centyma, nie bai dzo wiem, o co mu chodzi, aż zniecierpliwiony wybuchą:

- Tylko, na Boga, pamiętaj: jesteśmy splukani Niech ci nie zmięknie serce, kiedy wejdziemy na górę. N.i pewno poprosi cię o coś ekstra - znam tę pizdę! Mógłbym ją mieć za dziesięć franków, gdybym zechciał. Nie ma ich co rozpieszczać...

- II est mechant, celui-la - zwraca się do mni| ona, mimo swojej tępoty wyczuwając charakter jego uwaj',

- Non, U n'est pas mechant, U est tres gentil. Śmiejąc się potrząsa głową:

- Je le connais bien, ce type.

Po czym zaczyna snuć smętną opowieść, jakiego I o ma pecha w życiu - o szpitalu, zaległym komornym i dziecku na wsi. Ale nie posuwa się za daleko. Zdaje sobie sprawę, że jesteśmy głusi na tę gadkę, ale tkwi w jej wnętr/i to pasmo udręki, zalega tam jak kamień, nie pozostawiając miejsca innym myślom. Nie chce zerować na naszym współ czuciu - po prostu z miejsca na miejsce przesuwa w sobie jakiś wielki ciężar. Nawet mi się podoba. Tylko, na Boga, mam nadzieję, że nie jest zarazona...

W pokoju mechanicznie zaczyna sposobić się do pracy.

Nie ma tu gdzieś przypadkiem kromki chleba'1

[146]

- pytti kucając nad bidetem. Van Norden śmieje się z niej. • Masz, napij się - mówi, podając jej butelkę. | nnn nie chce pić; narzeka, że i tak ma już rozstrojony i| |ili-k.

To jej zwykła śpiewka - uprzedza Van Nor-Nie pozwól jej grać na twoich uczuciach. Mimo to wolałbym, żeby mówiła o czymś innym. U diabła, można wykrzesać z siebie jakąś namiętność Illil|i|i' do czynienia z zagłodzoną pizdą.

Właśnie, w tym cały problem - nie ma w nas na-

... mości, w żadnym z nas dwóch. A jeśli chodzi o nią, prę-

| i można oczekiwać, że wyjmie skądś brylantową kolbę, i objawi iskrę podniecenia. Ale chodzi o piętnaście fran-

Aw i coś trzeba z tym fantem zrobić. To tak jak z wojną:

i. in/ nas w nią wpakowano, nikt nie myśli o niczym in-

■ m tylko o pokoju, o tym, by zaprzestać walki. A przecież

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ci i nic ma odwagi złożyć broni, powiedzieć: „Mam tego
... pieprzę to!” Nie, zawsze stawką jest jakieś tam
pięć-
Hicic franków, które nikogo już nie obchodzą i których
.hi i w końcu i tak nie dostanie, ale te piętnaście
franków
M praprzyczyną wszystkiego i zamiast posłuchać głosu
Ii ik-go „ja” i zostawić w cholerę tę praprzyczynę,
czło-
| i poddaje się sytuacji, szlachtując bliźnich bez
chwili
Wlchnienia, a im bardziej czuje się tchórzem, tym więcej
...../mu potrafi okazywać, aż po dzień, kiedy czara
się
mepełnia i nagle milkną karabiny, a sanitariusze
zbierają
i i b4/onych, krwawiących bohaterów i przypinają im do
i medale. Później, przez resztę życia można sobie roz-
iść .lać o tych piętnastu frankach. Człowiek stracił
oczy, rę-
| lub nogi, ale na pociechę może marzyć do końca swoich
. h u o piętnastu frankach, o których wszyscy inni dawno
za-
(<l MII Ilicii.
Zupełnie jak na wojnie – nie mogą pozbyć się tego
Wrn/.cni. Patrząc, jak ona dobiera się do mnie, by
rozniecić
l lej kę pożądania, zaczynam myśleć o tym, jakim byłbym
[147]

cholernie marnym żołnierzem, gdybym kiedykolwiek ok ł
;zał się na tyle głupi, by dać się schwytać w potrzask i
zaciągnąć na front. Sam dobrze wiem, że oddałbym
wszystko -włącznie z honorem, by wydostać się z tego
szamba. Mani na to za delikatny żołądek – to wszystko.
Aleją zapr/;|i.i tylko myśl o piętnastu frankach i jeśli
nie zechcę o nie wal czyć, ona mnie do tego zmusi. Nie
można jednak wmówił woli walki mężczyźnie, który jej nie
posiada. Niektórzy / nas są takimi tchórzami, że nigdy
nie robi się z nas bohate rów, nawet gdyby nas
zastraszyć na śmierć. Może za du/n wiemy. Niektórzy
spośród nas żyją nie w czasie terażniri szym, lecz albo
go wyprzedzają, albo zostają w tyle. Mo| umysł
pochłonięty jest bez reszty traktatem pokojowym Nie
potrafię zapomnieć, że to piętnaście franków jest przy-
czyną całego tego ambarasu. Piętnaście franków! Czym/c
jest dla mnie piętnaście franków, zwłaszcza że te
piętnaścni franków nie należy do mnie?

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Van Norden – jak się zdaje – nie ma podobnych rozterek. W tej chwili także guzik go obchodzi piętnaście franków; intryguje go sytuacja sama w sobie. A ta zdaje ę wymagać pokazu ogniściego temperamentu – bądź co bądź w grę wchodzi jego męskość. Te piętnaście franków już i tak przepadło – bez względu na to, czy nam się z nią uda, czy nie. Chodzi o coś więcej – może nie tyle o męskość, co o wolę. To znowu tak jak z facetem w okopach: sam właściwie już nie wie, dlaczego powinien nadal żyć, ponieważ n; i wet jeśli teraz uda mu się uciec, dopadną go później, ale brnie dalej i – chociaż ma duszę karalucha i stać go na przyznanie się do tego przed samym sobą – dajcie mu tyl ko karabin lub nóż, ba, wystarczają gołe ręce, zęby i paznok cie, a pograży się w tej rzezi, w tych jatkach, wyrznie milion podobnych do siebie, miast zatrzymać się i zapytać: w imię czego, po co to wszystko?

Gdy obserwuję, jak Van Norden się do niej zabiera, odnoszę wrażenie, że patrzę na jakiś mechanizm, w któ [148]

> ". nawaliła blokada. Pozostawieni sobie samym, moglibybić w nieskończoność, rżąc i trąc się jak koła zębate,

| Hit by to nie dało. widok tych dwojga parzących się ni-

m cap z kozą bez najmniejszej iskierki emocji, widok tej |K ii.ulicznej harówki pozbawionej wszelkiego uzasadnie-

11 poza sumą piętnastu franków pozbawia mnie resztek

Ui poza nieludzkim wprost pragnieniem zaspokożenia

11 mej ciekawości. Dzie\vczyna leży na skraju łóżka, a

Van

lonlcn pochyła się nad nią jak satyr, dwoma nogami solid-

.ipicrając się o podłogę. Siedzę za nim na krześle, ob-

■> i v\ ując chłodno, z naukowym obiektywizmem, ich ruchy,

Noćby to miało trwać wieczność, nie robi mi to różnicy.

; Vii je się tak, jakbym przyglądał się jednej z tych zwariowanych maszyn, wyrzucających z siebie gazety;

miliony, miliardy gazet wypełnionych bezsensownymi

tytułami. Ma-tfyitn wydaje się bardziej rozsądna, nawet w swoim bez-

| .Inym szaleństwie, toteż ogląda sieją z większą fascyna-

> hi niż ludzi i zdarzenia, dzięki którym pracuje. Moje zain-IlICNowanie Van Nordenem i dziewczyną jest równe zeru;

lybym mógł tu sobie po prostu siedzieć i obserwować

Miller Henry - Zwrotnik Raka

'i/ysłkie podobne widowiska rozgrywające się w tej chwili

■ całym świecie, moje zainteresowanie byłoby jeszcze mniejsze. Nie byłbym w stanie odróżnić tych zjawisk od r idów deszczu czy erupcji wulkanów. Dopóki nie pojawi |f ta iskra namiętności, całe to przedstawienie pozbawione

fe11/.ic znamion człowieczeństwa, jedynej cechy mogącej mu

lliulnć jakiegokolwiek znaczenie. Lepiej już obserwować ma-

Mynę. A tych dwoje zachowuje się jak maszyna, w której ze-

r ul.i się blokada. By ją naprawić, potrzebne jest dotknięcie

linl/kiej ręki. Przydałby się jakiś mechanik.

Kłękam za Van Nordenem i z większą uwagą pi wyglądam się tej maszynerii. Dziewczyna odwraca głowę i I nca mi rozpaczliwe spojrzenie.

- To bez sensu - mówi. - Nic z tego nie będzie. Słyszac to Van Norden zabiera się do roboty ze

[149]

zdwojoną energią, zupełnie jak stary cap. Jest tak uparty,. > raczej połamie sobie rogi, niż zrezygnuje. Zaczyna się wścidi kać, ponieważ łaskoczę go w tyłek.

- Na Boga, Joe, daj spokój! Zamęczysz tę cł/n wczynę na śmierć.

- Zostaw mnie w spokoju - mamrocze. - Tym razem prawie go już wsadziłem.

Jego poza i determinacja, z jaką to wypowiedn przywodzą mi nagle na myśl, już po raz drugi, mój wczor;i| szy sen. Teraz jednak wydaje mi się, że ów kij od miotły który Van Norden z taką nonszalancją wsadził sobie pod pachę odchodząc, zaginął bezpowrotnie. To jakby dalsz] ciąg snu - ten sam Van Norden, ale bez praprzyczyny.

Jr.i jak wracający z wojny bohater - biedny, głupi, okaleczony skurwysyn, przeżywający rzeczywistość swoich snów. Kie dy siada, krzesło się rozlatuje; gdy otwiera jakieś drzwi, pokój okazuje się pusty; cokolwiek włoży do ust, pozostawia to po sobie niesmak. Wszystko jest takie samo jak przed tern; akcesoria pozostają nie zmienione, sen nie różni się ni czym od rzeczywistości. Tyle że między zaśnięciem a przebudzeniem skradziono mu ciało. Przypomina maszynę wv rzucającą z siebie gazety; miliony, miliardy gazet, dzień zn dniem; ich tytułowe strony roją się od katastrof, rozruchów, zderzeń i eksplozji, ale on nic nie czuje. Jeśli ktoś nic przekręci wyłącznika, nigdy nie dowie się, co znaczy

Miller Henry - Zwrotnik Raka

śmiec nie możesz umrzeć, skoro okradziono cię z ciała. Możesz zająć się pizzą i obrabiać ją jak cap przez całą wieczność, możesz trafić do okopów i pozwolić rozerwać się na kawałki; nic nie wywoła tej iskry namiętności bez interwencji ludzkiej ręki. Ktoś musi wsadzić rękę w tryby tej maszyny i pozwolić ją sobie urwać, jeśli koła mają się znowu zazębić. Ktoś musi to zrobić, nie kierując się przy tym nadzieją na grody ani zainteresowaniem piętnastoma frankami; ktoś o piersi tak chudej, że medal przypięty do niej uczyniłby z nic go garbusa. I ktoś musi nakarmić głodną pizzę bez obawy

[150]

wypchnie z niej ten posiłek. Bez tego ten spektakl będzie 11 wiecznie. Nie ma wyjścia z tego szamba... Przez cały tydzień wlażyłem w dupę mojemu szefo-nic da się tego tu uniknąć – i udało mi się dostać na -ii- Peckovera. Jak można było przewidzieć, umarł, 1 dny kretyn, w kilka godzin po swoim upadku. I jak przewidywałem, urządzili mu paradny pogrzeb, z uroczystą Hl»/i|. ogromnymi wieńcami i całą resztą. Tout compris. Po ■ftmonii zaś ci faceci z piętra wyprawili sobie w bistro u iwd/iwą ucztę. Wielka szkoda, że Peckover nie mógł tam u i .<■ i coś przekąsić – byłby taki szczęśliwy mogąc sie-i i" / nimi i słuchać, jak często w rozmowie pada jego na-wisko.

Muszę stwierdzić od razu na wstępie, że nie mogę r/ckać. Przypomina to pobyt w domu wariatów, gdzie Hystkim pozwolono onanizować się do końca życia. Pod-| i i ją mi pod sam nos cały świat żądając jedynie, bym za-(lował w tym ogromie nieszczęść poprawną interpunkcję. || Istnieje nic, na czym ci ulizani faceci z piętra nie położy-щ) łapy: żadna radość, żadne cierpienie nie umknie ich IWHH'- Tkwią wśród okrutnych faktów, jakie niesie życie, w MHYT sercu tego, co zwykło się nazywać rzeczywistością. I \ li- że jest to rzeczywistość bagna, a oni są żabami, które li' mają nic lepszego do roboty poza bezmyślnym rechotali ni Im bardziej skrzeczą, tym bardziej życie wydaje im się ■ ywiste. Adwokat, ksiądz, lekarz, polityk, dziennikarz wszystko to szarlatani trzymający rękę na pulsie świata.

.....siałąca atmosfera katastrofy. Coś wspaniałego! Zupełni, jakby barometr zastygł, jakby flaga zatrzymała się w po-llłwic masztu. I oto można pojąć, jak idea raj u opanowuje lllil/ką świadomość, jak zdobywa sobie w niej coraz więcej ullpjsca, mimo że wszystkie jej filary usunięto jednym kop-nliikiem. Musi przecież istnieć jakiś inny świat poza tym kiriicm, do którego pospiesznie wyrzuca się wszystko bez I k In i składu.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Trudno sobie wyobrazić, jak wygląda to nie-
[151]

bo, o którym śnią ludzie. Jest to jednak bez wątpienia
niebo żab: wyziwy, brudna piana, lilie wodne,
zniecieruchomiał;! woda. Siedzisz nie napastowany przez
nikogo na liściu lilii wodnej, rechocząc jak dzień
długi. Jakoś tak to sobie wyo brażam.

Teksty o katastrofach, które porządkują ołówkiem,
wywierają na mnie cudownie terapeutyczny wpływ
wyobraźcie sobie stan doskonałej nietykności, bajeczna
egzystencję w poczuciu absolutnego bezpieczeństwa pośród
kolonii trujących zarazków. Nie porusza mnie nic – ani
trzęsienia ziemi, ani eksplozje, ani zamieszki. Nie
reaguję na głód, kolizje, wojny i rewolucje.

Jestem uodporniony przeciw wszelkim chorobom,
nieszczęściom, smutkom i cierpieniom. To jakby apogeum
życia pełnego hartu ducha; i Gdy tak siedzę w swoim
kąciku, wszystkie trucizny, jakie codziennie wydziela
ten świat, przechodzą przez moje ręce i nie brudzę sobie
nawet paznokcia. Jestem całkowicie uodporniony.

Znalazłem się nawet w korzystniejszej sytuacji niż
laborant, bowiem nie ma tu przykrych woni poza swe dem
roztopionego ołowiu. Świat może wylecieć w powietrze –
pozostanę tu tak czy owak, by w odpowiednie miejsce
wstawić przecinek lub średnik. Mogę nawet załapać się na
jakieś nadgodziny, bo takie wydarzenie na pewno będzie
wymagało ostatniego dodatku nadzwyczajnego.

Kiedy świat wyleci w powietrze i ostatnie wydanie
powędruje do druku, korektorzy spokojnie pozbierają
wszystkie przecinki, średniki, myślniki, odsyłacze,
nawiasy, kropki, wykrzykniki itp. i włożą je do pudełka
nad krzesłem redaktora Conite ca tout est regle...

Nikt z moich współpracowników nie pojmuje, dla czego
sprawiam wrażenie tak zadowolonego. Oni nieustannie
narzekają, miewają ambicje, okazują swą urażoną durność i
spleen. Dobry korektor nie ma ambicji, dumy ani spleenu
Dobry korektor przypomina nieco wszechmocnego Boga
zstąpił na ten padół, ale sam nie jest z tego świata.

Pojawia

[152]

X tylko od święta, bo w niedziele ma wolne. W niedziele
■lępuje ze swego piedestału i pokazuje dupę rzeszom
wier-

in.li Raz w tygodniu wysłuchuje wszystkich intymnych
lltni u i nieszczęść świata; starczy mu ich na cały
tydzień. Po-

P lały czas spędza na zamrożonych moczarach, gdzie
li i nie trwa zima; jest absolutem, absolutem bez

Miller Henry - Zwrotnik Raka

skazy,
I loiej-o jedynie ślad po szczepieniu odróżnia od
wielkiej
ni.
Największym nieszczęściem dla korektora jest
cio/ha utraty pracy. Kiedy zbieramy się podczas przerwy,
i •! \ prawią nas o dreszcze pytanie: „Co zrobisz,
jeśli cię
Iwitlnią?" w człowieku z bydłęcego wagonu, którego praca
JH»li'ga na zamiętaniu końskiego nawozu, największe
prze-
n-l-iiie budzi wizja świata bez koni. Uświadomienie mu,
że
" obrzydliwe spędzać życie na zamiętaniu ciepłych
jeszcze
Iwien, byłoby idiotyzmem. Człowiek może pokochać
o« no, jeśli od tego zależą jego środki do życia, jeśli
w grę
tyl liotlzi jego osobiste szczęście.
Zycie, które – gdybym wciąż jeszcze był człowie-lllein
posiadającym dumę, honor, ambicję itepe – wydawałoby się
dnem poniżenia, to życie przyjmuję teraz z radoś-
II |.i k kaleka witający upragnioną śmierć. Jest to,
podob-Itfjnk śmierć, rzeczywistość negatywna – coś w
rodzaju
llfhn, tyle że bez bólu i strachu towarzyszących
śmierci. W
| ni uifernalnym świecie jedyne, co posiada jakieś
znacze-
I to ortografia i interpunkcja. Nie jest ważny charakter
i ll islrofy, lecz to, czyjej opis nie zawiera błędów
ortogra-
■ iiyh. Wszystko traktuje się jednakowo, czy chodzi o
|IH|iiiodniejsze suknie wieczorowe, o nowy pancernik,
zara-
j, materiał wybuchowy, odkrycie astronomiczne, nagłe
wycofanie wkładów z banku, katastrofę kolejową, hossę na
i. Iil/ie, gry hazardowe, egzekucję, napad rabunkowy,
Ulorderstwo polityczne, czy o coś innego. Nic nie umyka
wilgi korektora, ale też i nic nie przenika jego
kuloodpor-| kamizelki. Do Hindusa nazwiskiem Agha Mir
pani
[153]

Scheer (z domu Esteve) pisze, że jest całkiem zadowolona
I jego starań. „Wyszłam za mąż 6 czerwca i serdecznie
Panu dziękuję. Jesteśmy bardzo szczęśliwi i mam
nadzieję, h dzięki Pańskiej niezwykłej mocy będzie tak
zawsze. Przesyłam Panu przekazem telegraficznym

Miller Henry - Zwrotnik Raka

kwotę... tytułem wyna grodzienia..." Hindus Agha Mir przepowiada przyszłość | czyta w twoich myślach w sposób precyzyjny i niewytłum; i czalny. Udzieli ci porady, pozwoli pozbyć się wszelkiih zmartwień i nekających cię kłopotów, itp. Zadzwoń lub na pisz: 20 Avenue MacMahon, Paris.

Czyta w twoich myślach w sposób cudowny! Ro/.n miem, że bez żadnych wyjątków, od najzwyklejszych pfl najbardziej wstydlive. Ów Agha Mir musi dysponował ogromną ilością czasu. A może koncentruje się wyłącznie na myślach tych, którzy telegraficznie przesyłają opłatę? W tym samym numerze zauważam tytuł oznajmiający, u „wszechświat rozrasta się w takim tempie, iż może się ro/ paść”, a pod nim reklama środka na dotkliwy ból głowy Nieco dalej gadka o perle, podpisana Tecla. Ostryga wytwarza dwa rodzaje pereł, informuje Tecla wszystkich razem i każdego z osobna, a to perłę „dziką”, czyli wschód nią, oraz „hodowlaną”. W tym samym dniu, w katedrze I Trier, Niemcy wystawiają „Szatę Chrystusa”; po raz pierw szy od czterdziestu dwóch lat wyjęto ją z naftaliny. Nic nic piszą o spodniach i kamizelce. Tego samego dnia, w Sałzbu rgu, przysły na świat dwie myszy – znaleziono je, wierzcM lub nie, w ludzkim żołądku. Prezentują też słynną aktorki, filmową z nogą założoną na nogę: odpoczywa sobie w Hydj Parku, a poniżej znany malarz stwierdza: „Przyznam, b pani Coolidge ma tyle osobistego uroku i taką osobowość, że uznano by ją za jedną z tuzina największych sław Amery ki, nawet gdyby jej mąż nie był prezydentem”. Z wywiadu jakiego udzielił pan Humhał, mieszkaniec wiednia, wybij ram tę oto wypowiedź: „Na koniec – zauważa on chciałbym powiedzieć, że bezbłędny krój i dopasowanie \w [154]

Wymarczą; dzieło dobrego krawca ocenia się na kliencie. I '•' "niłur musi dopasowywać się do figury, ale zachować Iwoją linię, kiedy jego właściciel chodzi lub siedzi". A kiedy I n o nastąpi wybuch w kopalni - brytyjskiej kopalni -■Uważcie, proszę, że para królewska zawsze przesyła kon-lolcncje bezzwłocznie, telegraficznie. I zawsze też oboje by- I i|. | na ważniejszych wyścigach konnych, chociaż zdaje się, I w trakcie derby „zaczął padać gwałtowny deszcz, ku II Ielkiej konsternacji króla i królowej". Ale jeszcze bardziej Obdzierająca serce jest następująca notatka: „Twierdzi się r włoszech, że prześladowania nie są skierowane przeciw I " ' lołowi, niemniej jednak dotyczą one

Miller Henry - Zwrotnik Raka

najznakomitszych "dł.iinów Kościoła. Utrzymuje się, że nie są wymierzone w iwohe Papieża, ale godzą w samo serce i oczy Papieża".

Musiałem dosłownie odbyć podróż dookoła świa-i. by znaleźć taki wygodny, przytulny kącik jak ten, który Mj.....ję w redakcji. To wręcz niewiarygodne. Jak mogłem (IG/ewldzić, będąc w Ameryce, gdzie - dla dodania ani-N i odwagi - w tyłek wsadzają ci fajerwerki, że ideal-IŃ posada dla człowieka z moim usposobieniem polegać bę-1 i' na wyszukiwaniu błędów ortograficznych?

Gdy jest się tam, nie myśli się o niczym innym jak \lkn o tym, by pewnego dnia zostać prezydentem USA. rwcncjalnie każdy jest materiałem na prezydenta. Tutaj kfyyli|da to inaczej. Tu każdy jest potencjalnym zerem. Jeże-

1 DNłaniesz kimś lub coś osiągniesz, to przypadek, praw-

I Iu v cud. Masz jedną szansę na tysiąc, że nigdy nie opuś-

iwiej rodzinnej wioski. Masz jedną szansę na tysiąc, że ' i przestrzelał nogi albo wyłupią oczy. Chyba że nastąpi cud

1 "i.iniesz generałem lub kontradmirałem.

Ale właśnie dlatego, że wszystko obraca się przeciw bil e nadzieje na cokolwiek są tak nikłe, życie nie po-

IBMwione jest tutaj słodczy. Dzień za dniem. Bez wczoraj,

llllra. Barometr zastygł, flaga na zawsze zatrzymała się | połowie masztu. Nosisz czarną opaskę na ramieniu i małą

[155]

wstążeczkę w butonierce, a jeśli masz szczęście i pieniąd/c kupujesz sobie parę protez z lekkiego metalu, najlepiej ulu minium. I wszystko to nie przeszkadza ci cieszyć się aperill fem ani chodzić do zoo czy też flirtować z sępami szybi|. | cymi po bulwarach, zawsze czujnie wypatrującymi nowol padliny. Czas płynie. Jeśli jesteś obcokrajowcem, a twoil papiery są w porządku, możesz narażać się na infekcję I" obawy, że zachorujesz. Jeszcze lepiej, jeśli ci się uda otr/N mać pracę korektora. Comme ca, tout s'arrange. Znaczy Ul że gdy przypadkiem wracasz pieszo do domu o trzeciej nad ranem i zostaniesz zatrzymany przez gliniarzy na rowenu li możesz machnąć na nich ręką. Rano, kiedy targ się rożku, ci, możesz kupić belgijskie jajka po pięćdziesiąt centymów za sztukę. Korektor nie wstaje zwykle przed południem, 1,1 czej trochę później. Dobrze jest więc

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zamieszkać w hotelu położonym niedaleko kina, bo jeśli masz skłonności cło przesypiania, dzwonek budzi cię, gdy zaczyna się poranny seans. A jeżeli nie możesz znaleźć hotelu koło kina, wybici ■ sobie ulokowany w pobliżu cmentarza, rezultat będzie ten sam. Przede wszystkim nigdy nie poddawaj się rozpaczy. // ne faut jamais desesperer.

Tę właśnie zasadę usiłuję co wieczór wbić do głowy Carlowi i Van Nordenowi. Świat odbiera nam nadzieję, a li to nie powód do rozpaczy. Czuję się, jakby mnie nawróca no na nową religię, jak gdybym codziennie uczestniczy! u nowennie poświęconej Matce Boskiej Nieustającej Pomocy Nie wyobrażam sobie, co zyskałbym zostając redaktorem tej gazety, czy nawet prezydentem USA. Znajduję się w śle pej uliczce i jest mi tu zacisznie i wygodnie. Trzymając w i \ ku arkusze korekty słucham rozbrzmiewającego wokół koncertu, tego mrużanda ludzkich głosów, dzwonek li notypów, jakby tysiąc srebrnych bransoletek przepuszcza no przez wyżymaczkę; od czasu do czasu przemknie nam pod nogami szczur albo karaluch zejdzie ze ściany tuż przed nami, poruszając się żwawo i ostrożnie na swych delikał

[156]

uli odnóżach. Podtykają ci tu pod sam nos wydarzenia lii ro dnia, spokojnie, niezbyt ostentacyjnie, tylko od cza-

Π do czasu nazwisko autora świadczy o obecności ludzkiej ■I, przejawu ego, cienia próżności. Obok przechodzi ten ■fowód, pogodnie, niespiesznie niczym orszak żałobny IflHępujący w cmentarną bramę. Gazeta pod biurkiem ko- ■toru jest tak gruba, że w dotyku przypomina dywan o yslym włosiu. Pod biurkiem Van Nordena pokryta jest Wtati brązowego soku. Około jedenastej zjawia się r i dawca fistaszków, pewien armeński półgłówek, także Hli wykle zadowolony z życia.

Co pewien czas otrzymuję telegram od Mony, w kiwyt zawiadamia mnie, że przybywa następnym stat- I ni Nieodmiennie dodaje także: „List w drodze”. Trwa id dziewięciu miesięcy, ale jej nazwiska nigdy nie ma na •i n- przybyłych pasażerów, ani też garcon nie przynosi mi

■ i " listu na srebrnej tacy. Z tej strony również więc nicze-

ii nic oczekuję. Jeśli kiedyś naprawdę przyjedzie, może ic poszukać na parterze, za ubikacją. Pewnie prosto z łTONlu powie mi, że to niehigieniczne. To pierwsze, co ude-

W Amerykanki w Europie – że jest tu niehigienicznie. Nie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

W one w stanie wyobrazić sobie raju bez nowoczesnej insta-

I i wodnokanalizacyjnej. Gdy znajdą pluskwę, chcą nam-
hmiast pisać do ministra. Jakie mam szanse wytłuma-
m jej kiedykolwiek, że czuję się tu usatysfakcjonowany?

■Wie, że się zdegenerowałem. Znam jej śpiewkę od po-
Miki do końca. Będzie chciała znaleźć pracownię z przy-
■łym ogrodem – i oczywiście z wanną. Chce być biedna
I romantycznym stylu. Znam ją dobrze. Ale tym razem je-
llfin przygotowany na jej przyjazd.

Są jednak takie dni, kiedy wychodzi słońce i schodzę /
udeptanej ścieżki – wtedy myślę o niej z głodem w u u.
Raz po raz, pomimo ponurego zadowolenia, zaczynam myśleć
o innym sposobie życia i zastanawiać się, czy e miałbym
u boku młodą, pełną życia istotę, stanowiło-

[157]

I -1 \ - - \\~ \ _^\^^ -^
by jakąś różnicę. Kłopot polega na tym, że ledwo pannę
tam, jak ona wygląda i co czułem trzymając ją w
objęciach wszystko, co związane jest z przeszłością,
spoczęło jak In na dnie morza; pozostały wspomnienia,
ale obrazy utraciły ostrość, stały się martwe i
przypadkowe, jak nadgryzieni zębem czasu mumie pogrążone
w bagnie. Gdy usiłuję sobie przypomnieć moje życie w
Nowym Jorku, powraca jedyim kilka okruchów, fragmentów,
koszmarnych i pokryty U grynszpanem. Wydaje się, jakby
moja właściwa egzystencji już się gdzieś zakończyła,
choć nie mogę odkryć, gdzie to nastąpiło. Nie jestem
już przecież Amerykaninem ani no wojorczykiem, a jeszcze
mniej Europejczykiem czy pary/a ninem. Nie jestem nikomu
winien posłuszeństwa, nie m;mi obowiązków ani zmartwień,
nie ma we mnie uprzedzenia ani nienawiści, żadnych
namiętności. Nie jestem ani za, ani przeciw. Zachowuję
neutralność.

Kiedy co noc wracamy do domu we trójkę, zdar;/i się
często, że po początkowych spazmach obrzydzenia
zaczynamy rozmawiać o tym, jak sprawy stoją, z entuzja/
mem, na jaki potrafią się zdobyć jedynie ludzie nie
biorąc\ w życiu czynnego udziału. Czasem wydaje mi się
dziwne, kiedy włożę do łóżka, że cały ten entuzjazm
wzbudza się tyl ko i wyłącznie po to, aby zabić czas i
unicestwić te trzy czwarte godziny, których potrzeba na
przejście z redakcji na Montparnasse. Może i miewamy
najbardziej błyskotli we, najłatwiejsze do
urzeczywistnienia pomysły udoskona lenia tego i owego,
ale nie dysponujemy żadnym sposobem ich realizacji. I co
dziwniejsze, brak jakiegokolwiek związku między tymi
pomysłami a życiem nie sprawia nam bólu ani przykrości.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Jesteśmy już tak przystosowani, że gdyby jutro kazano nam chodzić na rękach, uczynilibyśmy to bez najmniejszego odruchu protestu. Pod warunkiem, oczywiście, że gazeta ukazałaby się jak zwykle. I że regularnie zgarniali byśmy naszą pensję. Nic poza tym nas nie obchodzi. Zupełnie nie. Ulegliśmy wpływowi wschodu. Staliśmy się kulisa

[158]

|| uciszczanymi co dzień garstką ryżu. Któregoś dnia prze-wylił, że szczególną cechą czaszek Amerykanów jest

!•" ność w potylicy pewnej dodatkowej kości zwanej os In-

wiąże się ona, kontynuował ów uczony mąż, z faktem PT/CI rwania poprzecznego szwu potylicznego, który zwykle

| i i. i się podczas rozwoju płodu. Jest to więc oznaka zaha-

.....wanego rozwoju wskazująca na podrzędność rasy.

„1' i/eciętna pojemność czaszki Amerykanina – ciągnął da-

|J nwc wywody – jest mniejsza niż pojemność czaszki rasy bill lej, a większa niż u rasy czarnej. Biorąc pod uwagę obie i' i> i dzisiejsi paryżanie mają pojemność czaszki około 1448 cm³. Murzyni – 1344 cm³, a Indianie amerykańscy – 1376

111 Nic z tego dla mnie nie wynika, ponieważ jestem Amerykaninem, a nie Indianinem. Ale to ślicznie móc tak • «obie wyjaśnić – obecnością jakiejś kości, na przykład Ml Incae. Wcale nie burzy jego teorii stwierdzenie, że poje-

Imh /e egzemplarze czaszek Indian osiągały niezwykłą pomi moc 1920 centymetrów sześciennych, wielkość nie prze-Ifoczoną przez żadną inną rasę. Z satysfakcją zauważam Iichinak, że paryżanie płci obojga zdają się mieć normalną pojemność czaszki. Widocznie poprzeczny szew potyliczny (tł zachował się u nich w reliktovej formie. Potrafią cieszyć ■ aperitifem i nie martwią się tym, że ich domy są nie otyn-1 Owane. Musi być więc jakieś inne wytłumaczenie sztuki ży-Cln, którą opanowali w stopniu tak doskonałym.

Na tyłach bistro, które prowadzi monsieur Paul, Bejduje się salka dla ludzi z gazety, gdzie możemy jadać na ■Bdyt. Jest tam bardzo przyjemnie: podłogę wysypano tro-• manii, a muchy dokuczają przez okrągły rok. Kiedy mówić, że jest zarezerwowana dla ludzi z gazety, nie usiłuję su-I iować, że możemy tam jadać w odosobnieniu;

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wręcz l>i/eciwnie, znaczy to, że dany jest nam przywilej obcowaniu z kurwami i alfonsami stanowiącymi zdecydowaną większość klienteli. Ten układ pasuje jak ulał facetom z pielili, ponieważ bez przerwy rozglądają się za spódniczkami i

[159]

	-	-				Z~
.	-		■			Z
-	-	■"	<		-	-
Z	~	Z			-	£
-	-	-				
-	-C	-				
Z	V	Z	■-	"Z		-
5	1					
	-					
					<	'-.
S	\$	-	-	w i.»	/U	--7-
<	75	-•••				
					.	-
					-	
Z	-	-	~	■Ci;		-
-	-	-				
--	-	-	r	-	-	-
'_	-	-				
i						
<	-r-	»«	-			
i	-=	=	r			
f	7	.	:			
-	5	?	r			
È	i	È	C	-		
P			7-	-		
S	-	< ñ	S			

nawet ci, którzy mają stałą dziewczynę Francuzkę, nic u przeciwni jakiejś odmianie od czasu do czasu. Problem polega tylko na tym, żeby nie złapać syfa; wiele wskazuje no to, że co i rusz w redakcji wybucha epidemia - może

Miller Henry - Zwrotnik Raka

da sli to wytłumaczyć faktem, że oni wszyscy śpią z tą sanu kobietą. Tak czy siak, serce mi rośnie, gdy widzę, jak bywa ją przybici ci z piętra, kiedy muszą siedzieć obok alfonsa który – mimo drobnych trudów związanych z jego profeji ją – w porównaniu z nimi żyje Luksusowo.

Mam na myśli szczególnie pewnego wysokiego blondyna doręczającego na rowerze informacje agencji 1 la vas. Zawsze trochę się spóźnia na obiad, poci się obficie, i twarz ma umazaną błotem. Wchodzi do bistro ze swoistym wdziękiem, trochę niezgrabnie, salutowuje każdemu dwoma palcami i biegnie prosto do umywalki, mieszcząc się do kładnie między toaletą a kuchnią. Wycierając twarz, szybko omiata wzrokiem wiktuały; jeżeli zobaczy na stole ładny stek, bierze go do ręki i obwąchuje albo zanurza chochlę i wielkim garze, by skosztować zupy. Przypomina psa myśliwskiego nieustannie z nosem przy ziemi. Zakończywszy te czynności wstępne, po zrobieniu siusiu i energicznym wydmuchnięciu nosa, podchodzi nonszalancko do swojej pi nienki i daje jej głośnego całusa, poklepując ją czule po lyl ku. Jeśli chodzi o tę panienkę, to nigdy nie widziałem, żeby wyglądała inaczej niż nieskazitelnie czysto i schludnie, ni wet o trzeciej rano, po całonocnej pracy. O każdej por/o sprawia wrażenie, jak gdyby przed chwilą wyszła z tureckie łaźni. Przyjemnie jest patrzeć na takie zdrowe okazy zwid rząt, widzieć podobny luz, przywiązanie i apetyt, jakie de monstrują. Mam teraz na myśli podwieczorek, tę drobin przekąskę, którą zwykła zjadać przed przystąpieniem dfl pełnienia swych obowiązków. Za chwilę będzie zmuszona opuścić swego wielkiego zwierzaka o blond włosach, klap nąć gdzieś przy bulwarze i saczyć digestif. Jeśli jej praca jell

[160]

pi/ykra, nużąca czy wyczerpująca, to w żaden sposób tego nu- okazuje. A gdy pojawia się ten wielki facet, głodny jak wilk, obejmuje go i całuje namiętnie – w oczy, nos, policzki, włosy, kark... pocałowałyby go i w tyłek, gdyby wypadało lo robić publicznie. Przepęniają wdzięczność, to widać. Nu- jest niewolnicą zmuszoną harować za psi grosz. W trak-■ ■ posiłku przez cały czas śmieje się konwulsyjnie. Nikomu im- przyszłoby do głowy, że może mieć jakieś troski. A od i /asu do czasu, by dać upust uczuciu, wymierza mu głośny policzek, trzaśnięcie, które korektora wprawiłoby w efektowny piruet. Oboje zdają się nie zauważać niczego poza sobą i ■dzeniem, którym opychają się niezwykle łapczywie. Cóż 1\\ beztroska, cóż za harmonia, jakież wzajemne

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zrozumienie. Ich widok doprowadza wręcz Van Nordena do szaleń-Mwa. Zwłaszcza kiedy ona wsuwa temu drągalowi rękę w in/porek i pieści go, na co on reaguje łapiąc ją za cycek i ści-|kując go swawolnie.

Jest tam jeszcze jedna parka, zjawiająca się mniej Ificcej o tej samej porze; ci zachowują się zupełnie jak mał-iiisiwo. Miewają sprzeczki, piorą publicznie swoje brudy i uiiy uda im się stworzyć sytuację wielce nieprzyjemną dla siebie i innych, po groźbach i przekleństwach, wyrzutach i wzajemnym obwinianiu się, usiłują wynagrodzić to sobie Ijeszczotami i gruchaniem, zupełnie jak para gołąbków. I ucienne, jak on ją nazywa, jest solidnie zbudowaną platynową blondynką; z jej twarzy emanuje okrucieństwo i cynizm. Ma grubą dolną wargę, którą przygryza w jadowitym ■ymasie, kiedy wpadnie w złość, i zimne oczka, małe jak łciorki, w kolorze wypłowiałego błękitu. Kiedy go nimi lu/yszpili, na czoło występuje mu pot. Ale jest niezła, ta Lu-Henne, mimo profilu kondora, który nam prezentuje, ilekroć zaczyna się sprzeczka. W torbie ma zawsze mnóstwo Wby, i jeśli wydziela mu ją z namysłem, to tylko dlatego, że Zwrotnik...

[161]

nie chce popierać jego złych nawyków. Jeśli brać poważnie tyrady Lucienne, jej partner ma słaby charakter. Potrafi wydać pięćdziesiąt franków w jeden wieczór, czekając na jej powrót z pracy. I gdy kelnerka chce przyjąć zamówienie, okazuje się, że on nie ma apetytu.

- Co, znowu nie jesteś głodny! - warczy Lucienne. - To tak! Zupełnie jakbyś czekał na mnie na Faubourg Montmartre. Mam nadzieję, że wyśmienicie się bawiłeś, kiedy harowałam na ciebie jak niewolnica. Gadaj, imbecyłu, gdzie byłeś?

Gdy tak wybucha, kiedy się wścieka, on patrzy na nią nieśmiało, a potem, postanawiając zapewne, że najlepiej jest milczeć, spuszcza głowę i zaczyna bawić się serwetką. Ale ten drobny gest, doskonale jej znany i napawający ją ci chą radością, ponieważ utwierdzają w przekonaniu, że me on coś na sumieniu, potęguje tylko gniew Lucienne.

- Gadaj, imbecyłu! - drze się.

On zaś tłumaczy żałośnie nieśmiałym, piskliwym głosem, iż czekając na nią zgłodniał tak dalece, że musiał wpaść na kanapkę i piwo. To wystarczyło, by stracił apetyl - mówi płacząco, choć to oczywiste, że jedzenie stanowi dlań w tym momencie najmniejszą z trosk.

- Ale - usiłuje mówić tonem bardziej przekorni jącym -

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przez cały czas tak czekałem na ciebie.

- Kłamiesz - wrzeszczy ona. - Jesteś kłamcą! Ale na szczęście ja też potrafię kłamać... i to lepiej od ciebie! Rzygać mi się chce, gdy słyszę te twoje niezdarne kłamstwa. Dlaczego nie stać cię na jakieś wielkie kłamstwo?

On znów zwiesza głowę, z roztargnieniem zbiera / obrusa kilka okruchów, pakując je sobie do ust, na co ona uderza go po rękę.

- Przestań! Przez ciebie czuję się zmęczona. Jesteś takim imbecylem! A w dodatku kłamcą! Poczekaj tylko! Powiem ci coś jeszcze: ja też umiem kłamać, ale przynajmniej nie jestem imbecylem.

[162]

PA po chwili siedzą już blisko siebie, trzymając się M rękę, ona zaś mruczy do niego cichutko:

- Ach, mój króliczku, jak ciężko mi cię teraz zo-i i wiać. Chodź, pocałuj mnie! Co będziesz robił wieczno-H m? I'owiedz prawdę, mój maleńki... Przykro mi, że mam I и k i paskudny charakter.

On całuje ją nieśmiało, właśnie jak króliczek z dłu-riMii różowymi uszami, cmokają w usta, jakby skubał liść ypusty. Jednocześnie jego błyszczące okrągłe oczka spo-i /ywają piśszczotliwie na jej torebce, która leży otwarta Bjbok niej na ławce. Czyha tylko na moment, gdy ona go ła-«khwie opuści; marzy o tym, by się stąd wydostać i usiąść w |nkiejś cichej kawiarence na Rue du Faubourg Montmartre. Znam go, tego niewinnego łąjdaka o okrągłych I и/crażonych oczkach królika. I wiem, jaką łąjdacką ulicą |ON| haubourg Montmartre z mosiężnymi tabliczkami na i nanckich odrzwiach i gumowymi

utensyliami w podej-

I mych sklepikach, ze światłami migocącymi przez całą uOC i seksem spływającym ulicą niczym ścieki w rynsztoku. I pacer od Rue Lafayette do bulwaru przypomina przejście w/illuż szpaleru policjantów z pałami; wczepiają się w cielne jak pijawki, wgryzają niczym mrówki, przymilają się, wd/ięczą, schlebiają, zaklinają, usiłują to robić po niemiecku, angielsku, hiszpańsku, obnażają swoje rozdarte serca i pokazują zdarte buty; jeszcze długo po tym, jak uda ci się v o bodzie z ich macek, gdy ucichnie już ten gwar i harmi-i i, masz w nozdrzach zapach lavabo - to woń Parfum de l'ni.se, których skuteczność gwarantowana jest tylko z od-

II ||lości dwudziestu centymetrów. Można przesrać całe ży-i ic na tym małym odcinku między bulwarem a Rue La-1,i ve! te. Każdy bar tętni życiem, pulsuje, kości

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zaraz pójdą

I i uch, krupierzy ulokowani na wysokich stołkach przypominają sępy, a pieniądze, które zgarniają, przesiąknięte są liul/kim fetorem. Nie ma w Banque de France ekwiwalentu

II In krwawicy będącej tam w obiegu, pieniędzy lśniących od

[163]

ludzkiego potu, przechodzących z rąk do rąk gwałtownie jak pożar lasu, pozostawiających po sobie dym i smród. Mężczyzna, który zdoła przejść wieczorem przez Faubouiy. Montmartre nie dysząc z żądy i nie pocąc się, bez modlitwy czy przekleństwa na ustach, taki mężczyzna jest pozbi wiony jaj, a jeśli je ma, to należałoby go wykastrować.

Przypuśćmy, że nasz zastraszony króliczek mi prawdę wyda pięćdziesiąt franków w jeden wieczór, czeka jąc na swoją Lucienne. Przypuśćmy, że rzeczywiście zgłód nieje i kupi sobie kanapkę i piwo albo przystanie na chwile, by porozmawiać z dziwką innego faceta. Pomyślicie, że zmęczy go ta runda, powtarzana co wieczór. Pomyślicie, że go przytłoczy, stłamsi, zanudzi na śmierć. Nie uważacie chyba, iż alfons nie jest człowiekiem? Alfons także miewa swoje prywatne smutki i zmartwienia, nie zapominajcie o tym. Może pragnąłby co wieczór stać na rogu ulicy z parą białych psów i przyglądać się, jak sikają. Chciałby zapewne – gdy wejdzie do domu – ujrzeć ją w fotelu, pogrążoną w lekturze „Paris-Soir”, zobaczyć, jak jej oczy zamykają się do snu. Może to wcale nie takie rozkoszne, pochylając się nad Lucienne, poczuć oddech innego faceta. Może już lepiej mieć ledwo trzy franki w kieszeni i parę białych psów sikających na rogu, niż czuć ten smak zmałtretowanych warg'. Założę się, że kiedy ona obejmie go mocno, gdy błaga go o ten zastrzyk miłości, który tylko on potrafi jej dać, założę się, że walczy wówczas jak sto diabłów, by go podrajcować, by zatrzeć ślady tych zastępów, które przemaszerowały między jej udami. Może, gdy na jej ciele ćwiczy jakąś nową melodyjkę, nie jest to wcale z jego strony wyłącznie namiel ność i ciekawość, ale walka w ciemności, walka w pojedynkę przeciwko całej armii zdobywców tej twierdzy, armii, która po niej przeszła, stratowała ją i która pozostawiła w niej takie nienasycone pragnienie, że nawet jakiś Rudolphi Valentino nie mógłby go zaspokoić. Kiedy słyszę zarzuty podnoszone przeciwko dziewczynom w rodzaju Lucienne,

[164]

kiedy słyszę, jak się ją obmawia lub pogardza nią za to,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

że Jesl zimna i sprzedajna, że robi to zbyt mechanicznie albo ■l>vl pośpiesznie, że to i że tamto, wówczas mówię do siebie: chwileczkę, robaczku, nie tak prędko!

Pamiętaj, że jesteś osłałni w kolejce, pamiętaj, że szturmowała ją cała armia i .-osławiła jałową,

ograbioną, złupioną. Mówię do siebie -

■lueliaj, ptaszyno, nie żałuj tych pięćdziesięciu franków, które jej dałeś, chociaż wiesz, że jej alfons przesrywa je na I .nihourg Montmartre. To jej pieniądze i jej alfons. To pieniądze zroszone krwią, pieniądze, które nigdy nie zostaną wycofane z obiegu, ponieważ w całym Banque de France nic ma niczego, za co można by je wykupić.

Często o tym rozmyślam siedząc w swojej niszy i /nuglując raportami Havas lub rozplątując teleks z Chicago, Londynu czy Montrealu. Pomiędzy rynki gumy i jedwabi u a pszenicy z winnipeg wkradają się wówczas odgłosy hiubourg Montmartre, jej gwar i harmider. Kiedy obligacje kruszą się jak glina, mocne akcje stają dęba, a mniej ważne wyparowują, gdy na giełdzie panuje hossa i naniesiono już wszystkie znaki przestankowe, sprawdzono, osta-lee/nie skorygowano, zaczopowano i wyżęto przez srebrne bransoletki każdą pieprzoną katastrofę, każdą reklamę, każdą informację ze sportu i świata mody, każdy powrót iiinsatlantyku i każdą plotkę, kiedy słyszę odgłosy nadawania ostatecznego kształtu stronie tytułowej i widzę, jak

11 'ojady tańczą wokół niej niczym syczące fajerwerki, wów-• /as biegnę myślami do Lucienne szybującej wzdłuż bulwaru z rozpostartymi skrzydłami jak wielki srebrny kondor /uwieszony nad ospałą falą ulicznego ruchu, przedziwny kek z wierzchołków Andów o różowobiałym podbrzuszu i wilgotnym małym koraliku. Niekiedy wracam do domu sa-molnie, i wówczas podążam za nią przez dziedziniec Luwru, przez Pont des Arts, pod arkadami, przez szpary i szczeliny, przedzieram się przez senność i narkotyczną biel, przez elazne kraty Ogrodów Luksemburskich, splątane gałęzie,

[165]

odgłosy chrapania i jęki, zielone listwy ławek, brzdąkanie i brzęczenie, ostre ramiona gwiazd lśniących jak cekiny, drewniane pomosty nad Sekwaną, markizy w niebieskie i białe pasy, muśnięte przez nią koniuszkami skrzydeł.

w niebieskawej poświacie elektrycznego świtu skorupki po fistaszkach są kruche i pogniecione; wzdłuż nabrzeża na Montmartre lilie wodne pochylają się i łamią. Kiedy nadchodzi odpływ i na mieliźnie, w błocie, pozostaje

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zaledwie kilka zasyfionych rusałek, Dóme przypomina strzelnicę po przejściu cyklonu. Wszystko na powrót sący się do kanału ściekowego. Przez jakąś godzinę panuje mar twy bezruch, uprzęta się jedynie rzygowiny. Nagle drzewa zaczynają skrzeczeć. Od jednego końca bulwaru po drugi niesie się obłąkańcza pieśń, jak sygnał obwieszczający zamknięcie giełdy. Jeżeli ktoś żywił jakieś nadzieje, trafiają one do kosza. Nadchodzi chwila opróżnienia ostatniej porcji uryny. Dzień nadciąga niczym trędowaty...

Jeśli pracujesz w nocy, musisz się wystrzegać jednej rzeczy: nie wolno ci odstąpić od swego rozkładu dnia; jeżeli nie pójdziesz do łóżka, nim zaczną skrzeczeć ptaki, nie ma już sensu w ogóle się kłaść. Tego ranka, nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem do Jardin des Plantes. Mają tam wspaniałe pelikany z Chapultepec i gapiące się na ciebie głupio pawie o ogonach wysadzanych klejnotami. Nagle zaczęło padać.

Wracając autobusem na Montparnasse zauważyłem naprzeciw małą Francuzkę siedzącą w pozie sztywnej i wyprostowanej, jakby sposobiła się do rozpostarcia pióropusza. Przycupnęła na brzeżku tawki, jakby się bała, że połamie swój przepyszny ogon. Jakże cudownie byłoby, pomyślałem, gdyby nagle wzdrygnęła się i z jej derriere otworzyłby się olbrzymi wachlarz długich jedwabistych piór wysadzanych klejnotami.

[166]

W Cafe de l'Avenue, gdzie wstąpiłem, by coś przegryźć, kobieta z nabrzmiałym brzuchem usiłuje zainteresować mnie swoim stanem. Chciałaby, abym poszedł z nią do l>"koju i spędził godzinkę lub dwie. Pierwszy raz zdarzyło nu się otrzymać podobną propozycję od kobiety ciężarnej i ii/ korci mnie spróbować. Gdy tylko dziecko przyjdzie na wiat i zostanie przekazane władzom, powróci do swego zawodu, mówi. Jest modystką. Spostrzegłszy, że moje zainteresowanie nią przygasa, bierze mnie za rękę i kładzie ją sobie na brzuchu. Czuję, jak coś się rusza tam w środku. Odbiera mi to apetyt.

Nigdy nie widziałem miasta takiego jak Paryż, jeśli chodzi o różnorodność seksualnego menu. Gdy tylko kolnęła traci jeden z przednich zębów lub nogę, pozbywa się wszelkich zahamowań. W Ameryce zginęłaby z głodu, gdyby nie miała innych walorów poza kalectwem. Tu wygląda lo inaczej. Brakujący ząb, wyżarty nos czy opadającą maci-i e, każdą ułomność osłabiającą urok i naturalne ciepło kobiece uważa się tu za coś przydającego pikanterii i pobudza -lającego słabnący apetyt męzczyzny.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Mam naturalnie na myśli ów świat typowy dla wielkich miast, świat mężczyzn i kobiet, z których maszyna wycisnęła ostatnią kroplę soku – tych męczenników postępu. To owa masa kości i spinek od kołnierzyka, którą malarzowi tak trudno jest przyoblec w ciało. Dopiero później, po południu, znalazłszy się w galerii sztuki na Rue de Seze w otoczeniu mężczyzn i kobiet Matisse'a, zostaję z powrotem zwabiony do stref właściwych światu ludzi. Na progu wielkiej sali, której ściany skąpane są teraz w ogniu, przystaję na chwilę, by otrząsnąć się / szoku, jakiego się doświadcza, gdy powszednia szarość świata ulega rozdarciu, a barwy życia wytryskują pieśnią i wierszem. Nagle znajduję się w świecie tak naturalnym i tak doskonałym, że czuję się zagubiony. Mam wrażenie, że zanurzam się w krwiobiegu życia, w samym centrum istnienia
U67]

niezależnie od tego, jakie zajmę miejsce, jaką przybiorę po stawę i jaką przyjmę pozycję. Czuję się równie zagubiony jak kiedyś, gdy zagłębiłem się w samym sercu kwitnącego gaju i usadowiony w jadalni ogromnego świata Balbeca, po raz pierwszy zrozumiałem głęboki sens noszonych w głębi serca martwych natur, manifestujących swoją obecność po przez egzorcyzm wzroku i dotyku. Stojąc oto na progu świata stworzonego przez Matisse'a, doświadczam na nowo mocy objawienia, które pozwoliło niegdyś Proustowi na tą ką deformację obrazu życia, że tylko podobnie jak on wrażliwi na alchemię dźwięków i wrażeń są w stanie nadać negatywnej rzeczywistości życia konkretny i doniosły kształt dzieła sztuki. Jedynie ci, którzy potrafią dopuścić światło do swojego wnętrza, mogą przetłumaczyć to, co nosimy w sercu. Wyraźnie przypominam sobie teraz, jak rozszczepił się migotliwy blask światła odbitego od masywnych kandelabrow, ociekając krwią i nakrapiając wierzchołki fal uderzających monotonnie w matowe złoto za oknem. A na plaży – płatanina masztów i kominów i szybująca na falach jak niewyraźny cień postać Albertyny, która – wtapiając się w tajemnicze jądro i pryzmat protoplazmatycznego królestwa – połączyła swój cień ze snem i zwiastunem śmierci. U schyłku dnia jak mgła podnosi się z ziemi ból, osacza nas smutek i żaluzje przesłaniają nie kończący się horyzont, gdzie morze łączy się z niebem. Na narzucie łóżka leżą bez władnie dwie woskowe dłonie, a wzdłuż białych żył tęskny szmer muszli powtarza legendę jej narodzin. Każdy namalowany przez Matisse'a wiersz zawieni historię drobiny ludzkiego ciała, które nie poddało się śmierci.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Cały płat ciała od włosów po paznokcie wyraża ciul oddychania, tak jakby oko wewnętrzne, powodowane pragnieniem większego realizmu, przekształciło wszystkie pory ciała w głodne, widzące usta. Przechodząc obok każdej z tych wizji można odnaleźć zapachy i dźwięki podróży. Nie uda się spojrzeć choćby na jakiś zakątek jego snów i nic

[168]

■lic/.uc wznoszącej się fali i chłodu rozbryzgującej się piany. On tymczasem stoi u steru, niebieskimi oczyma niezłomnie ipulrzonny w skoroszyt czasu. W jakież to odległe zakątki Nic zawędrowało, obiegając Ziemię, jego dalekosiężne spoj- ' I nie. Spoglądając w dół szerokiego wzniesienia swego no-

I ujrzał wszystko - kordyliery osypujące się do Pacyfiku, |l Itorię diasporę spisaną na welinie, żaluzje naśladowujące tęs-I n v szelest plaży, fortepian skrecony jak muszla, korony I fiatów rozbrzmiewające diapazonami światła, kameleony l'i/vgniecione prasą drukarską, seraje ginące w oceanach ■fłu, muzykę buchającą ogniem z ukrytej chromosfery bólu /arodek i madreporę zapładniające ziemię, pępki rzyga-lee jasnym nasieniem udręki... Matisse jest błyskotliwym Michthcem, tańczącym prorokiem - jednym pociągnięciem i", «l/la usuwa ohydne rusztowanie, do którego łańcuch nieodwracalnych kolei życia przykuwa człowiecze ciało. To on

Iii śnie, jeśli ktokolwiek posiada dziś jeszcze ten dar, wie, |d roztopić ludzką postać, ma odwagę poświęcić jedną lliirionijną kreskę, by odkryć rytm i szept krwi, wziąć wiatło załamane w swoim wnętrzu i zalać nim klawiaturę Imi w. Dostrzega niewidzialny porządek ukryty za drobnostkami, za chaosem i parodią życia; swoje odkrycia ogła-i/ii w metafizycznym pigmencie przestrzeni. Nie kieruje nim chęć szukania wzorów, krzyżowania idei ani żaden in-łiy przymus poza pędem tworzenia. Nawet w chwili gdy Mat się wali, pozostaje w jego rdzeniu jeden człowiek, cohi/ pewniej zakotwiczony, coraz bliższy środka, podczas ■■\ proces rozkładu stale postępuje.

Świat coraz bardziej przypomina sen entomologa. ЮПІа wypada z orbity, oś została przesunięta, z północy Me śniegiem, który tworzy olbrzymie zaspę błękitne jak II ze noża. Nadchodzi nowa epoka lodowcowa, poprzecz-s/.wy Ziemi zrastają się i na całym obszarze uprawy zbóż u! zarodkowy zamiera, przekształcając się w martwy

[169]

wyrostek sutkowy. Cał po cał wysychają delty rzek, a

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ich koryta stają się gładkie jak szkło. Nastaje nowy dzień, dziciei metalurgiczny, kiedy Ziemia zabrzęczy od deszczu jaskra woźółtej rudy. Gdy termometr opada, forma świata ulegu zamazaniu; zachodzi jeszcze wprawdzie osmoza, nawcl okluzja, lecz na obrzeżach żyły są już całkiem zwapniało, .1 fale świetlne załamują się i słońce krwawi jak pękniei\ odbył.

Matisse tkwi w samej piąście tego rozpadającej'." się koła. I będzie wirował tak do czasu, gdy wszystko, co weszło w skład tego koła, ulegnie rozpadowi. Już przejechał spory kawałek globu przez Persję, Indie i Chiny, jak magm-, zbierając mikroskopijne cząsteczki z Kurdystanu, Belu dżystanu, Timbaktu, Somali, Angkoru, Ziemi Ognistej Odaliski przyozdobił malachitem i jaspisem, ich ciała osło nił woalkami tysiąca perfumowanych oczu zanurzonych w spermie wielorybów. Gdziekolwiek zawieje bryza, pojawia ją się piersi chłodne jak galaretka, białe gołębie zaczynaj! trzepotać skrzydłami i parzyć się w żyłach Himalajów, błękitnych jak lód.

Tapeta, którą ludzie nauki przysłoniłi rzeczywi stość, rozpada się na strzępy. wielki burdel, jaki uczynili / życia, nie wymaga dekoracji; chodzi o to, by właściwie dzia łała kanalizacja. Piękno, to kocie piękno, które trzyma nas w Ameryce za jaja, należy do przeszłości. By pojąć nowi) rzeczywistość, trzeba najpierw rozebrać rury kanalizacyjne, otworzyć zgangrenowane kanały układu moczowo-płcio wego, który dostarcza ekskrementów sztuce. Zapachem dnia jest odór nadmanganianu i formaldehydu. Przewody kanalizacyjne zatkałe są uduszonymi embrionami. Świat Matisse'a jest wciąż jeszcze piękny pięknem starych sypialni. Na jego obrazach nie ma łożysk kulkowych ani stalowych płyt, tłoka ani klucza francuskiego To ten sam stary świat, który wesoło udawał się do Bois w idyllicznych czasach wina i zbiorowych orgii. Kojące i po

[170]

1 n-piające jest móc poruszać się wśród tych stworzeń o ży-wywb oddychających porach, których pochodzenie jest li wale i solidne jak światło. Odczuwam to zwłaszcza, gdy Bjliceruję wzdłuż Boulevard de la Madeleine, a kurwy z sze-I lem sukienek przemykają obok, i jedno spojrzenie na nie |H/yprawia mnie o drżenie. Czy to dlatego, że są egzotyczne lub dobrze odżywione? Nie, rzadko można spotkać piękną kobietę na Boulevard de la Madeleine. Ale u Matisse'a, w I |d rowkach jego pędzla, ukazuje się ten drżący blask swia-(|. wymagający jedynie obecności kobiety dla wykrystalizowania się najbardziej ulotnych

Miller Henry - Zwrotnik Raka

aspiracji. Napotkać kobietę lilci iijącą się obok pisuaru, gdzie znajdują się reklamy bibu-lic do papierosów, rumu, cyrku, wyścigów konnych, w miejscu gdzie potężne korony drzew rozsadzają gigantycznie) masę ścian i dachów, jest doświadczeniem zaczynającym •lc tam, gdzie kończą się granice znanego świata. Od czasu k czasu, gdy wieczorem okrążam cmentarz, natykam się nu widma odalisek Matisse'a przylgnięte do pni drzew, a ich l>l, 1 lane włosy są mokre od żywicznego soku. Załedwie kilku stóp dalej, a jednocześnie odległy o niezliczone eony czaili, leży twarzą do ziemi, owinięty jak mumia, duch Baude-1 iirc'a, przedstawiciela tego świata, który już nigdy nie beknie. W mrocznych zakątkach kawiarni mężczyźni i kobiety l/ywiają się za ręce, a ich lędźwie są całe w plamach; tuż ubok stoi kelner z fartuchem pełnym drobnych, cierpliwie t (ekając na przerwę, by zwalić się na swoją żonę i posunąć lt) Mimo że świat się rozkłada, Paryżem należącym do Ma-ИMC'a wstrząsają oślepiające, ciężko dyszące orgazmy, powici r/,e jest ciężkie od zapachu spermy, a drzewa splątane 1 'l włosy. Na swej rozchwianej osi koło uporczywie toczy lic w dół; nie ma hamulców, łożysk kulkowych ani balonowych opon. Koło się rozpada, lecz nic nie jest w stanie ii lócić jego obrotów...

[171]

Jak grom z jasnego nieba przychodzi pewnego dni;i list od Borysa, którego nie widziałem już od miesiący Dziwny to dokument i nie mam zamiaru udawać, że wszystko tam dobrze rozumiem. „Tym, co zaszło międ/\ nami – w każdym razie, jeśli chodzi o mnie – jest to, л poruszyłeś mnie do głębi, dotknąłeś mego życia, to jest jego jedyne punktu, w którym pozostaję żywy: mojej śmierci Dzięki temu impulsowi uczuć na powrót pograżyłem się w nurcie życia. Zmartwychwstałem, ożyłem. I to nie dzięki wspomnieniom, jak w przypadku innych, lecz cieleśnie.” Tak to się zaczynało. Ani słowa pozdrowienia daty czy adresu. Napisane cienkimi, okazałymi kulfonami na wydartym z notesu liniowanym papierze. „Dlatego te/, czy mnie akceptujesz, czy nie – a w głębi duszy podejrzą wam, że mnie nienawidzisz – jesteś mi bardzo bliski. Dzię ki tobie wiem, jak szczęłem; widzę raz jeszcze, jak umieram naprawdę umieram. To jest coś. To więcej, niż by martwym. Może dlatego tak bardzo obawiam się spotkania;i z tobą; może zrobiłeś mi kawał i umarłeś. Wszystko dziskii dzieje się tak szybko”.

Czytam to powtórnie linijka po linijce. Chyba zb/i kawał – takie wrażenie robi na mnie ta cała czcza gadam na o życiu i śmierci, i o tym, że wszystko dzieje się tak

Miller Henry - Zwrotnik Raka

szybko. według mnie nic się nie dzieje, poza zwykłymi katastrofami na tytułowej stronie gazety. On zaś przezostał nie pół roku żył pogrążony w całkowitej samotności, zas/.y ty w jakimś tanim pokoju hotelowym – zapewne utrzymując telepatyczną łączność z Cronstadtem. wspomina coś o utraconych pozycjach, ewakuacji itp., itd., jakby sied/i;il w okopie i sporządzał raport dla dowództwa. Zapewne za siadając do tego listu założył frak i pewnie zatarł kilb
[172]

m/y ręce, jak wówczas, kiedy ktoś przychodził oglądać mie-■i/Lmie. „Powodem, dla którego chciałem, byś popełnił sa-lobójstwo...” – ciągnie dalej. W tym miejscu wybucham miechem. Pamiętam, jak w Villa Borghese, albo u Cron-i.ki(a, gdziekolwiek tylko była, że tak powiem, przestrzeń I'.H4-rowa, chodził tam i z powrotem zjedną ręką za połą ■tka i klepał te bzdury o życiu i śmierci, ile wlezie. Muszę R w nać, że nigdy nie rozumiałem z tego ani słowa, ale było In mczłże widowisko, a jako goja interesowało mnie oczywiście-i' co się dzieje w tej menażerii, którą skrywa jego czaszka. i llckiedy wyciągał się jak długi na kanapie, wyczerpany na-linkiem myśli cisnących mu się do łba. Jego stopy zawa-il/nly niemal o półkę z książkami, na której trzymał swego Plutona i Spinozę – nie mógł zrozumieć, dlaczego uważałem, że nic mi po nich. Muszę przyznać, że gdy o nich tom brzmiało to interesująco, chociaż nie miałem najmniej-wejjo pojęcia, o co mu chodzi. Czasami ukradkiem rzucali m okiem na jakiś tom, by sprawdzić te szalone idee, które im przypisywał, ale zachodził tu związek zbyt wątki, zbyt и и iagany. Mówił swoim własnym językiem, mam na myśli Horysa, kiedy byłem z nim sam na sam, ale gdy słuchałem Cionstadta, wydawało mi się, że Borys dokonuje plagiatu I i" wspaniałych idei. Ci dwaj rozmawiali jakby formułami I ws/ej matematyki. Nic z ciała i krwi nigdy tam nie przeni-i m/lo; to wszystko było przedziwne, makabryczne, upiornie iłbslrakcyjne. Kiedy przechodzili do problemu śmierci, bl miało to nieco konkretniej: w końcu topór czy tasak mu-i mieć rękojeść. Sesje te sprawiały mi ogromną radość. Po fil/pierwszy w życiu śmierć wydawała mi się wręcz fascynu-11' i wszystkie te abstrakcyjne śmierci pociągające za so-i' i bezkrwawe agonie. Od czasu do czasu gratulowali mi, że nic, ale czynili to w taki sposób, że odczuwałem zażenowali. Robili to tak, że czułem się jak atawistyczny przeżytek z S IN wieku, romantyczny rekwizyt, sentymentalny Pithe-i mthropus erectus. Zwłaszcza Borys bawił się wyśmienicie,

[173]

drażniąc się ze mną w ten sposób; chciał, bym żył po to, by on mógł umrzeć zgodnie ze swoim głębokim pragnieniem. Można było pomyśleć, że te miliony n. i ulicy nie są niczym innym jak martwymi krowami, jeśli się weźmie pod uwagę sposób, w jaki na mnie patrzył i atakował mnie... Wracając jednak do listu... zapomni. i łem o nim... „Powodem, dla którego chciałem, byś popełnił s; i mójbstwo tego wieczoru u Cronstadta, kiedy Moldorfsl. ił się Bogiem, było to, że byłem ci wówczas bardzo bliski. Mo że bliższy, niż będę kiedykolwiek. I bałem się, strasznie sn, bałem, że pewnego dnia mnie zdradzisz, umrzesz na moich rękach. A ja pozostanę jak ryba bez wody, mając jedyni» wyobrażenie ciebie i nic, co by je mogło podtrzymać. Nigd) bym ci tego nie wybaczył”. Być może potraficie go sobie wyobrazić, gdy mówi coś takiego! Dla mnie nie jest jasne, jakie wyobrażenie miał o mnie, co najwyżej jasne jest, że byłem czystym wyobrażeniem, fikcją utrzymującą się przy życiu bez pokarmu. Nigdy nie przywiązywał wielkiej wagi, mówię o Borysie, da sprawy jedzenia. Usiłował karmić mnie ideami i wyobrażeniami. Wszystko było ideą. Mimo to, kiedy zdecydował się na wynajęcie mieszkania, nie zapomniał o założeniu nowej uszczelki w ubikacji. Tak czy owak nie chciał, bym mu umarł na rękach. „Musisz być dla mnie życiem do samej1” końca – pisze. – To jedyny sposób, bym podtrzymał mojl wyobrażenie o tobie. Ponieważ, jak sam widzisz, wplątałeś się w coś o tak żywotnym dla mnie znaczeniu, nie sądzę, bym kiedykolwiek potrafił się od ciebie uwolnić. Zresztą nił pragnę tego. Życzyłbym sobie, byś każdego dnia żył bai dziej radykalnie, jako że ja jestem martwy. Dlatego kiedy rozmawiam o tobie z innymi, ogarnia mnie pewne zażenowanie. Trudno jest mówić o własnym »ja« tak otwarcie” wyobrażacie sobie zapewne, że pragnął się ze mn. | zobaczyć albo że interesował się, co porabiam – ale nie, ani

[174]

111111 k i o rzeczach konkretnych czy osobistych, chyba że tym ■ykiem życia-śmierci. Nic poza krótkim meldunkiem z okopów, poza zapachem trującego gazu, by powiadomić ■wystkich razem i każdego z osobna, że wojna wciąż trwa. Iisami zastanawiam się, jak to się dzieje, że pociągam je-lynic osobników stukniętych, neurasteników, neurotyków, l' u hopatów – a już szczególnie Żydów. Musi być coś w nilowym okazie goja, co ekscytuje żydowską mentalność, IIKIObnie jak widok razowego chleba. Był wśród nich na pi/vklad Moldorf, który kreował się na

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Boga, jak twierdzą Iltiys i Cronstadt. Szczerze mnie nienawidził, mała żmija, a jednocześnie nie potrafił trzymać się ode mnie z daleka. Przychodził regularnie, by otrzymać swą małą porcję obelg działała na niego jak balsam. Z początku, co prawda, był dla niego łagodny; w końcu płacił mi, bym go wysłuchiwał i chociaż nigdy nie okazałem mu zbyt wiele zrozumieniu, wiedziałem, jak zachować milczenie, kiedy w grę wchodził obiad i jakieś kieszonkowe. Jednak później, gdy zorientowałem się, jaki zeń masochista, pozwalałem sobie od czasu do czasu roześmiać mu się w twarz; odczuwał to jak miłe biczenie, powodujące wzmożony napływ żalu i pieniędzy. I może wszystko między nami ułożyłoby się lepiej, gdyby nie czuł się w obowiązku chronić Tani. Ale liki, że Tania jest Żydówką, stanowił kwestię moralną. I hejał, bym nadal trzymał się Mile Claude, dla której - IHILN/ę przyznać - żywiłem prawdziwe uczucie. Od czasu

■ I. / i / asu dawał mi nawet pieniądze, bym się z nią przespał.

■ i i i wili, gdy zdał sobie sprawę, że jestem beznadziejnym przypadkiem rozpustnika.

Wspominam o Tani, ponieważ właśnie powróciła z 1 ■ ■ i - nie dalej jak parę dni temu. Sylwester pozostał ' ni hy wkręcić się do jakiejś pracy. Całkowicie zrezygnował / literatury, poświęcając się nowej Utopii. Tania chce, I'mn / nią tam pojechał, najlepiej na Krym, i rozpoczął no-p życie. Któregoś dnia urządziliśmy niezłą popijawę w po-

[175]

koju Carla i omawialiśmy różne możliwości. Chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób mógłbym tam zarabiać na życie - czy znalazłbym, na przykład, pracę korektora. Odpowiedziała, że nie muszę się tym przejmować - oni znajdą nu pracę, pod warunkiem że będę traktował wszystko szczerze i poważnie. Usiłowałem sprawiać wrażenie przejętego, uli musiało to wyglądać żałośnie. Tam w Rosji nie chcą oglądać smutnych twarzy; masz być pogodny i wesoły, przejawiać entuzjizm i optymizm. Bardzo mi to przypominało Amerykę. Entuzjizm tego rodzaju nie został mi dany wia/ z narodzinami. Oczywiście nie pisałem o tym ani słówk;i, ale w duchu modliłem się, aby pozostawiono mnie w spokoju, bym mógł wrócić do swojego zacisza i pozostać tam a/ do wybuchu wojny. Cały ten hokus-pokus z Rosją troci \A mnie wyprowadził z równowagi. Tania tak się tym podniecała, że wykończyliśmy z pół tuzina butelek win ordainairi Carl podskakiwał wokół nas jak karaluch. Jest żydem w dostatecznym stopniu, by stracić

Miller Henry - Zwrotnik Raka

głowę w związku z taką ideą jak Rosja. Nie pozostawało mu nic innego, jak ożenu nas – natychmiast. „Żeń się” – mówi – „nie masz nic do stracenia.” A potem udaje, że ma coś pilnego do załatwienia, pozwalając nam na jeden szybki numer. I mimo iż Ta nie miała na to ochotę, tak nabiła sobie głowę tym całym interesem z Rosją, że zmarnowała ten czas, trując mi niemi łośniernie, co wprawilo mnie w zły humor i zniecierpliwienie. Tak czy owak musieliśmy pomyśleć o zjedzeniu czegoś i pójściu do pracy, więc wpakowaliśmy się do taksówki mi Boulevard Edgar-Quinet, o krok od cmentarza, i ruszyliśmy. Była właśnie dobra pora, by oblecieć Paryż kabrioletem, a dzięki winu szumiącemu nam w żyłach miasto wyciągało się jeszcze piękniejsze niż zwykle. Carl siedział naprzeciw nas, na strapontenie, z twarzą czerwoną jak burak. Był szczęśliwy, ten biedny skurwysyn, na myśl o tym wspaniałym życiu, które go czekało na drugim krańcu Europy. Jednocześnie, jak zauważyłem, był nieco przygnębiony. Tak

[176]

Wprawdzie to nie chciał opuszczać Paryża, zresztą podobnie

jak ja. Paryż nie był dla niego łaskawy w takim samym stopniu, w jakim nie był dla mnie ani dla innych, jeśli już o

chodzi mowa, ale kiedy wycierpiałeś swoje i zniosłeś tu najgor-

wówczas Paryż dobiera się do ciebie, można by rzec, * lin via cię za jaja niczym jakaś spragniona miłośnica

dziewka, Lóru wołałaby raczej umrzeć, niż wypuścić cię z rąk. Tak to

wyglądało w jego przypadku, widziałem wyraźnie. Gdy przełączaliśmy się nad Sekwaną, uśmiechał się głupawo i przeklął na boki, wpatrując się w budynki i pomniki, jak-

by widział je we śnie. Mnie też to trochę przypominało sen:

Wydawałem rękę na biuście Tani i ścisnąłem jej piersi z całej

siły, dostrzegając jednocześnie wodę pod mostami i barki, i ileś tam w dole Motre-Dame, identyczną jak na pocztówce - i wtedy pomyślałem sobie z pijackim rozrzewnieniem, że tak

nie pozwalam się wyruchać, ale jednocześnie nie dałem

niemu - /puć po sobie poznać i wiedziałem, że nigdy nie zamienił-

Miller Henry - Zwrotnik Raka

i' \m tego całego zamętu wokół na Rosję ani na nic innego
Пй Нwiecie. To było miłe popołudnie, myślałem, a wkrótce
Upchamy sobie brzuchy. Zastanawiałem się, co moglibyś-
щ zamówić, by uczcić to spotkanie – jakieś dobre ciężkie
I |ni), w którym utonie cały ten podejrzany interes z
Rosją.

Kobiet takich jak Tania, pełnych soków i ikry, nie
obcho-

■ I. i ui się z tobą stanie, gdy nabijają sobie czymś
głowę. Po-

ilfoł im na zbyt wiele, a ściagną ci portki tu, w
taksówce.

Mimo to wspaniale było tak w kółko kręcić się w tym
tłoku,

t Iwarzami całkiem upačkanymi różem, z winem bulgocą-
i ym w nas jak w rynsztoku, zwłaszcza kiedy skręciliśmy

w

Mik* Laffitte, na tyle jedynie szeroką, że może stanowić
ibrumowanie małej świątyni na jej końcu, a ponad nią

' nosi się Sacrc-Coeur, coś w rodzaju egzotycznej
mozaiki

nlyłów architektonicznych, klarowna francuska idea,
która

pi/cbija się przez alkoholowe zamroczenie i ciska cię w
wir

|H/es/łości, w płynny sen, budząc gwałtownie, a
jednocześnie-

.....ie szarpiąc ci nerwów.

Zwrotnik...

[177]

Teraz, kiedy Tania znów pojawiła się na horyzon cie, a
ja mam stałą pracę, do tego ta pijacka rozmowa u Rosji,

nocne powroty piechotą do domu i Paryż w pełni la ta,
życie wydaje się podnosić głowę trochę wyżej. Mo/f

właśnie dlatego list taki jak ten otrzymany od Borysa
wyda je się zupełnie pomyłony. Niemal codziennie

spotykam się I Tanią koło piątej, by napić się razem
porto, jak ona to na żywa. Pozwalam jej zabierać się do

lokali, których nigdy przedtem nie widziałem, wytwornych
barów w pobli/u Champs-Elyscs, gdzie dźwięki jazzu i

jękliwe zawodzenie niemowlęcych głosów wydają się sączyć
wprost z mahoniu wej boazerii. Nawet kiedy idzie się do

lavabo, te papkow;ilc, soczyste tony ścigają cię, sączą
się do kabiny przez wentyla tory, czyniąc z życia

mydlane, opalizujące bańki. Czy td dlatego, że nie ma tu
Sylwestra i ona czuje się przez to w<>l na, czy też z

jakiegoś innego powodu, Tania naprawdę starł się być
aniołem.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

- Brzydko mnie potraktowałeś tuż przed moim odjazdem - mówi do mnie pewnego dnia. - Dlaczego tak się zachowałeś? Nie zrobiłam nic, aby cię zranić, przyznał sam.

Stawaliśmy się sentymentalni, co nie jest tak || dziwne, jeśli się weźmie pod uwagę łagodne oświetlenie i i> śmietankową, mahoniową muzykę sączącą się zewsząd zbliżał się czas pójścia do pracy, a my wciąż byliśmy bel obiadu. Talony leżały przed nami - takie za sześć, cztery i pół, siedem, dwa i pół franka - podliczyłem je machinalnie, zastanawiając się jednocześnie, czy nie wolałbym im barmanem. Często się zdarzało, że gdy ona mówiła <l" mnie, wywnętrzając się na temat Rosji, tego, co nas czeka, miłości i innych bzdetów, zaczynałem myśleć o rzeczach /u pełnie nie związanych z jej monologami - o tym, że chciał bym zostać czyścibutem albo dziadkiem klozetowym tym ostatnim dlatego, że w tych przybytkach, do których mnie zaciągała, było tak przytulnie i nigdy mi nie przys/hi

[178]

t\" głowy, że kiedyś będę całkiem trzeźwy i może stary i I ubiony... nie, wyobrażałem sobie zawsze, że przyszłość |.i k kolwiek skromną - otaczać będzie taka właśnie au- ii l c same melodie będą rozbrzmiewać w mojej głowie, i/klanki będą pobrzękiwać, a wlokąca się za każdą kształt-

■ dupką szeroka na jard woń perfum tłumić będzie smród \i ia, nawet na dole, w lavabo.

Dziwne, że nie zepsuło mnie łożenie z nią do tych wykwinnych barów. Oczywiście niełatwo było mi się z nią m/sławać. Zwykle prowadziłem ją na krużganek kościoła w pobliżu redakcji i stojąc tam po ciemku obejmowaliśmy »ie na pożegnanie, a ona szeptała: „Chryste, co ja teraz zro-If?" Chciała, bym rzucił pracę i mógł się z nią kochać ilim-in i nocą, już nawet nie obchodziła jej tak bardzo Ros-Jll, bylebyśmy tylko mogli być razem. Ale gdy ją opuszcza-}m. w głowie nieco mi się rozjaśniało.

Kiedy przechodziłem ■łez wahadłowe drzwi, witała mnie muzyka innego rodzaju, nie tak jękliwa, ale mimo to dobra. Perfumy też były in-PC. nie miały tylko jarda szerokości, ale były wszechobecne,

■ lanowiły mieszaninę potu i paczuli, jakby wydzielała je lliiszyzna. Ponieważ zwykle przychodziłem wstawiony, przypominało to nagłe zejście na niską wysokość.

Przeważnie gnałem najpierw do toalety, co mnie trochę otrzeźwiało. Myło tam nieco chłodniej, albo przynajmniej odgłos płyną-i tj wody sprawiał takie wrażenie. Toaleta przypominała zimny tusz. Była prawdziwa. Zanim wszedłeś

Miller Henry - Zwrotnik Raka

do środka, mumii Ics przejść obok szeregów Francuzów zrzucających z sie-Inc ciuchy. Uf! – jakże oni śmierdzieli, ci kretyni! I jeszcze ■brze im za to płacono. Tkwili tam rozebrani, jedni w dłu-i'hi kalesonach, inni brodaci, a większość wyglądała jak blade, wychudłe szczury z ołowiem w żyłach. Siedząc w toa-1.1 ic można było sporządzić inwentarz ich gnuśnych myśli.

iiany pokrywały rysunki i epitety, z których wszystkie by-y nieprzyzwoitymi żartami, dość przejrzytymi, ale w sumie ar/ej wesołymi i sympatycznymi. By wykonać niektóre z

[179]

nich, potrzebna była, jak sędzę, drabina, ale gra warta bylu świeczki, choćby patrzeć na to wyłącznie z psychologic/m go punktu widzenia. Czasami, gdy stałem tam odlewaj|C się, zastanawiałem się, jakie wrażenie zrobiłyby te napisy na owych szykownych damulkach, które obserwowałem wchodzące i wychodzące z pięknych ubikacji nił Champs-Elysees.

Zastanawiałem się, czy straszyłyby tak pióra, gdyby mogły zobaczyć, co sądono o dupie tutaj. W ich świecie, bez wątpienia, wszystko było z gazy i aksamitu – przynajmniej takie chciały sprawiać wrażenie, wydając II miłe wonie, kiedy mijały cię z szelestem sukienek.

Niektón z nich nie były zresztą aż takimi damami i szeleściły tak, l>\ zwrócić uwagę na swoją profesję. I być może, gdy były s;i me, kiedy mówiły na głos w zaciszu swoich buduarów, tak że z ich ust wyrывały się jakieś dziwne rzeczy, ponieważ n,i tym świecie – tak jak i na każdym innym – przytłaczaj;)!.! część tego, co dzieje się wokół, jest tylko błotem i brudem]

odrażającym jak pierwszy z brzegu pojemnik na śmieci, lv le że one mają to szczęście, iż mogą sobie pozwolić na to, b| go przysłonić pokrywą.

Jak mówię, popołudnia z Tanią nie miały na mnił złego wpływu. Od czasu do czasu bywałem zanadto schlam i musiałem wsadzać sobie palec do gardła, ponieważ trudno jest robić korektę, kiedy umysł masz nie w pełni sprawny wykrycie brakującego przecinka wymaga większej konccn tracji niż streszczenie filozofii Nietzschego. Po pijanemu możesz się czasem zdobyć na błyskotliwość, ale w dziale ko rekty jest ona zupełnie nie na miejscu.

Daty, ułamki, średni ki – to wszystko, co się tu liczy. I jednocześnie są to rzecz/y najtrudniejsze do wykrycia, kiedy głowa ci płonie. Raz po raz strzelałem jakąś gafę i nie ulega najmniejszej wątpiwości, iż zwolniono by mnie, gdyby nie to, że nauczyłem się ca łować szefa w

Miller Henry - Zwrotnik Raka

dupę. Pewnego dnia otrzymałem nawet pis mo od wielkiej szychy z piętra, faceta, którego nigdy nił spotkałem, tak wysoką zajmował pozycję; obok kilku sal

[180]

I litycznych uwag na temat mojej ponadprzeciętnej inteli-■ tli u pismo zawierało przejrzystą ałużję do tego, żeby nie podskakiwał i grzecznie robił, co mi kazał, bo inaczej dosta-1 a swoje. Szczerze mówiąc przestraszyłem się jak chole-m I nż nigdy więcej nie używałem potem w rozmowie słów k lelosylabowych; jeśli chodzi o ścisłość, przez całą noc pra-■U nie otwierałem gęby. Udawałem stuprocentowego kre-i n.i, co było właśnie tym, czego ode mnie oczekiwano. Od < .r.n do czasu, by trochę przypochebić się szefowi, szedłem do niego i uprzejmie pytałem, co znaczy takie to a takie iłowo. Bardzo to lubił. Ten facet był czymś w rodzaju cho-pącego słownika i kalendarium. Bez względu na to, ile piwu wyżłopał w czasie przerwy – a zorientowałem się ze iposobu, w jaki się szarogęsił, że robił sobie prywatne prze-i w v - nigdy nie można go było złapać na wpadce, jeśli cho-il/ilo o jakąś datę czy definicję. Był do tej pracy stworzony, /nłowałem jedynie, że zbyt wiele wiem. Od czasu do czasu iluwało się to zauważyć pomimo wszystkich przedsiębranych przeze mnie środków ostrożności. Kiedy przypadkiem ■ wyszedłem do pracy z książką pod pachą, nasz szef od razu to zauważał, a jeśli była to dobra książka, robił się jado-I Icie złośliwy. Ale nigdy nie zrobiłem celowo niczego, by go /.irytować; zanadto lubiłem tę pracę, by samemu zakładać bbie pętłę na szyję. Mimo to trudno rozmawiać z człowie-I (im, kiedy nie ma się z nim nic wspólnego; to zdrada wo-■C samego siebie, nawet, jeśli używa się jedynie słów jedno-| Liliowych. O, ten mój szef doskonale wiedział, że nie prze-|iiwiałem najmniejszego zainteresowania jego bajdurze-iniin, a jednak, wyjaśnijcie to sobie, jak chcecie, sprawiało "im przyjemność odciąganie mnie od moich marzeń i wbijanie mi do głowy dat i wydarzeń historycznych.

Podejrze-«.iin, że mścił się na mnie w ten sposób. W rezultacie nabawiłem się drobnej nerwicy. Gdy tylko znajdowałem się na powietrzu, popadałem w afekta-■, Bez względu na to, co było akurat przedmiotem rozmo-

[181]

wy, gdy wczesnym rankiem ruszaliśmy w kierunku Moni parnasse, zaraz kierowałem na niego gaśnicę, wygaszałem go, by popisywać się swymi perwersyjnymi snami. Najbai dziej lubiłem gadać o sprawach, o których żaden z nas nio miał najmniejszego pojęcia. Popadłem w łagodną

Miller Henry - Zwrotnik Raka

odmianę choroby psychicznej, zdaje się, że nosi to nazwę echolaln wszystkie końcówki korygowanych na nocnej zmianie tek stów płaśały na końcu mego języka. Dalmacja – robiłem korektę reklamy tej przepięknej perły kurortów. W porząd ku, weźmy Dalmację. Wsiadasz w pociąg i rano pot cieknie z ciebie wszystkimi porami, a miąższ winogron rozsad/;i skórę. Mogłem tak nawijać o Dalmacji od wielkiego bul waru do pałacu kardynała Mazarina, a nawet dalej, jeżeli miałem ochotę. Nie wiem nawet, gdzie leży na mapie ta Dalmacja, i nie chcę wiedzieć, ale o trzeciej nad ranem, ma jąć w żyłach cały ten ołów, ubranie przesiąknięte potem i wonią paczuli, a w głowie brzęk bransoletek przechodzą cych przez wyżymaczkę i te przesycone piwem opowieści, które cierpliwie znosiłem, drobiazgi, takie jak geografia, ubiory, język, architektura, nie miały żadnego znaczenia Dalmacja należy do określonej pory nocy, gdy milkną wy sokie tony gongów, a dziedziniec Luvru wydaje się tak za chwycając absurdalny, że masz ochotę rozpłakać się boi powodu, tylko dlatego, że jest tak cudownie cichy, tak pu sty i zupełnie niepodobny do strony tytułowej gazety i tych facetów z piętra rzucających kości. Z owym skrawkiem Dalmacji, spoczywającym jak zimne ostrze noża na moich pulsujących nerwach, mogłem doświadczać wrażeń najcn downiejszych podróży. I co zabawniejsze, mogłem podró żować po całym świecie, ale nigdy nie przyszła mi na myśl Ameryka; zapodziała się jeszcze dalej niż zagubiony koni y nent, ponieważ do zagubionych kontynentów czułem jakie, tajemnicze przywiązanie, a w przypadku Ameryki nie c/u łem absolutnie nic. Od czasu do czasu, co prawda, myślałem o Monie, jednak nie jako o kimś w określonej scenerii

[182]

f/asu i przestrzeni, lecz jako o kimś osobnym, oderwanym, jakby stała się wielką chmuropodobną formą wymazującą przeszłość. Nie mogłem sobie jednak pozwolić na zbyt długie myślenie o niej; gdybym to zrobił, skoczyłbym z mostu. To dziwne, pogodziłem się z życiem bez niej, a jednak gdy myślałem o niej choć przez minutę, wystarczało to, by zniweczyć moje zadowolenie, przesywając mnie do szpiku kości, i zepchnąć na powrót w agonię, jaką była moja podobna do ścieku przeszłość. Przez siedem lat dniem i nocą myślałem tylko o jednym – o niej. Gdyby jakiś chrześcijanin był równie wierny swemu Panu jak ja jej, wszyscy bylibyśmy dziś Jezusami (hrystusami. Myślałem o niej w dzień i w nocy, nawet gdy |i| oszukiwałem. Bywa, że jeszcze teraz, w samym sercu codziennej krzątania, kiedy czuję, że uwolniłem się już

Miller Henry - Zwrotnik Raka

od tego wszystkiego, nagle, gdzieś za zakretem ulicy, ukazuje się znienacka mały skrawek, zaledwie kilka drzew i ławka, odludne miejsce, gdzie staliśmy kłócąc się zapamiętałe i do-piowadzałiśmy się do szału, robiąc sobie gorzkie sceny zazdrości. Zawsze był to jakiś odludny zakątek, jak na przykład Place de PEstrapade albo te obskurne, ponure uliczki 1 md wadzące do Meczetu, albo biegnące wzdłuż otwartego Hiobu Avenue de Breteuil, tak cichej i martwej o dziesiątej ■leczorem, że ma się ochotę popełnić jakąś zbrodnię, morderstwo lub samobójstwo, cokolwiek, co zostawiłoby ślad ludzkiego dramatu. Kiedy zdaję sobie sprawę, że ona odęła, może na zawsze, otwiera się przede mną głęboka otchłań i żuję, że spadam, spadam i spadam w bezdenną mroczną izestrzeń. I to jest gorsze od łez, głębsze od żalu, bólu i muł ku; to otchłań, w którą wrzucono Szatana. Nie można i ani ład wspiąć się z powrotem, nie ma tam promienia wialla, dźwięku ludzkiego głosu ani dotyku ludzkiej ręki. Ileż tysięcy razy, gdy spacerowałem nocą po uli-|h, zastanawiałem się, czy nadejdzie kiedyś dzień, gdy na będzie u mego boku: te wszystkie tęskne spojrzenia, ja- [183]

kimi obdarzałem budynki i posągi, patrzyłem na nie z takim pragnieniem, z taką rozpaczą, że moje myśli musiały się ju/ wtopić w te budynki i posągi, przesycając je moją udręki. Nie mogłem też powstrzymać się od refleksji, że kiedy sp.i cerowaliśmy razem po tych ponurych, zaniedbanych ulic/ kach, tak przepojonych teraz mymi snami i tęsknotą, on.i niczego nie dostrzegała, niczego nie odczuwała: dla niej nil różniły się one niczym od innych ulic, może były trochę bał dziej obskurne, to wszystko. Nie pamiętałaby, że na pcw nym rogu zatrzymałem się, by podnieść jej spinkę do wio sów, albo że kiedy nachyliłem się, by zawiązać jej sznuro wadło, zapamiętałem miejsce, gdzie spoczywała jej stop;i, | że pozostanie ona tam na zawsze, będzie tam nawet wtedy gdy katedry ulegną zniszczeniu, a cała cywilizacja łacińSLi zniknie na zawsze z powierzchni ziemi.

Pewnej nocy, kiedy szedłem w dół Rue Lhomond w napadzie niezwyklej udręki i poczucia osamotnienia, pewni rzeczy objawiły mi się z bolesną jasnością. Czy spowodow;ił to fakt, że tak często przechodziłem tędy pogrążony w roz« paczy, z goryczą w sercu, czy wspomnienie pytania, którir rzuciła pewnej nocy, kiedy staliśmy na Place Lucien-Heri nie wiem. „Dlaczego nie pokażesz mi tego Paryża – zapy tała – o którym tyle pisałeś?” Wiem tylko, że na wspo mnienie tych słów nagle zdałem sobie sprawę, iż to

Miller Henry - Zwrotnik Raka

niemo/ liwe, bym kiedykolwiek odsłonił przed nią Paryż
poznam przeze mnie, Paryż, którego arrondissements nie
dadzą się określić, Paryż, który nigdy nie istniał,
będąc jedynie wytworem mojej samotności, mego pożądania
i tęsknoty za nią. Jakże ogromne to było miasto! Trzeba
by całego życia, aby je poznać na nowo. Ten Paryż, do
którego tylko ja je dziś mam klucz, niezbyt nadaje się do
zwiedzania przez turystów, nawet gdy się ma najlepsze
intencje; jest to Paryż, w który należy wierzyć, którego
należy doświadczać codzien nie w tysiącu różnych tortur,
Paryż rozwijający się w tobie

[184]

Ink iak, rozprzestrzeniający się coraz bardziej, by cię
w końcu pożreć.

Niepewnie stąpając w dół Rue Mouffetard, z umysłem
ożywionym takimi refleksjami, przypomniałem sobie jeszcze
jeden dziwny fakt z przeszłości, z tego przeciwnika po
Paryżu, którego kartki miałem jej pokazać, ale i tego
nie zdołałem nawet otworzyć, gdyż jego okładka była za
ciężka. Zupełnie bez powodu – ponieważ w tym momencie
moje myśli zajmował Salavin, po którego dzielnicy
dokładnie kluczyłem – zupełnie więc, jak mówię, bez powodu
i przyszło mi do głowy wspomnienie dnia, kiedy
zainicjowany mijaną codziennie tablicą, wszedłem
wiedziony impulsem do Pensjonatu Orfila, prosząc o
pokazanie mi planu zajmowanego przez Strindberga. Do
tego czasu nie przydarzyło mi się właściwie nic
straszego, chociaż straciłem wszelkie swoje ziemskie
dobra i wiedziałem, co znaczy głód na ulicach głodnym i
w strachu przed policją. Do tego czasu nie znalazłem w
Paryżu ani jednego przyjaciela, co było okolicznością
nie tyle przygnębiającą, co dziwną, gdyż gdziekolwiek
dotąd wędrowałem po tym świecie, sprawą łatwiejszą
było dla mnie znajdowanie przyjaciół. Ale w Paryżu
rzeczy nic straszego jeszcze mnie nie spotkało. Można
żyć bez przyjaciół, tak jak można żyć bez miłości, a nawet
bez pieniędzy, tego rzekomego sine qua non. A w
Paryżu można żyć – ja to odkryłem! – mając za pokarm i
dynie żal i udękę. Gorzka to strawa, ale może najlepsza
z możliwych w przypadku pewnych ludzi. W każdym razie
znalazłem się jeszcze u kresu, kokietowałem tylko
katarhofę. Miałem dość wolnego czasu i uczucia, by
podglądać życie innych ludzi, flirtować z martwą materią
romansów, jak lora – jakkolwiek makabryczna – wydaje się
cudownie odległa i anonimowa, gdy mieści się między
okładkami książki. wychodząc stamtąd zdałem sobie sprawę
z ironicznego uśmiechu błakającego się na moich
wargach,

[185]

jakbym mówił do siebie: „Poczekaj jeszcze, Pensjonacie Orffla!”

Od owego czasu zrozumiałem oczywiście to, co każdy szaleniec odkrywa wcześniej czy później: że dla ludzi udręczonych nie ma gotowych recept na piekło. Wydaje mi się, że trochę lepiej rozumiem teraz, dla czego taką ogromną radość czerpała z lektury Strindbergii widzę ją, jak podnosi głowę znad książki po przeczytaniu pysznego fragmentu i ze łzami radości w oczach mówi do mnie: „Jesteś równie szalony jak on... ty chcesz ponieść ka rękę!” Jakąż rozkoszą dla sadystki musi być znalezienie dla siebie orawdziwego masochisty! Tak jakby kąsała się sama, by sprawdzić, jak ostre są jej zęby. W owym czasie, kiedy dopiero co ją poznałem, była przesiąknięta Strindbergiem Ten szalony karnawał czerwi, którym tak się delektował ten wieczny pojedynek płci, to pajęczce okrucieństwo, które uczyniło go bliskim ospałym prostakom z Północy, właśnie ono zbliżyło nas do siebie. Stało się to podczas tańca śmici ci i tak szybko zostałem wessany przez wir, że kiedy znowu wychynałem na powierzchnię, nie poznawałem tego świata Kiedy się wreszcie uwolniłem z tej toni, muzyka ucichła, karnawał się skończył, a ja byłem oczyszczony do białej kości. Tego popołudnia po wyjściu z Pensjonatu Orli I, i poszedłem do biblioteki i tam, po kąpieli w Gangesie i zI stanowieniu się nad znakami zodiaku, zacząłem rozważni znaczenie tego piekła tak bezlitośnie przedstawionego prze/ Strindberga. I gdy tak przemyślałem nad tym, jasna sin wała się dla mnie tajemnica jego pielgrzymki, ten lot pocl\ nad powierzchnią Ziemi, po którym następuje, jakby pod wpływem nakazu, by ponownie odegrać zagubiony drania i heroiczne zstąpienie do samych wnętrzości Ziemi, mroi | ny i przerażający pobyt w brzuchu wieloryba, krwawa wal* ka, by się uwolnić, by zrzucić z siebie przeszłość i wynur/ v się jako jaśniejący, okrwawiony bóg słońca, wyrzucony II

[186]

me/nany brzeg. Już wtedy nie było dla mnie tajemnicą, dlaczego podobnie jak inni (Dante, Rabelais, Van Gogh etc, ha) odbył pielgrzymkę do Paryża. Zrozumiałem wówczas, lnk to się dzieje, że to miasto przyciąga udręczonych, nawie-bonych przez hałucynacje wielkich maniaków miłości, /rozumiałem, dlaczego tu właśnie, w samej piaście koła, można przyjąć najbardziej fantastyczne, najbardziej nieci awdopodobne teorie, nie znajdując w nich nic zadziwiają-I ego; to właśnie tu

Miller Henry - Zwrotnik Raka

czyta się ponownie książki młodości i zagnił ki nabierają nowych znaczeń, z których jedno przypada fin każdy siwy włos. Stąpa się tu po ulicach ze świadomością własnego szaleństwa i obłądu, albowiem jest rzeczą zupełnie oczywistą, że te zimne, obojętne twarze to oblicza Itrażników. Tutaj wszystkie granice znikają i świat okazuje ■iv tym, czym jest - oszalałą jatką. Kierat rozciąga się w nieskończoność, luki są szczelnie zamknięte, logika popada w obłąd, w górze błyska okrwawiony topór. Powietrze jest lodowate i nieruchome, język jest językiem apokalipsy. Nig-il/ie nie widać napisu „wyjście”; nie ma innej kwestii poza imiercią. Ślepy zaułek, na końcu którego czeka szafot. Wieczne miasto – Paryż! Bardziej wieczne niż K/ym, bardziej okazale niż Niniwa. Pepek świata, do które-|i<> jak ślepy, po omacku szukający drogi idiota można się tylko czołgać na czworakach. I jak korek zniesiony w martwy punkt oceanu, dryfuje się tu wśród szumowin i wodoro-IÓW, biernie, bez nadziei, nie zwracając nawet uwagi na mi-|n|<|cego nas Kolumba. Kolebką cywilizacji są cuchnące ■oaki świata, kostnica, której śmierdzące łona powierzają »woje krwawe paczki mięsa i kości. Ulice były moim azylem. Nikt nie zdoła zrozumieć ■ uroku, dopóki nie zostanie zmuszony szukać wśród nich •• 11 ronienia, dopóki nie stanie się słomką, miotaną tu i tam ■feez najmniejszy zefirek. Człowiek idzie ulicą w zimowy ■leń i widząc psa na sprzedaż wrusza się do łez. A tymczasem po drugiej stronie, radosna jak cmentarz, stoi nędzna

[187]

szopa nazywająca się „Hotel du Tombeau des Lapiir. Można się uśmieć, można umrzeć ze śmiechu.-Dopóki nit» zauważy się, że wszędzie są hotele, hotele dla królików psów, wszy, imperatorów, ministrów, właścicieli lomhni dów, końskich rzeźników itp. A niemal co drugi to „I lóli I de l'Avenir". To doprowadza do jeszcze większej hysterii Tyle hoteli przyszłości! Nie ma jakoś hoteli imiesłowu czarni przeszłego, trybu łączącego, coniunctivitis. Wszystko ji I wiekowe, przerażające, najeżone wesołością, riabrzmitlłl przyszłością, jak ropień dziaśła. Pijany od tej frywolnej cg zemy przyszłości, zataczając się podążam na Place Violi I cały w barwach fiołkoworóżowych i ciemnoszarych, gdzll wszystkie bramy są tak niskie, że tylko karły i chochliki mogłyby się w nie wśliznąć; nad zmatowiałą czaszką Zoll kominy wypływają czystą kokainę, podczas gdy Madonn! Kanapek swymi kapuścianymi uszami nasłuchuje bulgotu nia zbiorników z gazem, tych pięknych nadętych ropuch

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przykucniętych przy drodze.

Dlaczego nagle przypominam sobie Passage dfl Thermopyles? Ponieważ tego właśnie dnia jakaś kobk-1.i zwróciła się do swego pieska apokaliptycznym językiem jał ki, a mała suczka natychmiast pojęła, o czym mówi ta zd/i ra, ta lepka od brudu akuszerka. Jakże mnie to przygnębiło! Bardziej nawet niż widok skomlących kundelków sprzeda wanych na Rue Brancion, ponieważ tak naprawdę to nie psy napełniały mnie takim żalem, lecz potężne żelazne szta chety, te zardzewiałe pręty, które zdawały się stać pomiędzy mną a należnym mi życiem. W sympatycznej alejce niedaleko Abattoir de Vaugirard (Abattoir Hippophagique), no szącej nazwę Rue des Perichaux, odkryłem wówczas tu i ówdzie ślady krwi. Tak jak Strindberg w swym szaleństwie dostrzegał wróżby i znaki na posadzce Pensjonatu Orfiki tak i mnie się przydarzyło, że gdy włóczyłem się bez celu po tej zabłoconej alejce obryzganej krwią, fragmenty przeszłości odrywały się i bezwładnie unosiły przed moimi oczami [188]

u

Kłydząc ze mnie najstraszniejszymi przeczuciami. Ujrzałem, lik rozlano moją własną krew, a błotnista droga była nią (plamiona, jeśli dobrze pamiętam, na całej swej długości, chyba od samego początku. Człowiek zostaje wyrzucony w twiut jak mała brudna mumia; drogi śliskie są od krwi i nikt nic wie, dlaczego tak być musi. Każdy podąża własną ścieżką i choćby ziemia wydawała tyle owoców, że aż gniłyby od nadmiaru, nie byłoby czasu ich zebrać; każdy pędzi do łwiałka „wyjście” i panuje taka panika, tak się wszyscy i tics/ą, by uciec, że słabi i bezradni zostają wdeptani w bło-lo i nikt nie słyszy ich wołania. Mój świat, świat ludzi, umarł; zostałem sam, a przyjaciółmi były mi ulice i to one przemawiały do mnie Hm smutnym, gorzkim językiem, na który składa się ludzku1 cierpienie, tęsknota, żal, poczucie klęski i daremności I '/cl kich usiłowań. Przechodząc pewnej nocy pod wiaduk-i> m koło Rue Broca, po tym jak mnie poinformowano, że Mona choruje i przymiera głodem, nagle przypomniałem pbie, że to właśnie tu w nędzy i szarzyźnie tej zapadniętej lllky, może wiedziona ponurym przeczuciem, Mona przy-wttrła do mnie i drżącym głosem błagała, bym obiecał, że piiniy jej nie opuszczę, nigdy, bez względu na to, co się zda-uy. A ledwie parę dni później stałem na peronie dworca St. U/are patrząc, jak odjeżdża jej pociąg, pociąg, który ją za-Nnał: wychylała się przez okno tak samo jak wówczas, kie-

Miller Henry - Zwrotnik Raka

\y zostawiałem ją w Nowym Jorku, i tak samo na jej twarzy hkał się smutny, nieodgadniony uśmiech, to ostatnie spoj-fwnie, które ma przekazać tak wiele, a które okazuje się je-rfynie maską wykrzywioną obojętnym uśmiechem. Nie dalej
ik kilka dni temu tak rozpaczliwie tuliła się do mnie, a po-i' ni nastąpiło coś, czego do dziś nie rozumiem, po czym z *lnsnej woli wsiadła do pociągu i znowu spoglądała na ULIIC z tym smutnym, zagadkowym uśmiechem, który mnie mwsze zbija z tropu, który jest niesprawiedliwy, nienatural-
iv i któremu nie dowierzam z całej duszy. I oto, stojąc
w
[189]

cieniu wiaduktu, wyciągam teraz do niej ręce, chcę wtul k się w nią rozpaczliwie i na moich ustach pojawia się idcn tyczny, równie nieodgadniony uśmiech, maska wciśnięta n.i twarz, by przesłonić smutek. Mogę tu stać, uśmiechając się obojętnie i bez względu na to, jak gorliwe są moje modli twy, bez względu na to, jak rozpaczliwa jest moja tęsknota dzieli nas ocean; ona zostanie tam i umrze z głodu, ja zaś będę wałęsał się tu z jednej ulicy na drugą, a gorące łzy bęcł;| parzyły mi twarz.

To właśnie tego rodzaju okrucieństwem wybruko wane są ulice; to ono gapi się na nas ze ścian i napawa nai przerażeniem, gdy nagłe reagujemy na nienazwany lęk, kir dy nasze dusze ogarnia zniecka przeraźliwa panika, wy wołując w nas uczucie mdłości. To właśnie owo okrucień stwo upiornie wygina uliczne latarnie i sprawia, że przyzywają nas i wabią w swe śmiertelne objęcia; to właśnie prze/ nie pewne domy wyglądają jak strażnicy sekretnych zbroi ni, a ich ślepe okna przypominają puste oczodoły, które widziały zbyt wiele. To właśnie coś takiego – wpisanego w ludzką fizjonomię ulic – zmusza mnie do ucieczki, gdy uJ rzę nagle nad głową inskrypcję „Impasse Satan”. To ont wywołuje drżenie, kiedy u samego wejścia do Meczetu do strzegam napis: „Poniedziałki i czwartki tuberculosis; środj i piątki syphilis, \ Na każdej stacji metra wyszczerzone czaszki witają mnie słowami: „Dafendez-vous contre la syp hilis!” wszędzie gdzie stoją mury, są też i plakaty, na kló -ych jaskrawe, jadowite kraby zwiastują nadejście raka Gdziekolwiek byś poszedł, czegokolwiek byś tknął, czyim tam rak i syfilis. wypisany na nieboskłonie, jarzy się i Inn tAy jak zła wróżba. Wzarł się nam w dusze i jesteśmy tylko martwym przedmiotem, martwym jak księżyc.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

To chyba w Święto Niepodległości ponownie wy-/irpnięto mi krzesło spod tyłka. Bez słowa ostrzeżenia. Jakiś wszechmocny waźniak z za wielkiej wody zdecydował ■ na oszczędności; zmniejszenie liczby korektorów i bezładnych drobnych dactylos pozwoliło mu na opłacenie kosztów podróży w tę i z powrotem i pałacowych komnat, Inki zajął u Ritza. Po zwróceniu niewielkich długów, któ- kh się dorobiłem wobec operatorów linotypów, i okazaniu symbolicznego dowodu dobrej woli w bistro naprzeciwko, pozwalającego zachować mi kredyt, nie pozostało mi puiwie nic z mojej ostatniej już pensji. Musiałem powiadomić właściciela hotelu, że się wyprowadzam; nie powiedziałem mu dlaczego, ponieważ zamartwiałyby się o swe nędzne 'wieście franków.

„Co zrobisz, kiedy stracisz pracę?” Zwrot ten bez i/erwy dzwonił mi w uszach. Ca y est maintenant! Ausge-wtelt! Nie pozostaje mi nic innego, jak znowu iść na ulicę, ■fccerować, kręcić się tu i tam, przesiadywać na ławkach, /ubijać czas. Oczywiście na Montparnassie moja twarz nie była już obca; przez jakiś czas mogłem udawać, że nadal l>i, icuję w gazecie. W ten sposób trochę łatwiej będzie na-ngnać kogoś na śniadanie czy obiad. Nastąpiło lato i ze-Rząd gromadnie ściągali turyści. Miałem w zanadrzu pomysły, jak ich trochę oskubać. „Co zrobisz, kiedy...?” No • Iż, z głodu nie umrę, to pewne. Jeśli nie będę robił nic innego, tylko skoncentruję się na jedzeniu, to wystarczy, bym |łc nie rozsypał. Przez tydzień lub dwa mógłbym nadal cho-il/ić do monsieur Paula i co wieczór zjadać coś porządnego; nie będzie miał pojęcia, czy pracuję, czy też nie. Najważniejsza rzecz to jedzenie. Co do reszty trzeba zaufać Opatrzności!

[191]

Ma się rozumieć, pilnie nadstawiałem ucha na k;i/ dy ton, w którym pobrękiwała zapowiedź jakiejś forsy I oczywiście podtrzymywałem też całą gamę nowych znajti mości – unikanych dotychczas skwapliwie nudziarzy, znic nawidzonych przeze mnie pijaczków, artystów posiadajil cych jakieś drobne pieniądze, laureatów Nagrody Guggcn heima itp. Nietrudno nawiązywać znajomości, kiedy prze siaduje się na tarasie kawiarni dwanaście godzin na doi», w tych okolicznościach poznaje się każdego moczymord| na Montparnassie. Przyczepiają się do ciebie jak wszy, nu wet jeśli nie możesz im zaoferować nic poza gotowością sin chania.

Teraz, kiedy straciłem pracę, Carl i Van Norden witali mnie nowym tekstem: „Co będzie, jeśli zjawi się two ja żona?” No i co z tego? Najwyżej dwie gęby do nakarmić

Miller Henry - Zwrotnik Raka

nia zamiast jednej. Miałbym przynajmniej towarzyszkę nic doli. I o ile nie straciła urody, pewnie lepiej by mi się wiodło w podwójnym zaprzęgu niż w pojedynkę: pięknej kobiecie świat nigdy nie pozwoli umrzeć z głodu. A jeżeli idzie o Ta nie, nie mogłem liczyć na to, że wiele dla mnie zrobi; posyłała pieniądze Sylwestrowi.

Myślałem z początku, że może mi pozwoli dzielić ze sobą pokój, ale bała się, że będzie to ją kompromitowało; poza tym musiała być miła wobec swego pana.

Pierwszymi ludźmi, do których należy się zwrócić, gdy jesteś bez grosza, są Żydzi. Niemal od razu miałem ich pod ręką aż trzech. Współczujące istoty. Jeden z nich był emerytowanym handlarzem futer, którego korciło, by zo baczyć swoje nazwisko w gazetach; zaproponował, bym napisał serię artykułów firmowanych jego nazwiskiem dla no wojorskiego dziennika żydowskiego. Jak skaut musiałem tropić wpływowych Żydów w pobliżu Dóme i Cuopole. Pierwszy, którego dopadłem, był sławnym matematykiem nie znał ani słowa po angielsku. Musiałem pisać mu artykuły o teorii wstrząsów na podstawie schematów, które mi ry-

[192]
i iwał na papierowych serwetkach, i opisywać ruchy ciała as-

Irułnych, burząc przy tym teorię Einsteina. I wszystko za jedyne dwadzieścia pięć franków. Kiedy zobaczyłem te swoje publikacje w gazecie, nie byłem w stanie ich czytać; mimo to robiły wrażenie, zwłaszcza że były opatrzone pseudonimem handlarza futer.

W tym okresie wiele pisałem pod pseudonimami.

1. iedy otwarto nowy duży lupanar nad Boulevard Ed-uni'-Quinet, otrzymałem niewielką prowizję za napisanie reklamówek. Prawdę mówiąc, w grę wchodziła tylko butelka uzampana i darmowy numer z jedną panienką w pokojach egipskich. Gdyby udało mi się ściągnąć klienta, miałem Otrzymać coś ekstra, tak jak dawniej Kepi. Pewnego wieczoru przyprowadziłem Van Nordena; chciał mi dać odrobinę zarobić na swoich przyjemnościach na piętterku. Ale kiedy madame dowiedziała się, że jest dziennikarzem, nie chciała od niego wziąć pieniędzy; znowu skończyło się na butelce szampana i darmowym sztosie. Nic z tego nie miałem. Jeśli już chodzi o ścisłość, musiałem jeszcze napisać za niego ten artykuł, ponieważ nie wiedział, jak podjąć ów temat, nie wspominając o charakterze lokalu. Podobne rzeczy zdarzały mi się co chwila. Ruchano mnie na prawo i lewo. Najgorszą robotą, jakiej się podjąłem, było napisanie pracy magisterskiej dla głuchoniemego psychologa:

Miller Henry - Zwrotnik Raka

rozprawy na temat opieki nad kalekami dziećmi. Głowa pękała mi od chorób, szyn, przyrządów rehabilitacyjnych i teorii dotyczących wpływu świeżego powietrza; zajęło mi to I niewielkimi przerwami prawie sześć tygodni, a potem – jakby tego było jeszcze mało – musiałem dokonać korekty owego plugastwa. Praca była po francusku, napisana językiem, jakiego w życiu nie widziałem i nie słyszałem. Ale dzięki temu codziennie jadałem dobre amerykańskie śniadanie – sok pomarańczowy, płatki owsiane, kawa ze śmietanką, a od czasu do czasu, dla odmiany, jajka na szynce. Był to jedyny okres podczas mojego pobytu w Paryżu, kiedy

[193]

mogłem sobie pozwolić na porządne śniadanie, i to tylko dzięki kalekim dzieciom z Rockaway Beach, East Side i wszystkich zatoczek i zalewów graniczących z tymi ogniskami choroby.

Później zgadałem się któregoś dnia z pewnym foto grafem przygotowującym dla jakiegoś degenerata z Monachium kolekcję zdjęć z najbardziej odpychających kurwi dołków Paryża. Zapytał mnie, czy pozowałbym mu z opu szczonymi spodniami i na inne jeszcze sposoby. Pomyślałem wtedy o tych kościstych, małych karłach wyglądających jak chłopcy hotelowi, których widuje się niekiedy na pornograficznych pocztówkach w witrynach małych księgarń, o tych tajemniczych zjawach zamieszkujących Rue de la Lune i inne smrodliwe dzielnice miasta. Niezbyt podobał mi się pomysł reklamowania swojej fizys w towarzystwie tej elity. Ale jako że fotografie trafią do najzupełniej prywatnej kolekcji i skoro miejscem ich przeznaczenia było Monachium, wyraziłem zgodę. Kiedy nie jesteś w swoim rodzinnym mieście, możesz sobie pozwolić na pewne niezbyt konwencjonalne posunięcia, zwłaszcza z tak szlachetnych pobudek jak chęć zarobienia na chleb powszedni. W końcu, jeśli już chodzi o ścisłość, nie byłem nazbyt czuły na tym punkcie nawet w Nowym Jorku. Zdarzały mi się wieczory, kiedy byłem tak cholernie zdesperowany, tam w kraju, że musiałem wyjść na ulicę we własnej dzielnicy, by żebrać.

Nie chodziliśmy do znanych turystom lokali ze strip-tease'em, ale do małych spelunek, gdzie atmosfera była znacznie sympatyczniejsza, a po południu można było zagrać partyjkę przed przystąpieniem do pracy. Dobry był kompan z tego fotografa. Znał miasto od podszewki, zwłaszcza jego mury; często opowiadał mi o Goethem, czasach Hohenstaufów i o masakrze Żydów w epoce, którą niepodzielnie władała Czarna Śmierć. Były to interesujące tematy i zawsze w jakiś niejasny sposób

Miller Henry - Zwrotnik Raka

związane z tym, co akurat porabiał. Miewał też doprawdy zdumiewające pomysły na

[194]

Ncenariusze, ale nikt nie miał dość odwagi, by je zrealizować. Widok konia, rozplatanego na pół niczym drzwi sa-loonu, był dla niego inspiracją do gadki o Dantem albo I .eonardzie da Vinci czy Rembrandcie; z rzeźni na Vilette wskakiwał w taksówkę i pędził ze mną do muzeum Troca-déro, aby pokazać mi jakąś fascynującą go czaszkę czy mumię. Dokładnie zbadaliśmy piątą, trzynastą, dziewiętnastą i dwudziestą arrondissement. Ulubionymi miejscami odpo-Czynku były dla nas tak ponure zakątki, jak Place Nationa-IE, Place des Peupliers, Place de la Contrescarpe, Place l'aul-Verlaine. Wiele z tych miejsc znałem przedtem, ale teraz widziałem je wszystkie w innym świetle, i zawdzięczałem to osobliwemu posmakowi jego opowieści. Gdybym, na przykład, przypadkiem przeszedł się dziś po Rue du Cha-leau-des-Rentiers, wdychając smród szpitalnych łóżek, którymi cuchnie dzielnica, moje nozdrza zapewne rozdęłyby się / rozkoszy, ponieważ – zmieszane z odorem skwaśniałego moczu i formaldehydu – doleciałyby stamtąd zapachy naszych urojonych podróży po kostnicach Europy, będących dziełem Czarnej Śmierci.

To dzięki niemu poznałem pewnego osobnika o in-klinacjach metafizycznych nazwiskiem Kruger, rzeźbiarza i malarza. Z tego czy innego powodu Kruger polubił mnie; nie mogłem wprost odczepić się od niego, kiedy tylko odkrył, że mam chęć słuchać jego „ezoterycznych” idei. Są na tym świecie ludzie, na których słowo „ezoteryczny” zdaje się działać jak boski ichor, jak „Skończone” na Herr Pee-pcrkorna z Czarodziejskiej góry. Kruger był jednym z tych świętych, którzy zeszli na manowce, masochistą, typem analnym, dla którego prawem jest skrupulatność, rzetelność, sumienność. Był facetem, który – mając zły dzień – bez żadnych skrupułów potrafiłby wybić komuś zęby. Zdawał się sądzić, iż dojrzałem już dostatecznie, by przejść na kolejną „wyższą” płaszczyznę, jak to zwykł określać. Szczerze mówiąc gotów byłem przejść na dowolną płaszczyznę,

[195]

jaką mi wyznaczy, pod warunkiem że nie musiałbym mnici jeść i pić. Truł mi ciągle o „osnowie duszy”, „ciele przyczy nowym”, „abłacji”, Upaniszadach, Plotynie, Krishnamui tim, „karmie jako szacie zdobiącej duszę”, „świadomości nirwany” itp.; zawracał mi głowę tymi dubami smalonymi nadciągającymi ze wschodu jak powiew

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zarazy. Bywało, że wpadał w trans i opowiadał o swoich poprzednich wcieleniach, a przynajmniej o tym, jak je sobie wyobrażał. Albo relacjonował swoje sny, które – przynajmniej dla mnie były całkowicie bezbarwne, prozaiczne, niewarte nawet uwagi freudysty, ale dla niego w ich głębiach kryły się obszerne ezoteryczne fenomeny i to ja miałem pomóc mu pojąć ich znaczenie. Przenicował się na wskroś, jak płaszcz o wyliniałym włosie. Pozyskując jego zaufanie, krok za krokiem wkradałem się do jego serca. Doprowadziłem go do tego, że potrafił biec za mną ulicą, by zapytać, czy nie pożyczyć mi paru franków. Chodziło mu o to, bym się nie rozsypał, bym jakoś dotrwał do przejścia na wyższą płaszczyznę. Zachowywałem się jak gruszka dojrzewająca na drzewie. Co rusz mój stan ulegał pogorszeniu i mogłem się przyznać do potrzeby bardziej ziemskiego pokarmu – odwiedzenia Sphinxu czy też Rue St. Apolline, dokąd wiedziałem, że sam udaje się w momentach słabości, kiedy już potrzeby ciała dawały o sobie znać w sposób zbyt natarczywy.

Jako malarz był zerem, jako rzeźbiarz reprezentował sobą jeszcze mniej. Mimo to muszę przyznać, że był doskonałym gospodarzem. W dodatku cechowała go niezwykła oszczędność. Nic się u niego nie marnowało, nawet papier, w który zawijano mięso. W piątek wieczorem otwierał swoją pracownię dla kolegów artystów. Zawsze było wtedy sporo do picia i dobre kanapki, a jeśli przypadkiem coś z tego zostało, wpadałem następnego dnia, by to spałaszować.

Na tyłach Bal Bulier znajdowała się inna pracownia, którą też miałem w zwyczaju odwiedzać – należała do Marka Swifta. Jeśli ten zjadliwy Irlandczyk nie był

geniu-

[196\
■pm, to bez wątpienia był niezgorszym ekscentrykiem. Pozowała mu Żydówka, z którą żył od lat; teraz miał jej już ilość i szukał pretekstu, by się jej pozbyć. Ale jako że przepuścił wiano, które mu kiedyś wniosła, głowił się, jak to ■Obić, nie oferując jej żadnej rekompensaty. Najprościej było zrazić ją do siebie do tego stopnia, by wołała umrzeć z pjąodu, niż nadal znosić jego okrucieństwa.

Ta jego kochanka była pełna dobroci; jeśli w ogóle i lalo się powiedzieć o niej coś złego, to tylko tyle, że straciła urodę i jednocześnie zdolność zapewniania mu środków do życia. Sama malowała i wśród tych, którzy utrzymywali, że łąię na tym znają, mówiło się, że ma o wiele większy talent niż on. Ale bez względu na to, jak

Miller Henry - Zwrotnik Raka

nieznośnym czynił jej życie, ona nadal była fair: nigdy nie pozwalała nikomu powiedzieć, że on nie jest wielkim malarzem. To właśnie dlatego, p naprawdę jest geniuszem, mawiała, ma taki paskudny charakter. Na ścianach nie wisiały nigdy jej obrazy, zawsze tylko jego. Jej płótna poniewierały się w kuchni. Raz zdarzyło się, w mojej obecności, że ktoś bardzo chciał zobaczyć jej prace. Rezultat był dość przykry.

- widzisz tę postać - powiedział Swift, wskazując jedno z jej płócien swą wielką stopą. - Ten facet stojący w drzwiach ma właśnie zamiar iść się odlać. Nie trafi jednak /. powrotem, ponieważ ma źle osadzoną głowę... Weź teraz lamten akt... Był całkiem dobry, dopóki nie zaczęła malować pizdy. Nie mam pojęcia, o czym wtedy myślała, ale cipa wyszła jej taka duża, że ześliznął się jej pędzel i już go stam-ląd nie wyciągnęła.

Chcąc pokazać, jak powinien wyglądać akt, wywleka wielkie płótno, które niedawno ukończył. Obraz przedstawiał właśnie ją i był wspaniałym aktem zemsty inspirowanej nieczystym sumieniem. Było to dzieło szaleńca - pełne jadu, małostkowe, podłe, błyskotliwe. Odnosiło się wrażenie, że podglądał ją przez dziurkę od klucza i uchwycił ją w chwili słabości, kiedy z roztargnieniem dłubała w nosie
[197]

albo drapała się w tyłek. Siedziała na kanapie z końskiego włosia w pokoju pozbawionym wentylacji, olbrzymim po koju bez okien; równie dobrze mógł to być wewnętrzny płai szyszynki. Za nią biegły zygzakiem schody prowadzące na balkon, przykryte dywanem w kolorze zielonkawej żółci; ten odcień zieleni mógł pochodzić jedynie z wszechświata, który już robi bokami. Najbardziej rzucały się w oczy jej pośladki, umieszczone krzywo i pokryte strupami; wyglą dało to tak, jakby lekko uniosła tyłek z kanapy, by głośno pierdnąć. Jej twarz natomiast wyidealizował: była słodka i dziewicza, przejrzysta jak krople na kaszel. Za to piersi miała rozdęte, jakby wypełnione wyziewami kanałów ścieko wych. Odnosiło się wrażenie, że pływa w morzu menstrea cyjnych soków, niby przerośnięty płód o tępym, syropowa-tym spojrzeniu anioła.

Mimo to trudno go było nie lubić. Niezmordowa ny w pracy, był człowiekiem, którego nie interesowało nic poza malowaniem. Co więcej, był przebiegły jak ryś. To on właśnie poradził mi, bym spróbował zyskać przyjaźń Fill-tore'a, młodzieńca pozostającego w służbie dyplomatycznej, który jakimś trafem znalazł się w tym

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wąskim kręgu ludzi otaczających Krugera i Swifta.
„Pozwól, by ci pomagał – mówił do mnie. – On sam nie wie, co robić z pieniędzmi”.

Gdy ktoś wydaje to, co ma, wyłącznie na siebie, gdy potrafi czerpać ze swoich pieniędzy prawdziwą uciechę, ludzie powiedzą zaraz: „Nie wie, co robić z forszą”. Ze swej strony nie widzę lepszego sposobu korzystania z bogactw. O takich osobnikach nie można powiedzieć, że są skąpi lub rozrzutni. Wprowadzają pieniądze do obiegu – to najważniejsze. Fillmore wiedział, że pozostało mu już niewiele dni we Francji, toteż był zdecydowany wykorzystać je jak najpełniej. A ponieważ prawie każdy lepiej bawi się w towarzystwie, było ze wszech miar naturalne, że w poszukiwaniu potrzebnego mu kompana zwróci się do kogoś takiego jak

[198]

III dysponującego nieograniczoną ilością czasu. Ludzie ■rzymywali, że to nudziarz i – jak przypuszczam – byłi w samej rzeczy, ale kiedy potrzebujesz jedzenia, możesz

wytrzymać znacznie więcej niż to, że cię ktoś zanudza. Osta-lec/nie, niezależnie od tego, że bez przerwy gadał, i to zwy-I |f o sobie albo o autorach, których niewolniczo uwielbiał lakich rarogach, jak Anatole France i Joseph Conrad – potrafił uatrakcyjnić moje wieczory na inne sposoby. Lubił I uńczyć, lubił dobre wina, lubił kobiety. To, że lubił również Byrona i Victora Hugo, można mu było wybaczyć; bądź co h;|dź dzieliło go od ukończenia studiów zaledwie kilka lat, toleż miał przed sobą mnóstwo czasu, by wyleczyć się z tego lodzaju upodobań. Szczególnie zaś podobała mi się w nim skłonność do osobliwych przygód.

Jeszcze lepiej poznaliśmy się, a nawet rzecz można, zbliżyliśmy się, za sprawą dziwnego incydentu, jaki zdarzył się podczas mojego krótkiego pobytu u Krugera. Stało się IO po przybyciu Collinsa, marynarza poznanego przez Fill-tore'a w drodze z Ameryki. Zwykle całą trójką spotykaliśmy się na tarasie Rotonde przed pójściem na obiad. Nieodmiennie zamawialiśmy pernod, napój wprawiający Collinsa w dobry humor i stanowiący swego rodzaju podkład dla wina, piwa., fines itp., które mieliśmy jeszcze wyżłopać. Przez cały czas pobytu Collinsa w Paryżu żyłem jak książkę; nic, tylko drób i wina dobrych roczników, i desery, o których przedtem nigdy nawet nie słyszałem. Miesiąc takiego życia, a czułbym się zobowiązany pojechać do Baden-Baden, Vi-chy albo Aix-les-Bains. Póki co gościny w swojej pracowni udzielił mi Kruger. Ciężko było ze mną wytrzymać, gdyż

Miller Henry - Zwrotnik Raka

nigdy nie zjawiałem się przed trzecią rano i trudno było ściągnąć mnie z łóżka przed południem. Wprawdzie Kruger nigdy nie czynił mi wyrzutów, przynajmniej na głos, ale jego zachowanie wskazywało jasno, że w jego opinii schodzę na psy.

Pewnego dnia ległem złożony chorobą. Przyczyna [199]

– nazbyt obfite odżywianie. Sam nie wiem, co mi dolegało, ale nie mogłem wstać z łóżka. Straciłem cały wigor, a wra/ / nim i resztkę odwagi. Kruger musiał troszczyć się o mnie, robić mi buliony itp. Wymagało to od niego wiele cierpliwości, tym bardziej że miało miejsce w przededniu organu zwanego przez niego we własnej pracowni wystawy, przy walnego pokazu dla kilku zamożnych koneserów sztuki, od których oczekiwał pomocy materialnej. Moje składane łóżko stało w pracowni; nie było innego pomieszczenia, w którym można by mnie położyć.

Rano w dniu wernisazu Kruger obudził się w fatalnym nastroju. Gdybym był w stanie utrzymać się na nogach, wiem, że dałby mi w szczękę i wyrzucił za drzwi. Ale leżałem płackiem, słaby jak mały kotek. Usiłował obietnicami wywabić mnie z łóżka, chcąc zamknąć mnie w kuchni kiedy przyjdą goście. Zdawałem sobie sprawę, że wszystko mu psuję. Trudno podziwiać obrazy i rzeźby, gdy ktoś umiera tuż obok. Kruger naprawdę myślał, że umieram. Ja zresztą także. Właśnie dlatego, mimo poczucia winy, nic stać mnie było na najmniejszy entuzjazm, kiedy zaproponowano, że zadzwoni po karetkę, by przewieziono mnie do American Hospital. Chciałem wygodnie umrzeć tutaj, w pracowni; nie uśmiechało mi się, że ktoś mnie ponagla, bym wstał i poszukał sobie lepszego miejsca do umierania. Zresztą nie obchodziło mnie, gdzie umrę, byle nie kazano mi wstawać.

Kiedy Kruger usłyszał tę moją śpiewkę, zaniepokoił się. Jediną rzeczą, jaka mogła być gorsza od zaprezentowania gościom chorego faceta, był ów facet w roli uraara-laka. Coś takiego kompletnie zrujnowałoby jego szanse, które i tak były mizerne. Oczywiście nie postawił sprawy w ten sposób, ale jego poruszenie wskazywało na to, że właśnie tego się obawiał. Wyzwoliło to we mnie opór. Nie zgadzałem się, by zadzwonił do szpitala. Nie zgadzałem się, by wezwał lekarza. Nie zgadzałem się na nic.

[200]

W końcu wściekł się na mnie tak dalece, że mimo moich protestów zaczął mnie ubierać. Byłem zbyt wyczerpany, by opierać się dłużej. Jedinie, co mogłem zrobić, to mamrotać pod nosem: „Ty cholerny skurwysynu!” Choć na

Miller Henry - Zwrotnik Raka

■CORze było ciepło, dygotałem jak pies. Kiedy już mnie
■brał, narzucił mi na ramiona płaszcz i wyskoczył
zatelefonować: „Nie pójdę! Nigdzie nie pójdę!” –
powtarzałem, ule zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Wrócił
po kilku minu-Inch i bez słowa zaczął się krzątać po
pracowni. Ostatnie przygotowania. Po chwili rozległo się
pukanie do drzwi. To lilhnore. Poinformował mnie, że na
dole czeka Collins.

Fillmore i Kruger wzięli mnie pod rękę i postawili na
nogi. Gdy wlekli mnie do windy, Kruger zmiękł. „To dla
Iwego dobra – powiedział. – A poza tym, to nie fair
wobec mnie. Wiesz o moich zmaganiach przez te wszystkie
lala. O mnie też powinienes pomyśleć”. Naprawdę był
bliski płaczu.

Mimo że czułem się nad wyraz nędznie, wręcz fa-
lalnie, na jego słowa omał się nie uśmiechnąłem. Był znacznie
starszy ode mnie i chociaż był kiepskim malarzem, na
wskroś marnym artystą, zasługiwał na łut szczęścia –
przynajmniej raz w życiu.

– Nie mam ci tego za złe – wyszeptał. – Rozumiem, jak
jest.

– Wiesz, że zawsze cię lubiłem – odparł. – Kiedy
wyzdrowiejesz, możesz tu wrócić... i zostać, jak długo
zechcesz.

– Jasne, wiem o tym... jeszcze nie zamierzam
wykorkować – zdołałem wymamrotać.

Jakimś cudem widok czekającego na dole Collinsa Ichnął
we mnie nowego ducha. Jeśli ktokolwiek wydawał się pełen
życia, zdrowy, radosny i wielkoduszny, to właśnie on.
Wziął mnie na rękę jak szmacianą lalkę i ułożył na
tylnym siedzeniu taksówki – bardzo delikatnie, co
potrafiłem docenić szczególnie po tym, jak sponiewierał
mnie Kruger.

[201]

Kiedy zajechaliśmy do hotelu – tego, w którym zatrzymał
się Collins – odbyła się krótka dyskusja z właś-
cicielem; ja tymczasem leżałem wyciągnięty na sofie w bu-
reau. Słyszałem, jak Collins mówi hotelarzowi, że to nic
t;iego... małe załamanie nerwowe... za kilka dni
przyjdzie do siebie. Widziałem, jak wsunął facetowi do
ręki szeleszczący banknot, po czym, odwracając się
żwawo, wrócił do mnie:

– Chodź, weź się w garść. Nie powinien myśleć, że
zaraz wykorkujesz. – Mówiąc to, szarpnięciem postawił
mnie na nogi i obejmując ramieniem, odprowadził do
windy.

Nie powinien myśleć, że zaraz wykorkujesz! Jasne umrzeć
komuś na rękach byłoby w złym guście. Umierali należy na

Miller Henry - Zwrotnik Raka

łonie rodziny, w atmosferze, rzecz można, prywatności. Jego słowa dodały mi otuchy. Zacząłem to wszystko uważać za kiepski żart. Na górze, gdy tylko zamknęli drzwi, rozebrali mnie i położyli do łóżka.

- Nie możesz teraz umrzeć, niech to lichy! - powiedział Collins ciepło. - Postawiłbyś mnie w głupiej sytuacji... Poza tym, co ci się, do diabła, stało? Nie służy ci wygodne życie? Głowa do góry! Za dzień lub dwa będziesz wsuwał stek z polędwicy. Wmawiasz sobie, że jesteś chory Chryste, poczekaj, aż złapiesz syfa! Tym dopiero należało by się przejmować...

I zaczął z humorem opowiadać o swojej podróży w dół Jangcy-ciang, kiedy to wypadały mu włosy i psuły się zęby. Mimo że byłem w kiepskiej formie, niestworzone historie, jakie opowiadał, wywierały na mnie dziwnie kojący wpływ. Pozwoliły mi całkowicie zapomnieć o sobie. To był facet z jajami. Może ze względu na mnie zanadto popuścił wodze fantazji, ale w tym momencie nie byłem nastawiony krytycznie. Cały zamieniłem się w słuch. Oczami wyobraźni widziałem brudnożółte ujście rzeki, światła zapalające się w Hanków, morze żółtych twarzy, sampany przeskakujące

[202]

pi/ez przełomy i katarakty, ziejące siarkowym oddechem ■ Boków. Cóż to była za opowieść! Kulisi tłoczyli się co-il/ii-nnie wokół łodzi, bagrując dno w poszukiwaniu odpadków wyrzucanych za burtę, Tom Slattery unosił się z łoża iiiifici, by rzucić ostatnie spojrzenie na światła Hanków, uiekny Eurazjata leżał w mroku, napełniając sobie żyły tru-ii/ną, monotonia niebieskich kurtek i żółtych twarzy, milionów i milionów twarzy wymizerowanych głodem, wyniszczonych przez choroby, żywiących się szczurami, psami i korzonkami, odgryzających żdźbła trawy, pożerających własne dzieci. Trudno sobie wyobrazić, iż ciało tego mężczyzny było kiedyś jednym wielkim wrzodem, że unikano ■ jak trędowatego; głos miał tak spokojny i łagodny, jakby |cwo dusza została oczyszczona przez cierpienie. Gdy sięg-iii|l po swego drinka, jego rysy złagodniały jeszcze bardziej, u słowa były kojącą pieśczętą. I przez cały czas unosiły się n;ii| nami Chiny jak samo Przeznaczenie. Chiny poddane rozkładowi, rozsypujące się w proch niczym ogromny dinozaur, ale do końca zachowujące swoją świadomość, czar, lujemniczość, okrucieństwo swoich prastarych legend.

Nie byłem w stanie śledzić dłużej toku jego opowieści; myślami cofnąłem się do Święta Niepodległości, kiedy po raz pierwszy w życiu kupiłem paczkę sztucznych ogni, ii

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wraz z nią długie, jakże kruche, kawałki huby, na którą należy dmuchać, by uzyskać dobry czerwony blask; huby, której zapach pozostaje na palcach tygodniami, wywołując niepokojące sny. W Święto Niepodległości ulice usłane są jaskrawoczerwonymi papierkami, na których wytłoczono czarne i złote postacie, i wszędzie walają się małe fajerwerki z przedziwnymi rzeczami w środku. Leżą ich całe paczki, połączone cienkimi, płaskimi, krótkimi baraniami jelitami w kolorze ludzkiego mózgu. Przez cały dzień w powietrzu unosi się zapach prochu i huby, a złoty proszek z jaskrawoczerwonych opakowań przylepia ci się do palców. Nie myśli się wówczas o Chinach, ale one są tam, na opusz-

[203]

kach palców; to przez nie swędzi cię nos i jeszcze długo p< > tem, gdy już prawie zapomniałeś, jak pachną fajerwerk i pewnego dnia budzisz się czując, że dusi cię złoty liść przylepiony do krtani, połamane kawałki huby wciąż wydzielają i gryzącą woń, a jaskrawoczerwone opakowania wywołują nostalgię za ludem i ziemią, której nigdy nie znałeś, ale kló ra tkwi w twojej krwi, bo w jakiś tajemniczy sposób prze dostała się tam, jak poczucie czasu i przestrzeni, nietrwała stała wartość, ku której z wiekiem zwracasz się coraz częściej, którą usiłujesz ogarnąć rozumem, ale to na nic, ponie waż wszystko, co chińskie, jest mądrością i tajemnicą, i nie możesz tego pojąć umysłem ani objąć dłońmi, lecz musisz/ pozwolić, by jak pyłek starła się i przylgnęła ci do palców, pozwolić, by niespiesznie przedostała się do twych żył.

Kilka tygodni później, po otrzymaniu nagłego wezwania od Collinsa, który wrócił do Hawru, Fillmore i ja wsiedliśmy pewnego ranka w pociąg, mając zamiar spędzić we trzech weekend. Od czasu mego przyjazdu do Francji po raz pierwszy byłem poza Paryżem. Przez całą drogę na wybrzeże zdrowo ciągnęliśmy anjou, co nie pozostało be/ wpływu na nasz nastrój. Collins podał nam adres baru, gdzie mieliśmy się spotkać; nazywał się Bar Jimiego i podobno znał go każdy mieszkaniec Hawru.

Na stacji wsiedliśmy w odkryty powozik i żwawym kłusem ruszyliśmy na spotkanie; zostało nam jeszcze pół butelki anjou, które wykończyliśmy podczas jazdy. Hawi wyglądał na wesołe, słoneczne miasto; powietrze było rześkie i miało silny słony posmak, który sprawił, że niemal zatęskniłem za Nowym Jorkiem. Wszędzie wyrastały maszty i kadłuby, jaskrawe kawałki bander, duże otwarte place i kawiarnie o wysokich sufitach, jakie spotyka się tylko na pro wincji. Miasto od razu zrobiło na nas dobre

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wrażenie: wita ło nas z otwartymi ramionami.
Zanim dotarliśmy do baru, zauważyliśmy Collinsa
podążającego truchtem ulicą, bez wątpienia w kierunku
sta-

[204]

W jak zwykle się spóźnił. Fillmore natychmiast
zapropozował pernod. Klepaliśmy się wszyscy po plecach,
śmiejąc W i parskając, już pijani słońcem i słonym
morskim powie-li/cm. Z początku Collins wydawał się
niezdecydowany na Itmod. Nabawił się trypra, jak nas
poinformował. Nic poważnego - zapewne jakaś łagodna
odmiana. Pokazał nam Imleleczkę, którą miał w kieszeni -
nazywało się to, o ile dobrze pamiętam, „Venctienne”.
Marynarski środek na Irypra.

Zatrzymaliśmy się w jakiejś restauracji, by coś
Przekąsić przed udaniem się do Baru Jimmiego. Była to
ogromna tawerna z dużymi osmalonymi krokwiemi i stołami
uginającymi się od jedzenia. Obficie raczyliśmy się
winami rekomendowanymi przez Collinsa. Usiedliśmy potem
na łarasie, by napić się kawy i likieru. Collins
opowiadał o baronie de Charlus, człowieku, który - jak
twierdził - bardzo przypadł mu do serca. Od blisko roku
siedział w Haw-i ze, wydając pieniądze zgromadzone w
okresie, gdy szmug-łował alkohol. Jego upodobania były
proste - jedzenie, picie, kobiety i książki. 1 osobna
łazienka! Stanowczo przy tym obstawał.

Rozmawialiśmy wciąż o baronie de Charlus, gdy
przybyliśmy do Baru Jimmiego. Było późne popołudnie i
knajpa dopiero się zapełniała. Był tam Jimmie z twarzą
czerwoną jak burak, a obok jego połowica, przyjemna
czysta Francuzka o błyszczących oczach. Powitanie było
niezwykle gorące. Znów przed każdym z nas stał pernod,
gramofon rzeził, ludzie paplali jak najęci po angielsku,
francusku, holendersku, norwesku i hiszpańsku, a Jimmie
i jego Zona, oboje pełni werwy i energii, poklepywali
się i całowali /. całego serca, wznosząc toasty i
stukając się szklaneczkami - wszystko to razem tworzyło
tak wesołą wrzawę i jazgot, że miałeś ochotę ściągnąć
ubranie i wykonać taniec wojenny. Kobiety przy barze
stłoczyły się jak muchy. Fakt, że byliśmy przyjaciółmi
Collinsa, oznaczał, że jesteśmy bogaci.

[205]

To, że przyszliśmy w znoszonych ciuchach, było bez
znacze nia; wszyscy Anglais tak się ubierają. Nie miałem
w kieszeni ani jednego sou, co oczywiście nie miało
znaczenia, jako ę byłem gościem honorowym. Mimo to
czułem się z lekka ztl kłopotany, gdy dwie kurwy o
oszałamiającej urodzie uczc piane moich ramion czekały,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

aż coś zamówię. Postanowiłem chwycić byka za rogi. Trudno już było stwierdzić, które drinki stawiał gospodarz, a za które należało zapłacić. Mu się udało być dzentelmenem, mimo że nie miałem przy sobie ani jednego sou.

Yvette – żona Jimmiego – była dla nas niezwykle łaskawa i przyjazna. Przygotowywała na naszą cześć coś nu zęb, ale żarcie nie było jeszcze gotowe. Chcąc, byśmy mogli cieszyć się jedzeniem, nakazała nam zachować umiar w pićciu. Gramofon grał jak wściekły, a Fillmore tańczył z piękną Mulatką, ubraną w obcisłą aksamitną sukienkę odsłaniającą wszystkie jej uroki. Collins przysunął się do mnie i szepnął kilka słów o dziewczynie u mego boku. „Madame zaprosi ją na obiad” – powiedział – „jeśli zechcesz”. Była eks-prostytutką, właścicielką pięknego domu na przedmieściu, a obecnie utrzymanką jakiegoś kapitana marynarki. Właśnie wypłynął w rejs, toteż nic mi nie groziło. „Jeśli jej się spodoba, zabierze cię do siebie” – dodał.

Nie trzeba było mi niczego więcej. Od razu zwróciłem się ku Marcelle i zacząłem umizgać się do niej, ile wlezie. Staliśmy przy narożniku baru, udając, że tańczymy, ;i w rzeczywistości macaliśmy się zapamiętałe. Jimmie zrobił do mnie oko i z aprobatą pokiwał głową. Była zmysłową, a i nie pozbawioną wdzięku dziewczyną ta Marcelle. Zauważyłem, że spławiła tę drugą panienkę i wtedy zasiedliśmy do długiej intymnej rozmowy, którą przerwała niestety zapowiedź obiadu.

Przy stole siedziało blisko dwadzieścia osób, ułokowano mnie z Marcelle w jednym jego końcu naprzeciw Jimmiego z małżonką. Wystrzały otwieranego szampana rozpo
[206]

Wielką kolację, po czym przyszła kolej na pijackie toasty, w trakcie których zabawialiśmy się z Marcelle pod stołem. Kiedy nadeszła moja kolej, by wstać i wygłosić kilka słów, muśnięciem zasłaniając się serwetką, co było deprymujące, ale i podniecające. Byłem zmuszony skrócić znacznie swoją mowę, ponieważ Marcelle ciągle łaskotała mnie w krocze.

Kolacja trwała prawie do północy. Nie mogłem czekać się nocy z Marcelle w tym jej pięknym domu nad Jorzem, ale nie było nam dane spędzić jej razem. Collins myślał sobie pokazać nam miasto i niezręcznie było mi się wkręcić.

– Nie martw się o nią – powiedział mi. – Najesz me jeszcze tego do syta przed odjazdem. Poproś ją, by zabrała tu na ciebie do naszego powrotu.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Marcelle trochę się na to obruszyła, ale gdy poinformowaliśmy ją, że zostaniemy tu jeszcze parę dni, roz-ehmurzyła się. Kiedy wyszliśmy na dwór, Fillmore z wielką powagą wziął nas pod rękę mówiąc, że musi się do czegoś |4/yznać. Był blady i wyglądał na zaniepokojonego.

- No, o co więc chodzi - zapytał łagodnie Collins. - wykrztuś to, stary!

Fillmore jakoś nie mógł wydusić z siebie tak od gali. Kluczył i chrząkał, aż w końcu oznajmił wzburzony: - No, wiecie, kiedy przed chwilą poszedłem do toalety, dostrzegłem, że...

- A więc też go masz - z triumfem w głosie powiedział Collins i zaczął wymachiwać buteleczką „Venç-lienne”.

- Nie wybieraj się tylko do lekarza - dodał zjadliwie.

- wykrwawia cię na śmierć, te zachłanne skurwysyny. I nie przestawaj pić. To wszystko bzdury. Bierz to dwa razy dziennie... wstrząśnij przed użyciem. I pamiętaj - nie ma nic gorszego, niż się zamartwiać, rozumiesz? Chodź już. Strzykawkę i nadmanganian dam ci, kiedy wrócimy.

I tak wyruszyliśmy w tę noc w kierunku nabrzeża,

[207]

gdzie rozbrzmiewała muzyka, krzyki i pijackie przekleństwa. Collins opowiadał przez cały czas o tym i owym, o chłopcu, w którym się zakochał, o cholernych tarapatkach, / jakich musiał się wykaraskać, kiedy rodzice chłopaczka wy czuli pismo nosem. Powrócił następnie do barona de Chai lus, a potem do Kurtza, wciąż zagubionego podczas podroży w górę rzeki. Podobał mi się sposób, w jaki Collins po służywał się literaturą jako tłem swych opowieści, niczym milioner, który nigdy nie rozstaje się ze swym rolls-roy-ce'et. Nie było dlań strefy przejściowej między rzeczywi stością a światem idei. Kiedy weszliśmy do burdelu na Qu;n Voltaire, nawet gdy rzucił się na kanapę i zadzwonił po alkohole i dziewczynki, nadal wiosłował w górę rzeki wraz / Kurtzem, i dopiero kiedy panienki klapnęły obok niego na łóżku i zamknęły mu usta pocałunkami, zaprzestał tych dywagacji. Wówczas jakby nagle zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje, zwrócił się do starszej pani, która prowadziła ów lokal i zasunął jej elokwentną gadkę na temat swoich dwóch przyjaciół przybyłych z Paryża wyłącznie po to, by zobaczyć jej burdel. W pokoju znajdowało się około pół tuzina dziewczynek, wszystkie nagie i, muszę przyznać, atrakcyjne dla oka. Skakały dookoła jak ptaszęta, podczas gdy my trzej usiłowaliśmy

Miller Henry - Zwrotnik Raka

podtrzymać rozmowę ze starszą panią. W końcu ta przeprosiła nas, zachęcając, byśmy się czuli jak u siebie w domu. Zauroczyła mnie bez reszty, była bowiem tak miła i pełna słodyczy, tak wyjątkowo łagodna i macierzyńska. A jakie miała maniery! Gdyby była nieco młodsza, zacząłbym się do niej zalecać. Któż by pomyślał, że znajdujemy się w jaskini występuku, jak nazywa się podobne miejsca.

W każdym razie spędziliśmy tam godzinę albo dwie, a jako że tylko ja jeden byłem w stanie korzystać / przyjemności właściwych temu przybytkowi, Collins został na dole z Fillmore'em, gawędząc z pensjonariuszkami. Po powrocie stwierdziłem, że obaj leżą wyciągnięci na łóżku;

[208]

dziewczynki otaczały ich półkolem, śpiewając anielskimi ■ i' i kami refren Róż Pikardii. Wychodząc z tego lokalu byli 111 v sentymentalnie przygnębieni – zwłaszcza Fillmore. 1 "llins szybko skierował nas do jakiejś mordowni, pełnej pijanych marynarzy na przepustce: posiedzieliśmy tam trochę delektując się atmosferą lekko homoseksualnej zabawy, która rozkręciła się na całego. Kiedy podnieśliśmy wreszcie /nięcie i zabraliśmy się stamtąd, musieliśmy przejść przez i n lnicę czerwonych latarenek, gdzie jeszcze więcej star-n/.ych pań z szalami na ramionach siedziało na schodkach, wchłując się i przyjaźnie kiwając głowami do przechodniów. Wszystkie były tak ładne i sympatyczne, jakby za-linowały się niańczeniem dzieci. Niewielkie grupki marynarzy nadeszły maszerując zawadiacko i hałaśliwie torując solne drogę do wnętrza tych krzykliwie udekorowanych spelunek. Wszędzie panoszył się seks: przelewał się i pulsował 11! przypływ podmywający fundamenty miasta. Zatrzymaliśmy się trochę dłużej na obrzeżu basenu portowego. Wszystko było pomieszane i splątane; odnosiło się wrażenie, że te wszystkie statki, te trawlerzy, jachty, szkunery i burki wyrzucił na brzeg jakiś gwałtowny sztorm.

W przeciągu czterdziestu ośmiu godzin zdarzyło się I u k wiele, że wydawało się nam, jakbyśmy byli w Hawrze miesiąc albo i dłużej. Zamierzaliśmy wyjechać w poniedziałek o świcie, ponieważ Fillmore musiał być z powrotem w pracy. Niedzielę spędziliśmy – syf nie syf – na picu i balo-u;iniu. Tego popołudnia Collins zwierzył się nam, że rozważa możliwość powrotu na swoje rancho w Idaho; nie był w domu od ośmiu lat i chciał znów popatrzeć na góry przed kolejną podróżą na wschód. Siedzieliśmy właśnie w burdelu, czekając na pojawienie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

się pewnej dziewczynki; obiecał dosypać jej do drinka trochę kokainy. Wyznał nam, że mie-i /i go już ten Hawr. Zbyt wiele sępów ma tutaj na karku, w dodatku zakochała się w nim żona Jimmiego i wybuchami /;i/drości psuła mu zabawę. Niemal co wieczór robiła mu

K Zwrotnik.

[209]

sceny. Od chwili naszego przyjazdu zachowywała się grzecznie, ale zapewnił nas, że nie potrwa to długo. Była szczególnie zazdrosna o pewną Rosjankę, która wpadał czasem do baru, zwłaszcza gdy za dużo wypijała. Zawsze sprowadzała kłopoty. Co gorsza Collins był beznadziejnie zakochany w chłopcu, o którym opowiadał nam pierwszego dnia.

- Taki chłoptaş może ci złamać życie - stwiei dził. - Jest tak cholernie ładny. I taki okrutny.

Uśmialiśmy się z tego. Brzmiało to zupełnie niedo rzecznie, ale Collins mówił całkiem serio.

Wreszcie w niedzielę, gdzieś koło północy, Fillmo re i ja udaliśmy się na spoczynek; dano nam pokój mieszczący się nad barem. Było parno jak diabli, powietrze ani drgnęło. Przez otwarte okno słyszeliśmy krzyki z dołu i grający bez przerwy gramofon. Nagle zerwała się burza prawdziwe oberwanie chmury. A pośród odgłosów grzmo tów i ulewy smagającej okna doszły naszych uszu odgłos \ innej jeszcze burzy, która wybuchła na dole w barze. Szala i przeraźliwie krótko i brzmiała groźnie; kobiety darły się jak opętane, roztrzaskiwały się butelki, przewracano stoły, słycać było też tak dobrze znany, wywołujący mdłości głuchy łoskot ludzkiego ciała padającego na podłogę.

Około szóstej zajrzał do nas Collins. Twarz miał całą w plastrach, a jedną rękę na temblaku. Jego oblicze jaś niało szerokim uśmiejem.

- Tak, jak wam mówiłem - powiedział. Wpadła wczoraj w szal. Słyszeliście pewnie tę rozróbę. Ubraliśmy się szybko i zeszliśmy na dół, by pożegnać się z Jimmiem. Lokal był kompletnie zdemolowany: za dnia butelka nie stała na swoim miejscu, nie ocalało ani jedno krzesło. Lustro i witryna były całkiem strzaskane. Jim mi przyrządzał sobie ajerkoniak.

W drodze na stację uporządkowaliśmy sobie jego relację. Ta Rosjanka wpadła do baru tuż po tym, jak my

[210]

tułmaszerowaliśmy do łózek, a Yvette natychmiast ją obraziła, nawet nie czekając na żaden pretekst. Zaczęły się ciągnąć za włosy i w trakcie tej szamotaniny interweniował jakiś młody szwed i trzepnął mocno

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Rosjankę w szczękę – by ją |>i /y wołać do porządku. Od tego się zaczęło. Collins był ciekaw, jakim prawem ten matoł wtrąca się w prywatną hpr/.eczkę. Odpowiedzią był cios w szczękę, i to niezły – (ollins przeleciał na drugi koniec baru.

– Masz za swoje – wrzasnęła Yvette, wykorzy-słując tę okazję, by cisnąć butelkę w głowę Rosjanki. I w tym momencie rozpętała się na dworze burza. Przez jakiś r/as panowało istne piekło, kobiety wpadły w histerię i zapragnęły wykorzystać tę szansę do załatwienia swoich prywatnych porachunków. Nie ma nic lepszego niż dobra roz-ińba w barze... tak łatwo wówczas wsadzić komuś nóż z plecy albo dołożyć butelką, kiedy leży pod stołem. Biedny S/wed znalazł się w gnieździe os; miał przeciw sobie całą knajpę, a zwłaszcza swoich kolegów ze statku. Nie odczuwaliby wielkiego żalu, gdyby ktoś go załatwił. Zamknęli więc drzwi na klucz i odsuwając stoły na bok utworzyli przed barem wolną przestrzeń, gdzie ci dwaj mogli się zmierzyć. Tak też się stało! Kiedy już było po wszystkim, musieli ■nieść biedaka do szpitala. Collins miał sporo szczęścia – właściwie nic mu się nie stało wyjąwszy zwichnięty nadgar-slek, kilka wywichniętych palców, rozwalony nos i podbite oko. Parę zadrapań, jak sam to ujął. Ale jeżeli kiedyś znajdzie się z tym Szwedem na jednym statku, zabije go. To jeszcze nie koniec – obiecał nam.

Na tym jednak awantura się nie zakończyła. Po wszystkim Yvette musiała zalać się w innym lokalu. Czuła się znieważona i postanowiła z tym wszystkim skończyć. Wzięła więc taksówkę i poleciła kierowcy jechać na skraj urwistego brzegu. Miała zamiar się zabić, o to jej właśnie chodziło. Ale była tak pijana, że kiedy wygramoliła się z taksówki, rozpłakała się, i nim ktokolwiek zdążył ją po-

[2π]

wstrzymać, zaczęła zrzucać z siebie ciuchy. Taksowi || przywiózł ją z powrotem w takim właśnie stanie, ил «|>"1 rozebraną; kiedy zobaczył to Jimmie, tak się wściekł, | wziął pas do ostrzenia brzytwy i stłukł ją na kwaśnie jabłku co tej suce bardzo się spodobało.

– Jeszcze, jeszcze trochę... – błagała go na кощ nach, obejmując za nogi. Ale Jimmie miał tego dość.

– Ty wycieruchu, ty świnió! – krzyczał i duł \4 kopa w żołądek, który pozbawił ją tchu i wybił jej niei o głowy te erotyczne zapędy.

Czas było jechać. W świetle wczesnego poranki miasto wyglądało zupełnie inaczej. Oczekując na odjazd p| ciągu jako ostatni poruszyliśmy temat Idaho. Wszyscy li 11

Miller Henry - Zwrotnik Raka

byliśmy Amerykanami. Pochodziliśmy z różnych stron, a li mieliśmy coś wspólnego, a nawet – rzekłbym – bard/n dużo. Stawaliśmy się sentymentalni, jak zwykle Ameryka nie, kiedy się rozstają. Mówiliśmy przeróżne głupstwa I krowach, owcach i ogromnych otwartych przestrzeniach, gdzie mężczyźni są mężczyznami. I tym podobne pierdoły Gdyby zamiast pociągu pojawił się statek, wskoczylibyśim na pokład, mówiąc „do widzenia” Francji i wszystkiemu, co się z nią wiązało. Ale, jak dowiedziałem się później, Col lins nie miał już nigdy zobaczyć Ameryki, a Fillmore... Fili morę także miał ponieść karę, i to taką, jakiej żaden z nał się wówczas nie spodziewał. Najlepiej tak właśnie widzieć Amerykę, zawsze w tle, jako coś w rodzaju pocztówki, po którą sięgasz w chwilach słabości. W ten sposób wyobra żasz sobie, że zawsze tam na ciebie czeka, nie zmienia się i nie wynaturza, ogromna, swojska, otwarta przestrzeń, gdzie żyją krowy, owce i mężczyźni o czułych sercach, gogo wi wsadzić każdemu, kto się nawinie, mężczyźnie, kobiecie czy bydłęciu. Ameryka nie istnieje. To tylko nazwa nadana pewnej abstrakcyjnej idei...

Paryż przypomina kurwę. Z daleka wydaje się II • piękna, nie możesz się doczekać, kiedy ją weźmiesz w мінюпа. Pięć minut później czujesz pustkę i wstręt do sa-)Mgo siebie. Czujesz się oszukany.

Wróciłem do Paryża z forszą w kieszeni – miałem I HI .iset franków, które wcisnął mi na pożegnanie Collins. MO lego dość, by zapłacić za pokój i odżywiać się dobrze Vii najmniej przez tydzień. Od kilku lat nie miałem w ręku i l' lorsy naraz. Roznosiła mnie radość – miałem poczu-1)le, że otwiera się przede mną nowe życie. Chciałem zacho-wnć te pieniądze jak najdłużej, więc znalazłem tani hotelik iikiI piekarnią na Rue de Chateau, o krok od Rue de Van-Vpn, wskazany mi kiedyś przez Eugene'a. O kilka jardów «liimtađ znajdował się wiadukt nad torami Montparnas-i u. Tak więc – dzielnica dobrze mi znana.

Mogłem dostać pokój za sto franków miesięcznie, oczywiście bez żadnych wygód – nawet bez okna – i może wzięłbym go, gdyby nie fakt, że aby się doń dostać, musiałbym przechodzić przez pokój zajmowany przez niewidomego. Myśl o tym, że co wieczór będę mijał jego łóżko, bardzo innie przygnębiała. Postanowiłem poszukać czegoś gdzie indziej. Poszedłem na Rue Cels, tuż za cmentarzem, obejrzeć pewną szcurzą norę z balkonami okalającymi podwórko. Tu także zwieszały się z nich klatki z ptakami wzdłuż całej dolnej kondygnacji. Może i jest to radosny widok, ale mnie kojarzył się z

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przepełnioną salą w szpitalu. Do tego właściciel wydawał się nie mieć wszystkiego po kolei. Postanowiłem dać sobie tej nocy spokój, dobrze się wpierw rozejrzeć, a potem wybrać atrakcyjny mały hotelik w jakiejś spokojnej bocznej uliczce.

W porze obiadowej wydałem piętnaście franków
[213]

najedzenie, prawie dwa razy więcej, niż zaplanowałem. Tali mnie to przygnębiło, że nie pozwoliłem sobie na wstąpienie do kawiarni, mimo że zaczęło siąpić. Nie, położę trochę, i potem o jakiejś rozsądnej godzinie grzecznie pójdę do łóżka. Od razu czułem się kiepsko, narzucając sobie w ten sposób oszczędne gospodarowanie swoimi zasobami. Nigdy w życiu tego nie robiłem; było to wbrew mojej naturze.

W końcu zaczęło lać jak z cebra, co mnie bardzo uradowało. Miałem pretekst, by się gdzieś schować i rozprostować nogi. Ciągłe było za wcześnie, by iść do łóżka. Przyspieszyłem kroku, kierując się ponownie na Boulevard Raspail. Nagle podchodzi jakaś kobieta i zatrzymuje mnie na środku ulicy, w strugach deszczu. Pyta, która godzina. Mówię jej, że nie mam zegarka. I wtedy ona wybucha, tak po prostu:

– Szanowny panie, czy nie mówi pan przypadkiem po angielsku?

Kiwam potakująco głową. Leje, jakby oberwała się chmura.

– Może, zacny człowieku, będzie pan tak łaskawy i zaprosi mnie na kawę. Tak pada, a ja nie mam pieniędzy, by gdzieś trochę posiedzieć. Proszę mi wybaczyć, drogi panie, ale panu tak dobrze patrzy z oczu... Od razu wiedziałam, że jest pan Anglikiem.

Mówiąc to, uśmiecha się do mnie dziwnym, trocin, -nieprzytomnym uśmiechem.

– Może zechciałby mi pan coś poradzić, drogi panie. Jestem zupełnie sama na świecie... mój Boże, to straszne być bez grosza...

To „drogi panie”, „mój dobroczyńco”, „zacny człowieku” itp. doprowadziło mnie do granic hysterii. Było mi jej żal, a jednocześnie chciało mi się śmiać. I roześmiałem się. Roześmiałem się jej prosto w twarz. I wtedy ona też się zaśmiała – był to bardzo dziwny, niemelodyjny, wysoki śmiech, zgoła niestosowny chichot. Ująłem ją pod ramię i

[214]

pobiegliśmy pędem do najbliższej kawiarni. Chichotała je-l/czc, kiedy wchodziliśmy do środka.

– Mój drogi panie – zaczęła znowu – może pan myśli, że kłamie? Jestem przyzwoitą dziewczyną... pocho- b z dobrej

Miller Henry - Zwrotnik Raka

rodziny. Tylko – i tu posłała mi ten błady nieporadny uśmiech – tylko znajduję się w tak pechowej sy- i nacji, że nie mam się gdzie podziąć.

Słyszając to, znowu się roześmiałem. Nic na to nie mogłem poradzić – wyrażenia, jakich używała, dziwnie brzmiący akcent, zwariowany kapelusz, zbzikowany u-•aniech...

– Słuchaj – przerwałem jej – jakiej jesteś narodowości?

– Jestem Angielką – odparła. – To znaczy, urodziłam się w Polsce, ale mój ojciec jest Irlandczykiem.

– I dlatego jesteś Angielką?

– Tak – odrzekła i znowu zaczęła chichotać, nieśmiało, ale starając się przy tym stworzyć pozory kokieterii.

– Pewnie znasz jakiś przyjemny hotelik, do które-•o możesz mnie zabrać?

Powiedziałem to nie dlatego, że miałem ochotę z nią iść, ale po to, by zaoszczędzić jej zwykłych w takich wypadkach wstępów.

– Ależ, drogi panie! – oburzyła się, jak gdybym popełnił bardzo poważny nietakt. – Jestem przekonana, że nie mówi pan tego poważnie! Nie jestem jedną z tych dziewczyn. Zażartował pan sobie ze mnie, teraz to widzę. Taki pan dobry... tak dobrze panu z oczu patrzy. Nie ośmieliłabym się tak zaczepić jakiegoś Francuza. Oni od razu stają się tacy wulgarni...

Przez jakiś czas ciągnęła w tym stylu. Miałem zamiar się urwać, ale nie chciała zostać sama. Bała się – jej papiery nie były zupełnie w porządku. Czy nie byłbym tak dobry, by odprowadzić ją do hotelu? A może byłbym w stanie „pożyczyć” jej piętnaście lub dwadzieścia franków, by

[215]

udobruchać patronat Odprowadziłem ją do hotelu, w którym się zatrzymała, tak przynajmniej twierdziła, i wsunąłem jej w rękę banknot pięćdziesięciofrankowy. Albo była bał dzo przebiegła, albo całkiem niewinna – czasami trudno i o odróżnić – w każdym razie poprosiła, bym poczekał chwili lę, aż pobiegnie do bistro i przyniesie mi resztę. Powied/i; i łem, żeby się nie trudziła. Słyszając to, spontanicznie chwyci L mnie za rękę i podniosła do ust. Byłem tak zaskoczony, że chciałem jej oddać wszystko, co miałem. Tak mnie poruszył ten drobny, zwariowany gest. Pomyślałem sobie – jak dob rze od czasu do czasu być bogatym, choćby po to, by do znawać takich nie znanych, mocnych wrażeń. Mimo to nie straciłem głowy tak bez reszty. Roztrwonić pięćdziesi; |l franków! Wystarczyło tego na jeden deszczowy wieczó! Gdy się oddalałem, pomachała mi tym zwariowanym kape lusikiem,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

którego nie umiała nosić. Tak, jakbyśmy bawili się razem w piaskownicy. Czułem się głupio i kręciło mi się w głowie. „Mój drogi panie... tak dobrze panu z oczu pa trzy... jest pan tak dobry, itp.” Czułem się jak święty. Kiedy mało nie pęknieś z dumy, nie tak łatwo jest od razu pójść spać. Czujesz, że powinieneś odpokutować te niespodziewane porywy dobroci. Przechodząc koło Jungle, zobaczyłem niewielki wycinek kręgu tanecznego: kobiety o nagich plecach, ze sznurami perłę zaciskającymi się im na szyjach - tak to przynajmniej wyglądało - kręciły w moją stronę swymi ślicznymi tyłeczkami. Podszedłem prosto do baru i zamówiłem coupe szampana. Kiedy muzyka ucichła, piękna blondynka - wyglądała na Norweżkę - zajęła miejsce obok mnie. Lokal nie był tak przepełniony ani tak roz bawiony, jak to się wydawało z zewnątrz. Tkwiło tu może tylko jakieś sześć par - zapewne traf chciał, że naraz wzięły się do tańca. Zamówiłem jeszcze jeden coupe szampana, by mnie nie opuściła odwaga. Gdy wstałem, chcąc zatańczyć z blondynką, na

[216]

parkiecie nie było nikogo poza nami. W innych okolicznościach - I lueh czułbym się skrepowany, ale szampan i sposób, w jaki sir do mnie przytulała, przyćmione światła i solidne poczu- i ie pewności siebie płynące z faktu posiadania kilkuset Hanków sprawiały, że, ach, zresztą... Zatańczyliśmy raz je-N/cze, dając jakby prywatny pokaz, a potem zaczęliśmy rozmawiać... Rozpłakała się i tak to się zaczęło. Pomyślałem, fa może za dużo wypić, więc udawałem, że nie zwracam na to uwagi. Równocześnie rozglądałem się wokół, by stwierdzić, czy jest tam jeszcze jakiś inny „towar”. Ale lokal był kompletnie pusty.

Gdy znajdziesz się w pułapce, należy wiać - i to natychmiast. Jeżeli tego nie zrobisz, wpadłeś. Co mnie powstrzymywało, to - o dziwo - myśl, że po raz drugi będę musiał zapłacić za szatnię. Człowiek zawsze wpakuje się w coś takiego przez jakieś głupstwo.

Jak niebawem odkryłem, płakała dlatego, że właśnie pochowała swoje dziecko. Nie była wcale Norweżką, ale Francuzką, i do tego akuszerką. Bardzo szykowną akuszerką, muszę przyznać, nawet gdy po twarzy spływały jej łzy. Zapytałem, czy coś mocniejszego nie pomogłoby nieco ukoić jej bólu, na co ona z miejsca zamówiła jedną whisky, wychylając ją w mgnieniu oka.

- wypijałabyś jeszcze jedną? - zaproponowałem łagodnie. Miała ochotę, czuła się fatalnie, była tak strasznie przybita. Miała też chęć na paczkę cameli.

- Nie, poczekaj - powiedziała - wołałabym chyba pall

maile.

Pał, co chcesz, pomyślałem, ale, na Boga, przestań płakać, bo czuję się nieswojo. Dość obcesowo postawiłem ją na nogi, by jeszcze raz zatańczyć. W tańcu była zupełnie kimś innym. Może smutek dodaje kobiecie seksu, nie wiem. Szepnąłem jej, byśmy się stąd urwali.

[217]

– Gdzie pójdziemy? – spytała bez namysłu.

– Och, byle gdzie. W jakieś spokojne miejsce, gdzie można porozmawiać.

Poszedłem do toalety i raz jeszcze przeliczyłem pieniądze. Banknoty stufrankowe ukryłem w kieszonce na zegarek, zostawiając w spodniach pięćdziesiąt franków i drobne. Wróciłem do baru z postanowieniem, że powiem prosto z mostu, o co chodzi.

Ułatwiła mi to, sama poruszając ten temat. Miała kłopoty. Nie dość, że straciła dziecko, ale jej matka leżała w domu chora, ciężko chora, trzeba zapłacić za lekarza i ku pić lekarstwa itepe, itede. Nie wierzyłem, rzecz jasna, ani jednemu słowu. Ale, jako że i tak musiałem znaleźć dla siebie hotel, zaproponowałem, by poszła ze mną i została na noc. Wyniesie taniej, pomyślałem sobie. Ale na to się nie zgodziła. Upierała się, że powinna pójść do domu; mówiła, że ma własne mieszkanie, a poza tym musi opiekować się matką. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że jeszcze taniej będzie przespać się u niej – powiedziałem więc, dobrze, chodźmy zaraz. Ale nim ruszyliśmy, zdecydowałem, że najlepiej będzie powiedzieć jej, jak stoję finansowo, żeby uniknąć jakichś nieporozumień w ostatniej chwili. Myślałem, że zemdleje, kiedy usłyszała, ile pieniędzy mam w kieszeni.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła śmiertelnie obrażona. Myślałem, że robi mi awanturę... Jednak dzielnie stawiłem jej czoło.

– Dobrze, wobec tego się pożegnaj – powiedziałem spokojnie. – Być może pomyliłem się.

– Pewnie, że tak – wykrzyknęła, łapiąc mnie jednocześnie za rękaw. – Ecoute, cheri... sois raisonnable!

Słyszając to, odzyskałem pewność siebie. Wiedziałem, że to tylko kwestia obiecania jej czegoś ekstra i wszystko będzie o.k.

– W porządku – powiedziałem znudzonym tonem. – Będę dla ciebie miły, zobaczysz.

– A więc skłamałeś, tak? – zapytała.

– Tak – uśmiechnąłem się. – Po prostu skłama-Irm... Nie zdążyłem nawet włożyć kapelusza, gdy przywołała

Miller Henry - Zwrotnik Raka

taksówkę. Usłyszałem, jak kazała jechać na Boule-void de Clichy. To wyniesie więcej niż opłata za pokój, pomyślałem sobie. Ale, ostatecznie, miałem jeszcze czas... zobaczymy. Nie wiem już teraz, jak to się zaczęło, ale wkrótce entuzjasmowała się Henrym Bordeaux. Nie spotkałem jeszcze kurwy, która nie znałaby Henry'ego Bordeaux. Ta ■dnak była naprawdę natchniona; jej język był teraz piękny, pełen ciepła i tak wnikliwy, że zacząłem się zastanawiać, ile jej dać. Wydawało mi się, że usłyszałem, jak powiedziała: „quand U n'y aura plus de temps”. W każdym razie COŚ w tym guście. W stanie, w jakim się znajdowałem, takie sformułowanie warte było stu franków. Zastanawiałem się, czy wymyśliła to sama, czy też ściągnęła z Henry'ego Bor-ideaux. Mniejsza z tym. W każdym razie był to odpowiedni zwrot, by zajechać z nim na ustach do stóp Montmartre'u. „Dobry wieczór, mamó” – mówiłem do siebie – „oboje z córką zajmiemy się panią – quand U n'y aura plus de temps”. Pamiętałem też, że ma mi pokazać swój dyplom, (idy tylko zamknęły się za nami drzwi, zaczęła zdradzać ogromny niepokój.

Rozkojarzona, załamywała ręce i przybierała pozy niczym Sarah Bernhardt; zrzucając fatałaszkę, przerywała ni stąd, ni zowąd tę czynność, by mnie ponaglić, życząc sobie, bym się szybciej rozbierał, robił to czy tamto, (idy się wreszcie rozebrała, poczęła miotać się po pokoju z nocną koszulą w ręku, rozglądając się za kimonem; złapałem ją i mocno przycisnąłem. Kiedy ją puściłem, na jej twarzy pojawił się wyraz udręki.

– Mój Boże! Mój Boże! Muszę zejść na dół i zo-

[2791

baczyć, co z mamą! – wykrzyknęła. – Jeśli chcesz, może»! się wykąpać, cheri. O, tam! Za parę minut będę z powrotem.

Przy drzwiach jeszcze raz ją objąłem. Byłem w bie liźnie i miałem potworny wzwód. Cała ta udręka i podniecenie, cały smutek i komedianctwo tylko zaostrzyły mój apetyt. Może zeszła na dół jedynie po to, by uspokoić swojego maquereau. Miałem uczucie, że rozgrywa się coś niezwykle go, jakiś dramat, o którym jutro przeczytam w porannej gazecie. Dokonałem szybkiej lustracji mieszkania.

Składnio się z dwóch pokoi niezłe i dość kokieteryjnie umeblowanych. Na ścianie wisiał jej dyplom – pierwszej klasy, jak wszystkie. Na toaletce stała też fotografia dziecka, małej dziewczynki o pięknych lokach. Napuściłem wody do wanny, a potem się rozmyśliłem. Gdyby coś się stało, a mnie znaleziono by w wannie... wcale mi się to nie uśmiechało. Chodziłem tam i z powrotem, coraz bardziej niespokojny w miarę upływu czasu.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Kiedy wróciła, była jeszcze bardziej rozstrojona niż przedtem.

– Ona umrze... ona umrze! – lamentowała w kółko. Przez chwilę miałem ochotę wyjść. Jak, do diabła, możesz wleźć na kobietę, kiedy jej matka umiera na dole, może tuż pod tobą? Objąłem ją, trochę dla okazania współczucia, a po części, by dowieść, że jestem zdecydowany dostać to, po co tu przyszedłem. Gdy tak staliśmy, szepnęła jakby powodowana prawdziwą boleścią, że bardzo potrzebuje tych pieniędzy, które jej obiecałem. Miały być dla mamon. Kurwa, nie miałem serca targować się w takiej chwili o parę franków. Podszedłem do krzesła, na którym leżało moje ubranie i wyciągnąłem z kieszonki na zegarek stufran-kowy banknot, odwracając się do niej plecami, by mimo wszystko zachować ostrożność. Ponadto ubezpieczając się dodatkowo, ułożyłem spodnie po tej samej stronie łóżka,

\22u\

■zie miałem zamiar wylądować. Ta setka nie zadowoliła Jej w pełni, ale po dość nieśmiałych protestach z jej strony /orientowałem się, że to wystarczy. Następnie, wykazując rik-rgię, która mnie zadziwiła, rzuciła z siebie kimono i wskoczyła do łóżka. Gdy tylko wziąłem ją w ramiona i 11 i/y ciągnąłem do siebie, sięgnęła do kontaktu wyłączając ■wiatło. Objęła mnie namiętnie i jęknęła, jak robią to wszystkie francuskie pizdy, gdy już zwabiają cię do łóżka. Jej gorączkowe zachowanie przeraźliwie mnie podniecało, a numer z wyłączeniem światła stanowił dla mnie pewną nowość... nie sprawiał wrażenia wystudiowanego chwytu. Pozostawałem jednak podejrzliwy i gdy tylko mogłem to swobodnie uczynić, wyciągnąłem rękę, by sprawdzić, czy spodnie wciąż leżą na krześle.

Uznałem, że jakoś urządziliśmy się na tę noc. Łóżko było wygodne, bardziej miękkie niż przeciętne łóżko ho-lelowe, co więcej, zaślane czystą pościelą, na co już przedtem zwróciłem uwagę. Gdyby tylko tak nie wydziwiała, wijąc się pode mną jak piskorz. Zdawać by się mogło, że nie spała z facetem od miesiąca. Chciałem to przedłużyć. (liciałem otrzymać równowartość moich stu franków. Ale ona szeptała przeróżne rzeczy w tym zwariowanym języku używanym tylko w łóżku, który jeszcze gwałtowniej burzy ci krew, gdy się to odbywa w ciemności. Stawiałem zacięty Opór, ale nic nie mogłem poradzić wobec jej jęków, przyspieszonego oddechu i szeptów: „vite cheri! vite cheri! Oh, c'est bon! Oh, oh! vite, vite, cheri!” Próbowałem liczyć, ale jej zawodzenia przypominały wycie syreny pożarowej. „vi-te,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

cheri!" – tym razem tak zadrżała, tak jęknęła, że...
bach! usłyszałem gwiazdne dzwony i już było po moich stu frankach i pięćdziesięciu za taksówkę, o której całkiem zapomniałem, i znów paliło się światło, a ona równie ochoczo, jak wskoczyła do łóżka, tak teraz wyskoczyła z niego, chrząkając i kwicząc niczym stara maciora. Położyłem się wygodnie i zaciągnąłem papierosem, spoglądając ponuro

[221]

na spodnie – były strasznie wymięte. Po chwili zjawiała się / powrotem; owijając się w kimono, poprosiła tym zmartwionym głosem, który zaczynał mi już działać na nerwy, bym się czuł jak u siebie.

– Idę na dół zobaczyć, co z mamą – powiedzieli.

– Mais faites comme chez vous, cheri. Je reviens tout de sin te.

Po kwadransie ogarnął mnie niepokój. Poszedłem do drugiego pokoju i przeczytałem leżący na stole list. Nu było w nim nic godnego uwagi – był to list miłosny. W hicie obejrzałem stojące na półce flakoniki; miała wszysł ko, co potrzebne kobiecie, by pięknie pachnieć. Ciągle je szcze miałem nadzieję, że wróci i otrzymam równowartość tych pozostałych pięćdziesięciu franków. Ale czas dłużył się, a ona nie wracała. Zaniepokoiłem się. Może tam na dole naprawdę ktoś umiera. Z roztargnieniem, powodowany

– jak sędzę – instynktem samozachowawczym, zacząłem się ubierać. Gdy zapinałem pasek, przez moment stanęło mi przed oczyma to, jak wkładała mój stufrankowy banknot do portmonetki. Była tak zaaferowana, że wrzuciła ją po prostu do szafy, na górną półkę. Pamiętam ruch, jaki przy tym wykonała – wspięła się na palce i sięgnęła na górną-półkę. W jednej chwili otworzyłem szafę i ręką poszukałem portmonetki. Natrafiłem na nią bez trudu. Otworzywszy ją, pospiesznie ujrzałem swoje sto franków – leżały sobie wygodnie między jedwabnymi poduszczkami. Włożyłem portmonetkę na miejsce, wskoczyłem w płaszcz i buty, a po tern zszedłem na półpiętro i zacząłem nasłuchiwać. Nie było nic słyhać. Bóg jeden wie, gdzie się podziała. W jednej chwili znalazłem się z powrotem przy szafie, przeszukując portmonetkę. wsadziłem do kieszeni swoje sto franków i jeszcze wszystkie drobne. Potem, cicho zamknąwszy drzwi, zszedłem na palcach ze schodów, a kiedy znalazłem się na ulicy, pogałem co sił w nogach. Zatrzymałem się dopiero w Cafe Boudon, by coś przegryźć. Tamtejsze kurwy nieźle

{222}

MV bawiły, naigrawając się z jakiegoś tłuściocha, który

Miller Henry - Zwrotnik Raka

za-nio 1 nad jedzeniem. Spał mocno, chrapał nawet, ale jego ■Częki wciąż jeszcze poruszały się mechanicznie. W lokalu panował straszny tumult. Rozległ się okrzyk „Wszyscy na pokład”, a potem zgodny szczełk noży i widelców. Tłuscioch nu moment otworzył oczy, mrugając głupawo, ale głowa ponownie opadła mu na piersi. Starannie włożyłem z powrotem stufrankowy banknot do kieszonki od zegarka i policzyłem drobne. Wrzawa wokół mnie narastała i nie mogłem sobie przypomnieć, czy na jej dyplomie widziałem słowo „pierwszej klasy” czy nie. Nie dawało mi to spokoju. Jej ■Atka guzik mnie obchodziła. Mam nadzieję, że już wykorkowała. Dziwne byłoby, gdyby to, co mówiła, było prawdą, /był piękne, by mogło być prawdziwe. Vite cheri... vite, vi-щ I ta druga idiotka z tym swoim „mój dobry panie” i „tak dobrze panu z oczu patrzy”! Ciekaw jestem, czy rzeczywiście wynajęła pokój w tym hotelu, przed którym się zatrzymaliśmy.

Gdzieś tak pod koniec lata Fillmore zaproponował mi, bym z nim zamieszkał. Wynajmował pracownię z wid o kiem na koszary kawalerii tuż koło Place Dupleix. Spotyk;i liśmy się dość często od czasu tego wypadu do Hawru. Gdyby nie Fillmore, nie wiem, gdzie bym się dziś znajdow;ił – najprawdopodobniej bym nie żył.

– Dawno już zaprosiłbym cię do siebie – powir dział – gdyby nie ta mała dziwka Jackie. Nie wiedziałem jak się jej pozbyć.

Uśmiechnąłem się. Coś takiego mogło spotkać jedynie Fillpre'a. Był geniuszem, jeśli chodzi o przyciągania bezdomnych dziwek. Jackie zmyła się w końcu sama. Nadciągała pora deszczowa, długi posępny okres tłustej mgły i strug deszczu, kiedy czujesz się wiecznie prze moczony i nieszczęśliwy. Paryż w zimie jest ohydny miej scem. Tutejszy klimat wżera ci się w duszę, pozostawiając cię nagim jak wybrzeże Labradoru. Spostrzegłem z niepo kojem, że jedynym źródłem ciepła jest mały piecyk w pracowni. Mimo to było tu wygodnie. A z okna roztaczał się cudowny widok.

Rano Fillmore potrząsał mną brutalnie i kładł dziesięciofrankowy banknot na poduszce. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, kładłem się z powrotem, by jeszcze trochę się zdrzemnąć. Bywało, że leżałem w łóżku do połud nia. Nie miałem nic pilnego do roboty poza ukończeniem książki, a to niezbyt mnie martwiło; wiedziałem przecież, że żadeji wydawca i tak jej nie przyjmie. Tak czy owak Fillmore był pod jej dużym wrażeniem. Pierwsze, co robił, kiedy zjawiał się wieczorem z butelczyną pod pachą, to podcho dził do

Miller Henry - Zwrotnik Raka

stołu, by zobaczyć, ile stron machnąłem. Z początku podobał mi się okazywany w ten sposób entuzjizm; ale [224]

liźnij, kiedy zaczęło mi brakować pomysłów, diabelnie nęciło mi na nerwach to jego szperanie w poszukiwaniu kłopotów, które miały płynąć spod mego pióra niczym woda z kranu. Kiedy nie miałem mu co pokazać, czułem się zupełnie jak jakaś dziwka, którą przygarnął.

Przypominałem sobie, co mówił o Jackie – „wszystko byłoby dobrze, gdyby ilioć od czasu do czasu dała mi dupy”. Gdybym był kobie-lil, z wielką chęcią dałbym mu dupy; łatwiej by mi to przy-k/ło, niż podtykać mu pod nos strony, na które czyhał niecierpliwie.

Mimo to starał się bardzo, bym czuł się tu swobodnie. W domu zawsze było mnóstwo jedzenia i wina, a od czasu do czasu nalegał, bym mu towarzyszył na dancing. I -ubił chodzić do pewnej murzyńskiej spelunki na Rue d'O-dessa, gdzie można było spotkać niczego sobie Mulatkę, którą niekiedy zabieraliśmy do siebie. Fillmore'owi nie dawała jednak spokoju myśl, że nie może znaleźć Francuzki, która gustowałaby w popijawach. Wszystkie były za trzeźwe jak na jego wymagania – lubił przyprowadzić kobietę do pracowni i trochę z nią popić przed przejściem do spraw zasadniczych. Chciał także, by uważano go za artystę. Ponieważ facet, od którego wynajmował mieszkanie, był malarzem, nietrudno było stworzyć odpowiednie pozory. Płótna znalezione w armoire zostały wkrótce porozwieszane gdzie popadło, a jedno nie dokończony – ustawione na sztalugach tak, by rzucało się w oczy. Niestety, były to wyłącznie obrazy surrealistyczne i sprawiały na ogół negatywne wrażenie. Jeśli idzie o ocenę obrazów, to nie ma tu wielkich różnic między kurwą, dozorczynią czy ministrem. Toteż Fillmore poczuł wielką ulgę, gdy regularnie zaczął nas odwiedzać Mark Swift, nosząc się z zamiarem namalowania mojego portretu. Fillmore szczerze podziwiał Swifta. To geniusz – zawyrokował. I chociaż dawało się zauważyć jakąś dzikość we wszystkim, do czego się zabierał, obojętnie, czy namalował człowieka czy jakiś przedmiot, można było to roz-

[225]

poznać, niezależnie od tego, co ów obraz przedstawia. Na prośbę Swifta zacząłem zapuszczać brodę. Kształt mojej czaszki – orzekł – wymaga dopełnienia w postaci brody. Musiałem siedzieć w oknie na tle wieży Eil fl, ponieważ pragnął, by ona także znalazła się na obrazie. Chciał też umieścić na nim maszynę do pisania. Mniej więcej w tym samym czasie Kruger również nabrał zwyczaj

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wpadania do nas; utrzymywał, że Swift nie ma pojęcia o malarstwie. Irytowały go przedmioty pozbawione proporcji. wierzył bez zastrzeżeń w prawa Natury. Swift natomiast miał w dupie Naturę; chciał malować to, co tkwiło w jego głowie. Tak czy owak na sztalugach wisiał teraz mój portret autorstwa Swifta, i choć proporcje zotały naruszone, nawet minister doszedłby do wniosku, że przedstawił głowę ludzką należącą do mężczyzny z brodą. W rzeczy samej dozorczyni zaczęła okazywać wielkie zainteresowanie obrazem; uważała, że podobieństwo jest uderzające. I po dobał się jej pomysł z wieżą Eiffla w tle.

Wszystko toczyło się bez zakłóceń przez jakiś miesiąc, może trochę dłużej. Okolica podobała mi się, zwłaszcza nocą, kiedy można było w pełni odczuć całe jej pługstwo i ponurość. Mały placzyk, tak czarujący i cichy o zmierzchu, wraz z nadejściem ciemności nabierał szczególnie posępnego i złowrogiego charakteru. Był tam długi, wysoki mur, biegnący z jednej strony koszar, pod którym zawsze obejmowała się ukradkiem jakaś parka – często na deszczu. To przygnębiający widok – dwoje kochanków przyciśniętych do muru więzienia pod ponurą uliczną latarnią: jakby zostali doprowadzeni do granic ostateczności. To, co działo się za ogrodzeniem, też było przygnębiające. W deszczowe dni często stawałem w oknie i patrzyłem, co się tam rozgrywa, obserwując to tak, jakby dotyczyło innej planety. Wydawało mi się to niepojęte. Wszystko odbywało się według ustalonego harmonogramu, i to harmonogramu opracowanego przez szaleńca. Tkwili tam, grzęzli w błocie

[226]

pięty dźwięku trąbek, odbywały się szarże kawałem. Wszystko w obrębie czterech ścian. Pozorowane lufy. Mnóstwo ołowianych żołnierzyków w najmniejszym nawet stopniu nie zainteresowanych tym, by się nauczyć zabijać, czyścić buty i czesać zgrzebłem konie. Było to zupełnie absurdalne, ale stanowiło część naturalnego porządku rzeczy. I, nikt nie mieli nic do roboty, wyglądali jeszcze bardziej niedorzecznie; drapali się, łazili z rękami w kieszeniach, oglądali w niebo. A kiedy przechodził oficer, stukali obcasami i salutowali. Dom wariatów – takie to na mnie miało wrażenie. Nawet konie wyglądały głupawo. Niekiedy wywlekano armaty, które z łoskotem jechały ulicą na paradę, a ludzie przystawali, rozdziawiali gęby i podziwiali piękne mundury. Na mnie zawsze sprawiali wrażenie armii w odwrocie; byli jacyś wyświechtani, nosili zbyt obszerne mundury, a cała dziarskość, którą każdy z osobna

Miller Henry - Zwrotnik Raka

posiadał w stopniu godnym podziwu, ułatwiała się ni stąd, ni zowąd.

W słońcu jednak wszystko wyglądało inaczej. W bzach błyskał im promyk nadziei, krok stawał się bardziej sprężysty, demonstrowali nawet umiarkowany entuzjazm. Wszystko odzyskiwało wówczas barwę i wdzięk, zaczynała pic krzątanina i bieranina tak charakterystyczna dla Francuzów; paplali wesoło siedząc nad drinkami w narożnym-bisłro, a oficerowie wydawali się bardziej ludzcy, rzekłbyś, bardziej francuscy. Gdy wychodzi słońce, każdy zakątek bryza potrafi być pełen uroku; a jeśli w dodatku jest tam bistro z opuszczonymi markizami, kilkoma stolikami na Iroluarze i kolorowymi napojami w szklankach, wtedy ludzie wyglądają całkiem jak ludzie. I są ludzcy – są najlepszymi ludźmi na świecie, kiedy zaświeci słońce! Tacy inteligentni, tacy rozluźnieni, tacy beztroscy! Wpakować takich ludzi do koszar, nękać ich musztrą, sortować na szeregow-eów, sierżantów, pułkowników i co tam jeszcze, jest po prosili przestępstwem.

Wszystko, jak mówiłem, układało się gładko. Od

[227]

czasu do czasu wpadał Carl z jakąś pracą dla mnie; przeważnie reportaże, których sam nie znosił pisać, Otrzymałem wprawdzie tylko pięćdziesiąt franków za sztukę, ale pisało się je łatwo, ponieważ wystarczyło sięgnąć do dawnych numerów pisma i przerobić stare artykuły. Ludzie czy tują takie rzeczy, siedząc na sedesie albo dla zabicia czasu w poczekalni.

Najważniejsze to odświeżyć przymiotniki reszta jest kwestią dat i danych statystycznych. Ważniejs/c artykuły podpisywał osobiście szef działu, półgłówek, który nie znał dobrze żadnego języka, ale potrafił wyszukiwać błędy. Gdy napotkał dobrze napisany ustęp, mówił: „Tak właśnie powinieneś pisać. Pięknie. Pozwalam ci wykorzystać to w twojej książce”. Te piękne ustępy braliśmy czasu mi z encyklopedii albo jakiegoś starego przewodnika. Nie które z nich Carl rzeczywiście umieścił w swojej książce miały pewien surrealistyczny posmak.

Aż tu nagle, gdy pewnego wieczoru po powrocie ze spaceru otwieram drzwi, z sypialni wyskakuje jakaś kobit' ta.

– To pan jest pisarzem! – z miejsca zwraca się do mnie z ożywieniem, spoglądając na moją brodę, by zweryfikować swoje wyobrażenia.

– Jaka paskudna broda – stwierdza. – Wy tu wszyscy musicie mieć fioła.

Fillmore wlecze się za mną trzymając w ręku koc.

– To księżniczka – mówi, cmokając, jakby przed chwilą

Miller Henry - Zwrotnik Raka

skosztował jakiegoś rzadkiego kawioru. Oboje ubrani byli do wyjścia i nie mogłem zrozumieć, po co wloką tę pościel. Wtedy nagle przyszło mi do głowy, że Fillmore pewnie zaciągnął ją do sypialni, by pokazać swój worek na brudy. Zawsze prezentował go nowej panience, zwłaszcza gdy była Francaise. „No tickee, no shirtie!”* – wyszyto na worku i dziwnym sposobem Fill-
* „Nie ma kwitu, nie ma koszuli” – śmiesznie brzmiący, okaleczony angielski, używany przez Chińczyków, którzy często prowadzili pralnie przed wprowadzeniem pralni automatycznych,
[228]

moro nabawił się obsesji, by każdej nowo przybyłej tłumaczyć to motto. Ale ta dama nie była Francuzką, jak mi wy-pnił na wstępie. Była Rosjanką, a co więcej, księżniczką. Aż kipiał, podniecony jak dziecko na widok nowej /abawki.

– Ona zna pięć języków – oznajmił, wyraźnie zdruzgotany tymi umiejętnościami.

– Non, cztery – poprawiła go natychmiast.

– No więc cztery... Tak czy owak to cholernie inteligentna dziewczyna. Zobaczysz, jak ładnie się wyraża.

Księżniczka była zdenerwowana – cały czas drapała się w udo i pocierała nos.

– Dlaczego on akurat teraz chce posłać łóżko? – spytała mnie. – Czy wydaje mu się, że w ten sposób mnie zdobędzie? To duży dzieciak. Zachowuje się skandalicznie. Zabrałam go do rosyjskiej restauracji, a on tańczył tam niby jakiś czarnuch.

Pokręciła tyłkiem, chcąc pokazać, jak to wyglądało.

– I za dużo gada. Za głośno. W dodatku bzdury.

Szeleszcząc sukienką chodziła po pokoju, oglądając obrazy i książki z zadartą wysoko głową, ale drapiąc się przy tym bezustannie. Od czasu do czasu robiła gwałtowny zwrot niczym okręt wojenny i przystępowała do frontального ataku. Fillmore chodził za nią krok w krok z butelką w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej.

– Przestań tak za mną łązić – strofowała go podniesionym głosem. – I nie masz nic innego do picia? Nie możesz zdobyć butelki szampana? Muszę się napić szampana. Moje nerwy! Moje biedne nerwy!

Fillmore uciekł się do szeptu: – Aktorka... gwiazda filmowa... jakiś facet uwiódł ją i porzucił, i ona nie może się po tym pozbierać... Mam zamiar spić ją jeszcze dzisiaj...

– To ja spływam – zaproponowałem, kiedy księżniczka

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przerwała nam:

[229]

- Co wy tam szepczecie? - krzyknęła, tupiąc no gą. - Nie wiecie, że to niegrzecznie? A ty - myślałam i mnie gdzieś zaprosisz. Muszę się dziś upić, mówiłam ci ju/

- Tak, tak - odparł Fillmore - zaraz wychod/i my. Chcę tylko jeszcze się napić.

- Ależ z ciebie świnia! - wykrzyknęła. - Cho< trzeba przyznać, miły jesteś chłopiec. Tyle że za głośno :.n, zachowujesz. I brak ci dobrych manier.

Po czym zwróciła się do mnie: - Czy mogę min nadzieję, że on będzie się przyzwoicie zachowywał? Chcę i|| dziś upić, ale boję się, że on mnie skompromituje. Moł wróć tu później, chciałabym z panem porozmawiać. wy gląda pan na bardziej inteligentnego.

wychodząc księżniczka serdecznie uścisnęła mi k,-kę i obiecała wpaść kiedyś na obiad - „kiedy będę trze/ wa” - powiedziała.

- Świetnie - odparłem. - Proszę przyprowad/n jeszcze jedną księżniczkę... albo przynajmniej hrabiankę Pościel zmieniamy co sobotę.

Około trzeciej nad ranem wtacza się Fillmore sam.

Przypomina iluminowany transatlantyk, postukuj;|c swą pękniętą laską hałaśliwie jak ślepiec. Stuk, stuk, stuk przed nami ciężka droga...

- Idę prosto do łóżka - oznajmia, przechod/;p koło mnie. - Jutro ci wszystko opowiem.

Idzie do swojego pokoju i odrzuca kołdrę. Słyszę, jak jęczy: - Co za kobieta! Co za kobieta!

Po chwili jest z powrotem z nieodłączną laską w rc ku, w kapeluszu na głowie.

Przez dłuższą chwilę buszuje w kuchni, po czym wraca do pracowni z butelką anjou w ręku. Muszę wstać i wychylić z nim szklaneczkę.

O ile jestem w stanie złoźvc tę historię do kupy,

[230]

WN/ystko zaczęło się w Rond-Point des Champs Elysees, uii/.ic wpadł na drinka po drodze do domu. Jak zwykle o tej ■rze taras roił się od sępów. Ona zaś siedziała w samym |n/rjściu, mając przed sobą stos spodeczków; spokojnie Mała się w samotności, kiedy nawinał się Fillmore i z miej-i u wpadł jej w oko.

- Jestem pijana - zachichotała - może pan HNiądzie? I natychmiast, jakby to było zupełnie naturalne, I mv żadnego wstępu, zaczęła opowiadać o swoim reżyserze, I tym, jak ją spławił, i jak ona rzuciła się do Sekwany itp., Ud. Nie pamiętała już, z jakiego mostu skoczyła, wiedziała lylko, że powstało niezłe zbiegowisko, gdy

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wyłowiono ją z wody. Poza tym, cóż to za różnica, z jakiego mostu się rzuciła - dlaczego zadawał jej takie pytania? Śmiała się z tego hisierycznie, a potem nagle zapragnęła pójść gdzie indziej » miała ochotę tańczyć. Widząc jego wahanie, gwałtownym ruchem otwierając i wyciąga stufrankowy banknot. Ale już za chwilę dochodzi do wniosku, że ze stoma frankami daleko nie ujdą. „Nie ma pan żadnych pieniędzy? - pyta go. Nie, nie miał wiele przy sobie, ale w domu zostawił książeczkę czekową. Skoczyli więc po nią i, rzecz jasna, musiałem się pojawić właśnie wtedy, gdy wyjaśniał jej tę sprawę z „No tickee, no shirtie”.

W drodze do domu wpadli coś przekąsić do Pois-Hon d'Or, gdzie kanapki popiła kilkoma wódkami. Była łam w swoim żywiole - wszyscy całowali ją po rękach, N/cpcząc princesse, princesse. Chociaż była wstawiona, udawało się jej zachować godność. „Nie kręć tak tyłkiem” - powtarzała wciąż, kiedy tańczyli.

Gdy dotarli wreszcie do pracowni, Fillmore wpadł na myśl, by tam pozostać. Ale, jako że była dziewczyną tak inteligentną i zarazem narwaną, postanowił zaspokoić jej kaprys i odwlec wielką ucztę. Wyobraził sobie nawet, że

[231]
może spotka jeszcze jedną szlachetnie urodzoną i sprowadził do domu dwie księżniczki naraz. Kiedy zatem wyruszyli we soło spędzić wieczór, był w dobrym humorze, gotów - jeżeli zajdzie potrzeba - wydać na nią kilkaset franków. Ostatecznie nie co dzień spotyka się księżniczkę.

Zaciągnęła go tym razem do imiego lokalu, gdzie była jeszcze bardziej znana i gdzie - jak powiedziała - nie będzie żadnych trudności z realizacją czeku. Wszyscy mieli na sobie stroje wieczorowe i było tu jeszcze więcej owcy.u idiotycznego zginania karku i całowania rąk, kiedy kelnei wiódł ich do stolika.

Nagle w środku tańca opuściła parkiet ze łzami w oczach.
- Co się stało? - szeptał. - Cóż ja ci znowu zrobiłem?

I instynktownie złapał się za pośladki, by sprawdzić, czy przypadkiem wciąż nimi nie kręci.

- Nic takiego - odrzekła. - Nic nie zrobisz. Chodź, miły z ciebie chłopiec - i mówiąc to, pociągnęła go z powrotem na parkiet, zaczynając tańczyć w dzikim zapamiętaniu.

- Ale co ci jest? - spytał szeptem.

- Nic - odparła. - Zobaczyłam kogoś, nic więcej.

A potem, gwałtownie wybuchając gniewem, dodała: - Dlaczego mnie upijasz? Nie wiesz, że robię się wtedy

nieznośna?

- Masz czek? - zapytała. - Musimy stąd iść. Przywołała kelnera i szepnęła mu coś po rosyjsku.

- To dobry czek? - spytała, kiedy kelner zniknął. A potem impulsywnie dodała: - Zaczekaj na mnie na dole w szatni. Muszę gdzieś zadzwonić.

[232]

Gdy kelner przyniósł resztę, Fiłłmore nie spiesząc się zszedł do szatni, by poczekać na swą towarzyszkę. Przechadzał się, nucąc coś i cicho pogwizdując, cmokając na myśl o kawiorze, który go czeka. Minęło pięć minut. Dziesięć minut. Wciąż cichutko pogwizdywał. Po dwudziestu minutach, gdy księżniczka się nie pojawiła, zaczął coś podejrzewać. Szatniarz powiedział mu, że dawno już wyszła. Wybiega na ulicę, gdzie stoi czarnuch w liberii, uśmiechnięty od ucha do ucha. Czy wie, dokąd poszła? Czarnuch uśmiecha się. Czarnuch mówi: „Słyszałem, że do Coupole, nic więcej, psze pana”. Dostrzega ją na dole w Coupole siedzącą nad koktajlem z rozmarzonym wyrazem twarzy, jak w transie. Na H'go widok rozpromienia się.

- Ładnie to - pytają - uciec tak nagle? Mogłaś mi powiedzieć, że ci się nie podobam...

Słyszając to wpadła w gniew. Zaczęła histeryzować, ustykułując teatralnie i po tym fajerwerku emocji nie przestawała łkać i pochłipywać.

- Jestem wariatką - odpowiedziała przez łzy. - I ciebie zresztą też niezły wariat. Chcesz się ze mną prze-ipać, a ja nie mam na to ochoty.

Potem zaczęła nudzić o swoim kochanku - reżyserze filmowym, którego zauważyła na parkiecie. Właśnie dlatego musiała stamtąd uciec. Dlatego zażywała narkotyki i upijała się co wieczór. Dlatego rzuciła się do Sekwany. Paplała tak dalej w tym stylu, jaka to z niej wariatka, a palem nagle wpadła na nowy pomysł.

- Chodźmy do Bricktopa.

Był tam pewien znajomy... obiecał jej kiedyś pracę. Hyla przekonana, że może na niego liczyć.

- Ile to będzie kosztowało? - ostrożnie spytał I i I more.

- Dużo - powiedziała mu prosto z mostu. -

[233]

Ale słuchaj, jak mnie tam zabierzesz, obiecuję pójść z tobą do domu.

Była na tyle uczciwa, że dodała, iż może to kosztować pięćset, sześćset franków.

- Ale zapewniam cię, że jestem tyle warta! Nie wiesz

Miller Henry - Zwrotnik Raka

nawet, co ze mnie za kobieta. W całym Paryżu nie ma drugiej takiej....

- To tylko tobie tak się wydaje! Jankeska krew brała w nim górę.

- Jestem innego zdania. Coś mi się wydaje, że niewarta jesteś nic... ty głupia wariatko. Prawdę mówię; wolałbym już dać pięćdziesiąt franków jakiejś Francuzce one przynajmniej dają coś w zamian.

O mało nie wyszła z siebie, kiedy wspomniał o francuskich dziewczynach.

- Nie waż się mówić przy mnie o tych kokotach! Nie znoszę ich! Są głupie... brzydkie... oddają się za pieniądze;) dze. Przestań, mówię ci!

Po chwili się rozpogodziła. Zaczęła z innej strony

- Kochanie - zamruczała - nie masz pojęcia. Jak wyglądam nago. Jestem piękna.

I objęła dłońmi swoje piersi. Fillmore nie dał się na to złapać.

- Jesteś dziwką! - powiedział zimno. - Nigdy miałbym nic przeciwko temu, by wydać na ciebie kilkadziesiąt franków, ale ty masz kota. Nawet nie umyłaś twarzy. Cuch nie ci z ust. Gówno mnie obchodzi, czy jesteś księżniczka czy nie... Nie mam zamiaru zadawać się z takimi jak ty rosyjskimi dupami o arystokratycznych pretensjach. Powinnaś iść na ulicę i tam konkurować z innymi. Nie jesteś wcale warta od pierwszej lepszej Francuzki. Nie jesteś aż tak dobra. Nie mam zamiaru wydać na ciebie już ani jednego sou. Powinnaś jechać do Ameryki - to najważniejsze miejsce dla takiej pijawki jak ty...

[234]

Nie wyglądała na specjalnie zbitą z tropu tym tekstem.

- Ty chyba po prostu trochę się mnie boisz - utwierdziła.

- Boję się? Ciebie?

- Jesteś tylko chłopaczkiem - powiedziała. - Nie masz za grosz manier. Kiedy lepiej mnie poznasz, inna-7ej będziesz śpiewał... Dlaczego nie spróbujesz być miły?

Nic chcesz iść ze mną dziś. W porządku. Będę w Rond-Point jutro między piątą a siódmą. Podobasz mi się.

- Nie mam zamiaru być tam jutro ani kiedy in-7icj! Nie chcę cię więcej widzieć... nigdy więcej. Mam cię losić. Pójdę znaleźć sobie jakąś małą Francuzkę. A ty idź In-7iabła!

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Teraz tak mówisz. Ale poczekaj tylko! Poczekaj, aż się ze mną prześpisz. Nie masz pojęcia, jakie piękne mam ciało. Wydaje ci się, że Francuzki potrafią się kochać... poczekaj tylko. Oszalejesz na moim punkcie.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Podo-hasz mi się. Tylko brak ci ogłady. Jesteś chłopaczkiem. Za ilu/o gadasz...

- Masz bzika - powiedział Fillmore. - Nie za-ochałbym się w tobie, nawet gdybyś była ostatnią kobietą n świecie. Idź lepiej do domu i umyj sobie twarz.

I wyszedł, nie płacąc za drinki.

Niemniej jednak po kilku dniach księżniczka zain-Hlnłowała się u nas. Jesteśmy całkowicie przekonani, że napi a wdę jest księżniczką. Tyle że ma trypra. Tak czy owak nic możemy narzekać na nudę. Fillmore ma bronchit, księżniczka - jak już wspomniałem - trypra, a ja - hemoroi-ily. Właśnie wymieniłem w rosyjskiej epicerie naprzeciwko m/cść pustych butelek na pełne. Sam nie wypilem ani kropli.

Nie wolno mi jeść mięsa ani dzikiego ptactwa, pić ma i używać kobiet. Nic, tylko owoce i olej parafinowy,

[235]

krople pomornika i maść adrenalinowa. w całym mieszka niu nie ma ani jednego krzesła, na którym byłoby mi doł wygodnie. w tej chwili patrzę na księżniczkę wsparty na poduszkach niczym jakiś basza. Basza - to przypomina jej imię: Masza. Nie wydaje mi się ono wcale tak cholernie ary stokratyczne. Przypomina Żywego trupa.

Z początku sądziłem, że będzie to dość żenujące, ten nasz menage a trois, a tymczasem, proszę, ani trochę. Kiedy się wprowadziła, pomyślałem znów, że to już koniec i będę musiał znaleźć sobie inne mieszkanie, ale Fillmore cili mi wkrótce do zrozumienia, iż przygarnął ją tylko do czasu, aż ona stanie na nogi. Kiedy w grę wchodzi kobieta taka jak ona, nie mam pojęcia, co znaczy to wyrażenie. Moim zda niem przez całe swoje życie stała na głowie. Twierdzi, że z Rosji wypędziła ją rewolucja, ale jestem przekonany, że, tak czy owak coś by ją stamtąd wyгнаło. Uważa się za wielką aktorkę, a my nawet nie próbujemy jej przeczyć, niezależnie od tego, co mówi, ponieważ to czysta strata czasu. Fillmore'a to bawi. Kiedy wychodzi rano do biura, kładzie dzic sieć franków na jej poduszce i dziesięć na mojej; wie*czorem we trójkę idziemy do rosyjskiej restauracji na dole.

Okolica pełna jest Rosjan i Masza znalazła już lokal, w którym udzielają jej niewielkiego kredytu.

Rzecz jasna, dziesięć franków dziennie to dla księżniczki tyle co nic; od czasu do czasu ma ochotę na kawior albo szampana; potrzebna jej także zupełnie nowa gardem ba, by na powrót otrzymać pracę w filmie. Nie ma teraz nic do roboty poza zabijaniem czasu. Przybiera na wadze.

Dziś rano nieźle się wystraszyłem. Po umyciu twarzy

Miller Henry - Zwrotnik Raka

złapałem przez pomyłkę jej ręcznik. Nie udaje się nam przyuczyć jej, by go wieszła na odpowiednim haczyku. Gdy zrobiłem jej z tego powodu awanturę, odparła bez za-jąknienia:

– Mój drogi, jeśli od tego można stracić wzrok, już dawno byłabym ślepa.

[236]

W dodatku mamy wspólną ubikację. Usiłuję po oj-t owsku wytłumaczyć jej, do czego służy sedes.

– Trala-lala! – ona na to. – Skoro tak się boisz, I o pójde do kawiarni.

Tłumaczę jej, że nie jest to konieczne. Po prostu niech zachowuje zwykłe środki ostrożności.

– Strutu-tutu! – ona na to. – Dobrze, nie będę siadać... będę to robiła na stojąco.

Od kiedy tu zamieszkała, wszystko jest do góry nogami. Najpierw nie chciała dawać, ponieważ miała miesiączkę. Trwało to osiem dni, aż zaczęliśmy podejrzewać, że udaje. Ale nie, nie udawała. Pewnego dnia, kiedy usiłowałem doprowadzić mieszkanie do porządku, znalazłem pod łóżkiem watę – była zakrwawiona. Ona wszystko wrzuca pod łóżko: skórki od pomarańczy, watę, korki, puste butelki... Ściele sobie wyro tylko wtedy, kiedy ma iść spać. Większość czasu spędza wylegując się na nim i czytając swoje rosyjskie gazety.

– Mój drogi – zwraca się do mnie – gdyby nie moje gazety, w ogóle nie wstawałabym z łóżka.

Święta prawda! wszędzie walają się te rosyjskie pisma. Nie ma ani skrawka papieru toaletowego – do podcierania tyłka używa się rosyjskich gazet.

A skoro już mowa o jej przyzwyczajeniach, gdy skończyła się jej niedyspozycja, gdy sobie dobrze wypoczęła, a wokół talii odłożył się jej ładny tłuszcz, nadal nie chciała dawać. Twierdziła, że lubi wyłącznie kobiety. Żeby chciała zadawać się z mężczyznami, trzeba by ją najpierw odpowiednio podniecić. Życzyła sobie, byśmy ją zabrali do domu publicznego, gdzie pokazują numer z mężczyzną i psem. Albo jeszcze lepiej, uznała, Ledę z łabędziem: trzepotanie skrzydłami niesamowicie ją podnieca.

Pewnego wieczoru, by to sprawdzić, poszliśmy razem do wybranego przez nią burdelu. Ale nim zdołaliśmy poruszyć ten temat z madame, pewien pijany Anglik siedzą-

[237]

cy przy stoliku obok nawiązał z nami rozmowę. Był już n.i pięterku dwa razy, ale chciał jeszcze raz spróbować. Miał u kieszeni nie więcej niż dwadzieścia franków, a – jako że nie znał francuskiego – poprosił nas o pomoc w

Miller Henry - Zwrotnik Raka

pertraklu cjach z dziewczynką, którą miał na oku. Tak się złożyło, że była to Murzynka, potężnie zbudowana dziewczka z Marty niki, piękna jak pantera. Miała przy tym niebowały tempc rament. Chcąc przekonać ją, by raczyła przyjąć te grosze, które pozostały Anglikowi, Fillmore musiał obiecać jej, ę sam z nią pójdzie, jak tylko ona skończy z Anglikiem księżniczka przyglądała się, słyszała wszystko, a potem zaczęła stroić fochy. Uznała, że ją to znieważa.

- Do licha - powiedział Fillmore - przecie/ chciałaś zobaczyć coś podniecającego - możesz popatrzeć, jak ja to robię.

Ale ona nie chciała oglądać jego - chciała łabę dzia.

- Na Boga - odparł Fillmore - jestem równie dobry co pierwszy lepszy łabędź... a może nawet odrobi i ic lepszy.

I tak, od słowa do słowa, w końcu jedynym sposobem udobruchania jej było zawołać jedną z dziewczynek. żeby się we dwie popieściły... Kiedy Fillmore wrócił z Murzynką, jej oczy płonęły. Widząc, jak Fillmore na nią p; i trzy, wiedziałem, że musiała dać niezwykle spektakl i mnie samego opanowały sprośne myśli. Fillmore musiał to wy czuć, a także i to, jaką udręką było dla mnie siedzieć tu i móc się jedynie przyglądać, gdyż nagle wyciągnął z kieszeni banknot stufrankowy i rzucając go z rozmachem na stół, powiedział:

- Masz, tobie chyba bardziej potrzebna jest pa nienka niż komukolwiek z nas. weź to i wybierz sobie którąś.

Dziwnym sposobem ów gest uczynił mi go bliższym niż cokolwiek, co zrobił dla mnie do tej pory, a było [238]

lego nie mało. Przyjąłem pieniądze z tą samą intencją, z jaką /ostały mi ofiarowane, i szybko dałem znak Murzynce, by się przygotowała na jeszcze jeden numer. To najwidoczniej leszcze bardziej rozwścieczyło księżniczkę. spytała, czy nie ma w tym lokalu żadnej dostatecznie dla nas dobrej dziewczyny poza tą Murzynką. Powiedziałem jej bez ogródek: NIK! I rzeczywiście prawda wyglądała właśnie tak - Murzynka była królową haremu. Wystarczyło na nią popa-Ir/.eć, by ci stanął. Jej oczy jakby nurzały się w spermie. Upijała się stawianymi sobie żadaniami. Nie potrafiła już chodzić prosto - tak przynajmniej mi się zdawało. Stąpając za nią krętymi schodami, nie mogłem odeprzeć pokusy, by wsunąć jej rękę między nogi; w tej konfiguracji wchodziliśmy dalej, a ona obróciła się i spoglądała na mnie uśmiechając się radośnie, kręcąc lekko tyłkiem, gdy zbytnio ją łaskotałem.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Był to niezwykle udany wieczór. Wszyscy byli zadowoleni. Wydawało się, że i Masza jest w dobrym humorze. Toteż następnego wieczoru, kiedy otrzymała swoją porcję szampana i kawioru oraz przedstawiła nam kolejny rozdział historii swego życia, Fillmore zabrał się do niej. Wyglądało na to, że dostanie wreszcie długo oczekiwaną nagrodę. Przestała się opierać. Leżała z rozrzuconymi nogami i pozwoliła mu pobawić się trochę, i wtedy, w chwili, gdy się na niej położył i chciał jej włożyć, ona poinformowała go nonszalancko, że ma trypra. Zsunął się z niej jak pień. Słyszałem, jak szpera po kuchni w poszukiwaniu czarnego mydła używanego na specjalne okazje, a już po chwili stał koło mojego łóżka z ręcznikiem w ręku, mówiąc:

- Wyobrażasz sobie coś takiego? Ta kurewska księżniczka ma trypra!

Wyglądał na nieźle przestraszonego. Tymczasem księżniczka chrupała jabłko każąc podać sobie rosyjskie gazety. Musiała się nieźle ubawić.

- Bywają gorsze rzeczy - stwierdziła, leżąc na [239]

łóżku i rozmawiając z nami przez otwarte drzwi. W końcu także Fillmore uznał to za żart i otwierając następną butelkę anjou, nalał sobie i wypił jednym haustem. Była dopiero pierwsza w nocy, toteż spędził na rozmowie ze mną jeszcze jakiś czas. Powiedział mi, że nie ma zamiaru zniechęcać się takim drobiazgiem. Oczywiście, trzeba uważać... miał już przecież trypra, którego złapał w Hawrze. Nie pamiętał na wet, jak to się stało. Czasami, kiedy się upił, zapominał się umyć. To nic strasznego, ale nigdy nie wiadomo, co z tego może wyniknąć. Nie chciał, by mu masowano gruczoł krokowy. Nie, nie miał na to najmniejszej ochoty. Pierwszy raz złapał trypra w college'u. Nie wiedział, czy zaraził się od dziewczyny, czy też ona od niego; tak wiele działo się na kampusie, że nie wiadomo było, komu można wierzyć. Pni wie wszystkie studentki zachodziły w ciążę. Cholerne ignorantki... Nawet belfrom dawała się we znaki ignorancja. Plotka głosiła, że jeden z nich dał się wykastrować... Tak czy owak, następnego wieczoru postanowił spróbować z kondomem. Ryzyko jest niewielkie, chyba że pęknie. Kupił sobie te z rybiego pęcherza - zapewniał mnie, że są najbardziej niezawodne. Ale, choć tak się zaopa trzymał, i tym razem mu nie wyszło. Miała za ciasną piczkę.

- Jezu, przecież ja jestem zupełnie normalny - powiedział. - Rozumiesz coś z tego? Ktoś musiał przecież w nią wejść, skoro złapała trypra. Musiał mieć niebywale małego.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Toteż gdy zawiodły kolejne próby, zrezygnował z tego zupełnie. Leżą teraz w łóżku jak brat z siostrą, śniąc kazirodcze sny. Masza mówi z właściwą sobie filozoficzna zadumą:

- W Rosji często bywa, że mężczyzna śpi z kobietą nie tykając jej. Może to trwać tygodniami i nigdy to im nie przyjdzie do głowy. Aż tu nagle - trach! gdy raz jej dotknie... trach! trach! Potem już nic, tylko trach! trach! trach!

[240]

Wszystkie wysiłki zmierzają teraz do tego, by Matni odzyskała formę. Fillmore'owi wydaje się, że jeżeli wyleczy ją z trypra, ona się rozluźni. Osobliwy pomysł. Kupił jej zatem irygator, zapas nadmanganianu i inne drobiazgi /nlecane przez pewnego lekarza, węgura, pokątnego specjalistę od skrobanek mieszkającego przy Place d'Aligre. Wy-łada na to, że szef Fillmore'a wpadł z jakąś szesnastolatką, która poznała go z tym węgrem, a potem szef miał piękne-uo szankra i znowu trzeba było iść do węgura. Tak w Paryżu zawiera się znajomości - w oparciu o kontakty moczopłciowe. Tak czy owak, pod naszym ścisłym nadzorem, Masza zaczyna o siebie dbać. Wczoraj wieczorem mieliśmy wnak przez chwilę pewien dylemat. Wsadziła sobie czopek, a później nie mogła znaleźć przyczepionej do niego nitki.

- Mój Boże! - wrzeszczała - gdzie jest ta nitka? Mój Boże! Nie mogę jej znaleźć.

- A szukałaś pod łóżkiem? - spytał Fillmore. W końcu uspokoiła się. Ale tylko na kilka minut.

Po chwili zaczęła od nowa:

-- Mój Boże! Znowu krwawię. Właśnie skończył mi się okres, a teraz z kolei mam gouttes. To na pewno przez ten tani szampan, który kupujesz. Mój Boże! Chcesz, hym wykrawiła się na śmierć?

wychodzi do nas ubrana w kimono, z ręcznikiem między udami, usiłując - jak zwykle - wyglądać dystyngowanie.

- Tak właśnie wygląda moje życie - narzeka. - Jestem neurasteniczka. Cały dzień na nogach, a wieczorem znowu pijana. Kiedy przyjechałam do Paryża, byłam jeszcze wciąż niewinną dziewczyną. Czytałam jedynie Villona i Baudelaire'a. Ale jako że miałam wówczas w banku 300000 franków szwajcarskich, byłam na tyle szalona, by cieszyć się życiem, gdyż w Rosji byli wobec mnie zawsze su-*) - Zwrotnik...

[241]

rowi. A ponieważ byłam jeszcze piękniejsza niż tera/, wszyscy mężczyźni padali mi do stóp.

W tym miejscu złapała się za fałdę tłuszczu, jaka

Miller Henry - Zwrotnik Raka

utworzyła się jej w talii.

- Nie myślcie, że miałam taki brzuch, gdy lu przyjechałam... to od tych wszystkich trucizn, które mi da wano do picia... tych okropnych aperitifów, które mogą pić tylko ci zwariowani Francuzi... Wtedy poznałam tego reży sera. Chciał, bym zagrała jakąś rolę w jego filmie. Mówił, że jestem najcudowniejszą kobietą na świecie, i co noc błagał mnie, bym się z nim przespała. Byłam jeszcze dziewicą, byłam taka młoda i naiwna, toteż pewnego wieczoru pozwoliłam się zgwałcić. Chciałam być wielką aktorką, a nie wic działałam, że w żyłach krąży mu trucizna. Tak, to on zaraził mnie tryprem... a teraz chciałabym mu go zwrócić. To prze/niego popełniłam samobójstwo w Sekwanie... Z czego się śmiejecie? Nie wierzycie, że popełniłam samobójstwo? Mogę wam pokazać gazety... w każdej jest moje zdjęcie. Pokaże wam kiedyś rosyjskie pisma... tak pięknie o mnie pisały... Ale, kochanie, wiesz, że najpierw muszę mieć nową suknie Nie mogę uwieścić tego gościa w takich brudnych szmatach Poza tym wciąż jestem winna mojemu krawcowi 12 00H franków.

Od tego momentu historia się komplikuje, pr/e chodząc w opowieść o spadku, który usiłuje odzyskać. Ma młodego adwokata, Francuza, który - sądząc z jej opisu - jest raczej bojaźliwy, i to on właśnie próbuje przywrócić jej należny majątek. Od czasu do czasu daje jej jakieś sic franków zaliczki.

- To skąpiec, jak wszyscy Francuzi - mówi Ma sza. - Ale byłam taka piękna, że nie mógł ode mnie ode rwać oczu. Ciągłe mnie błagał, bym się z nim pieprzyła. Tak znudziło mnie to gadanie, że pewnego wieczoru powied/iałam „dobrze”, by mieć wreszcie spokój i nie stracić tych siu franków, które czasem od niego dostawałam.

[242]

Przerwała na chwilę, wybuchając hisłci y« /mviii miechem.

- Mój drogi - kontynuowała - to, co mu się przytrafiło, jest zbyt śmieszne, by to wyrazić słowami. Dzwoni do mnie pewnego dnia i mówi: „Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć... chodzi o coś bardzo ważnego”. A gdy do niego przyjeżdżam, pokazuje mi zaświadczenie lekarskie - rzeżączka! Cóż, mój drogi, roześmiałam mu się w I warz. Skąd mogłam wiedzieć, że wciąż jeszcze mam trypra? „Chciałeś się ze mną ciupciać, więc ci uległam”. To mu zamknęło usta. Tak już bywa w życiu... nic nie podejrzewasz, 'ftż tu nagle trach, trach, trach! Był takim głupcem, że zakochał się we mnie ponownie. Błagał mnie tylko, bym

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zachowywała się przyzwoicie i nie biegała po Montparnassie przez całą noc, pijąc i łądząc się. Mówił, że doprowadzam go do szaleństwa. Chciał, żebym za niego wyszła, ale usłyszała o tym jego rodzina i namówili go na wyjazd do In-dochin...

I tu, ni stąd, ni zowąd, Masza przechodzi do romansu z lesbijką.

– To było bardzo zabawne, mój drogi, jak poderwała mnie pewnego wieczoru. Byłam w „Fetiche”, wstawiona jak zwykle. Zabierała mnie z lokalu do lokalu i pieściła pod stołem przez cały wieczór, aż nie mogłam już dłużej tego znieść. Zaprowadziła mnie potem do swego mieszkania i za dwieście franków dałam się jej wylizać. Nalegała, bym z nią zamieszkała, ale nie chciałam, by mi lizała co wieczór... to tak osłabia. Poza tym muszę się wam przyznać, że lesbijki nie pociągają mnie już tak bardzo jak niegdyś. Wolałabym spać z facetem, chociaż mnie to boli. Kiedy się strasznie podniecę, przestaję nad sobą panować... trzy, cztery, pięć razy... o tak!

Trach!-Trach! Trach! A potem krwawię, a to dla mnie bardzo niezdrowe, ponieważ mam skłonności do anemii.

widzicie teraz, dlaczego od czasu do czasu muszę pozwolić jakiejś lesbijce, by mi wylizała...

Wraz z nastaniem zimy księżniczka zniknęła. Pracownia stawała się niezbyt przytulna, był tam jedynie mały piecyk węglowy, toteż w sypialni było jak w lodówce, a w kuchni niewiele cieplej. Tylko w pobliżu piecyka było naprawdę ciepło. Masza znalazła więc sobie rzeźbiarza-kas trata. Opowiedziała nam o nim przed odejściem. Po kilku dniach usiłowała do nas wrócić, ale Fillmore nie chciał o tym słyszeć. Narzekała, że rzeźbiarz przez całą noc zamęcza ją pocałunkami. Poza tym brakowało jej ciepłej wody do irygacji. W końcu jednak doszła do wniosku, że dobrze się stało, iż do nas nie wróciła.

– Przynajmniej nie będę już miała w pobliżu tego twojego cholernego dyszla – powiedziała. – Stale tylko ten dyszel... denerwowało mnie to. Gdybyś chociaż był po dzieć, zostałabym z tobą...

Po odejściu Maszy zmienił się charakter naszych i wspólnych wieczorów. Często siadywaliśmy przy ogniu, po pijając gorący grog i rozmawiając o życiu w Stanach. Mówiliśmy o tym tak, jakbyśmy nie spodziewali się tam już nigdy powrócić. Fillmore miał na ścianie plan Nowego Jorku; całe wieczory upływały nam na porównywaniu zalet Państwa i Nowego Jorku. W naszych dyskusjach musiała pojawić się postać Whitmana, tej jedynej wyjątkowej osobowości, jaką wydała Ameryka podczas swego krótkiego

Miller Henry - Zwrotnik Raka

istnie piñ. U Whitmana ożywa cała amerykańska rzeczywistość, przeszłość i przyszłość, narodziny i śmierć. Wszystko, co wartościowe w Ameryce, wypowiedziane zostało przez Whitmana, nic więcej nie można dodać. Przyszłość należy do maszyn i robotów. Whitman był Poetą Ciała i Duszy Poetą pierwszym i ostatnim. Dziś jest prawie nie do odcył rowania, jak kamień pokryty prymitywnymi hieroglifami.

[244]

o których brakuje klucza. Nawet dziwnie wspominać tu o im. W żadnym z języków Europy nie ma odpowiednika, y oddać ducha, któremu zapewnił nieśmiertelność. Euro-a przesiąknięta jest sztuką, w ziemi pełno ludzkich kości, ej muzea pękają w szwach od zagrabionych skarbów, ale ym, czego Europa nigdy nie miała, jest wolny, zdrowy uch, którego można nazwać CZŁOWIEKIEM. Zbliżył się o tego ideału Goethe, ale w porównaniu z Whitmanem był ylko zarozumiałym bufonem. Goethe był szanowanym bywatelem, pedantem, nudziarzem, duchem uniwersal-ym, ale nosił w sobie piętno Niemiec, dwugłowego orła. agodność Goethego, ten olimpijski spokój to nic innego ak ospałe odrętwienie boga niemieckiej burżuazji. Goethe est zmierzchem, Whitman – początkiem.

Niekiedy po takiej dyskusji ubierałem się i szedłem na spacer, opatulony w sweter, wiosenny płaszcz Fillmore'a i pelerynę. Na dworze panował obrzydliwy chłód i wilgoć, przed którymi nie uchroni cię nic prócz hartu ducha. Mówi się, że Ameryka jest krajem skrajnych temperatur, i to prawda, że termometr rejestruje tam ujemne temperatury, o jakich się tu praktycznie nie słyszy, ale ziąb paryskiej zimy jest zimnem nie znanym w Ameryce; to zimno przenikające sychikę, atakujące zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz. Nie ma tu silnych mrozów, ale nie ma też i odwilży. Podob-ie jak ludzie bronią się przed zakłócaniem swojej inty-nności wznosząc wysokie mury, instalując zamki i żaluzje, ynajmując mrukliwe, niechlujne dozorcynie o zjadliwych ęzykach, tak samo nauczyli się zabezpieczać przed zimnem ' upałami w tym ostrym, agresywnym klimacie. Przedsię-zięli środki zapobiegawcze, a istotą sprawy jest tu potrzeba bezpieczeństwa. Poczucia zabezpieczenia i spokoju. I pomyśleć, że to tylko po to, by mogli spokojnie gnić. W wil->otną zimową noc nie trzeba patrzeć na mapę, by odkryć, pod jaką szerokością geograficzną leży Paryż. To miasto Północy, wysunięty bastion wzniesiony na bagnie wypełnio-

[245]

nym czaszkami i kośćmi. Wzdłuż bulwarów widać /inini

Miller Henry - Zwrotnik Raka

elektryczną imitację ciepła: Tout Va Bien rozbłyskuje uli i fioletowym światłem, w którym klienci kawiarni Dupom wyglądają jak zgangrenowane zwłoki. Tout Va Bien! Tym mottem karmią się nieszczęśni żebracy spacerujący całą nocy tam i z powrotem w deszczu fioletowych promieni. Tam gdzie jest odrobina światła, jest też i ciepło. Można się ogrzać, patrząc na tłustych, zadufanych w sobie skurwysyłów wlewających w siebie swój grog lub parującą kawę. Tam, gdzie tylko palą się światła, są na chodnikach ludzie potracający się nawzajem, wydzielając odrobinę zwierzęcego ciepła, unoszącego się z ich brudnej bielizny i nieświeżych oddechów zmieszanych z klątwami. Może na przestrzeni ośmiu, dziesięciu przecznic panuje jakaś pozorna radość, ale zaraz na powrót pogrąża się w nocy, ginie w ponurym, odrażającym mroku, znika jak zamrożony tłuszcz w wazil zupy. Szereg za szeregiem ciągną się postrzępione kamienie, każde okno szczelnie zamknięte, każda sklepowa witryna okratowana i zaryglowana. Te kamienne więzienia ciągną się kilometrami i nie dają najmniejszego promyka ciepła, w środku gnieźdzą się psy i koty pospołu z kanarkami. Kanary i pluskwy również znajdują bezpieczne schronienie w tych więzieniach. Tout Va Bien. Jeżeli nie masz ani jednego gościnia, możesz zawsze wziąć parę starych gazet i zrobić sobie pościel na stopniach katedry. Drzwi są dobrze zaryglowane, przeciągi nie będą ci przeszkadzać. Jeszcze lepiej spać się u wrót metra; nie zabraknie ci tam towarzystwa. Po patrz w deszczową noc, jak leżą sztywni niby materace mężczyźni, kobiety, wszy, przytuleni do siebie i osłonięci gazetami przed plwocinami i pełzającym robactwem. Przyjrzyj się im pod mostami albo straganami. Jakże nędznie wyglądają w porównaniu z czystymi, błyszczącymi jarzynami, poukładanymi starannie niczym drogie kamienie. Nawet ubite konie, krowy i owce zawieszane na ociekających tłuszczem hakach wyglądają bardziej apetycznie. Przynaj-

[246]

mniej trafią jutro do żołądków i nawet z ich wnętrzości będą jakieś pożytki. Ale ci brudni żebracy leżący w deszczu, czyż z nich pożytek? Cóż dobrego mogą nam przynieść? Przez pięć minut krwawią nam serca, to wszystko.

Cóż, w końcu to tylko mroczne, nocne myśli wywołane spacerem w deszczu po dwóch tysiącach lat chrześcijaństwa. Ale teraz zaspokajają się przynajmniej potrzeby kanarków, a także psów i kotów. Za każdym razem, gdy mijam okienko dozorczyń i czuję cały

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Łodowaty ciężar jej spojrzenia, ogarnia mnie szalona
chęć uduszenia wszystkich ptaków świata. Na dzień każdego
zamarzniętego serca meż-na znaleźć jedną lub dwie
kropelki miłości - akurat tyle, by nakarmić ptaki.
Wciąż nie mogę pozbyć się myśli, że między życiem B
światem idei taka rozbieżność istnieje. Permanentna
dysproporcja, choć obie te sfery usiłujemy przesłonić
jaskrawą markizą. Ale to na nic. Idee muszą iść w parze
z czynami; jeśli są bezpłciowe, jeśli nie są żywotne,
nie wiedą do działania. Idee nie mogą istnieć
wyizolowane w próżni umysłu. Odnoszą się do życia: idee
wątroby, idee nerek, idee śródmiąższowe itd. Gdyby
chodziło wyłącznie o ideę, Kopernik strzaskałby
istniejący makrokosmos, Kolumb zatonałby w Morzu
Sargassowym. Estetyka czystej idei rodzi kwiaty
doniczkowe, a te wstawia się za okno. Ale gdyby słońce
nie miało świecić, a deszcz padać, jakież sens stawiać
kwiaty na parapecie za oknem?

Fillmore ma mnóstwo idei dotyczących złota. „Mythos”
złota – tak to nazywa. Lubię mythos i lubię też ideę
złota, ale nie jest to moją obsesją i nie widzę powodu,
byśmy produkowali kwiaty doniczkowe, choćby i ze złota.
Utrzymuje, że Francuzi gromadzą zapasy tego kruszcu,
u-krywając je w wodoszczelnych komorach głęboko pod
ziemią; mówi, że jest tam mała lokomotywa, która jeździ
po tych podziemnych kryptach i korytarzach. Ogromnie mi
się to podoba. Głęboka, niczym nie zakłócona cisza, w
której

[247]

*A

złoto drzemie sobie w temperaturze 17 1/4 stopnia Celsju
sza. Fillmore uważa, że cała armia pracując przez
czterdzieści sześć dni i trzydzieści siedem godzin nie
zdołałaby przeliczyć zasobów złota zakopanych pod
Bankiem Francji, a przecież prócz nich są jeszcze
rezerwy – złote zęby, bransoletki, ślubne obrączki itp.
Jest tam też zapas żywności na osiemdziesiąt dni, a
wyżej jeszcze tę stertę złota chrom przed wysadzeniem w
powietrze jezioro. Złoto, mówi Fili morę, staje się
powoli niewidzialne, zmienia się w mit, kładąc kres
defraudacjom. Wspaniale! Zastanawiam się, jakie
reperkusje będzie miało na świecie odejście od parytetu
złota w odniesieniu do idei, strojów, moralności itp.
Parytet złota dla miłości!

Do chwili obecnej ideę, która przyświecała mojej
współpracy z sobą samym, stanowiło odejście od parytetu
złota w sferze literatury. Chodziło mi, ujmując rzecz w
skrótce, o przedstawienie wskrzeszenia uczuć, ukazanie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

człowieka w stratosferze idei, to jest w szponach delirium. Odmalowanie stworzenia presokratycznego, istoty będącej po części kozłem, po części tytanem. Krótko mówiąc, skonstruowanie świata w oparciu o omphaios, a nie abstrakcyjną ukrzyżowaną ideę. Natrafiliście być może tu i ówdzie na zaniedbane posągi, nie wykorzystane oazy, wiatraki, które przeoczył Cervantes, rzeki biegnące w górę, kobiety o pięciu czy sześciu piersiach ułożonych wzdłuż torsu. (W liście do Gauguina Strindberg napisał: „J'ai vu des arbes que ne re-trowerait aucun botaniste, des animaux que Cuvier n'a ja-mais soupconnes et des hommes que vous seul avez pu creer".)

Kiedy Rembrandt strzelił już wszystkie bramki, zstąpił pod powierzchnię, zabierając ze sobą sztaby złota, suszone mięso i składane łóżka. Złoto to słowo ciemności, część mentalności infernalnej: zawierają się w nim nasze sny i mythos. Uciekamy się do alchemii, do owej fikcyjnej ale-

[248]

ksandryjskiej mądrości, która stworzyła nasze nadęte symbole. Prawdziwa mądrość magazynowana jest w podziemiu przez harpagonów nauki. Nadchodzi dzień, kiedy będą krążyć w środkowej warstwie atmosfery z magnesami; by znaleźć grudkę rudy, będziesz musiał wznieść się na wysokość dziesięciu tysięcy stóp, zabrać ze sobą parę przyrządów (najlepiej zrobić to w strefie zimnego klimatu) i nawiązać telepatyczną łączność z wnętrzem Ziemi i cieniami zmarłych. Nie będzie już następnego Klondike. Nie będzie kolejnej bonanzy. Będziesz tylko musiał nauczyć się śpiewać i płaszać, interpretować znaki zodiaku i czytać ze swoich Irzewi. Trzeba będzie raz jeszcze wydobyć całe złoto ukryte obecnie w zakamarkach Ziemi; cały ten symbolizm trzeba będzie ponownie wywlec z wnętrzości człowieka. Najpierw należy jednak udoskonalić narzędzia, unowocześnić samoloty, odkryć, skąd ten łoskot, zamiast wariować tylko dlatego, że słyszysz wybuch pod własnym tyłkiem. A po drugie, trzeba będzie przystosować się do zimnych warstw strato-sfery, stać się zimnokrwistą rybą powietrznych przestrzeni. Nie okazywać czci, pobożności, tęsknoty czy żalu. Nie histeryzować. A przede wszystkim, jak mówi Philippe Datz: „NIE ZNIECHĘCAĆ SIĘ!”

Cóż, to tylko słoneczne myśli wywołane wermutem na Place de la Trinité. Jest sobotnie popołudnie, w ręku mam literacki niewypał. Wszystko pływa w boskim ropo-śluzie. Wino pozostawia w ustach gorzki ziołowy posmak, osad naszej wielkiej zachodniej cywilizacji, gnijącej teraz

Miller Henry - Zwrotnik Raka

jak paznokcie świętych. Mijają mnie kobiety - całe zastępy kobiet - i wszystkie kręcą dupcią tuż przed moim nosem; biją dzwony, a autobusy wspinają się na chodniki i przesyłają sobie całusy. Kelner przeciera stolik brudną szmatą, a diabelnie uszczęśliwiona właścicielka gładzi pieśczeniście kasę. Twarz ścina mi tępa bezmyślność, pustka, bezmyślna domyślność, gryzę dupcie ocierające się o mnie. W dzwon-

[249]

nicy naprzeciwko garbus uderza w spiż złotym młotkiem i gołębie drą się, podnosząc larum. Otwieram książkę nazw; i na przez Nietzschego „najlepszą po dziś dzień książką nie miecką” i czytam tam:

„LUDZIE BĘDĄ INTELIGENTNIEJSI I GO K LI WSI, ALE NIE STANĄ SIĘ PRZEZ TO LEPSI, SZCZĘŚLIWSI ANI BARDZIEJ ZDECYDOWANI W DZIAŁANIU - ALBO PRZYNAJMNIEJ BĘDĄ TACY TYLKO CZASAMI. NADEJDZIE PORA, KIEDY BÓ(I NIE BĘDZIE MÓGŁ JUŻ DŁUŻEJ CIESZYĆ SIĘ NI MI, ALE ZNISZCZY WSZYSTKO, BY NA NOWO PRZYSTĄPIĆ DO AKTU TWORZENIA. JESTEM PRZEKONANY, ŻE WEDŁUG PLANU WSZYSTKO WIEDZIE DO TEGO CELU, ŻE W ODLEGLI, I PRZYSZŁOŚCI USTALONO JUŻ CZAS I GODZIN I, TEGO PONOWNEGO STWORZENIA. ALE PRZED TEM UPŁYNIJE JESZCZE WIELE CZASU I BYĆ MOŻE PRZEZ TYSIĄCE LAT BĘDZIEMY NADAL ZA BA WIAĆ SIĘ NA TEJ DROGIEJ, STAREJ ZIEMI”.

Wspaniale! Już sto lat temu znalazł się człowiek obdarzony dostateczną wyobraźnią, by stwierdzić, że świ;il robi bokami. Nasz zachodni świat! - Kiedy widzę postacie mężczyzn i kobiet apatycznie krzątających się za murami swoich więzień, na kilka krótkich godzin ukrytych be/ pieczeni i odizolowanych, przerażają mnie potencjalne dra maty wciąż tkwiące w ich cherlawych ciałach. Za tymi sza rymi murami jarzą się jeszcze iskry ludzkich istnień, a mimo to nie dochodzi nigdy do pożaru. Czy to jeszcze mężczyźni i kobiety, zapytuję sam siebie, czy tylko cienie, cienie mario netek poruszanych za pomocą niewidzialnych nitek? Zdaj;) się mieć swobodę ruchów, ale przecież nie mają dokąd pójść. Pozostają wolni tylko w jednej sferze i mogą tam so

[250]

hic wędrować do woli, ale nie nauczyli się do|;|d w/.noull « powietrze. Jak-dotąd nie ma marzeń, które wzbiłyby ■ «, " powietrze. Nie przyszedł na świat ani jeden c/.lowiek <l< iltl tecznie lekki, dostatecznie radosny, by oderwać się od /ie mi! Orły, które przez chwilę trzepotały swoimi potężnymi skrzydłami, opadły ciężko, roztrzaskując się o bruk. Od Irzepotu ich skrzydeł zakreśliło nam się w głowach. Trzymajcie się

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ziemi, orły przyszłości! Niebiosa już zbadano, nie ma tam nic. Pod ziemią też nic nie ma, tylko kości i cienie. Tozostańcie na ziemi i płyńcie przez następnych kilkaset tysiącleci!

Jest właśnie trzecia rano i mamy tu parę dziwek, które fikają koziołki na gołej podłodze, Fillmore paraduje nago z pucharem w ręku, a jego brzuszysko napięte jest jak skóra na bębnie i twarde jak fistuła. Cały pernod i szampan, koniak i anjou, które żłopał od trzeciej po południu, bulgocą mu w bebeczach jak w rynsztoku.

Dziewczynki przykładają ucho do jego brzucha, jakby był pozytywką. Otwórzcie mu usta haczykiem do zapinania guzików i włóżcie żeton w tę szczelinę. Gdy z tego rynsztoka dobiega bulgot, słyszę, jak nietoperze wylatują z dzwonnicy, a sen osuwa się w nicość.

Dziewczynki rozebrały się, a my dokonujemy inspekcji podłogi, by nie wbiły sobie drzazg w tyłek. Wciąż są w butach na wysokich obcasach. Ale ta dupa! Dupa zdarta, podrapana, wypolerowana, gładka, jędrna i błyszcząca jak bilardowa kula lub czaszka trędowatego. Na ścianie wisi fotografia Mony: spogląda na północny wschód, jej wzrok biegnie w kierunku Krakowa, nazwa jest wypisana zielonym atramentem. Na lewo znajduje się Dordogne, otoczone czerwonym kółkiem. Nagie widzę przed sobą ciemną, owłosioną szparę na błyszczącej, wypolerowanej kuli bilardowej; nogi ściskają mnie jak nożyce. Jeden rzut oka na tę ciemną, nie zszytą ranę i w moim mózgu otwiera się głęboka rozpadlina: wszystkie obrazy i wspomnienia tak skrzętnie

[251]

lub przypadkowo zgromadzone, ponumerowane, udokumentowane, skatalogowane i opieczętowane wybuchaj;) bezładnie jak rzeka mrówek wypełzających ze szczeliny w chodniku; świat przestaje się kręcić, czas staje w miejscu, samo wiązanie moich snów pęka i rozpuszcza się, a moje wnętrzości wylewają się wielkim schizofrenicznym strumieniem; to wypróżnienie stawia mnie twarzą w twarz. / Absolutem. Ponownie stają mi przed oczyma wielkie, bez wstydnie rozwalone matki Picassa, ich piersi pokryte pająkami, ich legenda ukryta głęboko w labiryncie. Widzę Molly Bloom leżącą przez całą wieczność na brudnym materacu. Na drzwiach ubikacji wymalowane czerwona kredk;) chuje i madonna szepcząca bolesne diapazony. Słyszę szalony, historyczny śmiech, pokój wypełnia szczękościsk, a cia ło, niegdyś czarne, świeci fosforycznie. Szalony, zwariowany, zupełnie niekontrolowany śmiech, i ta szpara też się ze mnie naśmiewa, śmieje się przez kosmate wąsy, a jej śmiech

Miller Henry - Zwrotnik Raka

marszczy błyszczącą, wypołeroną powierzchnię
bilardowej kuli. wielka kurwo, matko człowiecza, w
której żyłach krąży gin! Matko wszystkich dziwek, pająku
toczący nas w swoim logarytmicznym grobie, o, ty
nienasycony diable, którego śmiech mnie rozdziera!
Zaglądam w głąb tego zapadniętego krateru, tego świata
zaginionego bez śladu, i słyszę dzwony, widzę dwie
zakonnice w Pałacu Stanisława, pod ich habitami czuję
zapach zjełczanego masła, widzę manifest nie wydrukowany
nigdy z powodu opadów deszczu, wojny toczone w imię
postępu w dziedzinie chirurgii plastycznej, księcia
Walii latającego dookoła świata, by udekorować groby
nieznanych żołnierzy. Każdy nietoperz wylatujący z
dzwonnicy to przegrana sprawa, każda hałaśliwa zabawa to
jęk nadany przez radio z intymnych okopów potępieńców. I
ta ciemna, nie zaszyta rana, ta kloaka pełna
obrzydliwości, ta kołyska miast czarnych od czerni,
gdzie muzykę idei zagłusza zimny tłuszcz, wydaje na
świat przedzierającego się przez zdławione utopie
kłowna, istotę roz-

[252]

dartą pomiędzy piękno i brzydotę, między światło i
chaos, kłowna, który – gdy patrzy w dół czy w bok – jest
samym Szatanem, a kiedy spojrzy w górę, widzi anioła
całego w maśle, skrzydłatego ślimaka.

Kiedy zaglądam w głąb tej szpary, widzę znak równości,
świat w stanie równowagi, świat zredukowany do zera, i
ani śladu reszty. Nie jest to zero, na które skierował
latarkę Van Norden, nie jest to pusta szpara, którą
odkrył przedwcześnie rozczarowany mężczyzna, lecz raczej
zero arabskie, symbol, z którego wywodzą się niezliczone
matematyczne światy, punkt podparcia gwiazd i
świecących snów, aparatów lżejszych od powietrza i
protez z lekkiego metalu, i materiałów wybuchowych,
dzięki którym je wyprodukowano. Tę właśnie szparę
spenetrować chciałbym aż po same oczy, pragnąłbym, by
wściekle zadygotały te drogie, szalone, metalurgiczne
ślepie. A gdy już zadrzą, wówczas znów usłyszę słowa
Dostojewskiego, usłyszę, jak przetaczają się, strona za
stroną, niosąc najdrobniejsze spostrzeżenia, najbardziej
szalone instrospekcje, wszelkie półtony cierpienia, to
tracone lekko, niemal humorystycznie, to znów wzmagające
się jak organowa nuta, aż pęka serce i nie ma nic poza
oślepiającym, spalającym, promienistym światłem, które
niesie zapładniające nasienie gwiazd. Oto historia
sztuki, której korzenie tkwią w masakrze.

Kiedy spoglądam w tę tylekroć pierdołoną kurew-ską
pizdę, czuję pod sobą cały świat, świat rozchwiany i

Miller Henry - Zwrotnik Raka

rozsypany się, świat zużyty, wypolerowany jak czaszka trędownego. Gdyby znalazł się człowiek dostatecznie śmiały, by powiedzieć wszystko, co sądzi o tym świecie, nie pozostawiono by mu pod nogami ani piędzi ziemi. Kiedy pojawia się człowiek, świat go przytłacza i łamie mu kark. Zbyt wiele przegniłych filarów stoi wciąż nie tkniętych, za dużo jest ropiejącego człowieczeństwa, by człowiek mógł rozkwitnąć. Nadbudowa jest kłamstwem, a baza opiera się na potężnym, przyprawiającym o drżenie strachu. Jeżeli w

[253]

interwałach wieków naprawdę pojawi się człowiek pełen głodu i desperacji, człowiek gotów przewrócić świat do góry nogami, by stworzyć nową rasę, miłość, którą niesie światu, zamieni się w żółć, a on sam – w bicz Boży. Jeśli, czytają książkę, od czasu do czasu napotykamy strony, które eksplodują, stronice, które nas ranią i przypiekają, wywołują, jęki, łzy i przekleństwa, wiedźcie, że napisał je człowiek < > wyprostowanym grzbiecie; człowiek, którego ostatnią linią obrony są słowa, a słowa te są zawsze mocniejsze od kłamstwa, łamiącego karki ciężaru świata, silniejsze są od tryków i kół wynalezionych przez tchórze po to, by złamać ten cudowny twór, jakim jest osobowość. Gdyby jakiś człowiek ośmielił się kiedyś przełożyć wszystko, co nosi w sercu, za pisać to, w czym naprawdę zawiera się jego doświadczenie, co jest jego najprawdziwszą prawdą, sądzę, że wówczas świat by się roztrzaskał, rozleciał na drobne kawałki, i za den bóg, żaden wypadek, niczyja wola nie byłoby w stanie pozbierać tych skorup, tych atomów, tych na pozór niezni szczyalnych elementów, z których się składał.

W ciągu czterystu lat, jakie upłynęły od pojawienia się ostatniego trawionego niepokojem ducha, ostatniego człowieka, który wiedział, co znaczy ekstaza, postępował ciągle upadek człowieka w sztuce, myśli i działaniu. Świat robi bokami, nie jest nawet w stanie sucho pierdnąć. Któż z oczyma rozpalonymi desperacją i głodem może zwracać najmniejszą uwagę na istniejące rządy, prawa, kody, zasady, ideały, idee, totemy i tabu? Gdyby ktoś potrafił odczytać zagadkę tego, co dziś określamy jako „szparę” lub „dziurę”, gdyby ktoś miał choćby najdrobniejsze poczucie tajemnicy dotyczącej zjawisk nazywanych „obscenicznymi”, ten świat by się rozpękł. To właśnie przez obsceniczny horror, suchy, wypierdolony aspekt rzeczy, ta szalona cywilizacja wygląda jak krater wulkanu. To właśnie tę wielką rozdartą zatokę nicości mają między udami twórcy i matki naszej rasy. Kiedy

Miller Henry - Zwrotnik Raka

pojawia się duch przepełniony głodem i

[254]

desperacją, wywołując kwiki świnek morskich, to dzieje się lak dlatego, że wie, gdzie wsadzić rozpalony boleć swego seksu, gdyż rozumie, że pod twardą skorupą obojętności kryje się ohydna szrama, nigdy nie gojąca się rana. I wsadza swój przepełniony energią instrument prosto między uda, i uderza poniżej pasa, przypiekając same trzewia. Na nic założenie gumowych rękawiczek; wszystko co można ująć na chłodno, przy pomocy intelektu, należy do skorupy, a człowiek zdecydowany tworzyć zawsze zanurza się głębiej, w tę otwartą ranę, w ropiejący obsceniczny horror. Podłącza swoje dynamo do najczulszych miejsc; nawet jeśli tryśnie tylko krew i ropa, to już coś. Suchy, wypierdolony krater jest po prostu obsceniczny. Jeszcze bardziej obsceniczna jest inercja. A paraliż jest większym błąźnierstwem niż najbardziej wulgarnie przekleństwo. Jeśli zostanie jedynie ziejąca rana, to musi coś z siebie wyrzucić, choćby były to tylko żaby, nietoperze i karły.

Wszystko musi zawrzeć się w sekundzie, która zostanie skonsumowana albo i nie. Ziemia nie jest jałowym płaskowyżem zdrowia i dobrobytu, ale wielką rozkładającą nogi kobietą o aksamitnym torsie, podnoszącym się i falującym jak ocean; wiję się pod diademem potu i udreki; naga i roznamiętniona tarza się wśród chmur w fioletowym świetle gwiazd. Cała - od obfitych piersi po błyszczące uda - płonie wściekłym żarem. Tańczy wśród pór roku i wieków niczym wielki karnawał wprawiający jej tors w paro-ksyzmy szалу strząsającego pajęczyny z niebios; opada na swoje osiowe orbity przy wtórze wulkanicznych wstrząsów. Czasami przypomina schwytaną w sidła łanię - z bijącym sercem leży czekając na łoskot czyneli i ujadanie psów. Miłość, nienawiść, rozpacz i litość, wściekłość i wstręt - czymże są te uczucia wobec kopulacji planet? Czymże jest wojna, choroba, okrucieństwo i terror, kiedy noc ukazuje ekstazę miriadów płonących słońc? Czymże jest sieczka,

[255]

którą przeżywamy we śnie, jeśli nie wspomnieniem kłów pazurów i roju gwiazd?

Mona mówiła mi w chwilach uniesienia - „jesteś wielkim człowiekiem”, i chociaż zostawiła mnie, bym I u szczył, chociaż rozwarła pod moimi stopami wielką wyjąaj otchłań pustki, słowa leżące na dnie mojej duszy suną sk<> kami naprzód, oświetlając cienie przede mną. Jestem tym, który zgubił się w tłumie, tym którego oślepiły syczące światła, jestem zerem, które widzi, jak wszystko wokół

Miller Henry - Zwrotnik Raka

niego zostało zredukowane do farsy. Mijali mnie mężczyźni i kobiety w oparach płonącej siarki, odźwierni w wapiennej liberii rozwierający szczęki piekła, chwała wsparta na ku lach, skarłała w obliczu drapaczy chmur, doszczętnie przeżuta przez kolczaste szczęki maszyn. Podążałem wśród wic żowców w stronę chłodu płynącego od rzeki i widziałem między żebrami ich szkieletów światła strzelające w górę jak rakiety. Jeżeli rzeczywiście jestem wielkim człowiekiem, ja k utrzymywała, to czemuż otaczają mnie ci śliniacy się idioci? Byłem człowiekiem posiadającym ciało i duszę, miałem serce, którego nie chronił żaden stalowy sejf. Przeżywałem chwile ekstazy i śpiewałem, aż sypały się iskry. Śpiewałem o równiku obejmującym nas chciwie jak dziwka, jej przyozdobionych czerwonymi piórami nogach i o wyspach znikających z oczu. Nikt nie słuchał. Działo odpalone na Pacyi ku ulatuje w przestrzeń, ponieważ Ziemia jest okrągła, a gołębie fruwać do góry nogami. Widziałem, jak Mona patrzyła na mnie poprzez stół z oczyma pełnymi żalu; przenikający ją smutek rozpląszczył swój nos na jej kręgosłupie; szpik pod wpływem współczucia zamienił się w płyn. Stała się lekka jak trup dryfujący po Morzu Martwym. Palce krwawiły jej z bólu, a krew zamieniała się w ślinę. Wilgotny świt przyniósł bicie dzwonów i grały one nieprzerwanie wzdłuż włókien moich nerwów, a ich serca biły w moim sercu, hucząc z żelazną złośliwością. Dziwne, że dzwony potrafią tak dźwięczeć, ale jeszcze dziwniejsze, że ciało eksplodu-

[256]

je, ona zamienia się w noc, a jej robaczywe słowa w gryzają) się w materac. Płynąłem wzdłuż równika, słyszałem odraza jacy śmiech zielonoszczękiej hieny, widziałem szakala o jedwabistym ogonie, dick-dicka i cętkowanego lamparta, zwierzęta pozostawione w ogrodach Edenu. Jej smutek rozszerzył się później jak dziób pancernika, a gdy tonęła, wyparta przez nią woda zalała mi uszy. Z przepłukiwanego szlamu wyślizgnęły się szafiry przemywane przez wesołe neurony, a widmo uległo rozszczepieniu i pochyliły się okężnice burt. Usłyszałem cichy jak stąpienie lwa obrót armatnich lawet, zobaczyłem, jak działa wypluły z siebie rzygowiny i ślinę; firmament przekrzywił się i zgasły wszystkie gwiazdy. Kruczoczarny ocean krwawił, a pogrążone w kontemplacji komety kołysały kęsy nowo narodzonego, właśnie nabrzmiałego ciała, podczas gdy krążące w górze ptaki wykonywały karkołomne ewolucje, a z nieba - tworu halucynacji - spadła waga z mózdzierzem, tłuczkiem i przesłoniętymi oczyma sprawiedliwości. Wszystko, o czym

Miller Henry - Zwrotnik Raka

tu mowa, porusza się na wyimaginowanych nogach wzdłuż równoleżników martwych globusów; wszystko, co można ujrzeć przez puste oczodoły, eksploduje jak zakwitająca trawa. Z nicości wyłania się symbol nieskończoności; pod wciąż wznoszącymi się do góry spiralami wolno tonie ziejąca pustką dziura. Ziemia i woda zespalają cyfry, tworząc wiersz napisany ciałem i mocniejszy od stali czy granitu. Przez bezkresną noc Ziemia wiruje ku nieznanemu dziełu tworzenia...

Obudziłem się dziś z głębokiego snu z radosnymi przekleństwami na ustach, bełkotałem coś, powtarzałem jak litanię: „Fay ce que vouldras!...fay ce que vouldras! Róbcie cokolwiek, ale niech to sprawia radość. Róbcie cokolwiek, ale niech to wywołuje ekstazę. Tyle rzeczy tłoczy mi się do głowy, kiedy to mówię do siebie: obrazy wesołe, straszne, doprowadzające do szału, wilk i kozioł, pajak, krab, syfilis z rozpostartymi skrzydłami, a drzwi łona zawsze zamknięte tylko na zasuwkę, wiecznie otwarte, jak

[257]

grobowiec gotowe na wchłonięcie ciała. Żądza, zbrodni i świętość: życie tych, których czciłem, pozostawione pi/iv nich słowa, słowa nie dokończone; dobro, które za sukni wlekli, i zło, smutek, niezgoda, gorycz, konflikty, które w \ woływali. Ale przede wszystkim – ekstaza! Przeróżne sprawy dotyczące moich dawnych idoli doprowadzają mnie do łez; napotykanie przez nich trudno:, ci, nieład, przemoc, a zwłaszcza nienawiść, którą wywoływali. Kiedy myślę o ich ułomnościach, o monstrualnym sly lu, pompatyczności i nudzie ich dzieł, o chaosie i zamęcie, w którym się tarzali, o przeszkodach, które wokół siebie mnożyli, wpadam w zachwyty. Wszyscy oni ugrzęźli we własnym gównie. Jak każdy, kto popada w przesadę. Wydaje mi się to tak prawdziwe, że aż kusi mnie, by powiedzieć: „Poka/ cie mi człowieka, który popadł w przesadę, a pokażę wam człowieka wielkiego”. To, w czym inni dopatrują się ich przesady, stanowi mój pokarm: to oznaka zmagania, to same zmagania angażujące wszystkie włókna, sama emanacja i atmosfera zbuntowanej osobowości. A jeśli wskażecie mi człowieka potrafiącego wyrażać swoje myśli w sposób do skonały, nie powiem, że nie jest wielki, ale stwierdzę, zimnie to pociąga... brak mi tych oznak przesady. Kiedy zdaje sobie sprawę, że zadaniem z istoty rzeczy podejmowanym przez artystę jest obalenie istniejących wartości, zaprowadzenie w otaczającym go chaosie własnego porządku, zasianie konfliktów i fermentu, który poprzez emocjonalny wzlot umożliwi martwym powrót do życia, wtedy biegnę radośnie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

do wielkich i niedoskonałych, ich zagubienie staje się moim pokarmem, ich jąkanie brzmi w moich uszach jak niebiańska muzyka. Widzę na tych pięknie patetycznych stronach pisanych po okresach beczynności wymazanie małosłownych interwencji, tych – rzecz można – brudnych odcisków stóp tchórzy, kłamców, złodziei, wandalów, oszczerców. Widzę w napiętych mięśniach ich lirycznych gardeł ten nadludzki wysiłek potrzebny, by przekręcić koło

[258]

zamachowe, by podjąć to samo tempo pracy w micjsi u
cii/ie sieją przerwało. Widzę, że poza codziennymi /in.n
twieniami i interwencjami, poza tanią, połyskliwą złośli
wością ludzi słabych i apatycznych widnieje symbol
frustru-|i|cej mocy życia i że ten, kto potrafił
stworzyć ład w miej-ncie chaosu, ten kto posiał zamęt i
niezgodę, ponieważ był przepojony wolą, taki człowiek
wciąż na nowo musi iść na Nlos i pod szubienicę. Widzę,
że za szlachetnością jego gestów czai się widmo
śmieszności jego wysiłków – że jest On nie tylko
majestatyczny, ale i absurdalny.

Sądziłem niegdyś, że zachowywać się po ludzku jest
najwyższym z możliwych celów człowieka, ale teraz widzę,
że było to przekonanie destrukcyjne. Dzisiaj z dumą
oświadczam, że jestem nieludzki, że nie należę do ludzi
i rządów, że nie mam nic wspólnego z żadnym credo, z
żadnymi zasadami. Nie mam nic wspólnego ze skrzypiącą
maszyną ludzkości – jestem częścią Ziemi! Mówię to
leżąc na poduszce, czuję, jak ze skroni wyrastają mi
rogi. Widzę wokół siebie tych wszystkich moich
zbizikowanych przodków – tańczą wokół łóżka, pocieszają
mnie, zachęcają do działania, smagają mnie swoimi
językami węży, szczerzą zęby oczodołami osaczających
mnie czaszek. Jestem nieludzki! Mówię to mając na ustach
radosny narkotyczny grymas, i będę to powtarzał, choćby
zamiast deszczu spadały z nieba krokodyle. Za moimi
słowami kryją się te wszystkie wyszczerzone, niechętne,
przyczajone czaszki, niektóre są martwe i szczerzą się
tak od dawna, inne wyglądają, jakby miały szczękościsk,
jeszcze inne ukazują zęby w zgryźliwym grymasie; to
przedsmak i następstwa tego, co zawsze się dzieje
dokoła. Jeszcze wyraźniej niż to wszystko widzę swoją
własną wyszczerzoną czaszkę, pokrytą śluzem
ekskrementów. Łączę swój śluz z wielkim obwodem płynącym
przez podziemne krypty ciała. Te nieproszone, nie
chciane, pijane rzygowiny płynąć będą bez końca w
umysłach tych, którzy nadejdą w niewyczerpalnym naczyniu
zawierającym histo-

[259]

rię naszej rasy. Tuż obok, dotrzymując kroku rodzajowi ludzkiemu, biegnie inna rasa stworzeń, tych nieludzkich, ru sa artystów, którzy – kierowani niezbadanymi impulsami – biorą tę pozbawioną życia masę ludzką i dzięki gorączce i fermentowi, jakim ją nasycają, przemieniają to wilgotne ciasto w chleb, chleb w wino, a wino w pieśń. Z martwego kompostu i obojętnego żużlu tworzą pieśń, która niesie tru ciznę. Widzę, jak rasa tych osobników plądruje wszech świat, wyraca wszystko do góry nogami, brodząc wiecznie we łzach i we krwi, ich dłonie zawsze pozostają puste, wysu nięte poza granice naszego świata, wyciągnięte do nieosią galnego Boga: uśmiercają wszystko, czego dosięgniesz, by uciszyć owego potwora, który szarpie im wnętrzności. Wi dzę, że gdy wrywają sobie włosy z głowy usiłując pojąć zrozumieć to, co wiecznie nieosią galne, kiedy wyją jak osza lałe bestie, rozrywają kłami i przeszywają rogiem, wiem, że tak być musi, że nie ma innej drogi. Człowiek należący do tej rasy musi stanąć na wzniesieniu bełkocząc coś, aż wyp-ruje sobie flaki. Zaprawdę słuszne to i sprawiedliwe, on (o musi uczynić. I wszystko, co nie dorównuje temu przeraża jącemu widowisku, co jest mniej wstrząsające, mniej okrop ne, mniej szalone, mniej pijane i mniej trujące, nie jest sztuką. Cała reszta jest imitacją. Cała reszta przynależy do życia bez życia.

Kiedy, na przykład, myślę o Stawroginie, wyobra żam go sobie jako jakiegoś boskiego potwora stojącego na wzniesieniu i ciskającego w nas swymi wyprutymi wnętr nościami. W Biesach drży ziemia: nie jest to katastrofa spo tykająca twórców, ale kataklizm, w wyniku którego spora część ludzkości zostaje pogrzebana, starta na zawsze z po wierzchni ziemi. Stawrogin to Dostojewski, a Dostojewski był sumą tych wszystkich przeciwieństw, które albo parali żują człowieka całkowicie, albo wiodą go ku wielkości. Nie było dla niego świata zbyt niskiego, by doń wejść, ani szczy tu zbyt wysokiego, by się bał nań wspiąć. Przebył całą drogę

[260]

- od otchłani do gwiazd. Jaka szkoda, że nigdy już nie będziemy mieli okazji ujrzeć człowieka tkwiącego w samym jądrze tajemnicy, który za sprawą chwil swego natchnienia rozświetla dla nas głębię i ogrom ciemności. Świadom dziś jestem swego rodowodu. Nie muszę spoglądać w horoskop czy tablice genealogiczne. Nie mam pojęcia, co zapisano w gwiazdach albo w mojej krwi. Wiem, że wywodzę się od mitycznych założycieli naszej rasy.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Człowiek podnoszący do ust świętą flaszę, kryminalista klęczący na rynku, człowiek niewinny, dla którego prawdziwy wstrząs stanowi odkrycie, że wszystkie trupy śmierdzą, szaleniec tańczący z błyskawicą w dłoniach, mnich unoszący habit, by spryskać moczem świat, fanatyk przetrząsający biblioteki w poszukiwaniu Słowa – wszyscy oni stopieni są we mnie, wywołują w mojej jaźni zamęt i ekstazę. Jeśli jestem nieludzki, to tylko dlatego, że mój świat przekroczył granice człowieczeństwa; dlatego że bycie ludzkim wydaje mi się czymś niskim i płaskim, zamkniętym w ramach moralności i kodów, zdefiniowanym przez komunały i „izmy”. Wlewam do gardła sok winogron i znajduję w nim mądrość, ale moja mądrość nie bierze się z winogron, mój stan upojenia nie zawdzięcza nic winu... Gotów byłbym nadłożyć drogi, byle ominąć te wyniosłe, jałowe łańcuchy górskie, na których można umrzeć z chłodu i pragnienia, tę „ponadczasową” historię, ów absolut czasu i przestrzeni, gdzie nie ma człowieka, zwierzęcia ni rośliny, gdzie oszaleć można z samotności, gdzie można popaść w obłąd od posługiwania się językiem, który sprowadza się tylko do słów, gdzie wszystko jest odcepione, rozłączone, w niezgodzie z duchem czasu. Pragnę świata mężczyzn i kobiet, świata drzew, które nie potrafią mówić (już i tak za dużo jest na tym padole częściej gadaniny), świata rzek, którymi można gdzieś dotrzeć, nie tych będących legendą, lecz pozwalających spotkać się z innymi mężczyznami i kobietami, z architekturą, religią, roślinnością, zwie-

[261]
rzną; rzek, po których pływają statki, w których toną hi dzie, i to nie w mitach, legendach, książkach czy prochu przeszłości, ale w czasie, przestrzeni i historii. Pragnę rzek tworzących takie oceany, jak Szekspir i Dante, rzek nie wy suchających w próżni minionych wieków. Oceany, taki Potrzeba więcej oceanów, musimy mieć nowe oceany wy mazujące przeszłość, oceany tworzące nowe formacje geo logiczne, nowe perspektywy topograficzne, dziwne, przcra zające kontynenty, oceany, które mieszczą, a jednocześnie chronią, oceany, po których możemy żeglować, z których możemy wyruszać, by dokonywać nowych odkryć, w po szukiwaniu nowych horyzontów. Potrzeba nam więcej oceanów, więcej wstrząsów politycznych, więcej wojen i po gromów. Potrzebny nam świat mężczyzn i kobiet noszących między udami dynamy, świat naturalnego szału, pasji, czy nu, dramatu, snów, szaleństwa, świat budzący ekstazę, a nie wydający z siebie suche pierdnięcia. Sądzę, że dziś bardziej i niż kiedykolwiek powinno się

Miller Henry - Zwrotnik Raka

poszukiwać książki, nawet jeśli zawiera ona tylko jedną wspaniałą stronę: musimy szukać fragmentów, odłamków, paznokci, wszystkiego, co za wiera rudę, wszystkiego, co jest w stanie wskrzesić ciało i duszę.

Być może skazani jesteśmy na zagładę, może niema dla nas ratunku, dla nikogo z nas, ale jeśli to prawda, wydajmy ostatni rozzwierający, mrozący krew w żyłach skowyt, krzyk buntu, wojenny okrzyk! Dość lamentów! Dość elegii i pogrzebowych pieśni! Dość biografii i historii, bibliotek i muzeów! Niech umarli żywią się tym, co martwe! My, żywi, zatańczmy na skraju krateru – taniec ostatniego tchnienia. A przecież taniec!

„Kocham wszystko, co płynie” – powiedział wielki niewidomy Milton naszych czasów. Rozmyślałem o nim dziś rano, gdy obudziłem się z potężnym, obelżywym okrzykiem radości na ustach: myślałem o jego rzekach, drzewach i całym tym nocnym świecie, który penetruje. Tak, powie-

1262} działem sobie – ja także kocham wszystko, co płynie: rzeki i ryny, lawę i spermę, krew i żółć, pojedyncze słowa i całe zdania. Kocham ciecz wylewającą się z owocni. Kocham nerki i ich bolesne kamienie, piasek i co” tam jeszcze; kocham mocz, który aż parzy, i trypra wyciekającego bez końca; kocham słowa historyków i zdania płynące jak biegunka, niosące wszystkie wizje chorej duszy; kocham wielkie rzeki, jak Amazonka i Orinoko, po których tacy szaleńcy jak Moravagine żeglują poprzez sny i legendy w otwartej łodzi i toną w jej ślepych ujściach. Kocham wszystko, co płynie, nawet menstruacyjny strumień wydalający nie zapłodnione gamety. Kocham wypływające spod pióra rękopisy, bez względu na to, czy są to pisma hieratyczne, ezoteryczne, perwersyjne, polimorficzne czy monolityczne. Kocham wszystko, co płynie, co zawiera w sobie czas i kreację, co przywodzi nas do początku, który nie ma kresu: przemoc proroków, obsceniczność będącą ekstazą, mądrość fanatyka, księdza i jego ciągnącą się jak guma litanię, sprośne słowa kurwy, spływające rynsztokiem płwociny, sączące się z piersi mleko i gorzki miód płynący z łona, wszystko, co cieknie, roztopia się i rozplywa, pławi w rozwiązłości; kocham ropę i brud oczyszczające się w trakcie spływania, tracące poczucie swego źródła, opisujące wielki krąg w kierunku śmierci i rozkładu. Jakież to przemożne kazirodzkie pragnienie płynąć dalej, stanowiąc jedność z czasem, by wielki obraz zaświatów połączyć z tu i teraz. Głupie, samobójcze pragnienie doprowadzone do obstrukcji przez słowa, paraliżowane przez myśl.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Tuż przed świtem w dniu Bożego Narodzenia wróciliśmy z Rue d'Odessa do domu z dwiema Murzynkami / towarzystwa telefonicznego. Ogień zgasł, ale byliśmy wszyscy tak zmęczeni, że wleźliśmy do łóżka w ubraniach Ta, która mnie przypadła w udziale, zachowywała się przez cały wieczór jak drapieżna tygrysica, a później zasnęła, gdy się na nią gramoliłem. Przez chwilę usiłowałem pobudzić ją do życia, jak topielca lub ofiarę uduszenia. Potem dałem spokój i sam zapadłem w głęboki sen.

Przez całe święta piliśmy szampana; rano, w południe i wieczorem - najtańszego, najlepszego szampana. / nowym rokiem miałem wyjechać do Dijon, gdzie w ramach wymiany francusko-amerykańskiej zaproponowano mi zajęcie nader banalne, posadę nauczyciela angielskiego; cho dziło o jeden z tych układów o przyjaźni, który ma niby sprzyjać rozwojowi zrozumienia i dobrej woli między sio strzanyimi republikami. Fillmore cieszył się z tej perspektywy bardziej niż ja - miał zresztą ku temu powody. Dla mnie było to po prostu przeniesienie z jednego czyścica do innego. Nie miałem tam przed sobą żadnych widoków, w grę nie wchodziła nawet stała pensja. Należało uważać się za szczęściarza i cieszyć przywilejem głoszenia ewangelii przyjaźni francusko-amerykańskiej. Ot, typowa posada dla potomka zamożnej rodziny.

Wieczorem, w przededniu mego wyjazdu, nieźle się ubawiliśmy. Tuż przed świtem zaczął padać śnieg: włączyliśmy się z jednej dzielnicy do drugiej, rzucając ostatnie spojrzenie na Paryż. Przechodząc przez Rue St. Dominique natknęliśmy się nagle na mały placik, gdzie stał kościół św. Klotyldy. Ludzie właśnie podążali na mszę. Fillmore, wciąż nieco zamroczony, uparł się, byśmy wybrali się także. „Dla

[264]

■bawy" - jak to ujął. Niezbyt mi się to podobało; po pierwsze, nigdy nie uczestniczyłem we mszy, a po drugie, byłem się nędznie i wyglądałem nędznie. Fillmore też sprawiał wrażenie dość wymęczonego, może nawet wyglądał bardziej podejrzanie ode mnie; wielki filcowy kapelusz założył tyłem na przód, a płaszcz miał cały w trocinach z ostatniej knajpy, którą odwiedziliśmy. Mimo to wkroczyliśmy ostentacyjnie do środka. Najgorsze, co mogli nam zrobić, to wyrzucić nas na ulicę.

Byłem tak oszołomiony tym, co zobaczyłem, że przestałem czuć się nieswojo. Upłynęło trochę czasu, nim przyzwyczailem się do nikłego oświetlenia. Podążałem niepewnie za Fillmore'em trzymając go za rękaw. Gwałtownie począł drążyć moje uszy dziwny, jakby dobywający się z zaświatów hałas, coś w rodzaju

Miller Henry - Zwrotnik Raka

stłumionego szmeru wznoszącego się z zimnej posadzki. Był tam olbrzymi, ponury grób, a zbieg szurając nogami wstępowali i wychodzili żałobnicy. Swoisty przedsiębiorca piekła. Temperatura wahała się w granicach 55 lub 60 stopni Fahrenheita. Żadnej muzyki poza owym niemożliwym do zdefiniowania żałobnym pieniem intonowanym w podziemiu – jakby milion kalafiorów zawodziło w ciemnościach. Ludzie spowici w całuny mararo-lali coś, przybierając ten beznadziejny, przygnębiony wyraz twarzy żebraków w transie wyciągających rękę i bełkoczących jakąś niezrozumiałą prośbę.

Wiedziałem, że coś takiego ma miejsce, ale ostatecznie wiemy także o istnieniu rzeźni, kostnic i sal, w których przeprowadza się sekcje zwłok. Podobnych miejsc unika się instynktownie. Pośrodku miasta często mijałem księdza z brewiarzem w ręku mozolnie uczącego się tekstu. Kretyn – mówiłem wówczas do siebie, nie poświęcając temu większej uwagi. Na ulicy spotyka się przeróżne formy de-mencji, wśród których ksiądz nie rzuca się najbardziej w oczy. Dwa tysiące lat owego hokus-pokus znieczuliło nas na ten idiotyzm. Kiedy jednak znajdziesz się nagle w samym

[265]

środku jego królestwa, gdy ujrzysz z bliska ów świątek, w którym ksiądz funkcjonuje jak budzik, będziesz miał bez wątpienia zupełnie inne odczucia.

Na chwilę całe to ślinienie się i wykrzywianie warg prawie nabrało znaczenia. Coś się działo, odbywała się jakaś pantomima, która – choć nie ogłupiła mnie całkowicie – zdołała mnie zhipnotyzować. Wszędzie na świecie, gdzie tylko można znaleźć owe skąpo oświetlone groby, od bywa się to niesamowite widowisko – ta sama niska temperatura, ten sam wieczorny blask, to samo budzenie i szmer. W całym świecie chrześcijańskim o pewnych wyznaczonych godzinach ludzie w czerni biją pokłony przed ołtarzem, u stóp którego stoi ksiądz trzymając brewiarz w jednej ręce i dzwonek lub kropidło w drugiej, mamrocząc do nich w języku, który – nawet gdyby był zrozumiały – nie zawiera już ani strzępu znaczenia. Zapewne ich błogosławi Błogosławi ojczyznę, błogosławi władcę, błogosławi broń palną, pancerniki, amunicję i granaty ręczne. Otaczają go mali chłopcy ubrani jak aniołki, śpiewający altem i sopra nem. Niewinne jagniątko. Odziani w komże, a więc aso ksualnie jak sam ksiądz, który zwykle ma płaskostopie, a w dodatku jest krótkowidzem. Doskonały przykład bezpłciwej kociej muzyki. Seks unieruchomiony i skrępowany, za wodzenia w tonacji pis-dur.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Usiłowałem się w tym połapać na tyle, na ile potrafiłem przy tym skąpym świetle. Było to fascynujące, a zarazem ogłupiające. Na całym cywilizowanym świecie, pomysłałem sobie. Na całym świecie. Niebawem! Deszcz czy słońce, grad, deszcz ze śniegiem, śnieg, pioruny, błyskawice-wojna, głód, zaraza nie mają na to najmniejszego wpływu wszędzie ta sama niska temperatura, ten sam bełkot, te same kamazse i te aniołki Pańskie śpiewające sopranem i altem. Koło wyjścia mała skarbonka – na podtrzymanie dzieła Bożego. Po to, by błogosławieństwo Boga spłynąć mogło na ludzi i ojczyznę, pancerniki i materiały wybuchowe, czołgi i samoloty, po to, by robotnik miał więcej siły potrzebnej do zarzynania koni, krów i owiec, nieodzownej do sztancowania otworów w żelaznych dźwigarach, koniecznej do przyszywania guzików do spodni, siły niezbędnej do sprzedawania marchewek, maszyn do szycia i samochodów, potrzebnej do tępienia owadów, czyszczenia stajni, do wypróżniania kubłów na śmieci, szorowania ubikacji, do pisania gazetowych tytułów i stemplowania biletów metra. Chodzi o siłę... i jeszcze raz o siłę. Cała ta mistyfikacja i nieszczerze mamrotanie po to tylko, by dodać im trochę siły! Chodziliśmy z miejsca na miejsce, by obejrzeć wszystko dokładnie z tą trzeźwością, która przychodzi po całonocnym picciu. Na pewno nieźle rzucaliśmy się w oczy łażąc tak z postawionymi kołnierzami płaszczy, nie zegnając się ani razu i nie poruszając wargami, chyba żeby wymienić szeptem jakieś niestosowne uwagi. Wszystko to pozostałoby może jednak nie zauważone, gdyby Fillmore nie uparł się, by zbliżyć się do ołtarza w czasie trwania obrzędu. Szukał wyjścia i przypuszczam, że chciał przy okazji rzucić okiem na świętość świętości, przyjrzeć się jej z bliska. Prześliznęliśmy się jakoś koło ołtarza i maszerowaliśmy w kierunku szczeliny, przez którą sączyło się światło, sądząc, że powinno tam być wyjście, kiedy nagle z ciemności wyłonił się ksiądz zagrządzając nam drogę. Spytał, dokąd idziemy i co tu w ogóle robimy. Odpowiedzieliśmy w miarę uprzejmie, że szukamy wyjścia. Użyliśmy angielskiego słowa „exit”, ponieważ w tym momencie byliśmy tak oszołomieni, że nie mogliśmy sobie przypomnieć francuskiego odpowiednika. Ksiądz bez słowa ujął nas energicznie za ręce i otwierając drzwi, boczne drzwi, wypchnął nas na zewnątrz; wypadliśmy na jaskrawe światło dzienne. Stało się to tak nagle i nieoczekiwanie, że gdy znaleźliśmy się na chodniku, byliśmy zupełnie oślepieni. Przeszliśmy kilka kroków mrugając oczyma, a potem instynktownie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

odwróciliśmy się obaj; ksiądz wciąż stał na schodach, blady jak upiór, posęp-

[266]

[267]

ny jak szatan. Musiał być piekielnie wzburzony. Myśląc 11 tym później nie miałem mu tego za złe, ale w tamtej chwili w tej długiej sutannie i małej piusce na czaszce, wyglądał lał. absurdalnie, że parsknąłem śmiechem. Spojrzałem na liii tore'a, on też zaczął się śmiać. Przez dobrą chwilę staliśmy tam śmiejąc się biedakowi prosto w twarz. Był tak zdezo rientowany, że nie wiedział, co zrobić; nagle jednak ruszył pędem ze schodów, wymachując pięścią, jak gdyby nie za rtował. Kiedy wypadł zza ogrodzenia, pędził co tchu w na szym kierunku. wówczas jednak jakiś instynkt samozacho wawczy ostrzegł mnie, bym się ruszył. Chwytiłem Fillmo re'a za rękaw płaszcza i zacząłem biec. On zaś powtarzał jak idiota:

- Nie! Nie! Nie będę uciekał!

- Chodźże - krzyknąłem - lepiej stąd wiejmy Ten typ do reszty oszalał.

Pobiegliśmy więc, gnając co sił w nogach.

W drodze do Dijon, wciąż jeszcze zaśmiewając się / całej tej hecy, powróciłem myślami do pewnego absurdałnego incydentu dość podobnej natury, który przytrafił mi się podczas krótkiego pobytu na Florydzie. Było to w czasie pamiętnych dni prosperity, kiedy to - jak tysiące innych dałem się zaskoczyć, nie podciągawszy na czas portek do góry. Usiłując wydostać się z tarapatów, wpadłem w nic wraz ze swoim przyjacielem aż po samą szyć.

Jacksonvilkk\ gdzie wylądowaliśmy na jakieś sześć tygodni, znajdowało się praktycznie w stanie obłączenia. Wyglądało na to, że każ dy łachmaniarz na kuli ziemskiej i wielu facetów nigdy przedtem nie zaliczających się do tej kategorii trafiło wprosi do Jacksonville. YMCA, Armia Zbawienia, remizy strażackie i komisariaty policji, hotele, domy noclegowe, wszystko było przepełnione. wszędzie complet i na każdym kroku tablice to właśnie oznajmiające. Mieszkańcy Jacksonvillc zrobili się tacy nieczuli, że odnosiłem wrażenie, jakby mieli na sobie pancerze. Znowu wypłynęła sprawa zasadnicza -

[268]

kwestia jedzenia. Jedzenia i miejsca, gdzie można by zlec. Jedzenie nadciągało całymi pociągami z południa - pomarańcze, grejppfruty i inne frykasy. Zwykliśmy łazić koło magazynów kolejowych w poszukiwaniu zgniłych owoców, ale nawet tych było niewiele.

Pewnego wieczoru, całkowicie zdesperowany, zaciągnąłem

Miller Henry - Zwrotnik Raka

mojego przyjaciela Joego do synagogi w czasie nabożeństwa. Była to zreformowana kongregacja i rabin zrobił na mnie dość pozytywne wrażenie. Muzyka też na mnie działała – ten przeszywający żydowski lament. Gdy tylko nabożeństwo się skończyło, poszedłem do gabinetu rabina i poprosiłem o chwilę rozmowy. Przyjął mnie zupełnie przyzwoicie, ale zachowywał pozory tylko dopóty, dopóki nie wyłuszczyłem mu celu mojej wizyty. Wówczas przestraszył się nie na żarty. A przecież poprosiłem go jedynie o wsparcie w imieniu mego przyjaciela Joego i swoim własnym. Sądząc z jego reakcji można by pomyśleć, że zwróciłem się do niego z prośbą o wynajęcie synagogi, aby uczynić z niej kręgielnię. Na dodatek zapytał mnie nagle prosto z mostu, czy jestem Żydem. Gdy odpowiedziałem przecząco, zdawał się szczerze oburzony. Czemuż zatem, na Boga, przyszedłem prosić o pomoc żydowskiego kapłana? Odparłem naiwnie, że zawsze pokładałem większą nadzieję w Żydach niż w gojach. Powiedziałem to skromnie, jakby była to jedna z moich specyficznych wad. Zresztą była to święta prawda. Ale nie pochlebilo mu to zanadto. O nie, ani trochę. Był przerażony, chcąc się mnie pozbyć, napisał nawet kartkę do ludzi z Armii Zbawienia. „Powinniście się zwrócić do nich” – stwierdził i odwrócił się gwałtownie, by zając się swymi owieczkami.

Armia Zbawienia nie mogła, rzecz jasna, nic mi zaoferować. Gdybyśmy mieli po dwadzieścia pięć centów na głowę, moglibyśmy dostać materac na podłodze. Ale obaj nie mieliśmy nawet dziesiątaka. Poszliśmy więc do parku i wyciągnęliśmy się na ławce. Nie padało, toteż przykry-

[269]
liśmy się gazetami. Nie minęło, jak sądzę, nawet pół godziny, kiedy nadszedł gliniarz i – bez słowa ostrzeżenia sprawił nam takie cięgi, że w mgnieniu oka byliśmy na nogach i nawet trochę płasaliśmy, chociaż nie mieliśmy zbyt nastroju do tańca. Czułem się tak cholernie przybity i nieszczęśliwy, tak przygnębiony tym, że ten głupawy skin wysyn wygrzmocił mi tyłek, że byłem gotów wysadzić w powietrze siedzibę władz miejskich.

Następnego ranka dla wyrównania rachunków / tymi gościnnymi kutasami stawiliśmy się o świcie u drzwi katolickiego księdza. Tym razem pozwoliłem, by Joe nawiązał. Był Irlandczykiem, mówił z lekkim akcentem, miał w dodatku takie łagodne niebieskie oczy, z których na życzenie nie mogły popłynąć łzy. Otworzyła nam siostra zakonna ubrana na czarno, ale nie poprosiła nas do środka. Mieliśmy poczekać w sieni, aż ona pójdzie po

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wielebnego ojca. Po kilku minutach zjawił się wielebny, sapiąc jak lokomotywa I czegoż takiego potrzebujemy, że przeszkadzamy jego wie-lebności o tak wczesnej porze? Czegoś do jedzenia i nocie gu, odpowiedzieliśmy, niczego nie podejrzewając. A skąd przybywacie? – chciał się natychmiast dowiedzieć. Z No wego Jorku. „Z Nowego Jorku, tak? Lepiej więc zabierajcie się z powrotem. I to już, moi drodzy” – powiedział z irlandzkim akcentem i ten wielki nadęty skurczybyk o twarzy jak rzepa bez słowa zatrzasnął nam drzwi przed nosem. Jakąś godzinę później, dryfując beznadziejnie niczym para pijanych szkunerów, przechodziliśmy przypadkiem znów koło probostwa. Dobry Boże, przysięgam, ten wielki bufon o twarzy jak rzepa i wyglądzie rozpustnika wyprowadzał właśnie z alejki limuzynę! Kiedy przemknął koło nas, wypuścił nam prosto w twarz chmurę spalin, jakby chciał powiedzieć – macie! Piękna to była limuzyna, nie ma co, z tyłu para zapasowych kół, a wielebny ojciec siedział za kierownicą z pękatym cygarem w zębach. Musiało to być cygaro Corona Corona, tak było grube i wonne. Nie-

[270]

/le mu się żyło, bez dwóch zdań. Nie dostrzegłem, c/y miał na sobie sutannę, czy nie. widziałem jedynie sos ciekący mu z ust – i to ogromne cygaro o półdolarowym aromacie.

Przez całą drogę do Dijon oddawałem się wspomnieniom. Myślałem o wszystkim, co mogłem powiedzieć i /robić, a czego nie powiedziałem i nie zrobiłem. Jakże gorzkie i upokarzające to chwile, kiedy poprosić o kruszynę chleba znaczy tyle samo, co rozpląszczyć się jak robak. Chociaż byłem zupełnie trzeźwy, wciąż czułem piekący ból doznanych niegdyś obelg i krzywd. Czułem jeszcze ciągi, jakich nie poskąpił mojej dupie ów gliniarz w parku, chociaż była to bagatelka, można rzec, mała lekcja tańca. Wędrowałem po całych Stanach, zahaczając o Kanadę i Meksyk: wszędzie to samo. Jeśli chcesz chleba, musisz chodzić w zaprzęgu, maszerować noga w nogę i trzymać krok. Całą Ziemię pokrywa szara pustynia, dywan ze stali i cementu. Produkcja! więcej nakrętek i śrub, więcej drutu kolczastego, więcej biszkopcików dla psów, więcej kosiarek do trawy, więcej łożysk, więcej materiałów wybuchowych, więcej trującego gazu, więcej mydła, więcej pasty do zębów, więcej gazet, więcej oświaty, więcej kościołów, bibliotek, muzeów. Naprzód! Czas nagli. Embrion przeciska się przez szyjkę macicy, a nikt tam nawet nie splunie, by mu ułatwić wyjście. Suchy, na wpeł uduszony płód. Nie zakwili, nie zaszczebio-ce. Salut au

Miller Henry - Zwrotnik Raka

monde! salut z dwudziestu jeden dział oddany z odbytu. „Noszę kapelusz jak mi się podoba – w domu i na dworze” – powiedział walt. Było to w czasach, kiedy można było jeszcze dostać kapelusz, który na ciebie pasował. Ale czas mija. Teraz by dostać odpowiedni kapelusz, trzeba iść na krzesło elektryczne. Nakładają ci tam taką piuskę. Trochę przyciasna, co? Nie szkodzi. Pasuje jak ulał!

Trzeba znaleźć się w obcym kraju jak Francja, spacerować po południku oddzielającym półkulę życia od półkuli śmierci, by zrozumieć, jakie czekają nas nieprzewidziane perspektywy. Ja elektryczne! Demokratyczna dusza! Fala [271]

przyboju! Przenajświętsza Panienko, cóż znaczą te pierdoły'' Ziemia jest wysuszona i spękana. Mężczyźni i kobiety spotykają się niczym stada sępów nad śmierdzącą padliną parzą się i rozlatują, każde w swoją stronę. Przypominają sępy spadające z nieba jak głazy. Szpony i dziób – do tego się sprowadzamy! Jesteśmy tylko ogromnym przewodem pokarmowym, a co więcej, potrafimy wyczuć padlinę. Na przód! Naprzód bez litości, bez współczucia, bez miłości i bez przebaczenia. Nie prosz o parę centów i nie dziel się ni mi! Więcej pancerników, więcej gazu trującego, więcej ma teriałów wybuchowych! Więcej goriokoków! Więcej pacioi kowców! Więcej maszyn bombardujących! Więcej i jeszcze raz więcej, aż cały ten pierdolony interes wyleci w powietrze, rozleci się na kawałki – i świat razem z nim.

Już wysiadając z pociągu wiedziałem, że popełni łem fatalny błąd. Liceum znajdowało się w pewnej odległości od stacji; szedłem główną ulicą w półmroku zimowego zmierzchu, szukając na oślep drogi do miejsca mego przeznaczenia. Padał drobny śnieg, drzewa lśniły od mrozu. Minąłem kilka ogromnych, pustych kawiarni wyglądających równie ponuro jak dworcowe poczekalnie. Wionęło od nich smutkiem i przygnębiającą pustką. Beznadziejne zadupie, miasteczko, w którym produkuje się musztardę, tony musztardy, całe cysterny i kadzie, i beczki, i gary, i takie śliczne malutkie słoiczki. Pierwsze spojrzenie na Liceum, i ciarki mnie przeszły. Byłem do tego stopnia niezdecydowany, że u bramy przystanąłem, by rozważyć: wejść czy nie. Ponieważ jednak nie miałem na bilet powrotny, nie było się nad czym zastanawiać. Pomyślałem przez chwilę o wysłaniu telegramu do Fillmore'a, ale nie miałem pojęcia, jak mu to wyjaśnić. Jedyne co mi pozostało, to zamknąć oczy i wejść do środka.

Tak się złożyło, że M. ła Provisieur był nieobecny – miał

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wolny dzień, jak mnie poinformowano. Pojawił się mały garbus i zaproponował, że zaprowadzi mnie do biura [272]

M. le Censeur, jego zastępcy. Szedłem parę kroków i nim, zafascynowany jego groteskowym kuśtykaniem i był małym potworkiem, jakiego zobaczyć można w hotelu i pierwszej z brzegu gównianej europejskiej katedry, Biuro M. le Censeur było wielkie i pusłe. I isyud le na niewygodnym krześle, by zaczekać, a garbus poszedł poszukać zastępcy. Poczuję się prawie jak w domu. Atmosfera tego miejsca żywo przypominała mi niektóre biura instytucji charytatywnych w Stanach; przesiadywałem w nich godzinami w oczekiwaniu na pojawienie się jakiegoś oblesnie słodkiego skurwysyna, który miał przeprowadzić ze mną rozmowę. Drzwi otworzyły się gwałtownie i wyniośle, posuwicie wkroczył M. le Censeur. Z trudem udało mi się powstrzymać od śmiechu. Miał na sobie identyczny frak jak ten noszony swego czasu przez Borysa, a nad czołem grzywkę, coś w rodzaju loczka, jaki przyozdabiał zapewne czoło Smierdiakowa. Poważny i zimny, o oczach rysia, nie tracił słów, by mi dodać otuchy. Od razu przyniósł arkusze z wypisanymi nazwiskami uczniów, godzinami zajęć itp., wszystko wypełnione starannym charakterem pisma. Powiadomił mnie, ile mi przysługuje węgla i drewna, po czym poinformował szybko, że w czasie wolnym od zajęć mogę robić, co mi się podoba. To ostatnie było pierwszą dobrą wieścią, jaką od niego usłyszałem. Brzmiało to tak krzepiąco, że czym prędzej odmówiłem pacierz za Francję – za wojska lądowe i marynarkę, system kształcenia, bistra, cały ten cholerny interes. Po tych ceregielach zadzwonił małym dzwoneczkiem, na co natychmiast zjawił się garbus, by odprowadzić mnie do biura M. l'Econome. Tu panowała nieco inna atmosfera. Trochę jak na stacji towarowej, wszędzie listy przewozowe i pieczątki, urzędnicy o ziemistych twarzach jak wariaci gryzmołący coś połamanymi ołówkami w wielkich, ciężkich księgach. Po wydzieleniu mi przydziału węgla

10 - Zwrotnik...

[273]

i drewna odmaszerowaliśmy, garbus z teczką i ja, do bursy. Miałem zająć pokój na najwyższym piętrze, w tym samym skrzydle co pions. Sytuacja zaczynała być humorystyczna. Nie miałem pojęcia, czego, do diabła, spodziewać się /a chwilę. Może spluwaczki. Cała sprawa zakrawała na przygotowania do kampanii wojennej, brakowało tylko piecu ków, karabinów i mosiężnych naboii.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Pokój, który mi wyznaczono, był dość duży. Stał w nim mały piecyk, od którego odchodziła wygięta rura, nad żelazną pryczą, bezpośrednio w kolanko. Duża skrzynia na opał stała tuż przy drzwiach. Okna wychodziły na szereg smutnych domków z kamienia; mieszkali w nich sklepikarz, piekarz, szewc, rzeźnik itd. – same gbury o wyglądzie imbecyli. Spojrzałem ponad dachami na gołe wzgórza, skąd dochodził stukot pociągu. Gwizd lokomotywy zabrzmiał jak żałobny, histeryczny krzyk.

Gdy garbus rozpałił w piecu, zapytałem go o ża rcie. Nie była to jeszcze pora obiadu. Zwaliłem się na łóżko i przykryłem płaszczem. Obok stał nieśmiertelny kulawy stolik, taki w którym zwykle chowa się nocnik.

Postawiłem na nim budzik i patrzyłem, jak miarowo odlicza minuty. Do pokoju, który nieodparcie przywodził mi na myśl studnię, sączyło się z ulicy niebieskawe światło. Słuchałem stukot n przejeżdżających wózków, gapiąc się bezmyślnie na rurę od piecyka, na kolanko przymocowane kawałkami drutu. lit trygowała mnie skrzynia na węgiel. Nigdy w życiu nie za jmowałem pokoju, w którym znajdowałby się podobny sprzęt. Nigdy w życiu nie rozpałałem też ognia i nie uczyłem dzieci. A także, skoro już o tym mowa, nigdy w życiu napracowałem bez zapłaty. Czułem się wolny, ale i skrępowa ny, jak człowiek tuż przed wyborami, kiedy wszyscy kancią rze mają już nominacje w kieszeni, a ciebie nagabują, byś głosował na właściwego faceta. Czułem się jak najemnik, jak majster do wszystkiego, jak myśliwy, włóczęga, jak galernik, jak pedagog, jak robak i wesz. Byłem wolny, ale na

[274]

rękach i nogach miałem kajdany. Przypominałem demo ■Etyczną duszę mającą bony na darmowy posik-k, ale |><> /bawioną możliwości poruszania się, bez prawa do głodu. Czułem się jak meduza przybita gwoździem do ściany. л przede wszystkim odczuwałem głód. wskazówki przesuwwały się powoli. Jeszcze muszę zabić te dziesięć minut, nim za-wyje syrena. Cienie w pokoju pogłębiły się. Zrobiło się przeraźliwie cicho, zapanował pełen napięcia bezruch, który mi działał na nerwy. Małe drobiny śniegu przylepiły się do okien. w oddali przeraźliwie zawyła lokomotywa. I znów martwa cisza. Piecyk nadal rzucał nikłe światło, ale nie dawał ciepła. Zacząłem się obawiać, że zasnę i przegapię obiad. Oznaczałoby to, że będę leżał o pustym żołądku i nie zasnę już tej nocy. wpadłem w panikę.

Na chwilę przed gongiem zerwałem się z łóżka i zamknąwszy drzwi na klucz, rzuciłem się schodami na

Miller Henry - Zwrotnik Raka

dziejziniec. Tam się pogubiłem. Czworobok za czworobokiem, jedne schody po drugich. Wchodziłem i wychodziłem z budynków, desperacko poszukując refektarza. Minałem długi szereg młodzieńców maszerujących parami w kolumnie, Bóg wie dokąd; posuwali się naprzód jak skuci łańcuchem niewolnicy, z dozorcą na czele. W końcu spostrzegłem zdążającego w moją stronę osobnika o energicznym wyglądzie. Zatrzymałem go, pytając o drogę do refektarza. Przypadkiem zatrzymałem właściwego człowieka. Był to M. le Pro-viseur i wydawał się zachwycony faktem, że się na mnie natknął. Od razu spytał, czy się wygodnie urządziłem i czy mógłby dla mnie coś jeszcze zrobić. Powiedziałem mu, że wszystko jest o.k. Tyle że trochę chłodno, ośmieliłem się dodać. Zapewnił mnie, że obecna pogoda jest dość nietypowa. Bywa, że nadciągają mgły i spada trochę śniegu, a wówczas przez parę dni nie jest zbyt przyjemnie itd., itp. Wiodąc mnie do refektarza, przez cały czas trzymał mnie pod ramię. Wydał mi się bardzo porządnym człowiekiem. Równy chłop, pomyślałem sobie. Posunąłem się nawet tak daleko,

[275]

że wyobraziłem sobie, jak to się z nim zaprzyjaźnię, a on bidzie mnie zapraszać do swego pokoju w przejmujące, zimne wieczory i przyrządzać mi gorący grog. Wyobraziłem sobie różne wzajemne przyjazne gesty w ciągu tych kilku chwil jakie zajęło dojście do drzwi refektarza. Tutaj, gdy mój mózg pracował jak szalony, nagle potrząsnął moją ręką; i zdejmując kapelusz, życzył mi dobrej nocy. Byłem tak zdu miony, że też uchyliłem kapelusza. Wkrótce odkryłem, że to tutaj normalne. Przechodząc koło jakiegoś belfra czy nawel M. l'Econome'a, zdejmujesz kapelusz, choćbyś mijał tego samego faceta dziesięć razy dziennie. Wszystko jedno musisz go w ten sposób pozdrowić, choćby twój kapelusz był solidnie sfatygowany. To należy do etykiety.

W każdym razie udało mi się znaleźć refektarz

Przypominał klinikę na East Side – kafelki na ścianach, gołe żarówki, stoły z marmurowymi blatami. I oczywiście wielki piec z rurą w kształcie kolanka. Nie podawano jeszcze obiadu. Jakiś kaleka biegał tam i z powrotem rozno sząc talerze, noże, widelce i butelki wina. W rogu sali rozmawiało z ożywieniem kilku młodych ludzi. Podszedłem do nich i przedstawiłem się. Przyjęli mnie niezwykle serdecznie. W gruncie rzeczy trochę zbyt serdecznie. Nie mogłem tego rozgryźć. W jednej chwili sala zaczęła się zapełniać; przed stawiono mnie szybko wszystkim po kolei. Oni zaś otoczyli mnie kołem i

Miller Henry - Zwrotnik Raka

napełniając szklanki zaśpiewali:

Uautre soir l'idee m'est venue
Cre nom de Zeus d'enculer un pendu;
Le vent se leve sur la potence,
Voila mon pendu qui se balance.
J'ai dii l'enculer en sautant,
Cre nom de Zeus, on est jamais content.
Baiser dans un eon trop petit,
Cre nom de Zeus, on secorche le vit;
[276]

Baiser dans un eon trop large,
On ne sait pas ou von decharge;
Se branler etant bien emmerdant,
Cre nom de Zeus, on est jamais content.

Na co Quasimodo oznajmił, że podano do stołu.
Les surveillants stanowili wesołą paczkę. Był wśród nich
Kroa, bekający jak świnia i pierdzący głośno, gdy
zasiadał do stołu. Poinformowano mnie, że potrafi
pierdnąć trzynaście razy z rzędu. Był w tej dziedzinie
rekordzistą. Był także księżę, atleta, lubiący zakładać
smoking, gdy wieczorem wybierał się do miasta; miał
piękną cerę, zupełnie jak dziewczyna, i nigdy nie brał
do ust wina ani nie czytał niczego, co mogłoby wymagać
jakiegoś wysiłku umysłowego. Obok niego siedział Petit
Paul z Midi – przez cały czas nie myślał o niczym poza
cipą, każdego dnia powtarzał – „a partir de jeudi je ne
parlerai plus de femmes”. Wespół z księciem stanowili
nierozłączną parę. Był jeszcze Passeleau, bir-bant co
się zowie, który studiował medycynę i na prawo i lewo
pożyczał pieniądze; bez przerwy rozprawiał o
Ronsar-dzie, Villonie i Rabelais'm. Naprzeciwko mnie
siedział Mol-lasse, agitator i organizator pions, który
upierał się, by ważyć mięso w celu sprawdzenia, czy
porcjom nie brakuje przypadkiem paru gramów. Zajmował
mały pokój w budynku szpitalnym. Największym jego
wrogiem był Mon-sieur FEconome, co nie wyróżniało go
szczególnie, ponieważ to indywiduum było powszechnie
znienawidzone. Towarzyszem Mollasse'a był jegomość
nazywany Le Penible, groźnie wyglądający facet o
jastrzębim profilu, typ niezwykle oszczędny, który nie
gardził lichwą. Wyglądał niczym postać ze sztychu
Albrechta Dtirera – kombinacja tych wszystkich srogich,
zgorzkniałych, posepnych, nieszczęśliwych, pechowych
wariatów o skłonnościach do introwersji składających się
na panteon średniowiecznego rycerstwa niemieckiego. Nie
ulega wątpliwości, że był Żydem. W każ-

[277]

dym razie zginął w wypadku samochodowym wkrótce po moim

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przyjeździe, okoliczność, która przyniosła mi dw; i
dzieścia trzy franki ekstra. Z wyjątkiem siedzącego obok
mnie Renauda, pozostali ulecieli z mej pamięci; należeli
ili> tej kategorii bezbarwnych osobników, z których
składa się świat inżynierów, architektów, dentystów,
aptekarzy, nil uczycieli itp. Nie było nic, co
odróżniałoby ich od motlo chu, którym będą później
pomiatać. Każdy z nich był zerem w całym tego słowa
znaczeniu; i właśnie takie zera składa \ą się na jądro
tej szanownej, żałosnej socjety. Jadali ze spu szczonymi
głowami i zawsze byli pierwsi, by głośno dopo minąć się
o dokładkę. Sypiali mocno i nigdy nie narzekali nie byli
radośni ani nieszczęśliwi. Należeli do tych obojel nych,
których Dante wysłał do przedsionka piekła. Sama
śmietanka.

Po obiedzie było w zwyczaju chadzać do miasta, chyba że
miało się akurat dyżur w bursie. W centrum znajdowały
się kawiarnie – ogromne, ponure sale, gdzie zbierali się
ospali kupcy z Dijon, żeby pograć w karty i posłu chać
muzyki. W kawiarniach było ciepło i nic lepszego nic
mogę o nich powiedzieć. No, krzesła też były całkiem
wygodne. Siedziało tam zawsze parę kurw, które – za
kufel piwa albo filiżankę kawy – przysiadają się, by
trochę pogawędzić. Muzyka była tam jednak okropna. Co za
muzyka! Nie ma nic bardziej dokuczliwego w zimową noc w
takiej zapadłej dziurze jak Dijon, nic, co bardziej
działa ci na nerwy, niż dźwięki francuskiej orkiestry.
Zwłaszcza gdy jest to jedna z tych żałosnych orkiestr
żeńskich, w których każdy dźwięk przypomina kwiczenie
lub pierdnięcie, posiada suchy algebraiczny rytm i
higieniczną konsystencję pasty do zębów. Charczenie i
zgrzytanie, wykonywane za tyle to a tyle franków na
godzinę, a resztę niech diabli wezmą! Melancholia tej
muzyki! zupełnie jak gdyby stary Euklides uniósł się na
tylne kończyny i połknął kwas pruski. Całe królestwo
Idei tak doszczętnie wyeksploatowane przez rozum, że do
[278]

robienia muzyki nie pozostaje nic poza pustymi żeberkami
akordeonu, w których gwizdże wiatr, drąc eter na
strzępy. Chociaż rozprawianie o muzyce w związku z tą
dziurą jest jak mówienie o szampanie w celi śmierci.
Muzyka była /resztą najmniejszym z moich zmartwień. Nie
myślałem nawet o cipie, tak mętne, deprymujące, jałowe i
szare było to wszystko. Tego pierwszego wieczoru
zauważyłem w drodze do domu na drzwiach kawiarni cytat z
Gargantui. W środku lokal przypominał kostnicę. Mimo to
naprzd!

Miałem mnóstwo czasu i ani jednego sou. Dwie, trzy

Miller Henry - Zwrotnik Raka

godziny konwersacji dziennie, to wszystko. Ale jakież to miało sens, po co uczyć tych biednych skurczybyków angielskiego? Żal mi ich było jak diabli. Przez cały ranek musieli mozolić się nad John Gilpin 's Ride, a po południu przychodzić do mnie na ćwiczenia z martwego języka. Pomyślałem, jak dobrze mogłem się niegdyś sam bawić, zamiast tracić czas na lekturę Wergiliusza lub męczyć się nad niezrozumiałymi bzdurami w rodzaju Hermann und Dorothea. To istne szaleństwo! Nauka – pusty spichlerz. Pomyślałem o Carlu, który potrafi recytować Fausta od końca, który nie napisze książki, nie wychwalając jak cholera swojego nieśmiertelnego, niezniszczalnego Goethego. A przy tym nie miał dość rozumu, by dobrać się do tej bogatej cipy i sprawić sobie nową bieliznę. Jest coś nieprzyzwoitego w tym umiłowaniu przeszłości; coś, co zwykle kończy się kolejkami po chleb i budowaniem schronów. Coś nieprzyzwoitego, co dotyczy duchowego oszustwa pozwalającego jakiemuś kretynowi kropić święconą wodą grube berty, pancerniki i materiały wybuchowe. Każdy człowiek z brzuchem wypchanym klasykami jest wrogiem rodzaju ludzkiego.

Oto tkwiłem tu, ponoć po to, by głosić ewangelię przyjaźni francusko-amerykańskiej jako emisariusz trupa, który, plądrując na prawo i lewo, zadając nieopisane cierpienia i krzywdy, marzył o zaprowadzeniu uniwersalnego pokoju. Faj! Ciekaw jestem, o czym to ja miałem wedle ich

[279]

oczekiwać mówić? O źdźbłach trawy, o barierach celnych, o Deklaracji Niepodległości, o ostatniej wojnie gangów? <) czym? Bardzo chciałbym wiedzieć. Dobrze, powiem wam – nigdy nawet o tym wszystkim nie wspomniałem. Zaczę) łem prosto z mostu od lekcji na temat fizjologii miłości. Jak kochają się słonie – właśnie od tego! Temat chwycił jak po żar buszu. Po pierwszej lekcji zapełniły się puste ławki. Po pierwszej lekcji angielskiego stali i oczekiwali mnie w drzwiach. Stosunki między nami układały się świetnie. Zadawali najróżniejsze pytania, jakby do tej pory niczego się nie nauczyli! Pozwoliłem im strzelać pytaniami na oślep. Nauczyłem ich podejmować kwestie jeszcze bardziej drażliwe. Pytajcie o wszystko! było moim mottem. Jestem tu pełnomocnikiem świata wolnych duchów. Jestem tu po to, by rozpalić gorączkę, spowodować ferment. „W pewnym sensie” – twierdzi wybitny astronom – „wszechświat materialny zdaje się przemijać jak opowieść przegradzając się w nicość przypominającą zjawę”. Wydaje się, że takie jest ogólne odczucie,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Leżące u podłoża pustego spichlerza nauki. Jeśli o mnie chodzi, nie wierzę w to. Nie wierzę ani jednej pierdolonej teorii, którą te skurwysyny usiłują nam wcisnąć.

Jeśli nie miałem nic do czytania, to między lekcjami szedłem na górę do bursy i rozmawiałem z pions. Byli wspaniałymi ignorantami, zwłaszcza gdy chodziło o ich orientację w tym, co się wokół dzieje, szczególnie w świecie sztuki. Nieomal dorównywali swoim uczniom. Zupełnie jakbym się znalazł w prywatnym domu wariatów bez strzałek wskazujących wyjście. Czasami weszylem pod arkadami, obserwując, jak dzieciaki łążą w kółko z wielkimi pajdami chleba w swoich brudnych ryjach. Sam byłem wiecznie głodny, jako że nie udawało mi się nigdy zejść na śniadanie, serwowane o jakiejś pogańsko wczesnej godzinie, kiedy w łóżku robiło się wreszcie przytulnie. Śniadanie składało się z sino-niebieskiej kawy w wielkich wazach i pszennego chleba bez
[280]

masła. Na lunch podawano fasolę lub soczewicę, do którą wrzucano kawałki mięsa, by wyglądała apetyczniej. Zircił dobre dla niewolników pracujących w kamieniołomach Nawet wino było kiepskie. Wszystko albo rozwodnione, al bo rozdęte. Zawierało to kalorie, ale w niczym nie przypominało sztuki kulinarnej. Jak utrzymywano, odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosił M.

l'Econome, ale i w to także nie wierzę. Opłacano go, by utrzymywał nas na powierzchni. Nie pytał nikogo, czy cierpi na hemoroidy, czy karbunkuły; nie interesowało go, czy mamy delikatne podniebienia, czy wilczy apetyt. Po cóż miałyby się tym interesować? Wynajęto go, by na talerz przypadało tyle a tyle kalorii, które dadzą tyle a tyle kilogramów energii. Wszystko w kategoriach koni mechanicznych, wyliczone starannie w grubych księgach, w których urzędnicy o ziemistych cerach bazgrali rano, w południe i wieczorem. Debit i credit, oddzielone czerwoną linią pośrodku strony.

Włóczęc się po tych czworobokach, przeważnie o pustym żołądku, poczułem, że trochę wariuję. Jak Karol Szalony, biedaczysko, tyle że ja nie miałem żadnej Odette Champdivers, z którą mógłbym zabawiać się paluszkami. Zwykle musiałem zabierać papierosy uczniom, czasami podczas lekcji żułem wraz z nimi kawałki suchego chleba. Ponieważ ciągle gasł mi ogień w piecu, wkrótce zużyłem swój przydział drewna. Cholery można było dostać, gdy próbowałem wyłudzić trochę opału molestując tych urzędników od ksiąg. W końcu zirytowałem się tak dalece, że chodziłem po ulicach niby jakiś Arab w poszukiwaniu

Miller Henry - Zwrotnik Raka

czegoś na rozpałkę. Zdumiewające, jak mało drewna można znaleźć na ulicach Dijon. Jednak te drobne wyprawy zawiodły mnie w dziwne okolice. Poznałem uliczkę nazwaną imieniem niejakiego M. Philiberta Papillona, jak mi się wydaje, zmarłego muzyka. Było tam siedlisko burdeli i zawsze trochę więcej radości życia, pachniało gotowanymi potrawami, na sznurach suszyła się bielizna. Od czasu do czasu

[281]

dostrzegałem te biedne wariatki wałkoniące się w środku. Były w lepszej sytuacji niż diablice w centrum miasta, na które wpadałem, ilekroć szwendałem się po domu towarowym. Często tam chodziłem, by się rozgrzać. Sądzę, że one robiły to z tego samego powodu. Szukały kogoś, kto by im postawił kawę. Wyglądały na odrobinę szalone z zimna i samotności. Całe miasto sprawiało wrażenie szalonego, kiedy ogarniał je wieczorny błękit. Można było łązić w tę i z powrotem po głównej ulicy aż do usranej śmierci i nie spotkać nikogo, kto okazałby jakieś zainteresowanie. Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt tysięcy ludzi – może nawet więcej – opatulonych w wełnianą bieliznę, a nie ma dokąd pójść i co ze sobą zrobić. Nic, tylko produkują musztardę, tony musztardy. Żeńskie orkiestry znęcają się nad wesołą wdówką. W wielkich hotelach srebrne nakrycia i obsługa w białych rękawiczkach. Pałac książęcy gnije powoli, kamień po kamieniu, skrzydło za skrzydłem. Drzewa skrzypią od mrozu. Nieustanny stukot drewnianych chodaków. Uniwersytet obchodzi rocznicę śmierci Goethego, a może urodziny, już nie pamiętam. (Zwykle obchodzi się rocznice śmierci). W każdym razie idiotyczna sprawa. Wszyscy ziewają i przeciągają się.

Gdy wysoko sklepionym podjazdem wstępowałem w obszar czworoboku, opanowywało mnie zawsze poczucie bezdennej daremności. Na zewnątrz – ponuro i pusto; wewnątrz – ponuro i pusto. Nad miastem wisiała jakaś mętna jałowość, mgła książkowej wiedzy. Żużel i popioły przeszłości. wokół wewnętrznych dziedzińców ciągnęły się sale lekcyjne, małe domki, jakie można zobaczyć w lasach Północy; pedagodzy bez przeszkód pletli tu, co im ślina na język przyniesie. Na tablicy bezużyteczna abrakadabra; przyszli obywatele republiki tracą całe życie na to, by ją zapomnieć. Od czasu do czasu przyjmowano rodziców w położonym tuż koło podjazdu pokoju recepcyjnym, gdzie umieszczono popiersia takich bohaterów przeszłości, jak

[282]

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Moliere, Racine, Corneille, Voltaire i inni, ws/\ .ii(li h tyi h strachów na wróble, o których ministrowie wSpomlnMj(j n śliną na wargach, gdy tylko jakiś nieśmiertelny w/boji n I gabinet figur woskowych. (Brak popiersia Villona, brak po piersią Rabelais'go, brak popiersia Rimbauda). Tak C7.y owak, to tutaj spotykali się na uroczystym konklawe rodzi ce i bufoni wynajęci przez Państwo, by wypaczać umysły młodzieży. Zawsze ten proces wypaczania, do złudzenia przypominający porządkowanie trawników, by uczynić umysły atrakcyjniejszymi. Czasami przychodzili tu i młodzi – te małe słoneczniki, które wkrótce zostaną przesadzone ze szkółki, by przyozdobić miejskie trawniki. Niektóre z tych słoneczników były plastikowe, łatwe do odkurzenia za pomocą kawałka podartej koszuli. Wszyscy oni branzlowa-li się zapamiętałe, gdy tylko zapadł zmrok. Ach, te sypialnie, w których paliły się czerwone światełka, gdzie dzwonki brzęczały jak syrena pożarowa i gdzie schody były wyszczerbione, bo tak zabijali się o dostęp do wiedzy.

A ta zgraja belfrów! w ciągu kilku pierwszych dni posunąłem się tak daleko, że z kilkoma zamieniłem uścisk dłoni; zawsze też, rzecz jasna, uchylaliśmy kapeluszy, ilekroć mijaliśmy się pod arkadami. Ale jeśli chodzi o jakąś serdeczną rozmowę, pójdzie gdzieś w kąt na drinka, to nic z tych rzeczy. Było to nie do pomyślenia. Na ogół sprawiali wrażenie, jakby przez cały czas robili w spodnie ze strachu. Ja w każdym razie należałem do innej kategorii. Nie chcieliby dzielić nawet wszy z kimś takim jak ja. Już sam ich widok tak mnie irytował, że przeklinałem cicho, gdy tylko ich ujrzałem. Stałem tam często wsparty o filar, z papierosem w kąciku ust, w kapeluszu nasuniętym na oczy, a gdy znaleźli się dostatecznie blisko, spluwałem soczyście i – uchylałem kapelusza. Nie chciało mi się nawet otwierać gęby, by ich pozdrowić. Bąkałem po prostu pod nosem: „Pierdol się, Pierre!” – i to wszystko.

Po tygodniu wydawało mi się, że tkwię tu całe ży-
[28]\

cie. Przypominało to jakiś cholerny, kurewski koszmar, z którego nie można się otrząsnąć. Kiedy o tym myślałem, popadałem w stan odrętwienia. A przecież przyjechałem tu zaledwie parę dni temu. Zapada zmrok. Pod zamglonym światłem latarń ludzie pędzą do domów jak szczury. Drzewa skrzą się złośliwie jak brylanty. Wszystko to przemyślałem z tysiąc razy albo i więcej. Droga od stacji do Liceum przypominała spacer Korytarzem Gdańskim, postrzępionym, spękany, z włóknami nerwów na

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wierzchu. spacer aleją zasłaną ludzkimi kośćmi, gdzie czają się powykrzywiane, skulone postacie spowite w całuny, o kręgosłupach z ości sardynek. Samo Liceum wydawało się wznosić z jeziora drobnego śniegu, jak odwrócona góra, skierowana wierzchołkiem ku Środkowi Ziemi, gdzie Bóg albo Szatan pracuje bez ustanku w kaftanie bezpieczeństwa, mieląc ziarno na potrzeby tego rajy, który niezmiennie okazuje się snem zakończonym nocną polucją. Nie pamiętam, by kiedykolwiek świeciło tam słońce. Nie pamiętam niczego poza zimnymi, tłustymi mgłami nadciągającymi od zamrażniętych bagien, hen stamtąd, gdzie tory kolejowe wgrzyzały się w ponure wzgórza. W dole koło stacji leżał kanał lub rzeka, ukryta pod żółtym niebem, a małe szopy tkwiły jak przyklepione bezpośrednio do stromego brzegu. Gdzieś tam były i koszary, uświadomiłem sobie nagle, gdyż od czasu do czasu spotykałem małych żółtych mężczyzn z Kochinchiny – zwinne karły o opiumowych twarzach wyczernionych z nazbyt obszernych mundurów niczym kościotrupy zapakowane w trociny. Cała cholerna średniowieczność tego miejsca była piekielnie krucha i niespokojna – kołysała się w przód i w tył pojękując cicho, wyskakiwała na ciebie spod okapów, zwisała z gargulców jak skazańcy ze skręconym karkiem. Bez przerwy odwracałem się za siebie, chodziłem jak krab poszturchiwany brudnym widelcem. Wszystkie te małe otyłe potworki, te klocowate figurki przyklepione do fasady kościoła św. Michała wlokły się za mną, gdy spacerowałem [284]

po krętych alejkach lub skręcałem za narożnik < ił i.щииі otwierała się w nocy jak album, stawiając cif i\\\.п.-.|" twarz z horrorem zadrukowanej strony. Kiedy pogH I światła i postacie powróciły do swego płaskiego bytu, mił tve jak słowa, wówczas fasada wyglądała doprawdy wipi niale; w każdym załomie chropowatego frontonu n>/ brzmiewała stłumiona nocna pieśń wichru, a koronkową ruinę ziemnych, sztywnych ornatów pokrywał mętny śluz z mgły i mrozu przypominający absynt.

W miejscu, gdzie stał kościół, wszystko wydawało się przestawione tyłem do przodu. On sam musiał zostać przesunięty ze swych fundamentów przez stulecia wędrówki w deszczu i śniegu. Przycupnął przed wiatrem na Place Ed-gar-Quinet niby martwy muł. Wiatr pędził przez Rue de Monnaie jak szaleńczo rozwiane siwe włosy: kołował wokół białych słupków, uniemożliwiających przejazd omnibusom i zaprzęgom z dwudziestu mułów. Pędząc tamtędy wczesnym rankiem, wpadałem czasami do Monsieur Renauda, który –

Miller Henry - Zwrotnik Raka

owinięty niczym jakiś żarłoczny mnich w płaszcz z kapturem - zabiegał o moje względy, zwracając się do mnie szesnastowiecznym językiem. Gdy się z nim zrównałem, a księżyc przedzierał się przez tłuste niebo jak przekłuty balon, popadałem natychmiast w sferę bytów transcendentnych. Monsieur Renaud wyrażał się precyzyjnie słowami przypominającymi suszone morele o ciężkiej brandenburskiej podstawie. Atakował mnie ostro cytatem z Goethego lub Fichtego, a jego głębokie basowe tony dudniły w wietrznych zaułkach placu jak grzmoty zeszłorocznej zimy. Mieszkańcy Jukatenu, mieszkańcy Zanzibaru, mieszkańcy Ziemi Ognistej, ratujcie mnie przed tym sinawym świńskim ogonem! Osacza mnie Północ, lodowcowe fiordy, kręgi o błękitnych wierzchołkach, oszalałe światła, obsceniczna chrześcijańska pieśń, niosąca się jak burza od Etny do Morza Egejskiego. Wszystko zamarzło na kość, mózg skostniał w skorupie mrozu, a przez melancholijną żalność błyskotli-

[285]
wej paplaniny przedziera się zdławiony jazgot świętych kłasnanych przez wszy. Jestem wprawdzie cały biały i opatulony w wełnę, niby spowity w pieluszki, spętany, niedołączony, ale nie mam w tym żadnego udziału. Biały aż do kości, ale o zimnej zasadowej podstawie, z palcami o szafranowych opuszkach. Biały – zgoda, ale nie należę do braci krzewicieli wiedzy, nie mam katolickiego serca. Jestem biały i bezwzględny, jak mężczyźni przede mną, którzy znad Elby wyruszyli w świat. Sięgam wzrokiem morza i nieba, tego co niezrozumiałe i odległe bliskie. Śnieg pod stopami umyka przed wiatrem, owiewa wszystko, łaskocze, parzy, sepleni, wiruje do góry, sypie, rozdrabnia się i przysypuje nas. Nie ma słońca, ryku fal, przypływu. Zimny północny wiatr uzbrojony w kolczaste ostrza,, lodowate, wrogie, nienasycone ostrza, które niweczają nasze nadzieje i paraliżują myśli. Ulice odwracają się na zgiętych łokciach, umykają przed przelotnym, niechętnym spojrzeniem. Kuśtykając uciekają w dół osypującej się koronkowej roboty, odwracają kościół tyłem do przodu, koszą posągi, spłaszczają pomniki, wyrrywają z korzeniami drzewa, usztywniają trawę, wysysają z ziemi aromat. Liście matowieją jak cement, żadna rosa już nie przywróci im blasku. Żaden księżyc nie posrebrzy ich agonii. Pory roku stanęły w martwym punkcie, drzewa bledną i usychają, furgony toczą się koleinami z miki, ślizgając się z łoskotem przypominającym dźwięki harfy. W kotlinie pośród białych wierzchołków wzgórz drzemie ponure, pozbawione kręgosłupa Dijon. Nie ma tu ani jednego żywego

Miller Henry - Zwrotnik Raka

człowieka, nikt nie spaceruje wśród nocy poza niespokojnymi duchami, podążającymi na Południe w kierunku elektrod z szafiru. A przecież ja jestem na nogach i krążę po ulicach jak chodzący duch, człowiek sterroryzowany przez bezduszną normalność tej geometrii rzeźni. Kim jestem? Co tu robię? Spadam pomiędzy zimne ściany ludzkiej złośliwości, zatrwożona biała postać, tonąca w lodowatym jeziorze, a nade mną
[286]

wznosi się góra czaszek. Muszę zamieszkać w zimnej strefie klimatycznej. Kredowe schody zalewa struga indygo. Ziemia w swoich mrocznych korytarzach poznaje mój krok, czuje na sobie stopę, poruszenie skrzydeł, jęk i drżenie. Słyszę wykpiwaną, bezużyteczną naukę, postaci pnące się do góry, odchody nietoperzy unoszone w powietrze i pobrzękujące złotymi skrzydłami z tektury; słyszę zderzenia pociągów, brzęk łańcuchów, sapanie lokomotywy, jej prychanie, węszenie, parowanie i sikanie. Wszystko dociera do mnie poprzez przejrzystą mgłę i niesie zapach powtórzeń, żółte kociokwiki, rany boskie! i plamy na pościeli. W martwym punkcie, sporo poniżej Dijon, sporo poniżej regionów hi-perborealnych stoi bóg Ajaks, zaprzęgnięty do młyńskiego koła, a oliwki chrześzczą, zielona woda bagienna ożywa od rechotania żab.

Mgła i śnieg, zimna strefa klimatyczna, intensywna nauka, niebieska kawa, chleb bez masła, zupa i soczewica, ciężko strawna fasola z kawałkiem wołowiny, zjełczały ser, gliniaste żarcie, kiepskie wino spowodowały w całym zakładzie stan obstrukcji. I akurat kiedy wszystkim zamarzło w tyłkach gówna, zamarzły też rury kanalizacyjne. Stos gówna rośnie jak mrowisko; trzeba schodzić z podnóżków i zostawiać je na podłodze. Leży tam zesztyniałe i zamarzniete w oczekiwaniu odwilży. W czwartki pojawia się garbus ze swymi małymi taczkami, miotełką zgarnia zimne, sztywne kawały gówna i toczy się, powłócząc swoją uschniętą nogą. Na korytarzach wala się papier toaletowy, łgnąc do stóp niczym lep na muchy. Kiedy się ociepla, odór dojrzewa; czuć go w winchester odległym o czterdzieści mil stąd. Gdy tak stoisz rano ze szczoteczką do zębów nad tym dojrzałym gównem, smród jest tak silny, że aż kręci ci się w głowie. Stoimy kołem w czerwonych flanelowych koszulach, czekając na swoją kolejkę, by splunąć do otworu; przypomina to

[287]

arię jednej z wielkich oper Verdiego, brzmi jak chór przy akompaniamencie dźwięków kowadła, krążków linowych

Miller Henry - Zwrotnik Raka

i strzykawek. W nocy, kiedy mnie przypili, pędzę na dół do prywatnej toalety M. le Censeura, tuż koło podjazdu. W moim stolcu stale pojawia się krew. W jego ubikacji spłuczka także nie działa, ale przynajmniej ma się tę przyjemność, że można usiąść. Zostawiam mu to zawiniątko jako dowód poważania.

Co wieczór, pod koniec posiłku, wpada rozweselić się trochę veilleur de nuit. To jedyny człowiek w całym zakładzie, z którym łączy mnie jakaś więź. Jest nikim. Nosi latarnię i pęk kluczy. Dokonuje w nocy obchodu, sztywny jak automat. Mniej więcej w tym czasie, kiedy częstują nas zjeł-czałym serem, wpada na szklaneczkę wina. Stoi tam z wyciągniętą łapą, z włosami sztywnymi i skręconymi jak u mastiffa; jego policzki są rumiane, wąsy błyszczą od śniegu. Coś tam mamrocze, a Quasimodo przynosi mu butelkę. Wtedy, solidnie wsparty na nogach, odrzuca w tył głowę i wychyla szklaneczkę, powoli, jednym długim haustem. Na mnie robi to wrażenie, jakby wsypywał do gardła rubiny. Jest coś takiego w tym geście, że włosy mi się jeżą. To tak, jakby wlewał w siebie osady ludzkiego współczucia, jakby można było wytrąbić jednym haustem całą miłość i współczucie świata, jakby to było wszystko, co ludzkość może z siebie dać, dzień po dniu. Zrobili z niego coś mniejszego od króliczka. W ogólnym porządku rzeczy niewart jest nawet solanki, w jakiej moczy się śledzie. Jest po prostu żywym kawałkiem nawozu. I on o tym doskonale wie. Kiedy rozgląda się wokół po wypiciu wina i uśmiecha się do nas, to tak, jakby świat rozpadał się na kawałki. To uśmiech przesłany ponad otchłanią. Cały ten śmierdzący cywilizowany świat przypomina trzęsawisko na dnie piekła, a nad nim, jak miraż, unosi się ten niepewny uśmiech.

Tym samym uśmiechem witał mnie w nocy, kiedy wracałem ze swoich eskapad. Pamiętam pewną noc, kiedy
[288]

– stojąc w drzwiach i czekając, aż staruszek zakończy swój obchód – miałem tak doskonałe samopoczucie, że mógłbym czekać w nieskończoność. Upłynęło może z pół godziny, nim otworzył drzwi. Rozglądałem się wokół spokojnie i leniwie, chłonąc wszystko – martwe drzewo przed szkołą, gałęzie poskręcane jak powrozy, domy po drugiej stronie ulicy, które zdążyły przez noc zmienić barwę i teraz pochylały się bardziej dostrzegalnie, odgłos pociągu toczącego się przez syberyjskie pustkowia, balustrady malowane przez Utrilla, niebo, głębokie koleiny wozów. Nagle, znikąd, pojawiła się para kochanków; co kilka jardów przystawali, by się objąć, a

Miller Henry - Zwrotnik Raka

kiedy już nie mogłem podążać za nimi wzrokiem, śledziłem odgłos ich kroków, słyszałem, jak się nagłe zatrzymują, a potem powoli, klucząc, podążają dalej. Czułem wygięcie i przechylenie ich ciał, kiedy oparli się o barierkę, słyszałem skrzypnięcie butów, gdy ich mięśnie naprężyły się na chwilę przed uściskiem. Tułali się tak po mieście, po krętych uliczkach, w kierunku szklistego kanału, w którym woda jest czarna jak węgiel. Było w tym coś fenomenalnego. W całym Dijon nie było takiej pary jak tych dwoje.

Tymczasem dziadek dokonał już obchodu, słyszałem brzęk kluczy, skrzypienie butów, jednostajny, automatyczny chód. W końcu usłyszałem, jak nadchodzi podjazd, by otworzyć bramę zwieńczoną monstrualnym łukiem portalu, na zewnątrz którego nie ciągnie się żadna fosa.

Słyszałem, jak gmera w zamku, ręce miał zeszywniałe, umysł odrętwiały. Kiedy brama się otwarła, ujrzałem nad jego głową błyszczącą konstelację światel, unoszącą się jak korona nad kaplicą. Wszystkie drzwi były pozamykane, cele zaryglowane. Książki również zamknięte. Zewsząd otaczała nas duszna, maniakałnie pijana noc, czaiły się ostrza sztyletów. Wokół rozpościerała się bezkresna pustka. Nad kaplicą jak biskupia infuła zalegała konstelacja światłek, w ciągu zimowych miesięcy noc za nocą tkwiła tam tuż przed kaplicą, jaśniejac jak ostrza sztyletów, blask absolutnej

[289]

pustki. Staruszek szedł za mną do zakrętu podjazdu. Drzwi zamknęły się bezgłośnie. Kiedy życzyłem mu dobrej nocy, znowu pochwyciłem ten rozpaczliwy, beznadziejny uśmiech, przypominający błysk meteoru nad krawędzią zagiętego świata. I ponownie ujrzałem go stojącego w refek tarzu z głową odrzuconą do tyłu i wysypującego sobie do gardła rubiny. Całe Morze Śródziemne wydawało się po grzebane w jego wnętrzu – gaje pomarańczowe, cyprysy, skrzydlate rzeźby, drewniane świątynie, błękitne morze, zamarte w grymasie maski, magiczne liczby, mityczne ptaki, szafirowe niebo, orlęta, słoneczne zatoczki, niewidomi bardowie, herosi. Nie ma już tego świata. Przysypała go lawina z Północy. Pogrzebała, uśmierciła na zawsze. Pozostało wspomnienie, oszalała nadzieja.

Zaledwie przez chwilę zatrzymuję się w opustoszałej alei. Całun, kir, niewypowiedziana, chwytająca za gardło pustka tego, co mnie otacza. Później idę pospiesznie zwirowaną alejką przy ścianie, mijam łuki i kolumny, żelazne schody, przechodząc z jednego czworoboku na drugi. Wszystko zamknięte na cztery spusty, zamknięte na

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zimę. Odnajduję arkady prowadzące do sypialni. Trupie światło wylewa się na schody z brudnych, pokrytych mrozem okien. Wszędzie łuszczy się farba. Kamienie są wyszczerbione, poręcz trzeszczy, wilgotny pot sączy się z kamiennej posadzki, tworząc bładą, zamazaną aurę przeszytą nikłym czerwonym światełkiem u szczytu schodów. Wchodzę na ostatnią kondygnację wewnątrz wieżyczki, spocony ze strachu. W kompletnych ciemnościach szukam po omacku drogi przez wyludniony korytarz, każdy pokój opustoszały, zamknięty, powoli opanowywany przez pleśń. Sunę ręką po ścianie, by znaleźć dziurkę od klucza. Gdy chwytam za klamkę, ogarnia mnie panika. Zawsze czuję rękę trzymającą mnie za kołnierz, gotową w każdej chwili szarpnąć mnie do tyłu. Kiedy wreszcie znajduję się w pokoju, zaryglowuję drzwi. To cud, jakiego doznaję co wieczór, cud, dzięki któ-

[290]

•emu dostaję się do środka, unikając jakoś uduu/Cnlu lub i ciosu siekierą w plecy. Słyszę, jak szczury biegają |>" korylm rzu, jak gryzą grube krokwie nad moją głową, światło |tll \ się oślepiającym blaskiem płonącej siarki i panuje lu słód kawy, mdlący zaduch nigdy nie wietrzonego pokoju. W Γ0 gu stoi skrzynia na węgiel, tak jak ją zostawiłem. Ogień zgasł. Cisza jest tak intensywna, że rozbrzmiewa mi w uszach jak Niagara. Jestem sam, przepęlnia mnie straszliwa pustka, tęsknota i lęk. Cały pokój wypełniają moje myśli. Nic poza mną i moimi myślami, moimi lękami. Mógłbym wyobrazić sobie najbardziej niestworzone historie, mógłbym tańczyć, pluć, stroić miny, przeklinać, zawodzić – nikt by się o tym nie dowiedział, nikt nie usłyszałby tego. Myśl o takiej absolutnej prywatności mogłaby mnie doprowadzić do szaleń-I stwa. To tak jak udany poród, wszystkie więzy odcięte. Jesteś odseparowany, nagi, samotny. Błogosławieństwo połączone z agonią. Masz mnóstwo czasu. Każda sekunda przytłacza cię jak góra. Toniesz w niej. Pustynie, morza, jeziora, oceany. Zegar wybija godziny jak rzeźnicki topór. Nicość. Świat. Ja i nie ja. Oomaharumooma. Wszystko musi mieć nazwę. Wszystkiego trzeba się nauczyć, doświadczyć, wszystko trzeba sprawdzić. Faites comme chez vous, cheri. Zapada cisza, osuwając się po wulkanicznych zboczach. Hen, gdzie wśród jałowych wzgórz, tocząc się naprzód w kierunku wielkich okręgów metalurgicznych, loko-I motywy ciągną wagony pełne produktów handlowych. Toczą się po podkładach z żelaza i stali, ziemię pokrywa żużel, popioły i purpurowa ruda. W wagonie towarowym popiół z wodorostów,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Łupek, żelazo, podkłady, pręty stalowe, arkusze blachy, wyroby hutnicze, pierścienie walcowane na gorąco, wióry, podstawy moździerzy i ruda z Zores. Koła gru-oości osiemdziesięciu milimetrów lub więcej. Mijają wspa- liałe okazy architektury anglo-normandzkiej, mkną obok przechodniów, pedantów i pederastów, martenowskich pie-

[291] ców, konwertorów Bessemera, dynam i transformatorów, odlewów surówki i wlewów stali. Ogół obywateli, pr/c chodnie, pedanci i pederacji, złote rybki i palmy z dmuch a nego szkła, łkające osiołki, wszystko krąży swobodnie |i<> alejkach tworzących szachownicę. Lawendowe oko na PI л ce du Brćsil.

Dokonuję błyskawicznego przeglądu kobiet, któir znałem. Przypominają łańcuch ukuty przeze mnie z własnici nędzy, każde ogniwo połączone z następnym. Strach przed samotnym życiem, chęć ucieczki przed świadomością narodzin. Drzwi łona zawsze zamknięte tylko na zasuwkę. Lęk i tęsknota. Głęboko we krwi głos przyzywający cię do raju. Do innego świata. Zawsze ten inny świat. To wszystko mu siało się zacząć od pępka. Przecinają ci pępwinę, dają klapsa w tyłek, i hokus-pokus! – oto przyszedłeś na świat, pływasz jak statek bez steru. Wpatrujesz się w gwiazdy, potem w swój pępek. Wszędzie wyrastają ci oczy – pod pachami, między wargami, w korzonkach włosów, na podeszwach stóp. To co odległe, staje się bliskie, to co bliskie -odległe. Świat wewnętrzny –świat zewnętrzny, nieustanny przepływ, zrzucanie skóry, przenicowywanie się. I tak dryfujesz latami, aż znajdziesz się w martwym punkcie, powoli zaczynasz gnić, stopniowo rozpadasz się na kawałki, ponownie ulegasz rozproszeniu. Pozostaje jedynie twoje imię.

Dopiero na wiosnę udało mi się wyrwać z tego za kładu karnego, a i to tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Pewnego dnia przyszedł telegram od Carla, w którym zawiadamiał mnie, że zwolniło się miejsce „na piętrze”; obiecał przysłać mi pieniądze na bilet, jeżeli zechcę wziąć tę posadę. Zadepeszowałem do niego natychmiast i gdy tylko nadeszła forsa, popędziłem na stację. Ani słowa M. le Proviseurowi, nikomu. Wszedłem po francusku, jak mówią Anglicy.

Od razu udałem się do hotelu przy 1 bis, gdzie mieszkał Carl. Otworzył mi drzwi kompletnie nagi. Miał akurat wolną noc i w łóżku jak zwykle leżała jakaś cipa.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powiedział. – Śpi. Jeśli chcesz ją zerznąć, proszę bardzo. Jest niezła.

Ściągnął z niej kołdrę, by pokazać mi, jak wygląda. Nie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

myślałem jednak tak od razu o ciupciani. Byłem zbyt podekscytowany, czułem się jak człowiek, który dopiero co uciekł z więzienia. Chciałem jedynie patrzeć i słuchać. Droga ze stacji przypominała długi sen. Czułem się, jakby mnie tu nie było latami.

Dopiero gdy usiadłem i rozejrzałem się dobrze po pokoju, zdałem sobie sprawę, że znalazłem się z powrotem w Paryżu. Pokój należał do Carla, co do tego nie było wątpliwości: stanowił kombinację klatki dla wiewiórek i sracza. Na stole ledwie starczyło miejsca dla jego walizkowej maszyny do pisania. Tak było zawsze, bez względu na to, czy mieszkała z nim jakaś dupa, czy nie. Zawsze otwarty słownik leżący na tomie Fausta o złoconych brzegach, woreczek tytoniu, beret, butelka vin rouge, jakieś listy i rękopisy, stare gazety, akwarele, imbryk do herbaty, brudne skarpety, wy-

[293]

kałaczki, sole trzeźwiące, kondomy itp. w bidecie skórki od pomarańczy i resztką kanapki z szynką.

- W szafie znajdziesz coś do jedzenia - powie dział. - Poczęstuj się! Właśnie miałem zamiar zrobić sobie zastrzyk.

Znalazłem kanapkę, o której wspomniał, i kawałek nadgryzionego sera. Podczas gdy on siedział na brzegu łó/ka wstrzykując sobie swój argyrol, wsunąłem kanapkę i sei popijając to paroma łykami wina.

- Podobał mi się ten twój list o Goethem stwierdził, wycierając sobie chuja brudnymi gatkami.

- Zaraz pokażę ci moją odpowiedź. Zamieszcz/e ją w swojej książce. Kłopot z tobą polega na tym, że nie jesteś Niemcem. Chcąc zrozumieć Goethego, trzeba być Mii' mcem. Kurwa, nie mam zamiaru teraz ci tego tłumaczyć wszystko znajdziesz w książce. A propos, mam teraz nową dupę - nie tę tutaj - to idiotka. To znaczy, miałem ją je-szcze parę dni temu. Nie jestem pewien, czy jeszcze do mnie wróci. Mieszkała ze mną przez cały czas, gdy cię tu nie było któregoś dnia przyjechali jej rodzice i zabrali ją... Twierdzi li, że ma zaledwie piętnaście lat. Wyobrażasz to sobie? Tak mnie przestraszyli, że mało nie narobiłem w portki... Roześmiałem się. To pasowało do Carla, wpako wać się w taką kabałę.

- Z czego się śmiejesz? - spytał. - Mogę pójść do więzienia. Na szczęście nie zmajstrowałem jej bachora. 1 to też jest dziwne, bo ona nigdy nie uważała na te sprawy. 1 wiesz, co mnie uratowało? Faust. Tak! Jej stary akurat zerknął na stół. Zapytał, czy rozumiem po niemiecku. Od słowa do słowa, i zanim się obejrzałem,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

przeglądał moje książki. Na szczęście miałem też otwartego Szekspira. To wywarło na nim diabelne wrażenie. Powiedział, że widocznie poważny ze mnie facet.

- A co na to dziewczyna - co ona miała do powiedzenia?
[294]

- Była śmiertelnie przerażona. Wul/r./ Цii) iй rzysza, miała przy sobie taki mały zegarek; w tym /.Hlflll zaniu nie mogliśmy go znaleźć, a jej matka uparła lic, tt ЯI o zegarek się znajdzie, albo zawoła policję. Widzisz, pik In szystko wygląda. Przewróciłem pokój do góry nogami, ale ie znalazłem tego cholernego zegarka. Matka była wście-ła. Mimo to podobała mi się. Była nawet ładniejsza od orki. Poczekaj, pokażę ci list, jaki zacząłem do niej pisać. Zakochałem się w niej.

- W matce?

- Jasne. Dlaczego nie? Gdybym najpierw spotkał matkę, nigdy bym nie spojrzał na córkę. Skąd mogłem wiedzieć, że ma dopiero piętnaście lat? Nie pytasz przecież każdej nowej dupy, ile ma lat, zanim ją wyciupciasz, nie?

- Joe, ta historia trochę śmierdzi. Nie robisz mnie w konia?

- Myślisz, że robię cię w konia? Masz - spójrz na to! I pokazuje mi akwarele namalowane przez tę małą - ładne drobiazgi: nóż i bochenek chleba, stół i imbryk do herbaty - wszystko sprawia wrażenie, jakby biegło pod górę.

- Zakochała się we mnie - powiedział. - Była zupełnie jak dziecko. Musiałem jej mówić, kiedy myć zęby i jak zakładać kapelusz. O, spójrz na te lizaki! Kupowałem jej codziennie kilka - bardzo je lubiła.

- A jak zareagowała, kiedy rodzice przyjechali ją zabrać? Nie zrobiła awantury?

- Popłakała trochę, nic więcej. Cóż mogła zrobić? Jest nieletnia... Musiałem obiecać, że nigdy się z nią nie zobaczę i do niej nie napiszę. Ciekaw jestem, czy ona jeszcze się tu pokaże. Była dziewicą, kiedy tu trafiła. Problem w tym, jak długo wytrzyma bez tych rzeczy? Kiedy tu mieszkała, nigdy nie miała tego dość. O mały włos mnie nie wykończyła.

[295]

Tymczasem ta w łóżku obudziła się i zaczęła pr/.c cierać oczy. Wydawała się także dość młoda. Niebrzydki; i. ale głupia jak wszyscy diabli. Od razu chciała wiedzieć, o czym rozmawiamy.

- Mieszka tu, w hotelu - powiedział Carl. - Na trzecim piętrze. Chcesz iść do jej pokoju? Załatwię to z ni;|

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Nie wiedziałem, czy chcę, czy nie, ale kiedy zobaczyłem, jak Carl zaczął ją obrabiać, stwierdziłem, że chcę Niemniej jednak zapytałem ją, czy nie jest zbyt zmęczona. Pytanie zupełnie bez sensu. Kurwa nigdy nie jest tak zmęczona, by nie móc rozłożyć nóg. Niektóre potrafią nawet zasnąć, kiedy je posuwasz. Tak czy owak postanowiliśmy, że zejdziemy do jej pokoju. W ten sposób nie będę musiał płacić za tę noc właścicielowi hotelu. Rano wynająłem pokój, którego okna wychodziły na mały park na dole, dokąd zawsze przychodzili na lunch ludzie-reklamy. W południe wpadłem po Carla, by zjeść z nim śniadanie. Podczas mojej nieobecności wraz z Van Nordenem nabrali nowego zwyczaju – codziennie chodzili na śniadanie do Coupole.

– Dlaczego akurat Coupole? – spytałem.

– Dlaczego akurat Coupole? – powtórzył Carl. – Ponieważ o każdej porze podają tam owsiankę, a po owsiance dobrze się sra.

– Aha – skwitowałem.

Jest więc zupełnie tak samo jak przedtem. We trójkę chodzimy do pracy i wracamy. Drobne swary, mała rywalizacja. Van Norden wciąż marudzi o swoich cipach i wypłukiwaniu brudu z bebechów. Tyle że znalazł teraz nową rozrywkę. Odkrył, że lepiej już się onanizować. Byłem zdziwiony, kiedy mi o tym zakomunikował. Nie sądziłem, że taki facet jak on znajdzie jakąś przyjemność w branzło-waniu się. Jeszcze bardziej się zdumiałem, kiedy mi powiedział, jak się do tego zabiera. „Wynalazł”, jak to ujął, nowy trick.

[296]

– Bierzesz jabłko – mówi – i wydrążasz rdzeń. Potem wkładasz do środka odrobinę kremu, żeby miąższ za szybko się nie rozpuścił. Spróbuj kiedy! Z początku o mało nie zwariujesz. Tak czy owak, to tani sposób i nie trzeba tracić dużo czasu.

– Aha! – mówi, zmieniając temat – twój przyjaciel Fillmore jest w szpitalu. Podobno dostał bziaka. W każdym razie tak powiedziała mi jego dziewczyna. Wiesz, kiedy ciebie nie było, przygarnął sobie pewną Francuzkę. Bili się jak diabli. To duża, zdrowa dziwka – trochę zwariowana. Nie miałbym nic przeciwko temu, by z nią pobaraskować, ale boję się, że wydrapałaby mi oczy. On ciągle chodził z poharataną twarzą i rękoma. A i ona też od czasu do czasu bywa opuchnięta, a właściwie bywała. Wiesz, jakie są te francuskie pizdy – kochając tracą głowę.

Wygląda na to, że trochę się tu działo, kiedy mnie nie było. Zmartwiłem się nowinami o Fillmore. Był dla mnie

Miller Henry - Zwrotnik Raka

cholernie dobry. Kiedy rozstałem się z Van Nordenem, wskoczyłem w autobus i pojechałem prosto do szpitala. Nie zdecydowano jeszcze, jak sędzę, czy kompletnie znikował, czy nie, ponieważ zastałem go na górze w jednoosobowym pokoju; cieszył się wszystkimi swobodami przysługującymi normalnym pacjentom. Akurat się wykąpał, kiedy przyszedłem. Rozpłakał się na mój widok.

- To już koniec - powitał mnie. - Mówią, że mam fioła, a mogę mieć i syfa. Twierdzą, że prześladowuje mnie mania wielkości.

Upadł na łóżko i cicho zaszlochał. Pochlipał trochę, podniósł głowę i uśmiechnął się - zupełnie jak ptaszek otrzepujący piórka po krótkiej drzemce.

- Dlaczego wsadzili mnie do takiej kosztownej izolatki?

- zapytał. - Dlaczego nie położą mnie na sali ogólnej - albo nie odeślą do domu wariatów? Nie stać mnie na to, by tu tkwić. Zostało mi ostatnie pięćset dolarów.

[297]

- Dlatego właśnie cię tu trzymają - powiedziałem. - Przeniosą cię natychmiast, gdy tylko skończą ci się pieniądze. O to nie musisz się martwić.

Moje słowa musiały na nim zrobić wrażenie, ponie waż ledwo skończyłem, wręczył mi swój zegarek z dewizką, portfel, znaczek korporacji studenckiej itp.

- Pilnuj tego - powiedział. - Te skurwysyny ograbiają mnie ze wszystkiego.

A potem roześmiał się nagle dziwnym niewesołym śmiechem, który sprawia, że uważasz faceta za pomyłonego bez względu na to, czy nim jest, czy nie.

- Wiem, uważasz, że zwariowałem - stwierdził

- ale chcę odpokutować to, co zrobiłem. Zamierzam się ożenić. widzisz, nie wiedziałem, że mam trypra.

Zaraziłem ją, a potem zaszła w ciążę. Powiedziałem lekarzowi, że nic dbam o to, co się ze mną stanie, ale chcę, by pozwolił mi się ożenić. A on powtarza, bym poczekał, aż poczuję się lepiej, choć wiem, że to nigdy nie nastąpi. To już koniec.

Sam nie byłem w stanie powstrzymać się od śmiechu słuchając tej jego gadki. Nie mogłem pojąć, co go naszło. W każdym razie obiecałem zobaczyć się z tą dziewczyną i wszystko jej wyjaśnić. Życzył sobie, bym o nią zadbał, starał się ją pocieszyć. Powiedział, że może mi zaufać, itd. Chcąc go uspokoić zgadzałem się na wszystko. Nie sprawiał na mnie wrażenia stukniętego, był natomiast jakiś zrezygnowany. Typowy anglosaski kryzys. Erupcja zasad moralnych. Nawet ciekawy byłem tej dziewczyny; chciałem się z nią spotkać i zorientować się, co tu jest grane.

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Następnego dnia poszedłem ją odwiedzić. Mieszkała w Dzielnicy Łacińskiej. Gdy tylko dotarło do niej, kim jestem, zrobiła się niezmiernie serdeczna. „Jestem Ginette”

– przedstawiła się. Była to dość duża, grubokoścista, zdrowa, wiejska dziewczucha; brakowało jej połowy przedniego zęba. Miała w sobie niesłychaną żywotność; w oczach płonął jej jakiś szalony płomień. Najpierw zaczęła płakać.

[298]

Potem, zorientowawszy się, że jesieni starym pi i u li li im jej Jo-Jo – jak go nazywała – zbiegła na dół i pr/ynło I I kilka butelek białego wina. Nalegała, bym /osłał nit obli dzie. Pijąc stawała się na przemian to wesoła, to znów płu czliwa. Nie musiałem zadawać jej żadnych pytań gadała jak katarynka. Najbardziej martwiło ją to, czy on będzie mógł wrócić do pracy, kiedy zwolnią go ze szpitala. Powiedziała, że jej rodzice są zamożni, ale nie byli z niej zbyt zadowoleni. Nie pochwalali jej szaleństw. Szczególnie zaś nie przypadł im do gustu Fillmore – nie miał manier i był Amerykaninem. Błagała mnie, bym ją zapewnił, że on dostanie pracę po powrocie, co uczyniłem bez chwili wahania. A potem błagała, bym jej powiedział, czy można wierzyć jego zapewnieniom, że ma zamiar się z nią ożenić. Bądź co bądź teraz, z dzieckiem w brzuchu, na dodatek mając trypra, nie mogła liczyć na żaden mariaż, a już na pewno nie z Francuzem. To jasne, nie? Oczywiście, zapewniłem ją. Wszystko było dla mnie jasne jak diabli, poza jednym: jak, na Boga, Fillmore mógł się w niej zakochać? Po kolei jednak. Moim obowiązkiem było ją teraz pocieszyć, toteż nagadałem jej przeróżnych bzdur, zapewniłem, że wszystko się dobrze skończy, a ja zostanę ojcem chrzestnym dziecka itp. Wówczas nagle wydało mi się dziwne, że w ogóle chce mieć to dziecko, zwłaszcza że mogło urodzić się niewidome. Powiedziałem jej to najbardziej taktownie, jak potrafiłem.

– To bez znaczenia – odparła. – Pragnę jego dziecka.

– Nawet jeżeli będzie niewidome? – spytałem.

– Mon Dieu, ne dites pas ca! – jęknęła. – Ne di-tes pas ca!

Mimo to uważałem, że moim obowiązkiem było to powiedzieć. Wpadła w histerię i zaczęła łkać jak mors, po czym nałała sobie jeszcze trochę wina. Już po chwili śmiała się hałaśliwie. Zaśmiewała się na myśl o ich bijatykach w łóżku.

[299]

– Lubił, gdy się z nim biłam – stwierdziła. – Taki z

Miller Henry - Zwrotnik Raka

niego brutal.

Gdy zasiedliśmy do jedzenia, zjawiła się jej przyjaciółka, mała kurewka mieszkająca na końcu korytarza. Ginette natychmiast posłała mnie na dół, bym dokupił wina. Kiedy wróciłem, wyglądało na to, że odbyły długą, szczerą rozmowę. Yvette, to znaczy jej przyjaciółka, pracowała w policji. O ile mogłem się zorientować, była chyba donosicielką. Starła się przynajmniej, żebym w to uwierzył. Co do mnie, raczej nie miałem wątpliwości, że jest po prostu drobną kurewką. Miała jednak obsesję na punkcie policji i jej znaczenia. Przez cały czas namawiały mnie obie, bym poszedł z nimi na bal musette. Chciały się rozerwać – Ginette była teraz taka samotna, od kiedy Jo-Jo przebywał w szpitalu. Powiedziałem, że muszę iść do pracy, ale w wolną nockę przyjdę tu i zabiorę je. Wyjaśniłem im natomiast, że nie mam szmalu, aby im fundować. Ginette, oszołomiona tą nowiną, udawała, że nie ma to dla niej najmniejszego znaczenia. Co więcej, chcąc pokazać, jaka dobra z niej dziewczyna, uparła się odwieźć mnie do pracy taksówką. A wszystko dlatego, że jestem przyjacielem Jo-Jo. Byłem więc i jej przyjacielem. „I dlatego – pomyślałem sobie – jeśli coś przytrafi się twojemu Jo-Jo, przylecisz do mnie w podskokach. Wtedy zobaczysz, jaki ze mnie przyjaciel!” Byłem dla niej słodki jak cukierek. W rzeczy samej, kiedy wysiedliśmy z taksówki przed redakcją, dałem im się namówić na ostatniego pernodu. Yvette zapytała, czy nie mogłaby wpaść po mnie, gdy skończę pracę. Twierdziła, że chce mi wiele powiedzieć w zaufaniu. Udało mi się odmówić, nie raniąc jej przy tym. Niestety, złamałem się na tyle, że dałem jej mój adres. Niestety, jak mówię. Jednak w gruncie rzeczy, kiedy pomyślę o tym teraz, nawet cieszę się z tego. Bo oto już nazajutrz coś się zaczęło dziać. Właśnie nazajutrz, jeszcze zanim zdążyłem wstać, zjawiły się u mnie obie.

Za-

[3001

brano Jo-Jo ze szpitala i zamknięto go w m.ih m zameczku na wsi, zaledwie kilka mil od Paryża. (Інисті, i.ik to określały. Delikatna nazwa dla domu wariatów. (Імаły, żebym się natychmiast ubrał i pojechał z nimi. Były ogarnięte paniką.

Sam bym pewnie pojechał, ale nie mogłem się zdecydować, by wlec się tam z nimi. Poprosiłem, by poczekały na dole, aż się ubiorę, myśląc, że da mi to czas na obmyślenie jakiejś wymówki. Ale nie chciały opuścić pokoju. W dodatku, jakby była to najzwyklejsza rzecz pod

Miller Henry - Zwrotnik Raka

słońcem, siedziały i patrzyły, jak myję się i ubieram. Właśnie wtedy wszedł Carl. Pokrótce i po angielsku nakreśliłem mu sytuację, a potem uknuliśmy wymówkę, że mam do roboty coś niesłychanie ważnego. Chcąc jednak jakoś załagodzić sprawę, przynieśliśmy trochę wina i staraliśmy się je zabawić, pokazując im książkę z nieprzyzwoitymi rysunkami. Yvette straciła już wszelką chęć na jazdę do chateau. Ona i Carl dogadali się od razu. Kiedy nadeszła pora, by jechać, Carl postanowił im towarzyszyć. Uważał, że zabawnie będzie ujrzeć Fillmore'a spacerującego wśród obłąkańców. Chciał zobaczyć, jak to jest w domu wariatów. Pojechali więc, trochę wstawieni i w najlepszych humorach. Przez cały czas pobytu Fillmore'a w owym zameczku nie odwiedziłem go ani razu. Nie było to konieczne, gdyż Ginette bywała tam regularnie, dzieląc się ze mną wiadomościami. Jak utrzymywała, mieli nadzieję przywrócić go do formy w ciągu paru miesięcy. Uważali to za zwykłe zatrucie alkoholowe, nic ponadto. Oczywiście miał też chorobę weneryczną, ale to nietrudno było wyleczyć. Ich zdaniem w grę nie wchodził syfilis. To już było coś. Tak więc, na początek, zrobili mu pompowanie żołądka. Dokładnie przeczyścili mu organizm. Przez jakiś czas był tak słaby, że nie mógł wstać z łóżka. Popadł również w depresję. Powiedział, że nie chce zostać wyleczony – chce umrzeć. Powtarzał te bzdury z takim uporem, że w końcu ich to zaniepo-

1301] koiło. Myślę, że nie najlepiej świadczyłoby to o ich zakładzie, gdyby popełnił samobójstwo. W każdym razie poddali go leczeniu psychiatrycznemu. Jednocześnie zaczęli mu wrywać zęby, jeden po drugim, aż nie został mu żaden. Ta kuracja miała poprawić mu samopoczucie, ale jakoś to nie nastąpiło. Stał się nawet jeszcze bardziej przygnębiony. A potem zaczęły mu wypadać włosy. W końcu wyszły w nim na jaw pewne cechy paranoiczne – rzucał pod adresem lekarzy różne oskarżenia, żądał wyjaśnień, jakim prawem jest przetrzymywany, cóż takiego zrobił, co usprawiedliwiłoby trzymanie go w odosobnieniu, itp. Po napadach straszliwego przygnębienia zdarzały mu się nagłe przypływy energii i groził wówczas wysadzeniem szpitala w powietrze, jeżeli go nie wypuszczą. Co gorsza, przynajmniej jeśli chodzi o Gi-nette, całkowicie zrezygnował ze swoich zamiarów matrymonialnych. Powiedział jej bez ogródek, że nie myśli się żenić, a skoro ona jest na tyle szalona, by chcieć tego dziecka, to może je utrzymywać sama.

Lekarze uznawali to wszystko za dobry znak. O-rzekli, że

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wraca do zdrowia. Ginette sądziła oczywiście, że jest bardziej szalony niż przedtem, ale modliła się, by go wypuszczono; mogłaby wówczas zabrać go na wieś, gdzie jest cicho i spokojnie i gdzie na pewno doszedłby do siebie. W tym czasie zjechali do Paryża jej rodzice i posunęli się tak daleko, że odwiedzili swego przyszłego zięcia w chateau. Mądrość życiowa podpowiedziała im zapewne, że lepiej, jeśli córka będzie miała małżonka wariata, niż gdyby miała zostać bez męża. Ojciec sądził, że znajdzie dla Fillmore'a jakąś pracę na farmie. Powiedział, że nie jest z niego wcale taki zły facet. Kiedy dowiedział się, że rodzicom Fillmore'a nie brak forsy, stał się jeszcze bardziej wyrozumiały i pobłażliwy.

Wszystko zdawało się przybierać korzystny obrót. Ginette na pewien czas wróciła z rodzicami na prowincję. Yvette regularnie odwiedzała Carla w hotelu. Brała go za li-

[302]

czącego się redaktora. I stawała się coraz bardziej skłonna do zwierzeń. Pewnego dnia, gdy się dobrze wstawiła, poinformowała nas, że Ginette nie była nigdy niczym innym jak tylko kurwą, że jest pijawką, że nigdy nie była w ciąży i teraz też nie jest. Carl i ja nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do prawdziwości tych pierwszych zarzutów, ale nie byliśmy tak pewni tego, że nie jest w ciąży.

– Skąd więc ma taki duży brzuch? – spytał Carl. Yvette roześmiała się.

– Może go sobie nadmuchuje pompką rowerową – powiedziała. – Ale poważnie – dodała – brzuch rośnie od picia. A ona pije jak gąbka. Kiedy wróci ze wsi, zobaczycie, będzie jeszcze bardziej rozdęta. Jej ojciec to pija-czysko. Ginette też jest pijaczką. Może i miała trypra, dłaczegóż by nie, ale na pewno nie jest w ciąży.

– A dłaczego chce za niego wyjść? Czy naprawdę go kocha?

– Kocha? Też coś! Ginette jest bez serca. Chce, by ktoś się nią zajął. Żaden Francuz nigdy się z nią nie ożeni – jest notowana na policji. Uwzięła się na niego, bo jest za głupi, by dowiedzieć się o jej sprawkach. Rodzice mają jej już dość – przynosi im wstyd. Ale jeśli wyjdzie za bogatego Amerykanina, wszystko będzie w porządku... Myślicie może, że ona go choć trochę kocha? Ech, nie znacie jej. Gdy mieszkali razem w hotelu, przychodziły do niej różne typy, kiedy on był w pracy. Skarżyła się, że nie daje jej dość pieniędzy, że jest skąpy. A to futro, które nosiła – powiedziała mu, że je dostała od rodziców, prawda? Naiwniaczek! Przecież sama

Miller Henry - Zwrotnik Raka

widziałam, jak przyprowadziła do hotelu faceta i to pod nieobecność Jo-Jo. Poszła z nim piętro niżej. Widziałam to na własne oczy. I to z kim! Ze starym szmaciarzem. Nawet mu nie stanął.

Gdyby Fillmore po zwolnieniu z chateau wrócił do Paryża, może mógłbym go oświecić na temat jego Ginette. Ale skoro znajdował się pod obserwacją, nie uważałem, by [303]

niepokojenie go i zatrucie mu umysłu pomówieniami Yvette było najlepszym pomysłem. Jak się okazało, wprost z tego zameczku pojechał do domu rodziców Ginette. Tak go tam omotali, że wbrew sobie publicznie ogłosił swoje zaręczyny. Zapowiedzi ukazały się w miejscowych gazetach, odbyło się przyjęcie dla przyjaciół domu. Fillmore wykorzystywał powstałą sytuację i pozwalał sobie na różne eskapady. Chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi, udawał, że wciąż jeszcze jest trochę stuknięty. Pożyczał na przykład od teścia samochód i rozbijał się po okolicy; gdy jakieś miasteczko przypadło mu do gustu, zostawał tam i dobrze się bawił aż do przybycia poszukującej go Ginette. Czasami wyprawiali się z teściem – na ryby, jak mówili – i znikali na całe dni. Fillmore zrobił się nieznośnie kapryśny i wymagający. Doszedł pewnie do wniosku, że trzeba przynajmniej wykorzystać tę sytuację, póki to możliwe.

Kiedy wrócił do Paryża z Ginette, miał zupełnie nową garderobę i pełne kieszenie forsy. Wyglądał pogodnie i zdrowo, miał ładną opaleniznę. Robił na mnie wrażenie zdrowego jak rydz na ciele i umyśle. Ale gdy tylko urwaliśmy się Ginette, zaczął mi się zwierzać. Był bez pracy i skończyły mu się pieniądze. Za miesiąc, dwa mieli wziąć ślub. Na razie zaopatrywali go w forszę jej rodzice.

– Gdy dostaną już mnie na dobre w swoje szpony
– stwierdził – będę ich własnością. Ojciec zamierza otworzyć dla mnie sklep z przyborami do pisania. Ginette zajmie się klientami, kasą itp., a ja będę siedział na zapleczu i pisał

– no wiesz, coś w tym stylu. wyobrażasz mi sobie, jak przez resztę życia siedzę na zapleczu sklepu papierniczego? Ginette uważa to za doskonały pomysł. Lubi mieć do czynienia z pieniędzmi. Wolałbym już raczej wrócić do chd-te.au, niż poddać się i pozwolić im ziścić te zamysły.

Na razie, rzecz jasna, udawał, że wszystko jest ca-cy-cacy. Usiłowałem namówić go na powrót do Ameryki, ale nie chciał o tym słyszeć. Oznajmił, że nie da się

wypędzić
[304]

z Francji gromadzie ciemnych wieśniaków. Wpadł na pomysł, by zniknąć im z oczu na jakiś czas, a potem zamieszkać w jakiejś oddalonej dzielnicy miasta, gdzie będzie mało prawdopodobne, że się na nią natknie. Doszliśmy jednak do przekonania, że to niemożliwe: nie sposób ukryć się we Francji tak jak w Ameryce.

– Mógłbyś na pewien czas pojechać do Belgii – zaproponowałem.

– A z czego będę żył? – zapytał z miejsca. – W tych cholernych krajach nie można dostać pracy.

– Może więc ożenisz się z nią i od razu rozwiedziesz? – poddałem.

– Tak? Przecież ona wkrótce będzie rodzić. Kto zajmie się dzieckiem, co?

– Skąd wiesz, że spodziewa się dziecka? – zapytałem, zdecydowany właśnie teraz powiedzieć mu o wszystkim.

– Skąd wiem? – powtórzył nie bardzo wiedząc, do czego zmierzam.

Napomknąłem mu o tym, co powiedziała Yvette. Słuchał mnie w zupełnym osłupieniu. W końcu przerwał mi:

– Daj sobie spokój – rzekł. – Wiem na pewno, że spodziewa się dziecka. Czułem nawet, jak ono kopie w środku. A Yvette to wycieruch, marna dziwka. Widzisz, nie chciałem ci o tym mówić, ale zanim poszedłem do szpitala, utrzymywałem także Yvette. Potem, gdy przyszła katastrofa, nie mogłem nic więcej dla niej zrobić.

Doszedłem do wniosku, że uczyniłem dostatecznie dużo dla nich obu... Postanowiłem najpierw zająć się sobą. To wpieństwo Yvette. Zapowiedziała Ginette, że jeszcze mi za to zapłaci... Nie, chciałbym, by to, co powiedziałaś, było prawdą. Łatwiej wówczas bym się z tego wyplątał. A tak jestem w pułapce. Obiecałem się z nią ożenić i będę musiał to zrobić. Nie wiem, co stanie się ze mną potem. Chwycili mnie za jaja.

Ponieważ zajął pokój w tym samym hotelu co ja,

11 – Zwrotnik.

[305]

zmuszony byłem często ich spotykać, czy tego chciałem, czy nie. Prawie co wieczór jadałem z nimi obiad, poprzedzony – rzecz jasna – kilkoma pernodami.

Nieustannie kłócili się hałaśliwie. Było to dla mnie żenujące, gdyż czasami musiałem opowiedzieć się za którąś ze stron. I tak na przykład pewnego niedzielnego popołudnia, po wspólnym lunchu, udaliśmy się do kawiarni na rogu Boulevard Edgar-Quinet. Tym razem wszystko szło niezwykle gładko. Siedzieliśmy w środku przy małych

Miller Henry - Zwrotnik Raka

stolikach zestawionych razem, plecami do lustra. Ginette musiała targać namiętność, albo coś w tym guście, bo nagle stała się ckliwa, pieściła go i całowała przy wszystkich, co tak łatwo przychodzi Francuzkom. Właśnie wypuściła go z objęć, kiedy Fillmore powiedział na temat jej rodziców coś, co ona uznała za zniewagę. Policzki natychmiast zapłonęły jej ze złości. Próbowaliśmy ją ułagodzić mówiąc, że źle zrozumiała tę uwagę, a potem Fillmore mruknął coś do mnie pod nosem po angielsku – coś, że trzeba ją trochę ugłaskać. To wystarczyło, by całkiem straciła panowanie nad sobą. Stwierdziła, że się z niej nabijamy. Powiedziałem jej coś ostrego, co jeszcze bardziej ją rozzłościło, a i Fillmore usiłował coś wtrącić.

– Jesteś zbyt wybuchowa – stwierdził i zamierzał poklepać ją po policzku. Ona jednak, myśląc, że podniósł rękę, by dać jej w twarz, dała mu w szczękę tą swoją wielką chłopską łapą. Przez chwilę był ogłuszony. Nie spodziewał się tak silnego ciosu, piekł go podbródek. Zauważyłem, jak zbladł, a po chwili wstał z ławy i otwartą dłońią tak jej przyłożył, że mało nie spadła z krzesła.

– Masz! To cię nauczy właściwego zachowania – powiedział swoją łamaną francuszczyzną. Przez chwilę panowała martwa cisza. Potem, tak jakby rozpętała się burza, ona uniosła kieliszek po koniaku i cisnęła nim w niego z całej siły. Roztrzaskał się na lustrze za nami. Fillmore tymczasem złapał ją za ramię, ale wolną ręką chwyciła filiżankę i rozbiła ją na podłodze. Szamotała się jak wariatka. Jedyne,

[306]

co zdołaliśmy zrobić, to ją przytrzymać. Wówczas nadbiegi właściciel i kazał nam się wynosić.

– Nieroby! – zawołał.

– Tak, nieroby! Święta prawda! – wrzasnęła Ginette. – Parszywi cudzoziemcy! Zbiry! Gangsterzy! Uderzyć ciężarną kobietę!

Zewsząd padały na nas nieprzychylnie spojrzenia. Biedna Francuzka w towarzystwie dwóch amerykańskich bandytów. Gangsterów. Zacząłem się zastanawiać, jak, do diabła, uda się nam wyjść stąd bez bijatyki. W tej chwili Fillmore siedział już jak trusia. Ginette wrywała tymczasem do drzwi, pozostawiając nam cały ten pasztet. Zdążając do wyjścia, odwróciła się i podnosząc pięść krzyknęła:

– Zapłacisz mi za to, bydlaku! Zobaczysz! Żadnemu przybłędzie nie wolno traktować w ten sposób porządnej francuskiej kobiety! O nie! Nie w ten sposób!

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Słyszając to, właściciel, któremu zapłaciliśmy już za drinki i stłuczone szkło, poczuł się w obowiązku okazać rycerskość wobec tak wspaniałej przedstawicielki francuskiego macierzyństwa jak Ginette, toteż niewiele się zastanawiając splunął nam pod nogi i wypchnął nas za drzwi.

– Sram na was, wy parszywe nieroby! – skomplementował nas jeszcze, a może jakoś podobnie.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy i nikt niczym za nami nie rzucał, dostrzegłem humorystyczną stronę całego zdarzenia: wspaniale byłoby, pomyślałem sobie, odpowiednio naświetlić całą sprawę i wywlec ją w sądzie. Całą sprawę! A drobne opowieści Yvette podać na przystawkę. W końcu Francuzi mają poczucie humoru. Może sędzia usłyszawszy wersję Fillmore'a, rozgrzeszyłby go z tej małżeńskiej afery.

Tymczasem Ginette stała po drugiej stronie ulicy, wymachując pięścią i drąc się na całe gardło. Ludzie przystawali, by posłuchać i opowiedzieć się za którąś ze stron, jak to zwykle bywa podczas ulicznych awantur. Fillmore nie wiedział, co zrobić – zostawić ją tam czy podejść i spró-

[307]

bować ją uspokoić. Stał niezdecydowany na środku ulicy z wyciągniętymi rękoma, usiłując wtrącić coś do jej tyrady. A Ginette wciąż wydzierała się:

– Gangster! Bydlę! Tu verras, salaud! – i tym podobne komplementy. W końcu Fillmore ruszył w jej stronę, a ona, myśląc zapewne, że ma zamiar znów jej przyłożyć, puściła się pędem w dół ulicy. Fillmore wrócił do miejsca, gdzie się zatrzymałem, i zaproponował:

– Chodź, pójdziemy spokojnie za nią.

Ruszyliśmy, a za nami grupka maruderów. Od czasu do czasu ona odwracała się i wygrażała nam pięścią. Nie próbowaliśmy jej dogonić, po prostu niespiesznie szliśmy za nią ulicą, chcąc przekonać się, co robi. W końcu zwolniła kroku, a my przeszliśmy na drugą stronę. Trochę się już u-spokoiła. Podążaliśmy za nią nadal, zbliżając się coraz bardziej. Za nami szedł już tylko jakiś tuzin ludzi, reszta straciła zainteresowanie. Kiedy doszliśmy do rogu, nagle zatrzymała się, czekając na nas.

– Pozwól, że ja będę mówił – powiedział Fillmore. – Wiem, jak z nią postępować.

Kiedy do niej podeszliśmy, po jej twarzy płynęły łzy. Jeżeli chodzi o mnie, nie wiedziałem, czego się po niej spodziewać. Byłem więc nieco zaskoczony, gdy Fillmore podeszedł do niej, mówiąc zbołałym głosem:

– Jak mogłaś tak postąpić? Dlaczego tak się

zachowałaś?

Na co ona zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła łkać jak dziecko, nazywając go swoim malutkim tym i tamtym. Potem zwróciła się błagalnie do mnie.

– Widziałeś, jak mnie uderzył – powiedziała. – Czy tak powinno się traktować kobietę?

Już miałem powiedzieć „tak”, kiedy Fillmore wziął ją pod rękę i zaczął prowadzić ulicą.

– Dość, tego – stwierdził. – Jeśli znowu zaczniesz, przyłożę ci tu, na ulicy.

[308]

Myślałem, że awantura wybuchnie na nowo Oczy jej rozbłysły. Widocznie jednak też była trochę przestraszona, ponieważ równie prędko zgasły. Gdy tylko usiadła w kawiarni, powiedziała spokojnie, ale z tonem zawziętości w głosie, aby nie myślał, że mu to tak szybko zapomni, jeszcze przyjdzie mu coś niecoś usłyszeć... może już wieczorem.

I naturalnie dotrzymała słowa. Spotkałem go nazajutrz z solidnie podrapaną twarzą i rękoma. Okazało się, że odczekała, aż on się położy, a wówczas, bez słowa, podeszła do szafy, wywaliła wszystkie jego rzeczy na podłogę, po czym brała jedną po drugiej, drąc je w strzępy. Ponieważ zdarzało się to już wielokrotnie i zawsze je potem zszywała, nawet zanadto nie protestował. To ją jeszcze bardziej rozwścieczyło. Chciała wbić weń pazury, co też uczyniła, najlepiej jak tylko umiała. To, że była w ciąży, dawało jej nad nim pewną przewagę. Biedny Fillmore! Nie było mu do śmiechu. Sterroryzowała go zupełnie. Kiedy groził, że ucieknie, odpłacała mu ostrzeżeniem, że go zabije. I mówiła to takim tonem, jakby naprawdę miała zamiar to zrobić.

– Jeśli wyjedziesz do Ameryki – ostrzegła go – pojedę za tobą! Nie uciekniesz mi. Francuzki zawsze potrafią się zemścić.

A już po chwili przymilała się do niego prosząc, by był rozsądny, by był „sage”, itp. Życie będzie takie przyjemne, gdy już będą mieli ten swój sklepik papierniczy. Nie będzie musiał nawet kiwnąć palcem. Ona zajmie się wszystkim. Będzie mógł siedzieć na zapleczu i pisać, robić cokolwiek, na co mu przyjdzie ochota.

I tak to przebiegało przez kilka tygodni, raz w tę, raz w tamtą stronę niczym na huśtawce. Unikałem ich, jak tylko mogłem, miałem dość tej afery i ich obojga. Aż tu pewnego ładnego, słonecznego dnia, gdy mijałem Credit Lyonnais, któż to zstępuje ze schodów? Fillmore we własnej osobie. Powitałem go ciepło, czując się trochę winny, że tak

[309]

długo go unikałem. Powodowany czymś więcej niż zwykłą ciekawością, zapytałem, jak się sprawy mają.

Odpowiedział mi dość mętnie z nutą rozpaczony w głosie.

– Właśnie otrzymałem pozwolenie na wyjście do banku – powiedział dziwnym, załamany, pełnym rezygnacji tonem. – Mam jakieś pół godziny, nie więcej. Ona mnie pilnuje. I chwycił mnie za ramię, jakby chciał mnie stamtąd uprowadzić.

Szliśmy w kierunku Rue de Rivoli. Był piękny dzień, ciepły, jasny, słoneczny, jeden z tych, kiedy Paryż prezentuje się najlepiej. Wiał przyjemny, lekki wiaterek, dokładnie taki, jaki usuwa zaduch z nozdrzy. Fillmore był bez kapelusza. Na pozór prezentował się jak okaz zdrowia, jak przeciętny amerykański turysta szwendający się tu i tam podzwaniając pieniędzmi w kieszeni.

– Już sam nie wiem, co robić – przyznał się cicho. – Musisz mi pomóc. Jestem bezradny. Nie mogę wziąć się w garść. Gdybym przynajmniej mógł jej czmychnąć na pewien czas, może wtedy jakoś bym się pozbiarał. Ale ona nie spuszcza mnie z oka. Teraz pozwoliła mi tylko pobiec do banku i podjąć trochę pieniędzy. Przejdę się z tobą kawałek, a potem muszę pędzić z powrotem – będzie na mnie czekała z obiadem.

Słuchałem go spokojnie, myśląc przy tym, że naprawdę potrzebuje kogoś, kto wyciągnąłby go z tej trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Był zupełnie zrezygnowany, nie zostało mu za grosz odwagi.

Przypominał dziecko, dziecko bite codziennie, które w końcu nie wie, jak się zachować; potrafi jedynie trząść się i kulic ze strachu. Kiedy skręciliśmy pod kolumnadę na Rue de Rivoli, wygłosił długi pamflet przeciw Francji.

– Kiedyś miałem bzika na ich punkcie – stwierdził – ale to tylko literatura. Teraz ich znam... wiem, jacy są naprawdę. Są okrutni i sprzedajni. Z początku to się wy-

[310]

daje wspaniałe, masz poczucie, że jesteś wolny. Po jakimś czasie przejecha ci się to. Pod powierzchnią wszystko jest tu martwe; brak uczuć, brak współczucia, brak przyjaźni. Są do cna samolubni. To najwięksi egoiści na świecie. Myślą wyłącznie o pieniądzach*. Nic, tylko pieniądze i jeszcze raz pieniądze! Co gorsza są tacy cholernie przyzwoici, tacy mieszczańscy. To właśnie doprowadza mnie do szału. Kiedy widzę, jak ona ceruje mi koszule, mógłbym ją zabić. W kółko ceruje i ceruje. Oszczędza i oszczędza. Fautfaire des éco-nomies!

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Powtarza to przez cały dzień. Słyszysz się to wszędzie. Sois raisonnable, mon cheril Sois raisonnable! Nie chcę być rozsądny i logiczny. Nie znoszę tego! Chcę się wyrwać na wolność, chcę cieszyć się życiem. Chcę coś robić, a nie przesiadywać w kawiarni i przez cały dzień mleć ozorem. Jezu, nie jesteśmy bez wad, ale mamy przynajmniej entuzjizm. Lepiej popełniać błędy, niż nic nie robić. Wolałbym być żebrakiem w Ameryce, niż tu żyć jak pan. Może to dlatego, że jestem Jankesem. Urodziłem się w Nowej Anglii: tam jest chyba moje miejsce. Nie można w jeden dzień stać się Europejczykiem. Masz we krwi coś takiego, co czyni cię innym. To klimat – i cała reszta. Wszystko widzimy inaczej. Nie możemy się przerobić na ich kopyto, choćbyśmy nie wiem jak podziwiali Francuzów. Jesteśmy Amerykanami i musimy nimi pozostać. Jasne, że nienawidzę tych purytańskich kutasów tam w kraju – szczerze ich nienawidzę. Ale jestem jednym z nich. Tu nie ma dla mnie miejsca. Mam tego dość. Idąc wzdłuż arkad cały czas perorował w tym stylu. Nie powiedziałem ani słowa. Pozwoliłem, by wyrzucił to z siebie – wiedziałem, że dobrze mu zrobi pozbycie się tego ciężaru. Mimo to, pomyślałem sobie, jakie to dziwne, że jeszcze rok temu ten sam facet waliłby się w piersi jak goryl i powtarzał: „Cóż za przepiękny dzień! Cóż za piękny kraj! Jacyż wspaniali ludzie!” A gdyby napatoczył się jakiś Amerykanin i powiedział na Francję choć jedno złe słowo, Fillmore rozkwasiłby mu nos. Nie dalej niż rok temu byłby go-

{311}

tów oddać życie za Francję. Nigdy nie widziałem nikogo tak rozkochanego w jakimś kraju, równie szczęśliwego pod obcym niebem. Było w tym coś nienaturalnego. Kiedy mówił Francja, rozumiał przez to wino, kobiety, pieniądze w kieszeni, łatwo przyszło, łatwo poszło. Oznaczało to, że można być niefrasobliwym chłopcem, oznaczało to wakacje. A potem, gdy już się wyszumiał, kiedy zdmuchnęło kopułę namiotu i mógł dobrze przyjrzeć się niebu, dostrzegł, że to nie cyrk, ale arena odwiecznych igrzysk, cholernie ponurych, tak jak wszędzie. Często zastanawiałem się, słysząc, jak entuzjazmuje się Francją, wolnością i innymi duperelami, jak zareagowałby na to francuski robotnik, gdyby rozumiał słowa Fillmore'a. Nic dziwnego, że uważają nas za stukniętych. W ich oczach jesteśmy wariatami. Stanowimy po prostu bandę dzieciaków, zdzięcinniałych, zidiociałych staruszków. To, co nazywamy życiem, jest tanim romansem. Czymże jest entuzjizm, który nosimy w środku? Ten łatwy optymizm, od którego każdemu normalnemu Europejczykowi wywracają się

Miller Henry - Zwrotnik Raka

bebecy - to iluzja. Nie, to zbyt dobre słowo. Iluzja coś jednak znaczy. Nie, to nie to - to ułuda. Czysta ułuda, ot co. Jesteśmy jak stado dzikich koni z klapkami na oczach, zupełnie oszalałych, pędzących tabunem w panicznym strachu. Przeskakujemy nad przepaścią. Hop! Kochamy wszystko, co jest pożywką dla przemocy i chaosu. Naprzód! Naprzód! Nieważne dokąd. Przez cały czas z pianą na pysku. Krzyczymy alleluja! Alleluja! Dlaczego? Bóg jeden raczy wiedzieć. Mamy to już we krwi. To z powoju klimatu. I mnóstwa innych rzeczy. W ostateczności cho-żzi też o finał. Cały świat ściągamy w dół do naszego poziomu. Nie wiemy, dlaczego. To nasze przeznaczenie. Cała reszta to zwykłe gówno... Przy Palais Royal zaproponowałem, byśmy wstąpili czegoś się napić. Zawahał się. Widziałem, jak się martwił, co ona na to powie, co będzie z obiadem i jak obawia się, że po powrocie zostanie zwyśślany.

[312]

- Na litość boską - powiedziałem - zapomnij o niej choć przez chwilę. Zamówię coś do picia i chcę, byś (o wypił. Nie martw się. Wydostanę cię z tego pieprzonego szamba.

Zamówiłem dwie duże whisky. Kiedy zobaczył, jak je nam niosą, uśmiechnął się do mnie zupełnie jak dziecko.

- Wypij - zachęciłem go - i napijmy się jeszcze. Dobrze ci to zrobi. Nie obchodzi mnie, co mówią lekarze - tym razem wyjdzie ci to na zdrowie. No, pij!

Nieźle mu poszło. Kiedy garcon zniknął, by przynieść następną kolejkę, popatrzył na mnie oczyma pełnymi łez, jakbym był jego ostatnim przyjacielem na świecie. Nawet drżały mu trochę wargi. Chciał mi coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Spojrzałem na niego pogodnie, jakbym ignorował tę niemą prośbę, po czym odsuwając na bok spodeczki, oparłem się na łokciach i przemówiłem do niego z całą powagą:

- Słuchaj, Fillmore, co chciałbyś robić tak naprawdę? Powiedz mi.

Wówczas z oczu popłynęły mu łzy i wyrzucił z siebie:

- Chciałbym znaleźć się w kraju, wśród swoich.

Chciałbym słyszeć wokół siebie język angielski.

Łzy nadal spływały mu po twarzy. Nie próbował ich otrzeć. Pozwolił, by wszystko wypłynęło z niego jednym strumieniem. Boże, pomyślałem sobie, dobrze jest tak sobie ulżyć. Dobrze choć raz w życiu być kompletnym tchórzem. Dać taki upust bóleści. Wspaniałe!

Fantastyczne! Widok jego załamania pokrzepił mnie tak dalece, że nagle poczułem się zdolny rozwikłać każdy problem. Wezbrała we mnie odwaga i stanowczość. Tysiąc

Miller Henry - Zwrotnik Raka

pomysłów naraz cisnęło mi się do głowy.

- Słuchaj - powiedziałem, pochylając się ku niemu jeszcze bardziej - jeśli naprawdę tego pragniesz, dla-
[313]

czego tego nie zrobisz... dlaczego nie wyjedziesz? wiesz, jak postąpiłbym na twoim miejscu? Wyjechałbym jeszcze dziś. Tak, na Boga, naprawdę... wyjechałbym od razu, nie mówiąc jej nawet „do widzenia”. Zresztą, w gruncie rzeczy, tylko tak możesz to zrobić - ona nigdy nie pozwoliłaby ci powiedzieć „do widzenia”. Dobrze o tym wiesz.

Garçon przyniósł whisky. Zobaczyłem, jak Fillmore z rozpaczliwą ochotą sięga po szklaneczkę i podnosi ją do ust. Ujrzałem w jego oczach iskierkę nadziei - odległej, szalonej, rozpaczliwej. Zapewne widział siebie płynącego wpław przez Atlantyk. Mnie wydawało się to dziecinnie proste. Wszystko układało mi się w głowie. Widziałem, jak będzie wyglądało każde posunięcie. Umysł miałem przenikliwy jak dźwięk dzwonu.

- Czyje są te pieniądze w banku? - spytałem. - Twoje czy jej ojca?

- Moje - wykrzyknął. - Dostałem je od matki. Nie chcę ich cholernych pieniędzy.

- To świetnie! - powiedziałem. - Co byś powiedział, gdybyśmy złapali taksówkę i wrócili do banku. Podejmij wszystko co do centa. Potem pojedziemy do Konsulatu Brytyjskiego załatwić wizę. Wskoczysz w popołudniowy pociąg do Londynu. Tam wsiądziesz na pierwszy statek do Ameryki. Tak będzie lepiej, bo nie będziesz się musiał martwić, że ona zacznie cię ścigać. Nigdy nie wpadnie na to, że pojechałeś przez Londyn. Jeśli zacznie cię szukać, naturalnie pojedzie najpierw do Hawru lub Cherbourga... i jeszcze jedno - nie wracaj po swoje rzeczy. Wszystko zostaw tutaj. Niech sobie mają. Z tą ich francuską mentalnością nigdy nie przyjdzie im do głowy, że zwiąłeś bez torby, bez bagażu. To niesamowite. Francuz nigdy nie wpadłby ha coś podobnego... chyba że miałby takiego fioła jak ty.

- Masz rację - przytaknął ożywiony. - Nigdy o tym nie pomyślałem. Zresztą możesz mi je później przysłać,
[314]

jeśli ona odda. Ale to w tej chwili bez znaczenia. Boże, pi /o cięż nie mam nawet kapelusza!

- Po co ci kapelusz? Kiedy znajdziesz się w Londynie, kupisz sobie wszystko, czego ci potrzeba. Teraz najważniejszy jest pośpiech. Musimy się dowiedzieć, kiedy odchodzi pociąg.

- Słuchaj - powiedział, sięgając po portfel. - we

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wszystkim zdaje się na ciebie. Masz, weź to i rób, co trzeba. Jestem zbyt osłabiony. W głowie mi się kręci. Wziąłem portfel i wyjąłem banknoty dopiero co podjęte z konta. Taksówka stała przy krawężniku. Wskoczyliśmy do środka. Jakiś pociąg odchodził z Dworca Północnego o szesnastej, czy coś koło tego. Usiłowałem to dobrze przemyśleć – bank, konsulat, biuro American Express, dworzec. W porządku! Powinniśmy zdążyć.

– A teraz głowa do góry! – powiedziałem. – Tylko spokojnie! Kurwa! Za kilka godzin będziesz płynął przez kanał. Dziś wieczorem będziesz łaził po Londynie i nasłuchasz się angielskiego, ile wlezie. A jutro znajdziesz się na otwartym morzu, a wtedy – na Boga, jesteś wolnym człowiekiem i chuj cię obchodzi, co się tutaj stanie. Gdy dopłyniesz do Nowego Jorku, wszystko to wyda ci się jakimś koszmarnym snem.

Był tak podekscytowany, że konwulsyjnie zaczęły mu podrygiwać stopy, jakby próbował biec w taksówce. W banku tak drżała mu ręka, że ledwo mógł się podpisać. A tego jednego właśnie nie mogłem zrobić za niego – podpisać się. Ale myślę, że gdyby to było konieczne, mógłbym go wysadzić i podetrzeć mu tyłek. Byłem zdecydowany go stąd wyprawić, nawet gdybym musiał go zwinąć i wsadzić do walizy.

Dotarliśmy do Konsulatu Brytyjskiego akurat w przerwie na lunch i wszystko było zamknięte. Oznaczało to, że musimy poczekać do drugiej. Nie przychodziło mi do głowy

[315]
wy nic lepszego, jak zjeść coś dla zabicia czasu.

Fillmore, rzecz jasna, nie był głodny. Miał ochotę na kanapkę.

– Pierdolę twoją kanapkę – stwierdziłem. – Postawisz mi dobry lunch. To ostatni normalny posiłek, jaki tutaj zjesz – może na długo.

Zaprowadziłem go do przytulnej restauracyjki i zamówiłem niezłą wyżerkę. Zadysponowałem najlepsze wino, jakie mieli w menu, nie zważając na cenę i dobry smak.. Miałem w kieszeni wszystkie jego pieniądze – jak mi się wydawało, całą górę. Z pewnością nigdy przedtem nie miałem naraz tyle forsy w garści. Jakąż rozkoszą było rozmiąć banknot tysiącfrankowy! Obejrzałem go najpierw pod światło, by dobrze się przyjrzeć pięknemu znakowi wodnemu. Śliczne pieniądze! Jedna z niewielu rzeczy, jakie Francuzi robią z prawdziwym rozmachem. Nie brak im przy tym artystycznego zacięcia, jakby żywili głębokie uczucie nawet do symbolu.

Po obiedzie poszliśmy do kawiarni. Do kawy zamówiłem chartreuse. Czemu nie? I rozmięliśmy kolejny banknot –

Miller Henry - Zwrotnik Raka

tym razem pięćsetkę: czyściutką, nową, szeleszczącą. Przyjemnie mieć do czynienia z takimi pieniędzmi. Kelner wydał mi plik starych, brudnych banknotów, połatanych gumowanym papierem; miałem istny stos pięcio- i dziesięciofrankówek i cały worek kurzej karmy. Chińskie pieniądze, z dziurką. Nie wiedziałem już, gdzie je ładować. Kieszenie spodni pękały mi w szwach. Czułem się trochę nieswojo, wywlekając całą tę forszę w miejscu publicznym. Bałem się, że wezmą nas za złodziei. Kiedy dotarliśmy do biura American Express, nie było już wiele czasu do stracenia. Te flegmatyczne angielskie pierdoły oczywiście kazały nam czekać, toteż siedzieliśmy jak na szpilkach. Tutaj dla odmiany każdy poruszał się jakby na wrotkach. Byli tak szybcy, że wszystko musieli robić jeszcze raz. Po podpisaniu wszystkich czeków i wpięciu ich w ładne etui, odkryto, że podpis figuruje w niewłaści-

[316]

wym miejscu. Nie pozostawało nic innego, jak zacząć od początku. Stałem nad Fillmore'em, jednym okiem zerkając na zegar, drugim śledząc każde pociągnięcie jego pióra. Bolesne było rozstanie się z tą forszą. Niecałą wprawdzie – Bogu dzięki – ale ze sporą jej częścią. Miałem w kieszeni około 2 500 franków. Około – powtarzam. Drobne już się nie liczyły. Setka czy dwie mniej lub więcej – jakież to ma znaczenie! Jeżeli chodzi o niego, całą transakcję przeżył jak w transie. Nie wiedział, ile ma pieniędzy. Wiedział jedynie, że musi coś odłożyć dla Ginette. Nie był jeszcze pewien, ile – mieliśmy to ustalić w drodze na stację.

W całym tym zamieszaniu zapomnieliśmy wymienić wszystkie pieniądze. Siedzieliśmy już jednak w taksówce i nie było czasu do stracenia. Musieliśmy sprawdzić, ile tego jest. Pospiesznie opróżniliśmy kieszenie i zaczęliśmy układać to wszystko na kupki. Część leżała na podłodze, część na siedzeniu. Nie mogłem oprzeć się zdumieniu. Były tam pieniądze francuskie, amerykańskie, angielskie. Do tego ta kurza karma. Miałem chęć zebrać te monety i wołając cip! cip! wyrzucić je przez okno tylko po to, by uprościć sprawę. W końcu wszystko podzieliliśmy; on zatrzymał pieniądze angielskie i amerykańskie, ja – francuskie.

Musieliśmy teraz szybko postanowić, co zrobić z Ginette – ile jej dać, co powiedzieć itp. Usiłowałem wymyślić bajeczkę, którą powinienem jej wcisnąć – że nie chce łamać jej serca itepe. Zmuszony byłem mu przerwać.

– Mniejsza z tym, co jej powiedzieć – oznajmiłem. – Zostaw to mnie. Ile chcesz jej dać, o to chodzi. A w

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ogóle po co jej coś dawać?

Efekt był taki, jakby pod siedzeniem wybuchła mu bomba. Rozpłakał się. I to jak! Jeszcze gorzej niż przedtem. Myślałem, że zemdleje mi na rękach. Powiedziałem więc bez zastanowienia:

- Dobrze, dajmy jej wszystkie francuskie pieniądze. Na jakiś czas powinno jej to wystarczyć.

[317]

- Ile tego jest? - zapytał słabym głosem.

- Nie wiem, jakieś 2 000 franków, coś koło tego. I tak więcej, niż jej się należy.

- Chryste! Nie mów tak - błagał. - w końcu paskudnie robię ją w konia. Starzy nigdy nie przyjmą jej z powrotem. Nie, daj jej wszystko. Daj jej cały ten cholerny interes, bez względu na to, ile tego jest. wyjął chusteczkę, by obetrzeć łzy.

- Nic na to nie poradzę - przyznał. - To więcej, niż mogę znieść.

Nie zdobyłem się na odpowiedź. Nagle padł na ziemię - myślałem, że ma jakiś atak albo coś w tym stylu - jęknął:

- Jezu, myślę, że powinienem wrócić. Powinienem wrócić i wypić to piwo, którego nawarzyłem. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś jej się stało.

Poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę.

- Chryste! - wykrzyknąłem - nie wolno ci tego zrobić! Nie teraz. Za późno. Wsiądziesz do tego pociągu - już ja się o to postaram. Pójdę się z nią zobaczyć zaraz po twoim wyjeździe. Kretynie, gdyby kiedyś zwęszyła, że próbowałaś od niej uciec, zamordowałaby cię, nie rozumiesz tego? Już nie masz odwrotu. Załatwione. Zresztą co może się stać? - zapytałem sam siebie. Zabije się? Tant tiens.

Kiedy podjechaliśmy na dworzec, mieliśmy jeszcze około dwudziestu minut, które należało jakoś zabić. Nie miałem dość odwagi, by pożegnać się z nim już teraz. Ktoś tak roztrzęsiony jak on mógł w ostatniej chwili wyskoczyć z pociągu i popędzić do niej. Byle drobiazg mógł go odwieść od podjętej decyzji. Lada głupstwo. Zaciągnąłem go więc do baru naprzeciwko dworca i powiedziałem:

- wypijesz teraz pernoda - swego ostatniego pernoda, i ja ci go postawię... za twoje pieniądze.

Coś ze sposobu, w jaki to powiedziałem, zaniepo-

[318]

koło go. Pociągnął spory łyk i wtedy, o(lwriiciiji)(lic ku mnie jak zraniony pies, rzekł:

- Wiem, że nie powinienem zauI;i< n nI tyli I", powierzyć ci te wszystkie pieniądze, ale... ale...

Miller Henry - Zwrotnik Raka

/u-s/di no biszto, co uznasz za najlepsze. Nie chcę, by popełniła lamo bójstwo, to wszystko.

- Samobójstwo? - spytałem. - Nie ona. Musisz mieć o sobie diabelnie wysokie mniemanie, skoro wierzysz w coś takiego. A jeśli chodzi o pieniądze, to choć nie mam ochoty ich jej dawać, obiecuję ci, że pójde prosto na pocztę i wyślę je telegraficznie. Nie ufam sobie na tyle, by mieć je przez chwilę dłużej, niż to konieczne. Mówiąc to dostrzegłem kilka pocztówek na obrotowym stojaku. Złapałem jedną - była na niej wieża Eiffla - i kazałem mu napisać parę słów.

- Napisz, że za chwilę wypływasz. Dodaj, że ją kochasz, i że sprowadzisz ją zaraz po przyjeździe do Stanów... wyślę to jak najszybciej, pocztą pneumatyczną. I spotkam się z nią wieczorem. Wszystko będzie na medal - zobaczysz.

Z tymi słowami przeszliśmy przez ulicę, kierując się na dworzec. Pozostały dwie minuty. Poczułem, że teraz można go już bezpiecznie zostawić samego. Przy wejściu na peron klepnałem go w plecy i wskazałem na pociąg. Nie uścisnąłem mu nawet dłoni - obśliniłby mnie całego. Powiedziałem tylko:

- Pośpiesz się! Odjeżdża za minutę.

Po czym odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Nie obejrzałem się nawet, by zobaczyć, czy wsiada do pociągu. Za bardzo się bałem.

Przez cały czas, gdy go tak wyprawiałem, nie myślałem wcale, co zrobię, kiedy się już od niego uwolnię.

Obiecałem mu wiele - ale tylko po to, by siedział cicho. Jeżeli

[319] I

chodzi o konfrontację z Ginette, miałem tyleż odwagi co on. Wpadłem w panikę. Wszystko odbyło się tak nagle, że niemożliwa była pełna ocena sytuacji. Odchodziłem ze stacji cudownie zamroczony - z pocztówką w ręku. Oparłem się o latarnię i przeczytałem ją ponownie. Bez sensu. Przeczytałem ją raz jeszcze, by sprawdzić, czy nie śnię, po czym podarłem ją i wrzuciłem do rynsztoka.

Rozejrzałem się niespokojnie, jakbym spodziewał się zobaczyć Ginette z tomahawkim w ręku. Nikt jednak za mną nie szedł. Zacząłem spacerkiem podążać w kierunku Place Lafayette. Był piękny dzień, jak wspomniałem wcześniej. Nad głową lekkie kłębiaste chmurki żeglowały z wiatrem. Łopotały markizy. Paryż nigdy nie wyglądał w moich oczach tak dobrze, było mi niemal przykro, że wyprawilem stąd tego biednego kutasa. Na Place Lafayette usiadłem twarzą do kościoła i spojrzałem na wieżę zegarową; nie jest ona jakimś arcydziełem architektury,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ale ów błękit na zegarowej tarczy zawsze mnie fascynował. Dziś był jeszcze głębszy. Nie mogłem oderwać od niego oczu.

Jeżeli Fillmore nie będzie na tyle szalony, by napisać do niej list z wyjaśnieniami, Ginette może nigdy nie dowiedzieć się, co zaszło. A nawet gdyby do niej dotarło, że zostawił jej coś około 2 500 franków, nie będzie w stanie tego udowodnić. Zawsze mogę powiedzieć, że sobie to ubzdurał. Facet na tyle zbzikowany, by odejść nie zabrawszy nawet kapelusza, mógł być równie szalony, by wymyślić 2 500 franków, czy ile tam tego było. Właśnie, ile tego było – zacząłem się zastanawiać. Moje kieszenie urywały się od ciężaru tych pieniędzy. Wyciągnąłem je i starannie przeliczyłem. Było dokładnie 2 875 franków i 35 centymów. Więcej, niż przypuszczałem. Trzeba się było pozbyć 75 franków i 35 centymów – chciałem mieć okrągłą sumę. Właśnie w tej chwili spostrzegłem taksówkę zatrzymującą się przy krawężniku. wysiadła z niej kobieta z białym pudełkiem na rękę; pies sikał jej na jedwabną suknię. Pomysł, by zabierać

[320]

psa na przejażdżkę, rozeźlił mnie. Jestem równie dobry i jej pies, powiedziałem sobie, po czym kiwnąłem na takłów karzą i kazałem się przewieźć po Bois. Zapytał, dokąd do kładnie chcę jechać.

– Byle gdzie – odrzekłem. – Niech pan jedzie przez Bois, okrąży go – i proszę jechać wolno, nie spieszy mi się. Oparłem się wygodnie i spoglądałem na mijane z gwizdem domy, postrzępione dachy, kominy, kolorowe mury, toalety, zataczające się carrefours. Gdy mijaliśmy Rond-Point, pomyślałem, że pójdę wysikać się na dół. Nie wiadomo, co może mi się tam przytrafić. Kazałem kierowcy poczekać. Po raz pierwszy w życiu taksówka czekała na mnie, gdy się odlewałem. Ile pieniędzy można przepuścić w ten sposób? Niewiele. Z tym, co miałem w kieszeni, mogłem sobie pozwolić, by czekały na mnie dwie taksówki. Rozejrzałem się wokół, ale nie dostrzegłem nikogo godnego uwagi. Pragnąłem czegoś świeżego i nie używanego – czegoś z Alaski albo z wysp Dziewiczych. Czystej, świeżej skórki o naturalnym zapachu. Nie muszę mówić, że nie było tam żadnej takiej kobiety. Nie byłem zanadto zawiedziony. Chuj mnie obchodziło, czy znajdę kogoś takiego. Rzecz w tym, by nigdy nie robić tego na siłę. Na wszystko przyjdzie czas.

Jadąc dalej minęliśmy Łuk Triumfalny. Grupka turystów kręciła się bez celu przy szczątkach Nieznanego Żołnierza. Jadąc przez Bois patrzyłem na wszystkie te bogate dupy wożące się swoimi limuzynami. Przejeżdżały

Miller Henry - Zwrotnik Raka

ze świstem, jak gdyby dokądś zmierzały. Robiły to niewątpliwie, by dodać sobie znaczenia, by pokazać światu, jak gładko chodzą ich rolls-royce'y i hispano suizy. W moim wnętrzu wszystko chodziło bardziej gładko niż jakikolwiek rolls-royce. Byłem wewnątrz jak aksamit. Aksamitna kora mózgowa, aksamitne kręgi. I aksamitny smar do osi, a co! Cudownie jest choć przez pół godziny mieć w kieszeni pieniądze i przesrywać je niby jakiś pijany marynarz. Czujesz

[321]

się, jakby świat należał do ciebie. A najlepsze jest to, że nie wiesz, co z nimi zrobić. Możesz rozwalić się na siedzeniu i pozwolić, by licznik bił jak wściekły, możesz pozwolić, by wiatr rozwiewał ci włosy, możesz zatrzymać się na drinka albo pozwolić sobie na duży napiwek, stać cię na taką dozę pewności siebie, jakby takie rzeczy zdarzały ci się na co dzień. Ale nie możesz wywołać rewolucji. Nie możesz wypłukać całego brudu z bebeczków.

Kiedy dojechaliśmy do Porte d'Auteuil, kazałem mu skierować się ku Sekwanie. Przy moście Sevres wysiadłem i zacząłem iść wzdłuż rzeki, w kierunku wiaduktu Au-teuil. Sekwana w tym miejscu na mniej więcej szerokość strumienia, a drzewa podchodzą do samego brzegu. Woda była zielona, szklista, zwłaszcza przy przeciwległym brzegu. Od czasu do czasu przepłynęła pyrkocząc jakaś łódź. Plażowicze w obcisłych strojach opalali się stojąc w trawie. Wszystko wokół było rozgrzane, pulsujące, rozedrgane od silnego światła. Przechodząc koło ogródkowej piwiarni zobaczyłem grupkę cyklistów siedzących przy stoliku. Zająłem miejsce w pobliżu i zamówiłem demi. Słuchając ich paplaniny pomyślałem przez chwilę o Ginette. Ujrzałem, jak nerwowo biega z kąta w kąt, wrywając sobie włosy z głowy, jak szłocha i beczy, w ten właściwy sobie zwierzęcy sposób. Ujrzałem na wieszaku jego kapelusz. Zacząłem się zastanawiać, czy pasowałyby na mnie jego ubrania. Miał jeden raglan, który szczególnie lubiłem. Cóż, teraz był już w drodze. Jeszcze trochę i pod stopami poczuje kołysanie statku. Angielski! Chciał posłuchać angielskiego. Co za pomysł!

Nagle przyszło mi do głowy, że gdybym zechciał, także mógłbym wrócić do Ameryki. Po raz pierwszy pomyślałem o czymś takim. Zapytałem sam siebie – chcesz jechać? Nie było żadnej odpowiedzi. Moje myśli pobiegły w kierunku morza, w stronę drugiego brzegu, gdzie – oglądając się za siebie po raz ostatni – widziałem drapacze

[322]

Miller Henry - Zwrotnik Raka

chmur nękające w wirujących płatkach śniegu. Ponownie ujrzałem, jak wynurzają się ogromne i groźne, równie upiorne jak wówczas, gdy stamtąd odpływałem. Zobaczyłem światła biegnące w górę między ich żebrami. Ujrzałem jak na dłoni całe miasto, od Harlemu po Battery, ulice zalane morzem mrówek, rozpedzoną kolejkę naziemną, pustoszejące kina. Pomyślałem nieco mgliście: co też dzieje się z moją żoną.

Gdy wszystko przemyślałem, opanował mnie wielki spokój. Tutaj, gdzie rzeka łagodnie wije się przez pierścień wzgórz, leży ziemia tak nasiąknięta przeszłością, że jak daleko sięgnąć myślą wstecz, nie sposób uwolnić się od tego dziedzictwa stanowiącego historię ludzkości.

Chryste, przed oczyma zaśnił mi taki złocisty spokój, że tylko neurotyk mógłby wpaść na pomysł, by odwrócić głowę. Sekwana płynie tak dyskretnie, że ledwie odczuwam jej obecność. Jest tu zawsze – cicha i nie rzucająca się w oczy, niczym wielka arteria biegnąca przez ciało człowieka. W tym cudownym nastroju, jaki mnie ogarnął, miałem poczucie, że wspiałem się na szczyt wysokiej góry; przez jakiś czas będę mógł rozglądać się dokoła, chłonąc sens krajobrazu.

Ludzie stanowią dziwną faunę i florę. Z daleka wydają się tak bardzo nieistotni; z bliska muszą się wydać szpetni i małostkowi. Tym, czego najbardziej potrzebują, jest dostatecznie dużo przestrzeni – przestrzeni trzeba im bardziej nawet niż czasu.

Słońce zachodzi. Czuję, jak rzeka przepływa przeze mnie – jej przeszłość, jej wiekowa ziemia, zmieniający się klimat. Wzgórza łagodnie okalają ją pierścieniem: jej bieg jest ustalony.

POSŁOWIE

Akwaforta Paula Klee Bohater ze skrzydłem przedstawia człowieka w pułapce świata: o jednym skrzydle, wrośnięty jedną nogą w ziemię, nie może wzbić się w powietrze. Tak widział kondycję ludzką artysta na początku naszego wieku, jeszcze przed bezsensowną rzezią I wojny światowej i zagrożeniem o wiele poważniejszym, jakie niosły z sobą lata trzydzieste i czterdzieste. Ten sam malarz u-znał w 1924 roku artystę za filozofa, którego misją powinno być tworzenie nowej rzeczywistości, odmiennej od świata zastanego.

Cóż to wszystko ma wspólnego z Henrym Millerem? Słowa błąkające się na jego ustach to anarchia, nuda, smutek, frustracja, daremność, graviora manent, rak i delirium, ale także euforia, uśmiech przesłany nad otchłanią, grube, ciężkie podwiązki, miękkie, pełne uda, triumf muzyki, gaje pomarańczowe, cyprysy, szafirowe niebo –

Miller Henry - Zwrotnik Raka

błogosławieństwo połączone z agonią.

Płynąc za pożyczone pieniądze z USA do Francji w 1928 roku i mieszkając tam następnie przez dziesięć lat Miller spóźnił się na „ruchome święto” w mieście zwanym gai Paris przez takich jego rówieśników, jak Hemingway, Dos Passos i Fitzgerald; zamiast niego czekała go tam włóczęga o pustym żołądku, z głodem w sercu. Częściowo wyjaśnia to, dlaczego jego wizja różni się znacznie od tej, którą znajdujemy w utworach jego bardziej popularnych kolegów.

Pisząc w wieku 40 lat swą pierwszą powieść, Zwrotnik Raka, autor stawiał sobie ambitny cel: pragnął ująć w niej to, co literatura zwykle przemilcza, stworzyć dzieło, które „wysadzi świat”. Tymczasem, jak słusznie zauważa polski poeta współczesny, świat wciąż istnieje.

wydana na-

[324]

kładem paryskiej oficyny Obelisk w roku I'M-1 ksia/Li od razu przyniosła Millerowi skandaliczny rozgłos, tle PI pub likację w jego rodzinnym kraju oraz w Anglii musi.il.i c n kać prawie 30 lat.

Przez te wszystkie lata istniała życiem ustajonym, półlegalnym: Uważana za książkę znaczącą, jeśli nie wybitną, przez pisarzy tej miary co T. S. Eliot, Ezra Pound, William Carlos Williams, George Orwell, Blaise Cendrars, Lawrence Durrell i Anais Nin pozostawała nie znana ogółowi czytelników amerykańskich; przemycana do ojczyzny autora nie stała się częścią literatury światowej; zaklasyfikowana niczym powieści fikcyjnego Kilgore'a Trouta jako pornografia, nie wprowadziła jej autora w główny nurt literatury amerykańskiej.

Publikacja Zwrotnika Raka w USA (1961 r.), do czego potrzebna była aż decyzja Sądu Najwyższego, niewiele tę paradoksalną sytuację zmieniła. Czyżbyśmy mieli do czynienia z fiaskiem?

Odpowiedź na to pytanie zależy od przyjętej skali wartości, a więc od każdego czytelnika z osobna. W ciągu 30 lat od swego debiutu Miller napisał ponad 10 książek; sukces komercyjny niektórych z nich był olbrzymi i pisarz nie musiał już martwić się o byt materialny. Pozwoliło mu to osiedlić się w jednym z piękniejszych zakątków swego pięknego kraju, Big Sur w Kalifornii, gdzie wciąż ponawiał próbę założenia szczęśliwej rodziny (był pięciokrotnie żonaty); czasy rozpaczliwych próśb o wsparcie oraz tułaczki po Europie i kraju rodzinnym należały już do przeszłości. Otoczony legendą „pornografa” pisarz przyciągał rosnące rzesze wielbicieli nie tyle jego talentu, co legendy właśnie,

Miller Henry - Zwrotnik Raka

by stać się niemal przedmiotem kultu i przyjąć rolę „guru” wypowiadającego nie zawsze spójne opinie. Mógł wreszcie oddawać się swobodnej twórczości, którą zawsze stawiał sobie za cel, ale już właściwie w latach sześćdziesiątych literatura ustąpiła miejsca akwarelom. Spóźniona popularność Millera miała swoją cenę.

[325]

Czytelnicy skupili swą uwagę na jednym, nie najważniejszym aspekcie jego twórczości: niecenzuralnym słownictwie i naturalistycznych opisach aktu płciowego, dzieląc się na oburzonych i zachwyconych tą właśnie stroną jego utworów. Paradoks jako istota życia, tak trafnie uchwycony przez Millera w Zwrotniku Raka, przejawia się także w odbiorze jego najważniejszych powieści: Zwrotnika Raka, Czarnej wiosny, Zwrotnika Koziorożca i trylogii Różowe u-krzyżowanie – z jednej strony mamy zagorzałych, choć czasami bezkrytycznych entuzjastów jego talentu, z drugiej interpretacje

częstkowe, wynurzenia psychoanalityków, ataki feministek. Przyjrzyjmy się niektórym z tych wypowiedzi. L. Durrell: „Zwrotnik Raka umieściłbym obok Moby Dicka... Dzisiejsza literatura amerykańska zaczyna się i kończy na dokonaniach Millera”.

Anafs Nin, przyjaciółka pisarza, pisała we wstępie do pierwszego wydania powieści: „Oto książka, która – o ile to jeszcze możliwe – potrafi nam przywrócić apetyt na elementarne realia życia... Potrzebna nam transfuzja krwi. Ta krew i to ciało dane są nam właśnie tu.

Alkohol, jedzenie, śmiech, pożądanie, namiętność, ciekawość – te najprostsze przejawy naszej egzystencji stanowią pokarm, z którego czerpią soki korzenie naszych największych i najbardziej ulotnych utworów”.

George Orwell: „Jeśli chodzi o pisarza, siedzi on na topniejącej górze lodowej; jest tylko anachronizmem, pozostałością epoki burżuazyjnej, skazanym na zagładę, jak hipopotam. Miller wydaje mi się człowiekiem niezwykłym, ponieważ dostrzegł i obwieścił ten fakt na długo przed większością jego współczesnych. [...] Moim zdaniem mamy tu do czynienia z jedynym obdarzonym wyobraźnią prozaikiem, jaki w ostatnich paru latach pojawił się wśród ludów anglojęzycznych. Jeśli nawet ktoś potraktuje to stwierdzenie jako przesadzone, przyzna prawdopodobnie, że Miller

[326]

jest pisarzem nieprzeciętnym, zasługującym nie tylko na pobieżny rzut oka; a przecież jest pisarzem zupełnie negatywnym, niekonstruktywnym, amoralnym, zaledwie Jonaszem biernie akceptującym zło, czymś w rodzaju

Miller Henry - Zwrotnik Raka

Whitmana pośród trupów".

Co do feministek, dla których Miller stał się ulubionym chłopcem do bicia, to trudno z nimi polemizować – jak z każdym, komu przyjęta ideologia wydaje się prawdą jedyną i niemal objawioną. Polemikę dodatkowo utrudnia psychoanalityczny żargon, który może być nośnikiem dogmatu, ale rzadko sprawdza się jako narzędzie opisu świata. Ogólnie mówiąc, feministki zarzucają mu (nie bez racji zresztą), że sprowadza kobietę do roli zwierzątka, a właściwie organu seksualnego. Jednym słowem, autor Zwrotnika Raka jest dla nich typowym małe chawinist pig, co Sławomir Mrozek z właściwym sobie wdziękiem przetłumaczył kiedyś na „zwolennika supremacji mężczyzn”. Oddajmy jednak głos Kate Millet, czołowej przedstawicielce „wojującego feminizmu”: „Miller to kompendium amerykańskich nerwic seksualnych; jego wartość nie polega na uwolnieniu nas od tych schorzeń, ale na. uczciwości, z jaką je wyraził i udratyzował”. Dziś, gdy od publikacji Zwrotnika Raka dzieli nas ponad pół wieku, jego pozycja w krajach anglosaskich pozostaje paradoksalna: wszyscy o nim słyszeli, ale któż zadał sobie trud, by go przeczytać? Rzecz jasna książka nie jest już tak obrazoburcza jak niegdyś: krytyka cywilizacji amerykańskiej, programowy anarchizm, a także seks i obsce-niczność jako środki walki z establishmentem miały prawo bulwersować w roku 1934, ale nie dzisiaj, gdyż od lat sześćdziesiątych stały się trwałym elementem literatury amerykańskiej. Dlaczego jednak, skoro środki użyte przez Millera stały się czymś powszechnym, tak niewiele uwagi poświęco-

[327]

no treści jego utworów? Dlaczego pisarz nie doczekał się poważniejszej biografii ani całościowego opracowania krytycznego? Co sprawia, że tak mało powstaje rozpraw na temat jego pisarstwa i wpływu na prozaików o tak różnych obliczach, jak Saul Belló, Philip Roth, Norman Mailer czy Jack Kerouac? Musi być jakiś powód, dla którego Miller pozostaje nadal na marginesie literatury, funkcjonuje w krytycznej próżni. I chociaż w USA nakręcono kilka filmów opartych na jego powieściach, jedyna nagroda literacka, jaką otrzymał, pochodziła z... Włoch i została mu przyznana za książkę spoza głównego nurtu jego prozy. Co sprawiło, że do dziś pisarz tkwi „między bagnem a nieboskłonem”?

W opatrzonej własnymi komentarzami wyborze co „soczystszych” fragmentów głównych powieści Millera, uzupełniającym „cenzuralną” antologię opracowaną wcześniej przez L. Durrella, Norman Mailer dochodzi do

Miller Henry - Zwrotnik Raka

wniosku, że jest w autorze Zwrotników coś niestrawnego dla Amerykanów. Bez wątpienia chodzi tu o sposób widzenia świata, bliższy metafizyce Paula Klee niż komercyjnym produktom Andy'ego Warhola, surrealistom lat dwudziestych niż odbiorcom kultury masowej. Nie bez znaczenia są także jego ściślejsze związki z literaturą europejską niż amerykańską. Sam Miller przyznaje się w Zwrotniku Raka do swej „dziewiętnastowieczności”.

Dystans, z jakiego spogląda na opisywany świat i towarzyszącą mu swoistą naiwność Anais Nin nazwała trafnie „spojrzeniem Patagończyka”.

Sądzę, że przyczyny nieprzystawalności Millera do oczekiwań współczesnych odbiorców (zwłaszcza amerykańskich) można upatrywać jeszcze głębiej – w niemal średniowiecznym charakterze jego wrażliwości, „...na obrazach Grunewalda, Cranacha, Hieronima Boscha, Manuela Deutscha widzimy jeszcze naturę ludziom nieprzyjazną, zaludnioną przez złośliwe duchy, pełną zasadzek i niebezpieczeństwa. Drzewa wyciągają swe długie ręce ku przerażone-

[328]

mu człowiekowi. W średniowieczu po /opadnięciu zmroku nie wychodzono na dwór ze Strachu przed demonami, które w ciemnościach czyhały na nierozważnych”. Tak opisuje kondycję ludzką w owych zamierzchłych dla nas czasach Jerzy Stempowski. A przecież to właśnie świat przedstawiony w Zwrotniku Raka: „Niebo w kolorze indygo oczyszczone z wełnistych chmur, ponure drzewa rozciągnięte w nieskończoność, ich czarne gałęzie gestykują niczym lunatycy. Drzewa upiorne, o pniach białych jak popiół z cygara. wszechpotężna i tak bardzo europejska cisza. Żaluzje spuszczone, zaryglowane sklepy. [...] Zewsząd otaczała nas duszna, maniakałnie pijana noc, czały się ostrza sztyletów. wokół rozpościerała się bezkresna pustka. Nad kaplicą niczym biskupia infuła zalegała konstelacja światełek, w ciągu zimowych miesięcy tkwiła tam tuż nad kaplicą, jaśniejac jak ostrza sztyletów, blask absolutnej pustki”. Uważny czytelnik znajdzie podobnych fragmentów więcej. Na czym polega wielkość Zwrotnika Raka dzisiaj? Nie stanowi o niej krytyczne spojrzenie na p'ostęp cywilizacyjny* ponieważ obawy i niepokoje z nim związane stały się dziś powszechne, ani szeroka panorama społeczna, której tu czytelnik po prostu nie znajdzie, napotykając zamiast niej zadziwiający korowód istot niespokojnych, wygnańców i uciekinierów, kurw i artystów – „osobników stukniętych, neurasteników, neurotyków, psychopatów”. Wartość książki nie leży też w jej

Miller Henry - Zwrotnik Raka

warstwie filozoficznej ani nie opiera się na erudycji pisarza, choć bywa ona zadziwiająca. Miller to przede wszystkim zmysły, napięcia emocjonalne, nieomylny instynkt, włókna nerwów pulsujące rytmem miejsca i czasu.

Ta rzadko spotykana dziś intensywność uczuć u pi-
[329]

sarza nazywanego „facetem o sercu i członku z kamienia” jest najmocniejszą stroną powieści obok niezniszczalnej wiary w człowieka jako jednostkę twórczą, w uzdrowiciel-ską moc sztuki. Anais Nin wspomina, że Miller uważał się za ostatniego człowieka na ziemi. Czytając Zwrotnik Raka odnosi się wrażenie, że było tak naprawdę: obecność autora

– wirtuoza, literackiego kuglarza, anarcho-surrealisty, narcyza i megalomana, niemoralnego moralisty i „wielkiego Speleologa waginy”, wreszcie intelektualisty swobodnie poruszającego się w świecie literatury, muzyki i malarstwa

– stanowi źródło siły jego pisarstwa. To dzięki niej Paryż Millera staje się bardziej rzeczywisty niż Paryż Balzaka, Apollinaire'a, a nawet Ceigne'a; prawdziwszy i pamiętany dłużej niż miasto znane z własnych wędrówek i turystycznych folderów. „Ten Paryż, do którego tylko ja jeden mam klucz, niezbyt nadaje się do zwiedzania przez turystów, nawet gdy się ma najlepsze intencje; jest to Paryż, w który należy wierzyć, którego należy doświadczać codziennie w tysiącu różnych tortur, Paryż rozwijający się w tobie niczym rak, rozprzestrzeniający się coraz bardziej, by cię w końcu pożreć”. Do niezapomnianych opisów miasta dochodzą mistrzowskie, nakreślone w kilku zdaniach portrety (a właściwie karykatury) ludzi, zwłaszcza postaci marginesowych. Wizja Millera jest głęboko pesymistyczna, ale – oto kolejny paradoks – nie przygnębia; wręcz przeciwnie – złagodzony ironią i komizmem, zaskakującą metaforą, swobodnym wzlotem surrealistycznej poezji pesymizm pisarza dodaje siły, by przeciwstawić się zgiełkowi codzienności, nowotworowym komórkom zagrażającym naszej osobowości. Tak pisał o tym sam Miller: „Jednym z powodów, dla których kładłem w swych utworach nacisk na amoral-ność, zło, brzydotę, okrucieństwo, była chęć pokazania, że są one równie ważne – jeśli nie ważniejsze – co rzeczy pozytywne. (...) W ten sposób oczyszczałem swój organizm z

[330]

trucizny. I co dziwne, owa trucizna wywierała kojący wpływ na innych. To tak jakbym ofiarowywał im

Miller Henry - Zwrotnik Raka

uodpar-niającą szczepionkę". Fakt opisanie świata w stanie rozkładu staje się aktem obłąskawienia go, zwycięstwem nad losem.

Wypada też wspomnieć o jeszcze jednym aspekcie powieści, niezbyt na pierwszy rzut oka widocznym i w pewnym sensie anachronicznym w dobie literatury postmodernistycznej i nouveau roman: Zwrotnik Raka to opowieść o miłości, nie spełnionej i nieuchwytniej. Autor przyznał pod koniec życia, że we wszystkich swoich przewrotnie autobiograficznych książkach pisał wciąż o jednej kobiecie, swej drugiej żonie June, zwanej tam Marą lub Moną. To ona pobudziła Millera do pisania i chociaż ostatecznie go porzuciła, to nią właśnie nasycony jest opisywany w pierwszej powieści Paryż, to jej twarzy, marmurowych nóg i zawsze gorących piersi szukał na ulicach i w burdelach Paryża, u Tani, Germaine i innych kobiet tu opisywanych.

Jeżeli udany opis klęski miłości uznać można za sukces, to Zwrotnik Raka jest nim w stopniu o wiele większym niż późniejsze powieści Millera, a zwłaszcza jego 1600-stronicowe opus magnum, Różowe ukrzyżowanie (trylogia składająca się z części zatytułowanych Sexus, Nexus, Plexus). Przez kilkadziesiąt lat nie udało się pisarzowi uczynić z Mony przekonującej postaci powieściowej choć odrobinę podobnej do Anny Kareniny czy Emmy Bovary; jej obraz do końca pozostaje zamazany. I pewnie taki musiał pozostać, co Miller zdawał się wyczuwać pisząc swą pierwszą powieść. Nie odwzajemniona miłość do Mony i Ameryki tu właśnie wyrażają się najpełniej, mimo że znak równości między nimi pisarz świadomie postawi dopiero w Zwrotniku Koziorożca. Wprawdzie cytat poniższy odnosi się do ojczyzny pisarza, ale wystarczy przecieżyć zmienić jedno słowo...:

„Najlepiej tak właśnie widzieć Amerykę, zaws/.e w [331]

tle, jako coś w rodzaju pocztówki, po którą sięgasz w chwilach słabości. W ten sposób wyobrażasz sobie, że zawsze tam na ciebie czeka, nie zmienia się i nie wynaturza. [...] Ameryka nie istnieje. To tylko nazwa nadana pewnej abstrakcyjnej idei..."

Na koniec pozostawiłem problem, który poruszany zwykle na wstępie utrwała istniejący stereotyp

Mille-ra-pornografa. W rezultacie Zwrotnik Raka może podzielić los Ulissesa Joyce'a: większość osób natychmiast postawiła książkę w widocznym miejscu na półce, część czytelników zniechęciła się po kilkudziesięciu stronach, nieliczni przeczytali fragmenty obsceniczne, podkreślone przez kilku

Miller Henry - Zwrotnik Raka

zdeteminowanych czytelników, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że to arcydzieło.

Zwrotnik Raka jest książką nieco szokującą. Ktoś napisał kiedyś, że „u boku wielkiej sztuki stoją zawsze jej dwie ciemne siostry: bluźnierstwo i pornografia”, i chociaż można by kwestionować poszczególne człony tego twierdzenia w odniesieniu do tej właśnie książki, pozostaje faktem, że nie wszystkim przypadnie ona do gustu. Rynsztokowy – jak nazywa go sam autor – język może przesłonić inne zalety powieści. Wskazanie rozdziału, w którym najczęściej występuje słownictwo „niecenzuralne”, jest zabiegiem niebezpiecznym, o czym przekonał się autor pewnego poematu zalecając co wrażliwszym osobom, zwłaszcza paniąkom, opuszczenie rozdziału zawierającego długą listę najordynarniejszych przekleństw: większość czytelników od niego właśnie zaczynała lekturę poematu. Ponadto ostrzeżenie tego rodzaju jest nie na miejscu także i z tego powodu, że słowa uznawane za „brzydkie” występują niemal we wszystkich rozdziałach.

Miller przywiązywał sporą wagę do tej kwestii, poświęcając jej osobny esej. Przypomniał w nim dwa przeciwstawne poglądy na naturę słów nieprzyzwoitych. Według jednego obsceniczność, podobnie jak piękno, znajduje się

[332]

na zewnątrz dzieła sztuki, w jaźni osoby je

ogli|duji|ce|

Zdanie przeciwne sprowadza się do twierdzenia, /<

..I.....

są trwałym elementem życia społecznego i odzwłen li
liła] | głęboką potrzebę ludzkiego umysłu. Sam autor tik
OtO w \ jaśniał powód ich stosowania: „Gdy w sztuce, .1
zwl w literaturze, pojawiają się obscena, spełniają
zwykle lunk cję środka technicznego; element celowości
nie ma nic wspólnego z próbą wywołania podniecenia
seksualnego. Jeśli w ogóle można mówić w tym przypadku o
jakieś ukrytej motywacji ze strony twórcy, dotyczy ona
czegoś o wiele głębszego niż seks. Celem jest
przywołanie i wprowadzenie poczucia rzeczywistości
opisywanego świata. W pewnym sensie stosowanie przez
artystę obsceniczności można porównać do użycia
elementów nadprzyrodzonych przez starych mistrzów”.
Do rąk czytelnika trafia więc książka kontrowersyjna,
ale – jak starałem się tu pokazać – wciąż żywa. Ta
„intymna i prywatna historia, w której się nagle
odzwierciedla coś, co jest głębsze i szersze”,
przeznaczona jest dla ludzi z otwartą głową. Przed nimi

Miller Henry - Zwrotnik Raka

obroni się sama.

Uważa się powszechnie, że praca tłumacza jest zajęciem samotnym. Tak rzeczywiście było w przypadku wstępnej pracy nad Zwrotnikiem Raka; miałem jednak to szczęście, że ostateczny kształt niniejszego przekładu zawdzięcza wiele innym. Lista ich nazwisk jest zbyt długa, by ją tu zamieszczać, ale pragnąłbym w tym miejscu podziękować im wszystkim za cierpliwość, zrozumienie i życzliwość.

Lesław Ludwig

Projekt stron tytułowych i okładki Andrzej Darowski

Redaktor

Barbara Sławomirska

Redaktor techniczny Danuta Harnik

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990 wydanie I. Nakład 100000 + 350 egz. Ark. wyd. 16,8. Ark. druk. 21 Oddano do składania 2 V 1988 Podpisano do druku w marcu 1989 Zam. nr 1144/88. 0-16-173 Zakłady Graficzne w Gdańsku Gdańsk, ul. Trzy Lipy 3

III»